

CONNIE BROCKWAY

Słodka uległość




AMBER

Romans historyczny

Prolog

Opactwo St. Bride's, styczeń 1804

Ceremonia ślubna

Christiana MacNeilla i Katherine Nash Blackluim

Charlotte wyszła z kaplicy i ruszyła przed siebie krążgankiem, energicznie rozcierając obnażone ramiona. Styczeń w Szkocji jest diabelnie zimny, pomyślała. Gdyby szal, z którym jej siostra Helena uganiała się za nią całe popołudnie, nie burzył linii nowej sukni, może by i się nim okryła, choć jego rdzawy kolor kłócił się okropnie z delikatnym błękitem.

Sama nie wiedziała, co kazało jej nagle wyjść z ceremonii. Jej druga siostra Kate ze swym dzielnym żołnierzem tworzą idealną parę. Są tacy szczęśliwi. Mają przed sobą pewną przyszłość; to, co było, odeszło w zapomnienie. Jak to się mówi, wszystko dobre, co się dobrze kończy. A czyż historia dwojga pięknych, mądrych i szlachetnych ludzi, którzy odnaleźli się wzajemnie po latach zmagania z losem, może się kończyć lepiej niż na ślubnym kobiercu?

Nie! Tylko że... tylko że... Charlotte miała wrażenie, że właśnie przeczytała piękną bajkę. Chociaż Kate znalazła swego rycerza w błyszczącej zbroi i Charlotte cieszyła się jej szczęściem, obawiała się, że jej własna bajka będzie miała całkiem inne zakończenie.

Ich ojciec zginął trzy lata temu, gdy miała szesnaście lat. Jego śmierć pociągnęła za sobą następną tragedię - rok potem umarła matka. Rodzina przeżywała trudne chwile. Siostry, zabiegające - nie, to za mało powiedziane -

zdesperowane, by zapewnić Charlotte wszelkie przywileje, należne córkom zamożnej szlacheckiej rodziny, oraz wytworne obejście, jakimś cudem zebrały dość pieniędzy, by ją wyprawić do prestiżowej londyńskiej szkoły dla młodych dam. Namawiały ją przy tym, by zawierała „cenne” znajomości. Powoli do Charlotte dotarło to, co dla postronnego obserwatora było zupełnie jasne: była ciężarem. Ukochanym brzemieniem, kulą u nogi. Inwestycją, która nieprędko się zwróci. Chyba że Charlotte zrobi dobry użytek ze swoich „cennych” znajomości.

Gdy tylko to zrozumiała, pogodziła się z losem. Nie tracąc czasu na opłakiwanie przeszłości, postanowiła żyć tak, jak tego oczekiwały siostry. Szybko okazało się, że potrafi doskonale przystosować się do nowej sytuacji. Już jako dziecko była bardzo praktyczna. Teraz stała się chłodna i gardziła sentymentami.

I tak, pół roku po śmierci matki, wszystkie trzy były dobrze, jeśli nie szczęśliwie urządzone. Łagodna i urocza Helena została damą do towarzystwa okropnej starej sekutnicy; zapalczywa Kate uczyła gry na fortepianie córki kupców, a Charlotte była ulubioną towarzyszką zabaw Margaret Welton, jedynej córki niezwykle zamożnego, dobrodusznego i strasznie niezrównoważonego barona i jego równie nieodpowiedzialnej żony.

Weltonowie nie oczekiwali od Charlotte niczego więcej niż przyjmowania podarunków i sukien, którymi hojnie ją obsypywali. Poza tym musiała zachowywać się w taki sposób, aby rodzice, porównując ją i jej podopieczną, mogli swą rozpuszczoną latorośl uznać za grzeczną panienkę. No i powinna być wobec niej absolutnie bezkrytyczna.

Całkiem przyjemne zajęcie, każdy to przyzna, pomyślała Charlotte drwiąco, zmierzając krążankiem ku otwartym na oścież drzwiom. Wystarczy bawić sobą otoczenie, ładnie się prezentować i zgadzać się na wszystkie zwariowane pomysły, na jakie wpadnie Margaret. Stała się niesforną pannicą, figlarką i kokietką. Tylko że... ostatnio coraz częściej nachodziła ją obawa, że jest to jedyna rola, jaką przyjdzie jej odgrywać. Na pewno chcieli tego Weltonowie. ale wyglądało na to, że nikt nie oczekiwał od niej innego zachowania. Co gorsza, być może pewnego dnia ją samą zacznie to zadowalać.

Życzyłaby sobie od życia czegoś więcej. Nie była pewna czego, wiedziała tylko, że czegoś innego niż siostry. Nie miała zrozumienia dla ślepej determinacji Kate w dążeniu do zabezpieczenia przyszłości. Dopięła swego u boku krzepkiego Szkota, którego fortuna pochodziła z jakiejś jaskini przemysłników. Charlotte nie była też romantyczkajak Helena, pragnąca, by kochano w niej jej prawdziwą naturę. Uśmiechnęła się z goryczą. Nie była nawet

pewna, co to takiego ta jej prawdziwa natura. Jest cukierkiem? Niesforną pannicą? Miłym dla oka przedmiotem? Pewnie wszystkim tym po trochu i na dodatek kimś znudzonym każdą z tych ról. A przecież życie powinno być czymś więcej niż tylko wypełnianiem przestrzeni.

Zerknęła do pomieszczenia, które wyglądało na bibliotekę; dwie przeciwległe ściany zakrywały przeładowane szafy na książki sięgające prawie pod sufit. Charlotte się uśmiechnęła. Uwielbiała książki, a jednak przykrych stron jej obecnej sytuacji był fakt, że jakakolwiek lektura inna niż katalogi aukcyjne z Tatersall była rzadkością w gospodarstwie Weltonów. Wśliznąwszy się do środka, powiodła łakomym spojrzeniem po tłoczonych skórzanych grzbiętach, obchodząc wielki porysowany stół ustawiony pośrodku pokoju.

Krzesełko o prostym oparciu stało odsunięte nieporządnie z jednej strony, jak gdyby ktoś wstał w pośpiechu. Nowo wydrukowana mapa Europy leżała rozpostarta na kilku rozsypujących się stertach papierów, poznaczona gęsto atramentem. Arkusik papieru wystawał spod niej na tyle, by Charlotte rozpoznała, że jest napisany po francusku.

Znieruchomiała, a wzburzenie narastało w niej wraz z ponurym podejrzeniem. Dlaczego opat, ojciec Tarkin - zapewne trafiła do jego pokoju, niepodobna przecież, by inny zakonnik był na tyle ważny, by mieć własną bibliotekę - koresponduje z kimś po francusku? Przecież trwa wojna z Francją. Przysunęła się bliżej.

Rzuciło jej się w oczy nazwisko ojca: Roderick Nash. Odgarnęła mapę, chwyciła list i próbowała odcyfrować...

- Panno Nash?

Charlotte okręciła się w miejscu, a list zadrżał jej w ręku, gdy znalazła się twarzą w twarz z ojcem Tarkinem. Jeśli nawet poczuła zażenowanie, przyłapaną na myskowaniu w jego rzeczach, uleciało wyparte przez słuszny gniew. To nie ona zadaje się z wrogiem! Nie ona dostaje podejrzanego listy!

- Dlaczego w tym liście jest nazwisko mego ojca? - spytała.

Ojciec Tarkin podszedł i przekrzywił głowę, by dojrzeć, co trzyma w ręku. Zaciekawienie na jego twarzy zastąpił smutek.

- Ach! To od człowieka, który wiele zawdzięcza pani ojcu. Napisał, aby mi przypomnieć o jego poświęceniu, a także o zasługach innych osób, dzięki którym może kontynuować swe obecne przedsięwzięcia. Widzi pani? - Podkreślił ciąg słów w liście długim kościstym palcem. - ..Z szacunkiem. Ojciec Opacie, przypominam to, o czym Ojciec dobrze wie" - przetłumaczył - „że wszystkie wielkie przedsięwzięcia wymagają wielkich poświęceń. Te, wymagane ode mnie, które ostatnimi czasy wydają się tak bardzo niepokoić

sumienie ojca. są niczym wobec ofiar poniesionych przez innych, że wspomnę pułkownika Rodericka Nasha, a także wielu innych bezimiennych ludzi, którzy oddali życie, bym mógł dokończyć mą pracę..." - Opat urwał i uśmiechnął się przeprasząco do Charlotte. - Reszta nie ma związku z panią moje dziecko.

„Dokończyć mą pracę". Trzy lata temu jej ojciec dobrowolnie oddał się Francuzom w zamian za trzech szkockich chłopców, których nawet nie znał, uwięzionych w lochach LeMons za szpiegostwo. Przed zmierzchem tego samego dnia został stracony. Charlotte zawsze przyjmowała, że wraz z powrotem trójki ocalonych do Anglii upadła intryga, którą ukartowali.

Świadomość, że ktoś kontynuuje dzieło, które tamci Szkoci zaczęli we Francji lata temu, poraziła Charlotte. Zaraz potem uświadomiła sobie następną rzecz. Nie zdziwiło jej, że bystrooki, łagodny opat ma w tym udział. Tamci młodzi ludzie byli wychowankami St. Bride's, czyż nie?

- Nie jestem dzieckiem, proszę ojca - odpowiedziała z powagą, o jaką niewiele by ją posadziło. - Ale jeśli mój ojciec umarł za jakąś sprawę, do której nawiązuje autor tego listu, muszę się sprzeciwić. To ma związek ze mną.

Opat pokręcił głową.

- Jeśli już, to naprawdę niewielki.

Charlotte jęknęła niepewna, dlaczego nie może zostawić tej sprawy, ale słowa, które przetłumaczył opat, miały w sobie taką siłę. Brzmiały jej w myśli jak syreni śpiew, przywołując na pamięć tragiczne okoliczności śmierci ojca i jej skutki.

Dotąd ofiara ojca wydawała jej się szlachetnym i bezinteresownym aktem szlachetności. Ale zawsze bolało ją że jego poświęcenie nie znaczyło nic więcej, że oddał życie za nieudany spisek. Teraz miała dowód, że misja, której podjęli się tamci młodzi ludzie, wciąż trwa, że ofiara jej ojca pozwoliła dalej prowadzić ważną pracę. Z pewnością list taką rzecz sugerował.

Żarliwie pragnęła, by i ona mogła zrobić coś, co uczyłoby ofiarę ojca.

- Mogę pomóc. - Słowa zawisły w ciszy ustronnej biblioteki opata.

- Drogie dziecko, nie pojmuję, co pani ma na myśli...

- Mogę się przydać, jeśli tylko ojciec pozwoli. - Przerwała opatowi, cokolwiek zamierza! powiedzieć. Spojrzała mu w oczy. Zmarszczył czoło.

- Co pani sugeruje, panno Nash? - spyta! wreszcie i dziwnie dwornym gestem wskazał jej, by usiadła na krześle.

Była zbyt zdenerwowana, by skorzystać z jego propozycji.

- Niezależnie od tego. po co wysłano tylu szkockich chłopców do Francji, sprawa nie została zakończona. Chcę pomóc. Muszę to zrobić.

Opat nie zaprzeczył jej domysłom. Przechylił głowę i zapytał:

- Dlaczego?

- Żeby moje życie zaczęło coś znaczyć. Żeby nadać znaczenie śmierci mego ojca. Żeby jego ofiara nabrała wartości.

Na twarzy opata pojawiło się zakłopotanie.

- Uważa pani, że fakt, iż ocalił trzech młodych ludzi, nie ma większego znaczenia?

- Nie. - Srebrne brwi ojca Tarkina uniosły się w wyrazie zaskoczenia, a spojrzenie, które w niej utkwił, było pełne urazy. - Nie - powtórzyła stanowczo, myśląc o człowieku, który tak poruszająco napisał o ofierze jej ojca; pewna, że opat ją zrozumie. - To za mało, tym bardziej że jego poświęceniu można nadać o wiele większe znaczenie. Jeśli dzięki memu ojcu komuś we Francji udawało się działać na naszą korzyść przez te minione trzy lata, to chcę mu pomóc. Chcę, aby mu się powiodło. Jestem to winna pamięci ojca i memu krajowi. - Dostrzegła wahanie ojca Tarkina i gorączkowo szukała sposobu, by ją zrozumiał. - Jestem to winna sobie samej.

Stali naprzeciw siebie, opat nie oderwał od niej oczu nawet na chwilę.

- Może jest coś... - powiedział w zamyśleniu, lekko bębniąc palcami po stole.

- Cokolwiek.

- Od czasu do czasu - zaczął mówić powoli - do Londynu przybywają posłańcy z informacjami, które trzeba przekazać dalej. Często przebywają daleką drogę, podróżując krętymi trasami i nie zawsze da się przewidzieć, kiedy i gdzie się zatrzymają. Nasi przeciwnicy, przetrząsając miasto w poszukiwaniu adresata oraz informacji, które miały do niego dotrzeć, chcą znaleźć tego, kto kieruje naszymi ludźmi w Londynie. Odbiorca nie może więc pozostawać zbyt długo w jednym miejscu. Ciągłe zmienia kwatery i stara się nie ściągać na siebie uwagi.

Czekał, a Charlotte zrozumiała, że to sprawdzian. Jeśli jest dość bystra, powinna wyciągnąć właściwe wnioski z jego słów.

- Odbiorca tak często się przeprowadza - powiedziała ostrożnie - i nigdy nie wie, kiedy oczekiwać kuriera. To utrudnia zorganizowanie spotkania.

Opat kiwnął głową. Zdała egzamin.

- W zeszłym roku kurier z Francji w ogóle nie przekazał informacji. Musiał wracać, zanim ktoś zauważyłby jego nieobecność, a odbiorca akurat zmienił mieszkanie.

- Zatem potrzebujecie pośrednika-ciągnęła Charlotte- kogoś, kogo obie osoby odnajdą. Kogoś, kogo nikt nie będzie podejrzewał, że może być

wmieszany w jakiś spisek. Gdyby to był ktoś młody i niepoważny, niemający żadnych powiązań politycznych ani religijnych, ktoś łatwo dostępny, przebywający stale wśród ludzi: na jakimś kiermaszu, zabawie lub przyjęciu albo gdzie indziej, gdzie można się do niej łatwo zbliżyć, nie wzbudzając podejrzeń.

- Do niej?

- Do mnie - powiedziała Charlotte. - Byłabym idealną kandydatką do tego zadania, ojcze opacie. Cieszę się swobodą, do jakiej niewiele młodych dam może sobie uzurpować prawo. Obracam się w różnych kręgach, mogę chodzić, dokąd i kiedy chcę, nie wywołując komentarzy. - Skrzywiła wargi. - No, powiedzmy, nie wywołując komentarzy, do jakich nie przywykłam.

Opat odwrócił się od niej. Opuścił w zamyśleniu głowę. Powykręcane dłonie splótł za plecami i ruszył ku najdalszej szafie bibliotecznej. Obserwowała go, wstrzymawszy oddech.

Nie zdawała sobie sprawy, jak jest to dla niej ważne, dopóki nie nadarzyła się okazja, by zrobić coś dla sprawy ojca. Opat nie może jej odmówić. Oceenił ją jako modną, figlarną, płochą panienkę, jaką znał świat, czy raczej jako upartą, zdecydowaną kobietę, za jaką sama się uważała? Za chwilę wszystko się wyjaśni.

- To nie powinno być niebezpieczne - mruczał do siebie.

Czekała.

Obejrzał się na nią przez ramię, a jego poznaczona bruzdami twarz wyrażała troskę.

- Będzie pani musiała tylko zapamiętać kilka adresów i czasem powtórzyć je, przechodząc zatłoczoną salą.

Skwapliwie kiwnęła głową.

- Nasza grupka jest bardzo mała. Wysłannicy będą się z panią kontaktowali trzy razy w roku.

- Rozumiem.

Obrócił się do niej.

- Mimo wszystko wiąże się to z pewnym ryzykiem.

- Jestem gotowa je ponieść.

- Ale czy ja jestem gotów?

- Tak - odpowiedziała za niego.

Zamyślił się na długą chwilę. Charlotte nie odezwała się, wiedząc, że naciśkać teraz byłoby błędem. W końcu głęboko westchnął.

- Dobrze, panno Nash. Zgoda.

Uśmiech zakwitł na wargach Charlotte.

- Dziękuję.

- Nie, moje dziecko. Nie dziękuj mi. Stąkam po cienkiej linie i sumienie już nie daje mi spokoju. - Znów westchnął i sięgnął ku grubemu, ciężko tłoczonemu tomisku na półce nad swą głową. - Skoro postanowiliśmy, że zostaniesz łączniczką, możesz poznać jednego z mych agentów. Autora tego listu.

Mocno szarpnęła ku dołowi książkę. Charlotte szeroko otworzyła oczy, gdy jedna z szaf bibliotecznych przesunęła się, odsłaniając korytarz oświetlony latarnią.

- Chodź! - ponaglił opat.

Serce Charlotte zabiło szybciej. Oto ma poznać śmiałka, który wytrwał i wypełniał plan rozpoczęty lata temu. Człowieka o głębokich przekonaniach i niezachwianej lojalności. W jej pojęciu już był bohaterem, szlachetnym, wartościowym, choć niewątpliwie lata ukrywania się i przeżyte niebezpieczeństwa uczyniły go ostrożnym i surowym...

- Nie tak głośno, ojcze. - Młody mężczyzna wyłonił się z mroku. Nieco zbyt długie, matowe, brązowe włosy okalały szczupłą twarz i kanciastą szczękę pokrytą kilkudniowym ciemnym zarostem, który prawie zasłaniał paskudną bliznę na lewym policzku. Brudna smuga przecinała mocną brązową szyję, znikając pod niechlujną koszulą. Kapotę miał luźną i przetartą przy mankietach, ale jeszcze luźniejsze były nędzne spodnie wiszące na wąskich biodrach. Uśmiech zabłysnął na jego opalonej twarzy.

- To jest... Dand Ross - powiedział ojciec Tarkin, przyglądając jej się uważnie.

Nie rozpoznałaby w nim jednego z trójki młodych Szkotów, którzy odwiedzili jej dom trzy lata temu. Trudno się dziwić, kto zauważyłby pozostałych, jeśli w tym samym pokoju był Ramsey Munro z jego spojrzeniem upadłego anioła? W dodatku młody człowiek, który stał w ich salonie w Yorku, dopiero co wyszedł z francuskiego więzienia po blisko dwu latach zamknięcia.

Ten tutaj trzymał się prościej, był smuklejszy, wyglądał groźniej. Ich oczy się spotkały. Uśmiech zamarł na jego twarzy, a jej coś zatrzepotało w piersi. Odruchowo zrobiła ku niemu krok. Lekko rozchyliła wargi, ale sama nie wiedziała, czy chciała się przywitać, czy tylko uśmiechnąć.

Coś błysnęło w mrocznym spojrzeniu mężczyzny.

- No proszę, kogo tu mamy? - Jego głos był nieco chrapliwy, słychać w nim było szkocki akcent. - Nie miałem pojęcia, że teraz przyjmuje ojciec

też dziewczynki. Ale widać tak, bo inaczej dlaczego ta sierotka nosiłaby ubranie dwa rozmiary za ciasne i takie przetarte, że całkiem prześwieca?

I masz tu bohatera, pomyślała Charlotte.

Francja, późna jesień 1788

- Czy muszę jechać z panem Johnstone 'em, madame? - spytał chłopiec, spoglądając na nauczyciela angielskiego. W jego głosie nie było strachu, tak jak i prawdziwej nadziei, że odwiedzi matkę od jej planu. Mógł jednak próbować to zrobić.

- Tak. Wszystko jest przygotowane. — W głosie damy w aksamitnej sukni nie było ani śladu matczynych uczuć. Ścisnęła chłopca za ramię, spojrzenie utkwiwszy w Jeremym. — To mądry chłopiec. Dojrzały niż jego rówieśnicy. Nie sprawi panu kłopotu.

Była zdenerwowana i chciała jak najszybciej wyprawić chłopca w podróż. Było to widać po sposobie, w jaki uciekała spojrzeniem przed wzrokiem syna.

- Będę go strzegł jak żrenicy oka. Jestem zaszczycony, że pokłada pani taką wiarę we mnie. - Jeremy pochylił się nad dłonią damy. Nigdy przedtem z nią nie rozmawiał. Od czasu, gdy trzy lata temu przybył do Francji, by podjąć się edukacji jej małego synka, wszelkie polecenia wydawała mu przez służbę.

Przyglądał jej się ukradkiem, szukając podobieństwa między matką a synem, ale było niemal niezauważalne. Miała okrągłe i ładne rysy, ale wyraz twarzy cechowała twarda stanowczość, której chłopiec nie odziedziczył.

Był dobrym dzieckiem, bystrym, o niewymuszonym zachowaniu. Już mówił po angielsku bez śladu swego rodzimego akcentu. Jeremy nie tylko go lubił, ale podziwiał za siłę ducha. Zachował spokój mimo otaczającego go zamętu, co głęboko poruszyło nauczyciela.

Jeremy podejrzewał, że właśnie ten zamęt - zamieszki wybuchły w Grenoble zaledwie kilka tygodni wcześniej - był powodem, dla którego matka wysłała chłopca do przyjaciół w Szkocji. Miał u nich zacząć, dopóki sprawy we Francji się nie ułożą. Chociaż Jeremy wiedział, że chłopiec bez skargi postąpi tak, jak oczekiwali tego rodzice, nie potrafił obojętnie patrzeć na ból malujący się na twarzy małego. Odrywano go od bliskich i od wszystkiego, co znał, a Jeremy cierpiał razem z nim.

- Hm.

Dama oderwała wzrok od syna i popatrzyła na niego chłodno.

- O co chodzi, panie Johnstone?

- Może to nie jest potrzebne, proszę pani? Z pewnością król...

- Król jest głupcem, o królowej lepiej nie wspominać. To się źle skończy. Jego Wysokość nie chce widzieć tego, co dla moich oczu jest aż nazbyt wyraźne. Nie poświęcę mego dziecka dla jego krótkowzroczności. Nie. Chłopiec pojedzie do Szkocji.

- Tak, proszę pani. -- Jeremy nisko się skłonił.

Dama uczyniła niecierpliwy ruch dłonią, a jeden ze służących, wyczekujących z tyłu, zbliżył się do nich z ciężką aksamitną sakiewką w rękę. Wzięła ją i przekazała Jeremy 'emu.

- Tych pieniędzy jest aż nadto, aby wystarczyły dla was obydwu. W środku znajdzie pan list do moich przyjaciół z prośbą, by zaopiekowali się chłopcem. Powierzam go panu i proszę, by przekazał pan im tę korespondencję zaraz po przybyciu. - Pierwszy raz wątpliwości zmarszczyły jej gładkie czoło. - Żałuję, że nie miałam czasu, by ich zawiadomić o moich planach, ale sytuacja staje się niebezpieczna. Nie odważę się zwlekać.

Schyliwszy się, znalazła się twarzą w twarz z chłopcem. Odwzajemnił jej spojrzenie. Dotknęła ramienia syna, a Jeremy poznał po lekkim nachyleniu jego ciała, jak bardzo mały pragnie objąć ją ramionami. Nie zrobił tego jednak. Stał spokojnie.

- Nie zapomnij, kim jesteś, mój synu. Nigdy nie zapomnij, kim jesteś i czego się od ciebie oczekuje.

- Nie, madame - obiecał uroczyście. - Nie zapomnę.

1

Culholland Square, Mayfair
14 lipca 1806

Cóż, panie Fox, gdyby przypadkiem zabłądził pan wzrokiem ponad mój dekolt, byłoby panu łatwiej zgadnąć, co naśladowę w tej grze - powiedziała Charlotte figlarnie. Rudowłosy młodzieniec, dziedzic ogromnej fortuny pewnego kupca, od ostatniej środy noszący tytuł baroneta, nabyty w podejrzany sposób, gwałtownie się zaczerwienił.

Charlotte była bezlitosna. Pryszczaty parwienusz nie przestawał wpatrywać się w jej biust, odkąd zawitał u niej w towarzystwie młodzieńców, których zaprosiła na gry i przekąski. Pierwszy raz przyjmowała gości, odkąd zamieszkała w Mayfair - skandaliczne posunięcie, biorąc pod uwagę, że wprowadziła się tu jako osoba niezamężna. Samotnie.

Ponieważ lady Welton pełniła na tym spotkaniu rolę przyzwoitki, wszystko było absolutnie stosowne, mimo że baronowa, zmęczona słonecznym popołudniem, znacznie wcześniej zapadła w sen. Przynajmniej, stwierdziła Charlotte, robiąc ukłon w stronę swego sumienia, wszystko sprawiało pozory przyzwoitości. W końcu o jej zachowaniu nigdy nie można było powiedzieć, że przystoi damie o tak wysokich koligacjach rodzinnych (była szwagierką Ramseya Munro, markiza Cotrell, a także szanowanego pułkownika Christiana MacNeilla) i zachwycających manierach.

I to właśnie, o czym Charlotte doskonale wiedziała, było w znacznym stopniu powodem, dla którego uważano ją za atrakcyjną. W uroczym kółku jej

znajomych można było mówić rzeczy, których nie ośmielono by się powiedzieć gdzie indziej. Można było pokazać kilka kroków walca cieszącego się złą sławą. Suknie pań były modniejsze i bardziej przejrzyste. Śmiano się też swobodniej, a ripost, którymi Charlotte obdarzała regularnie swoich zalotników, żadna panna nie powtórzyłaby mężczyźnie ubiegającemu się o jej rękę. I tak sposób, w jaki besztła Robinsona, bez przerwy wybałuszającego na niąoczy, wywołał tyleż chichotów wśród pań, co wybuchów śmiechu wśród panów.

- Przepraszam. Nie wiem, co myślałem -jakaś się Robinson.

- Nie sądzę, żeby myślenie miało tu coś do rzeczy, chyba mam rację? - spytała Charlotte słodko, co spowodowało jeszcze jedną salwę skandalicznego śmiechu. - Proszę, przyjacielu, poćwiczmy patrzenie na twarz damy... nie, nie, nie! Nie na moje wargi, na całą twarz. Widzi pan? Dwoje brwi, para oczu trochę różniących się kolorem, całkiem zwyczajny nos, dość wydatna broda. O? Dobrze. Brawo!

Młode panny i kawalerowie, wszyscy uważani za świetne partie, zaczęli klaskać z uznaniem. Robinson, równie zdecydowany, żeby należeć do ich grona, jak i by oczarować pannę Nash, zdobył się na to, by śmiać się z siebie, kłaniając się jej i reszcie towarzystwa.

Goście znów zaczęli występować w szaradach, a Charlotte, zauważywszy, że w wazie jest coraz mniej ponczu, wyjrzała na korytarz, szukając pokojówki. Nie dotarła do drzwi kuchni, kiedy usłyszała męski zdyszany głos.

Wiedząc aż za dobrze, co teraz nastąpi, obróciła się. Wbrew jej przypuszczeniom szedł za nianie Robinson, ale wysoki, jasnowłosy lord LeFoy. A to ci niespodzianka! Myślała, że oświadczył się o tę małą Henley.

- Panno Nash - rzekł bez tchu, podchodząc ku niej z rozpostartymi ramionami. Czekwała grzecznie. Jego dłonie, nie znalazłszy nikogo do schwywania, opadły.

- Słucham?

- Proszę mi poświęcić chwilę.

- Tak.

- Sam na sam.

- Rozejrzała się znacząco po korytarzu.

- Tak.

Zmarszczył brwi. Najwidoczniej rozmowa nie przebiegała tak, jak się spodziewał. Biedny lord LeFoy. To, co dotyczyło jej i dżentelmenów, rzadko układało się gładko. Przynajmniej dla dżentelmenów.

- Chce pan podzielić się czymś natury poufnej? - podpowiedziała.

- Tak - odparł, kłaniając się gorliwie. - Tak. Ja... ja...

- Tak?

- Uwielbiam panią!

- Aha.

Chwyił jej dłoń, przyciągnął do ust i wycisnął zarliwy pocałunek na wierzchu rękawiczki.

- Jestem pani niewolnikiem. Niech mnie pani prosi o wszystko, a ja to zrobię. Jestem na pani rozkazy. Wielbię cię, ty aniele, ty diable!

- Jak Lucyfer? - spytała, pozwalając, by jej dłoń spoczywała w jego dłoni jak martwy przedmiot. Doprawdy, zachęcać go byłoby zbyt okrutne. Z drugiej strony już zyskała sobie trochę zbyt ugruntowaną reputację osoby bez serca. W dodatku lubiła Henleyów, a kontrakt małżeński, który miał zaproponować ojciec LeFoya, wybawiłby ich z wielu kłopotów.

- Jak to? - Lord LeFoy zamrugał speszony.

- Anioł i diabeł. Jeśli dobrze pamiętam katechizm, tylko jedna istota zalicza się do obu tych kategorii i jest to Lucyfer.

- Ach. Tak. Nie. Myślę, że pani jest aniołem, ale pani anielskość opętała mnie jak diabeł. - Wydawał się całkiem zadowolony tym wyjaśnieniem. - Musisz być moja!

- A niech to! Pan się oświadcza, milordzie? Bo wolałabym tego tak nie zrozumieć, jeśli nie ma pan nic przeciwko. Widzi pan. lubię pana. A dałabym panu do wiwatu, gdybyśmy się mieli pobrać. - Westchnęła, widząc osłupiały wyraz jego twarzy.

- Pozwoli pan, że wyliczę swoje wady - powiedziała uprzejmie. - Wierność nie leży w mojej naturze. Nienawidzę zazdrości i zaborczości, więc zareagowałabym gwałtownie i być może w skandaliczny sposób, gdyby mi okazano jedną lub drugą. Zdaje mi się, że utrzymanie mnie byłoby diabelnie kosztowne. A na dodatek nie pragnę teraz ani w niedalekiej przyszłości wydać na świat potomstwa. - Uśmiechnęła się miło.

Okrągłe oczy lorda LeFoya stały się jeszcze okrągłejsze. Prawie mogła dojrzeć, jak rozsądek upomina się o swoje prawa w tym znękanym obliczu. Ale w końcu rozsądek nie jest najmocniejszą stroną mężczyzny, kiedy jest zdecydowany coś zrobić.

- To nieważne. Ubóstwiam panią!

- Oczywiście że tak - odpowiedziała, klepiąc go po dłoni wciąż ściskającej jej drugą rękę. - Rzecz nie w tym, co pan czuje, tylko w tym, co jest najlepsze. Za nic bym nie chciała, by pańskie uwielbienie obróciło się w nieszczęście. Nie lubię przebywać wśród ludzi nieszczęśliwych. Są męczący.

A to by się obróciło w nieszczęście. Pański ojciec...? - Zaśmiała się na myśl o lubieżnym hrabim Mallestrough jako swym teściu. - Podejrzewam, że musiałabym zamykać się przed nim na klucz w sypialni, gdy pan wyjdzie z domu. Nie najlepsza recepta na harmonię małżeńską, nieprawdaż?

Na wzmiankę o ojcu lord DeFoy zeszywniał. Przynajmniej na tyle szanował Charlotte, by nie zaprzeczać temu, jak oceniła hrabiego.

- Nie, nie - powiedziała. - Dużo lepiej jest nam tak jak teraz, kiedy pan mnie uwielbia, a ja się opędzam od pana. Bardzo romantyczne. I bardziej taktowne, bo w ten sposób ani pana adoracja, ani moje opędzanie się nie muszą burzyć naszego życia. Pan poślubi Maurę Henley, która będzie uroczą żoną i wspaniałą matką pańskich dzieci i która nigdy nie wyrzuci pańskich rzeczy ze swego pokoju ani nie urządzi sceny u Almacka. Będzie pan bardzo szczęśliwy. I tylko dla zaspokojenia mej próżności może pan od czasu do czasu okazać się na tyle dżentelmenem, by westchnąć z żalu, kiedy spotkamy się publicznie, tak bym miała szansę to usłyszeć.

- Urządziłaby pani scenę u Almacka? - wyrzucił bez tchu zdumiony i przeżony.

- Och, jak mi się zdaje, ostatecznie to chyba nieuniknione, nie sądzi pan? - spytała słodko, przekrzywając głowę.

Puścił jej dłoń.

- Na Boga, tak. Zrobiłaby to pani. Jest pani do tego zdolna.

- A teraz, zanim ktoś z obecnych stwierdzi, że ta niewinna rozmowa oznacza, iż pan mnie skompromitował, lepiej niech pan wróci do gości, a ja dopilnuję podania ponczu - powiedziała promiennie.

Przełknął ślinę, odwrócił się, zawahał i ponownie na nią spojrzął.

- Ach, dziękuję, panno Nash. Jest pani bardzo... trzeźwo myślącą kobietą. Pochyliła się ku niemu i szepnęła:

- Proszę nikomu tego nie zdradzić.

Lord LeFoy kiwnął głową, równie chętny, by odejść, jak pięć minut wcześniej zdecydowany zalecać się do niej. Podreptał do salonu, zostawiając Charlotte, która wzniosła oczy ku niebu, mamrocząc słowa podziękowań.

Ruszyła dalej korytarzem dopiero wtedy, gdy nadeszła jej pokojówka Lizette, fertyczna i bystra dziewczyna.

- Przepraszam, panno Nash, ale jest tu... człowiek, który nalega, by się z panią zobaczyć.

Człowiek, nie dżentelmen. I nie handlarz, bo w takim razie Lizette sama by go odprowadziła. Charlotte poczuła zaciekawienie.

- Kto to taki?

- Mówi, że jest łapaczem złodziei, panno Nash, i przyszedł w sprawie jakichś klejnotów, które odzyskał. - Ładna, kragła twarzyczka Lizette zmarszczyła się z konsternacji, gdy zastanawiała się, jakie klejnoty mógł mieć na myśli nieznamy. Nic jej z tego nie przyszło, pewnie dlatego, że Charlotte nigdy nie zginęły żadne kosztowności. Serce Charlotte zabiło szybciej i ciarki przeszły jej po skórze.

- Gdzie on jest?

- Nie wiedziałam, gdzie go wprowadzić, więc wpuściłam go do pokoju dziennego, proszę pani.

- Bardzo dobrze. Proszę, wytłumacz mnie przed gośćmi, to może trochę potrwać.

Nie sprawdzwszy, czyjej polecenia zostaną wykonane, Charlotte ruszyła korytarzem do pokoju dziennego.

Serce wciąż tłukło jej się w piersi.



- Łapacz złodziei? - Charlotte, rozbawiona, powoli okrążyła swoje ulubione krzesło, na którym z całą swobodą rozsiadł się Dand Ross. Nogi wyciągnął przed siebie, a stopy w tanich butach skrzyżował na jej ulubionym intarsjowanym stoliku. Była podekscytowana jego niezapowiedzianą wizytą, ale bynajmniej nie zamierzała mu tego mówić. Zaczęłyby się pysznić albo, co gorsza, wyśmiewałyby się z niej. A przecież jej reakcja nie ma nic wspólnego z jego osobą, ale z aurą niebezpieczeństwa, która go otacza.

Gdy wkraczała w mroczny świat Danda Rossa, nie przypuszczała, że ryzyko wyda jej się tak... pociągające. Szybko to sobie uświadomiła. Wolała jednak, by Dand nie wiedział, jak bardzo wyczekuje jego niezapowiedzianych odwiedzin.

W zamyśleniu uderzyła się w wargi idealnie wymanikiowanym paznokciem, jakby rozmyślając nad łamigłówką, po czym pochyliła się naprzód i lekko pociągnęła nosem. Jej twarz rozjaśniła się w nagłym przebłysku natchnienia.

- Rozumiem... Lizette źle cię zrozumiała. Musiałeś powiedzieć: łapacz szcurów!

Podniósł na nią oczy ocienione gęstymi, brązowymi jak czekolada rzęsami.

- Wiesz, droga Lottie - powiedział w zamyśleniu - w Paryżu ostatnio naprawdę noszą gorsety, a nie tylko to udają.

Zerknął w jej śmiały dekolt, po czym przeniósł wzrok w górę i napotkał jej spojrzenie. Spokojnie popatrzyła mu w oczy. Jeśli oczekiwał, że się zaczerwieni, miało go spotkać rozczarowanie. Więcej mężczyzn, niż potrafiła zliczyć, pożerało wzrokiem jej niezbyt obfite kształty, nie wywołując cienia rumieńca na jej policzkach.

Zresztą w ciągu tych kilku lat, które upłynęły od czasu, kiedy się poznali, spotkali się dziesiątki razy. Czasami Dand dawał jej do zrozumienia, że jest nią zainteresowany, ale nigdy czyny nie szły w ślady jego śmiałych słów. Poświęcił się swemu zadaniu. Obojętny i cyniczny nie pragnął związku z kobietą.

Przyglądała mu się badawczo, gdy podnosił do ust kieliszek klaretu. Był teraz wyższy i potężniejszy, ale wciąż miał w sobie jakąś urzekającą grację, jaką się widzi u zadowolonych kocurów.

Matowe brązowe włosy, przysłonięte powiekami ciemnobrązowe oczy, szczupła twarz o szerokich ustach i wąskich wargach i kwadratowa szczęka, teraz - wraz z bliźną godną pirata - ukryta pod gęstą brodą. Kiedyś wyobrażała sobie, że szrama jest pozostałością po ranie odniesionej w pojedynku, ale Dand nigdy nie krył, że to skutek upadku z drabiny podczas kradzieży jabłek.

Nie była pewna, czy w to wierzy. Zastanawiała się, co naprawdę wie o Dandzie? Taił swoje zamiary i głęboko skrywał uczucia, o ile w ogóle je miał.

- Naprawdę? - zapytała słodko. - No cóż, jest wojna, trwają różne blokady, więc poczytuję sobie za obowiązek dbałość, by moja krawcowa nie marnowała drogich materiałów.

- Jakież patriotyzm, Charlotte - odparł oschle. - Oniemiałem wobec twych poświęceń. Czy może powinienem rzec: poświęcenia, w liczbie pojedynczej. Nie wygląda na to, żebyś zbyt odmawiała sobie wygód.

Ironicznym spojrzeniem powiódł po wykwintnie urządzonym salonie, po szaroniebieskich ścianach i wspaniałych meblach: kanapkach z pięknie żłobkowanymi nogami, wyściełanych utorowanym jedwabiem w kolorze biskupiego fioletu, krzesłach z oparciami uformowanymi w eleganckie liry, starannie dobranych poduszkach i siedzeniach z drogiego brokatu w kolorze żonkili. Na małym stoliku wyłożonym czarną laką stał olbrzymi chiński wazon wypełniony bukietem żółtych róż i woskowych białych gardenii. Zatrzymał na nich wzrok.

- Żółte róże?

- Poznajesz je.

- O, tak. - Głos miał spokojny. - Żywiłem je własną krwią. Skąd je masz?

- Pochodzą z krzaczka, który ty i twoi towarzysze daliście nam wiele lat temu. Przywiozłam pędy z Yorku. Najpierw do miejskiego domu Weltonów, a teraz tutaj - wyjaśniła - żeby przypominały mi dawne dobre czasy. Powinieneś zobaczyć, jaką sensację budzę, kiedy wpinam je we włosy albo ozdabiam nimi to, co uważam, oczywiście mylnie, za swój gorset. - Uśmiechnęła się szeroko. - Lubię wywoływać sensację. Poza tym pasują do wystroju - dodała, lustrując pokój z satysfakcją.

- Nowy adres. Odnowione wnętrza. Nowe meble. - Dand mruzczał do siebie, również rozglądając się wkoło. - Ciśnie się na usta pytanie: czy to aby całkiem przyzwoite? Młoda kobieta mieszka zupełnie sama?

- Och, cóż w tym złego? - odparła bez zająknięcia. - Zresztą... co mnie obchodzi przyzwoitość? Tylko wiąże mi ręce i nie pozwala pomagać tobie ani twoim przyjaciołom.

- Jesteś bardzo praktyczna, Lottie. Harda sztuka z ciebie.

- Chciałabym, żeby tak było.

- Wiem - powiedział z leniwym uśmiechem. - Ile serc złamałaś w tym tygodniu, okrutna panno Nash?

- Serc? - Zamyśliła się. - Żadnego. Dumę? Parę razy.

- Biedne chłopaki. - Postawił kieliszek obok swych stóp, odchylił krzesło, kołyszając się na tylnych nogach, i skrzyżował dłonie na twardym, płaskim brzuchu.

Współpracowała z nim od tyłu miesiący, ale wciąż ledwie mogła uwierzyć w to, że jest jednym z najważniejszych angielskich tajnych agentów. Wydawało się to tak nieprawdopodobne. Podejrzany, przebiegły i niebezpieczny - gdy ujrzała go wyłaniającego się z zakamarków biblioteki ojca Tarkina, oceniła go zupełnie inaczej. I jakże nietrafnie.

Był wtedy moment, zanim jeszcze padło między nimi choć słowo, kiedy ich oczy się spotkały i jej oddech i serce zamarły. Czas stanął i poczuła, że może tak trwać już zawsze, zakłętajego lśniącego, dzikim spojrzeniem. A potem się odezwał, kpiącą uwagą rozprasząc jednoczące ich uczucie. To nawet lepiej. I tak to, co ich łączyło, było wspaniałe. Nawet bez świętych więzów ani głębokiego zjednoczenia. Był cel i obowiązek. A to więcej niż trzeba, by zaczepić na czymś życie.

- A jednak. Coś musiało cię skłonić do zmiany adresu - naciskał Dand. - Co się stało. Lottie? Czy w końcu popełniłaś jakąś zbrodnię towarzyską, na którą nawet baronostwo Weltonowie nie mogli przymknąć oka? Nosiłaś brylanty przed południem? Włożyłaś tę samą suknię dwa razy tego samego miesiąca? - pytał. - Powiedz mi. Co takiego zrobiłaś, że Weltonowie

schowali klucze do drzwi frontowych, żebyś nie mogła buszować po ich domu?

- Zupełnie nic. Po prostu Maggie Welton miała czelność się wydać - odpowiedziała beztrosko. - A jej mąż, biedaczysko, nie zgodził się zaprosić mnie, bym u nich zamieszkała. Wyobrazasz sobie co za tupet?

Dand uśmiechnął się szeroko.

- Istna bezduszość.

- Właśnie - przyznała zgorziona. - Jednak kierując się delikatnością, którą inni... - ukłuta go spojrzeniem - nie są obdarzeni tak szczerze, wywnioskowałam, że to najstosowniejszy moment, by opuścić mych przyjaciół Weltonów i urządzić się samodzielnie. Na szczęście, dzięki Kate i Christianowi, było mnie na to stać.

Spojrzenie Danda przemknęło po jej nowej sukni, zatrzymało się na kaszmirowym szalu narzuconym na ramiona i kolczykach z pereł, kołyszących się delikatnie w uszach.

- Ta darowizna musiała być znacznie hojniejsza, niż sądziłem.

Uśmiechnęła się wymijająco. Nawet sobie tego nie wyobrażała.

- Skoro już przy tym jesteśmy, jakie masz wieści od pułkownika i pani MacNeill? - spytał Dand. - Oraz od pięknej Heleny i równie przystojnego Rama, oczywiście?

Na wspomnienie najstarszej siostry, nowej markizy Cottrell. Charlotte się zawahała. Ostatni list Heleny był krótki, a wysiłek, jaki włożyła w to, by nie krytkować swobodnego zachowania Charlotte, nader widoczny w każdym wierszu. Dobrze przynajmniej, że druga siostra, Kate, towarzysząca pułkowi swego męża w dalekich krajach, nie słyszała plotek, które kłuły w uszy Helenę.

- Niewiele - powiedziała. - Helena i Ramsey niedługo opuszczą Jamajkę, Ram likwidował tam jedną z plantacji starego markiza. Będą w Londynie za miesiąc. Kate i Christian są na kontynencie.

- I wszyscy wciąż myślą, że jestem mordercą?

To pytanie zaskoczyło Charlotte. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że Danda obchodzi, co sądzą o nim dawni towarzysze. Przejmowanie się tym, co ktoś o nas myśli, jedynie przyprawia człowieka o bezsenność i mąci jasność umysłu. Nauczyła się tego właśnie od Danda. Zbyt wiele nocy przeleżała bezsenne, rozmyślając o ryzyku, jakie podjął, wracając do Francji lub o niebezpieczeństwach, jakich dopiero co uniknął, gdy stawał na jej progu. W końcu zmusiła się, by w ogóle o nim nie myśleć. Inaczej zwiariowałyby, mając wciąż przed oczami przerażające obrazy, jakimi mamił ją jej własny mózg.

I oto Dand pyta o pozostałych Łowców Róż. Zaskoczył ją. Czyżby miał serce bijące tak samo jak u reszty rodzaju ludzkiego? Czyżby ulegał słabościom? Zawsze myślała, że ma w głębokiej pogardzie uczucia. A tu, proszę.

- Nie wiem. Siostry nie mają do mnie zaufania. Proszę pamiętać, że jako nad wyraz płoche stworzenie interesuję się jedynie własnymi kapryсами.

- W twych słowach słychać gorzyc - powiedział.

Czy istotnie? Miała nadzieję, że nie. Nie wolno jej potępiać sióstr za to, że miały ją za osobę bardzo płytką, w końcu zdołała o tym przekonać całe londyńskie towarzystwo. Jednak... nierozsądna część jej istoty pragnęła czasem, żeby wierzyły w jej dobry charakter, wbrew wszelkim, świadczącym przeciwko temu dowodom.

- Chyba nie - odpowiedziała wymijająco. - W gruncie rzeczy staram się naśladować ciebie, Dand.

Przekrzywił głowę.

- Jak to?

- Doświadczony życiowo, sprytny - wliczyła jego cechy. - Jesteś pozbawiony skrupułów i sumienia. Do niczego się nie przywiązujesz, nikomu nie tłumaczysz.

- I jak doszłaś do tej dość niepocholebnej oceny mego charakteru? - spytał wyraźnie rozbawiony.

- Wcale nie uważam, żeby była niepocholeba - odpowiedziała z autentycznym zdziwieniem. - To cechy jak najbardziej praktyczne.

- Naprawdę? - spytał, mrużąc oczy. Był rozbawiony, ale i podejrzliwy. - Co każe ci myśleć o mnie w ten sposób?

- To, że twoi dwaj najlepsi przyjaciele, którzy przypadkiem samymi szwaunami, byli zdania, że zdradziłeś ich Francuzom, zabiłeś strażnika, który miał dostarczyć dowodów twej perfidii, i starałeś się ich zamordować, ale wstrzymała cię w tym dziele Helena, kiedy zdołała pchnąć cię szpadą na moment przed tym, jak przebrany za pastora miałeś zamiar ją zabić.

- Jaka obrazowa relacja. Charlotte. Może powinnaś napisać jedną z tych podniecających gotyckich powieści, które są ostatnim krzykiem mody?

Zignorowała go.

- A jednak jesteś tu, wcale się tym nie przejmując, chłodny i opanowany, wbrew wszystkim brudnym podejrzeniom wokół ciebie. Jak ci się to udaje?

- Znajduję pocieszenie w wiedzy, że nie zrobiłem żadnej z wymienionych rzeczy. W istocie mam sumienie. Lottie. I chociaż daleko mu do nieskalanej czystości, nie jestem winny usiłowania morderstwa mych dawnych towarzyszy. Poza tym ojciec Tarkin poręczyłby za mnie.

- Cóż z tego? Przez długi czas przebywałeś poza klasztorem, ludzie się zmieniają. - Stanęła za jego krzesłem i utkwiała wzrok w mieniących się złoto, rozczochranych włosach. - Skąd mam wiedzieć, że jesteś niewinny?

Czujnie powiódł za nią wzrokiem.

- Nigdy nie widziałam rzekomego pastora Tawstera. Jedyne Helena potrafi go rozpoznać. Ja wiem tylko tyle, że bardzo ci zależy na tym, by się nie odkryć przed byłymi przyjaciółmi ani przed moją siostrą. Może nie bez powodu?

Nie trudził się, by odpowiedzieć. Jego koszula nie miała kołnierza. Rozchyłała się, odsłaniając opalony i gładki bark. Nieco niżej powinien się znajdować hańbiący znak róży. Choć nigdy go nie widziała, obie siostry powiedziały jej o piętnie, jakim oprawca w lochach LeMons naznaczył ich mężów i Danda Rossa.

Pochyliła się tak, że jej wargi zawisły tuż nad jego uchem. Pachniał czystością, mydłem i kamforą. Nawet się nie obejrzał. Wszystko przyjmował, jakby mu się należało. Żaden mężczyzna z towarzystwa nigdy jej tak lekceważąco nie potraktował. A Dand Ross robił to nieustannie. Coś ją pchnęło do szelmowskiego postępu.

- Na dobitkę - szepnęła mu - nie pojawiłeś się w Londynie przez całe miesiące po tej historii. Może wróciłeś do Francji, żeby wyleczyć ranę? Może... - pochyliła się nad jego ramieniem - nosisz ślad... tutaj!

Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego boku. Zanim zdała sobie z tego sprawę, chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał jej rękę na swych żebrach. Nagle przerzucił ją sobie nad barkiem i posadził na kolanach. Zdumiona spojrzała w jego mroczną twarz, która nagle wydała jej się zupełnie obca. Wciąż wzięła jej dłoń w żelaznym uścisku, z dala od swego ciała.

Wstrząsnął nią dreszcz strachu. Nie przypuszczała, że Dand jest tak silny i szybki. Ani że jest zdolny patrzeć na nią tak twardo.

Zaczęła się wyrwać. Przytrzymał ją z upokarzającą łatwością. Gorąco jego ciała przenikało ją w zupełnie niestosownych miejscach, rozpalając skórę i wskrzeszając dawno zapomnianą umiejętność rumienienia się. Nawet tego nie zauważyła.

- Naprawdę uważasz mnie za mordercę? - Nie mówił już rozbawionym tonem. — A jeśli tak. to czy naprawdę chcesz grać ze mną w tę grę?

Charlotte skuliła się w objęciach Danda, pierwszy raz prawdziwie się go bojąc. Nikt nigdy nie obszedł się z nią tak brutalnie. Nigdy. Odwróciła twarz, by nie zobaczyć, jak jest wstrząśnięta.

- Dand...?

Natychmiast rozluźnił chwyt.

- To, moja mała, nauczy cię, że nie wolno używać przemocy wobec innych.

Ona? Ona użyła przemocy? Wmawiała sobie, że to tylko strach sprawił, że czuła drzenie w piersi i trudno jej było złapać oddech. Dand straciłby dla niej szacunek, gdyby wiedział, że coś tak błahego jak kilka ostrzejszych słów i poufałe zachowanie może ją tak poruszyć.

- Trudno to nazwać przemocą.

- Podejrzewam, że to zależy od punktu widzenia. Przemoc, widzisz, to wszystko, co ci zagraża.

Nie rozumiała. Wierciła się świadoma tego, jak silne jest jego ciało, jak twarde ramiona, które wciąż ją trzymają. Ich serca były tuż obok siebie. Czowała, jakby tysiąc igiełek leciutko kłuło jej skórę wszędzie tam, gdzie stykały się ich ciała. Teraz, gdy strach ją opuścił, poczuła się... bezpieczna?

Wiele czasu minęło, odkąd po raz ostatni czuła, że ktoś ją chroni. Było to przyjemne, choć, niestety, złudne. Nie wątpiła, że Dand uznałby za swój obowiązek interweniować, gdyby znalazła się w niebezpieczeństwie. Ale rzadko bywał w Londynie i równie rzadko byłby w stanie jej bronić. Musi więc bronić się sama, tak jak to było przez te wszystkie lata.

Ale miło było choć przez parę chwil rozkoszować się iluzją. Chyba nie ma w tym nic złego?

Oparła się o jego ramię, podniosła wzrok ku jego niezgłębionym brązowym oczom. Ubierał się jak prostak, ale jego ciało było czyste, włosy zdrowe i lśniące. Górną wargę miał wygiętą, dolną mocną, lecz wypukłą. Sensualista miałby właśnie takie wargi.

- Naprawdę nie uważam, że jesteś mordercą.

- Twoja wiara pociesza mnie bezgranicznie. A teraz zmykaj, zanim mi pognieciesz spodnie - rozkazał dziwnym, szorstkim głosem, stawiając ją na nogi.

Odsunęła się. Czowała się odrzucona, choć wiedziała, że to niemądre. Szukała słów, które pokryłyby jej zmieszanie.

- Dlaczego nie powiesz Ramowi i Kitowi, że nie jesteś zdrajcą? - spytała.

- Ojciec Tarkin nie miałby nic przeciwko temu.

- Dlatego, że zbyt długo pracowałem i zrobiłem za dużo... - urwał gwałtownie, po czym dokończył z udawaną beztróską. - Gdyby Kit i Ramsey odkryli, że ciągnę dalej tamtą sprawę, uparliby się mi pomagać. Z dymiącymi pistoletami i szpadą w ręku, czy tego potrzebuję, czy nie. Są honorowi i waleczni. Zawsze tacy byli.

Charlotte nie dała się oszukać.

- Chronisz ich.

- Nie - odparł Dand. - Chronię to, co razem tak długo staraliśmy się osiągnąć. Nie zyczyłbym sobie spędzić reszty mych dni, objijając się po francuskich stajniach i garnizonach, przy całym ich uroku.

Wstał i przeszedł obok niej, kierując się do okna wychodzącego na mały park po drugiej stronie ulicy. Kiedy przemówił, jego słowa znów wprawiły ją w zdumienie.

- Obcięłaś włosy.

Dotknęła krótkiej fryzury z puszystych rudawych loków.

- Tak. Co z tego?

- Wyglądają wyzywająco. Nieprzyzwoicie.

- Nieprzyzwoicie? - Roześmiała się na tak pruderyjne słowo w ustach Danda Rossa. - Och, nie wydaje mi się, żeby to było nieprzyzwoite. Może trochę prowokujące.

- I to jest efekt, jaki chciałaś osiągnąć? Prowokować? - Nie odwrócił się, tylko dalej wyglądał przez okno. - Opat będzie zaniepokojony.

- Opat nie ma aż tak wielu agentów gotowych na każde skinienie, żeby być wybrednym. A ja się dobrze spisuję. Nie zaprzeczysz.

- Tak mi stale powtarzasz i, obawiam się, opatowi też - odpowiedział. - Czy mam uznać, że nowa fryzura ma cię uczynić jeszcze bardziej przydatną Kościołowi?

- I Anglii - dodała.

- I to dzięki umiejętności prowokowania ze zwykłej łączniczki stałaś się agentką?

- Przecież dopiero to ma sens. prawda? Im głębiej wejdę w pewne układy, tym więcej informacji zbiorę. Im więcej się dowiem, tym łatwiej będzie mi zdobywać dalsze informacje. - Nachmurzyła się. - Dlaczego mówisz z taką dezaprobatą?

- Z dezaprobatą? - spytał z uśmiechem, który nie objął jego oczu. - To tylko troska o ciebie. Widzisz, to chyba kwestia przysięgi, jaką złożyłem

twojej rodzinie, coś w rodzaju wieczystego zobowiązania. W razie potrzeby mam rzucić się w paszczę śmierci, aby ocalić twą uroczą głowę. Niestety, jestem bardzo przywiązany do własnego życia, choćby i nędznego. Pomyślałem więc, że może wystarczy pogrozić ci palcem, żebyś trzymała się z daleka od niebezpieczeństw. Ratowanie dziewczę z opałów to diabelnie czasochłonne przedsięwzięcie, nie uważasz?

- Naprawdę uważasz, że jestem uroczą? - spytała kokieteryjnie.

- Wiesz, że tak jest - odparł rzeczowo. - Byłoby wielkim marnotrawstwem, gdyby miały się tobą karmić robaki. Nie dopuszczę do tego. Jesteś jedyną z panien Nash, której nie strzeże żaden mężczyzna na co dzień spijający w jej łóżku. Jeśli zginiesz, policzę to za osobistą porażkę. - Urwał. - Myślę, że mógłbym się z tobą ożenić.

Czekał na odpowiedź. A kiedy tylko uniosła pytająco jedną ze swych miedzianych brwi, pokiwał głową.

- Nie? Oczywiście, że nie. To byłoby niemądre z twojej strony. A tobie z pewnością nie brakuje rozumu, prawda. Lottie?

Nie czekając na odpowiedź, na pół się od niej odwrócił.

- A więc nie ma innego wyjścia, nadal będziesz żyć pozbawiona mej ochrony.

Roześmiała się.

- Nie martw się, Dand. Nie ściągnę na siebie żadnych kłopotów ani nie mam zamiaru stać się ucztą dla robaków. A choć kusi mnie, żeby rzucić ci żółtą różę i zażądać, żebyś, poślubiając mnie, wypełnił przysięgę, nie zrobię tego. Nawet po to, żeby zobaczyć, jak się zzymasz zmuszony uczynić to. o co mogłabym poprosić. Ja tylko słucham, Dand. A to, co usłyszę, przekazuję ludziom, którzy potrafią odpowiednio wykorzystać te informacje.

- No, no? - Dand wciągnął powietrze, wydając cichy gwizd. - Już nie ojcu Tarkinowi, tylko „ludziom, którzy potrafią odpowiednio wykorzystać informacje”. Czyżbyś pracowała jeszcze dla kogoś?

Wiedziała, że wcześniej czy później będzie musiała się przyznać.

- Tak - powiedziała. - Sam mówiłeś wiele razy, że na wojnie ma się dziwnych sprzymierzeńców. Kościół i rząd brytyjski mogą mieć różne motywy, ale mają wspólne cele.

Drgnął mu kącik wargi.

- W jaki sposób ten ktoś namówił się do tego, byś służyła dwom panom, Charlotte? A może obeszło się bez słów? - Jego spojrzenie stało się zacięte i chłodne. - Kim on jest?

Charlotte się nachmurzyła.

- Kto?

- Agent rządu angielskiego, dla którego pracujesz. - Uśmiech Danda stał się bledszy, bardziej uszczypliwy i trochę drapieżny.

- Nie on, tylko ona - wypaliła Charlotte. - Ginny Mulgrew.

Nie było powodu, dla którego miałyby znać to nazwisko. Rzadko przyjeżdżał do Londynu, a zatrzymywał się tu zazwyczaj ledwie na parę dni - choć ostatnio pokazywał się częściej i zostawał na dłużej. Może skłoniły go do tego wdzięki jakiejś kobiety? Charlotte zignorowała ukłucia gniewu, które poczuła, myśląc o tym.

To śmieszne. Dand nigdy nie wspominał o żadnej kobiecie. Nigdy nie dał też do zrozumienia, że żywi do kogoś gorące uczucia. Chociaż, stwierdziła po chwili namysłu, mało prawdopodobne jest, żeby to jej się zwierzał, jeśli tak było.

Czekała. Z jego twarzy z wolna zniknął surowy wyraz. Zmrużył oczy w zamysleniu.

- Ach tak. A jak poznałaś pannę Mulgrew?

- Panią Mulgrew. Jej mąż jest baronem, ale od lat żyją w separacji.

- Więc jak poznałaś panią Mulgrew?

- Dowiedziałam się od wspólnego znajomego, że wypytywała o kogoś, kto i mnie interesował. Poprosiłam, żeby nas sobie przedstawił. - Charlotte pominęła fakt, że gdyby ktoś się o tym dowiedział, wykluczono by ją z towarzystwa. Ginny Mulgrew była kurtyzana. Dand nie musiał o tym wiedzieć. - Pani Mulgrew okazała się niezwykle pomocna. Zależy jej tak samo jak tobie lub mnie na upadku Napoleona.

- Brawo - powiedział Dand, najwyraźniej błędząc myślami gdzie indziej.

- Moje uznanie dla patriotyzmu tej damy. Byle nie usiłowała pokrzyżować moich planów.

- Planów? - To słowo ją zaniepokoiło. - Nie przyjechałeś tylko jako kurier? Jesteś tu w ważniejszym celu.

Nie zaprzeczył.

- Powiedz mi. Może mogłabym pomóc.

Dand przeczesał włosy dłonią i kiwnął głową.

- Ukradziono list. Jego treść może zburzyć sojusz, który położyłby koniec ekspansji Napoleona w Europie.

- List? -- spytała Charlotte, zapominając o wszystkim innym. - List w specjalnie zabezpieczonym cylindrze skradziony w Paryżu?

- Tak. - Ręka opadła mu bezwładnie. - Skąd wiesz?

- Ten list jest tutaj. Albo raczej człowiek, który twierdzi, że go ma, jest z Londynu.

Dand przemierzył pokój pięcioma wielkimi susami, chwycił ją za rękę i pociągnął ku kanapie. Pchnął Charlotte na siedzenie i sam siadł obok.

- Chcę wiedzieć wszystko - zażądał. - Kto to taki?

- Hrabia Maurice St. Lyon, francuski lojalista, przynajmniej za takiego się podaje. Mieszka w Londynie od kilku lat. To bardzo bogaty człowiek, jest koneserem i kolekcjonerem dzieł sztuki. Nikt nie zna źródła jego dochodów, ale jest nadzwyczaj dobrze ustosunkowany. Wiemy, że kontaktował się z kilkoma zagranicznymi dygnitarzami, a także z ludźmi bez oficjalnej pozycji i tytułu, ale mimo to nadzwyczaj potężnymi. Dawał im do zrozumienia, że jest w posiadaniu zabezpieczonego listu, który zawieruszył się w drodze do pewnego „interesującego” adresata. Zaprosił ich wszystkich do swego zamku. Za trzy tygodnie staną tam do licytacji o list.

Dand opadł na oparcie kanapki.

- Diabli nadali! - Złożył dłonie przy ustach i zamilkł na długą chwilę. - Gdzie teraz jest hrabia St. Lyon?

- Szykuje się do wyjazdu do swego zamku, sześćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Sterling. To istna forteca. Najął armię ludzi, by patrolowali teren i budynek. Okolica jest niezamieszкана z wyjątkiem osady handlarzy bydła kilka kilometrów na południe. St. Lyon zna wszystkich w sąsiedztwie. Obcy zostałby od razu zauważony i szybko by się go pozbyto - wyjaśniła, uprzedzając pytanie, czy lis znalazł się pomiędzy kurami.

- Dlaczego ktoś po prostu nie usunie tego człowieka? - spytał Dand z taką obojętnością, że Charlotte na nowo poczuła dreszcz przerażenia. Co nie znaczy, że Ginny Mulgrew nie pomyślała o tym samym, przypomniała sobie.

- Dlatego, że dał jasno do zrozumienia, iż jeśli stanie mu się coś złego, list zostanie otwarty, a jego treść ujawniona.

- Wykraść list? - podsunął Dand tonem mówiącym, że nie wątpi, iż to oczywiste rozwiązanie już zostało rozważone.

- Nikt nie wie, gdzie on jest. Najlepsi włamywacze w Londynie dwa razy próbowali dostać się do miejskiego domu hrabiego. Obaj nie żyją. - Udało jej się nie okazać, jak była roztrzęsiona, kiedy znaleziono ich ciała.

- Służba?

- Wszystkich osobiście wybrał St. Lyon. przywiózł ich ze sobą z Francji. Absolutnie lojalni albo tak się boją jego zemsty, że żadna łapówka ich nie skusi.

Charlotte przyglądała się zmrużonym oczom Danda, lekko zmarszczone-
mu czołu i zaciśniętej szczęce. Prawie widziała, jak różne projekty i plany
przemykają przez jego głowę.

- Przekleństwo! Muszę wrócić do Francji przed upływem dwu tygodni. -
Uderzył pięścią w kolano. - Jak rozumiem, zawiadomiono opata?

- Tak. Gołąb został wysłany, ale ojciec Tarkin nie odpowiedział. Ptak mógł
zagać. Nie martw się - dodała Charlotte łagodnie - sprawa jest w dobrych
rękach.

Na to Dand gwałtownie uniósł brwi.

- Ach tak? A w czyich to?

- Ginny Mulgrew. Wraz ze swymi współpracownikami wymyśliła, jak
wykraść cylinder.

Dand wstał.

- Jaki mają plan?

- Kilka tygodni temu przedstawiłam ją hrabiemu...

- Ty? - przerwał Dand. - Skąd go znasz?

Rzuciła mu rzeczowe spojrzenie.

- Przecież wiesz, jaką mam reputację. Jestem lubiącą zabawę kokietką,
właśnie taką, jaką mężczyzna w rodzaju St. Lyona uznałby za interesującą.
Powiedziała ci, że on jest dobrze ustosunkowany. - Wolała nie wspominać,
że hrabia wybrał ją sobie nawet na obiekt bardzo konkretnych awan-
sów, dopóki się nie dowiedział, że jej szwagrem jest potężny markiz Cot-
trel. - Skąd go znam, to nie ma znaczenia. Ważne jest tylko to, że Ginny
Mulgrew została zaproszona do jego zamku. Jako jego kochanka. I ona wy-
kradnie cylinder.

Spojrzała mu w oczy z wyćwiczoną powściągliwością, czekając, by sko-
mentował jej znajomość z kurtyzaną. Nie zrobił tego.

- Jak jej się to uda, jeśli zamek jest tak dobrze strzeżony?

- Hrabia nie ma wysokiego mniemania o kobietach. Uważa nas za istoty
płochę, interesowne, emocjonalne i mające kurzy mózdzek. Zagrożenie, ja-
kie może stwarzać kobieta - bo dopuszcza myśl, że kobieta może być użyta
jako narzędzie, ale tylko przez mężczyzn - jest w jego odczuciu bez znacze-
nia. Ginny na pewno będzie obserwowana, ale nie do takiego stopnia, jak by
należało. Przystudiowaliśmy też plany zamku, o których istnieniu nie wie
nawet właściciel. Znamy tajne przejścia i skrytki, o których hrabia nie ma
pojęcia. To może zabrać kilka dni, ale Ginny znajdzie list. Już wcześniej
robiła takie rzeczy.

- A twój udział?

- Mój? - spytała. - Ja w ogóle nie biorę w tym udziału.

Wpatrywali się w siebie długą chwilę.

- I niech tak zostanie, zgoda?

3

Jermyn Street, Piccadilly

15 lipca 1806

Wczesnowieczorne powietrze było nieruchome, ciepłe i ciężkie. Męż-
czyzna stojący w cieniu starych drzew na dziedzińcu kościoła St. James roz-
luźnił plastron pod szyją, nie odrywając wzroku od prostych eleganckich
drzwi domu naprzeciwko. Długo czekał na stosowny moment, by zaatakować
mieszkającą tam kurtyzanę. Zmarnował już dość czasu. Wkrótce będzie
musiał coś zrobić.

Z wysiłkiem wciągnął głęboko powietrze i powoli je wypuszczał. Szukał
najlepszego rozwiązania. Kim powinien być, kiedy wprowadzi w życie swój
plan? Konstblem? Starą kobietą? Handlarzem starzyzną? Żołnierzem?

W wyobraźni widział twarze ludzi, których udawał. Wirowały i mąciły się,
aż przestawał widzieć własne rysy nałożone na maski i karykatury, które
tworzył przez lata. Świadomość tego, kim jest, kim jest naprawdę, była je-
dyną rzeczą, która się liczyła.

Czuł leciutki dreszcz strachu. Zaciśnął pięści, wbijając paznokcie w ciało.
Z wysiłkiem zmusił się do zachowania spokoju.

Istnieje tylko jeden sposób, by się upewnić, że pamięta, kim jest. Musi
wrócić do początku i odzyskać tożsamość, którą zatracił po drodze.

I to ona mu w tym pomoże.

Wygiął w lekkim uśmiešku zaciśnięte usta. Zadziwiający zbieg okolicz-
ności, że to Charlotte Nash będzie kluczem to jego odkupienia. Dzięki niej
powróci ze świata umarłych, niczym Feniks odrodzi się z popiołów. Para-
doksalne, a jednak pasuje idealnie. Czasami, widząc ją, rozmawiając z nią,
zatracał się w jej dziwnych, cudownych oczach, zapominał, czego w istocie
szuka. Ona jest absolutnie niezwykła. Niesamowicie urzekająca. Mężczy-
zna, zwykły porządny mężczyzna, mógłby się w niej zakochać.

Ale on nie jest takim mężczyzną.

Wieczne cienie pogłębiły się, łagodząc pierwsze delikatne zmarszczki w kącikach wspaniałych oczu Ginny Mulgrew. Przechyliła głowę, dokładnie badając własne odbicie w lustrze, zastanawiając się, czy nadszedł już moment, by zastąpić kosztowne kandelabry i żyrandole nowymi mieszczącymi mniej świec, a przez to rzucającymi mniej światła. Zrobiła to spostrzeżenie bez sentymentów i żalu. Po prostu chłodno oceniła sytuację, niczym generał obmyślający kampanię.

Kurtyzana jest zawsze świadoma takich drobiazgow.

Tego wieczoru powinna się prezentować jak najlepiej. Na przedstawieniu w operze przyjmie zaproszenie hrabiego St. Lyona, by wziąć udział w kilkudniowym spotkaniu urządzanym dla przyjaciół w jego posiadłości w Szkocji.

Uniosła brodę, szukając śladów starzenia się. Gdyby je znalazła, niezwłocznie sięgnęłaby po naszyjniki. Chociaż do tej pory jej nieskazitelny dekolt nie wymagał ozdób, to gdy się ma trzydzieści sześć lat, taka brawura może być nieuzasadniona.

Uwolniła długie warkocz, niszcząc misterną fryzurę, i w zamyśleniu muskała go palcami. Wciąż lśniący i obfity, wciąż intensywnie kasztanowy. W klubach dla dżentelmenów wzniesiono za niego niezliczoną liczbę toaśtów. Skórę wciąż miała gładką. Tylko dłonie zdradzały jej wiek, trochę szczyplejsze, odkąd straciły młodzieńczą pulchność. Zacznie nosić rękawiczki. Koronkowe lub z cienkiej skórki.

Ginny Mulgrew była niezwykle praktyczną i dbającą o szczegóły kobietą. Rozumiała, że pięknnością płaci czynsz, a także zdobywa sobie wstęp w kręgi towarzyskie, z których usiłował ją wykluczyć mąż.

Jej mąż. Na myśl o tej odrażającej kreaturze jej wargi gorzko się wykrzywiły. Nie zgodziłby się na rozwód, choćby nie wiadomo ile razy go błagała. Bez względu na to, jak się prowadzi, bez względu na to, ilu mężczyzn - nawet tych należących do jego klubu - cieszyło się jej względami. Odmawiał, bo wiedział, jak bardzo Ginny pragnie się od niego uwolnić.

W taki sposób karał ją za to, że nie mogła urodzić mu dzieci.

Cóż, przynajmniej ma tę satysfakcję, że cierpią oboje.

Nie planowała, że zostanie kurtyzana. Dopiero pięć lat wygnania, nędznej egzystencji w walącym się zamku w Irlandii, pomogło jej podjąć tę decyzję. Nie, nigdy nie chciała zostać ladacznicą, ani szpiegiem. Ale kiedy jeden z jej

pierwszych kochanków, człowiek wysoko postawiony w tych mało znanych urzędach, które kierującymi sprawami, zaproponował, że mogłaby się przysłużyć królowi - i zarobić na tym niezłą sumkę - chętnie na to przystała. Nie dla pieniędzy. W ten sposób, jak stwierdziła z właściwą sobie absolutną szczerością, mogła złagodzić obrzydzenie, które do siebie czuła.

Ciche pukanie do drzwi poprzedziło wejście wysokiego, jasnowłosego lokaja Finna.

- Przepraszam panią, na dole jest pewien dżentelmen. Domaga się, aby go pani przyjęła.

Nic nowego. Dżentelmeni zawsze domagali się, aby Ginny ich przyjęła... i dużo więcej. Ale brak wizytówki i coś w pełnym dezaprobaty wyrazie twarzy lokaja wzbudziło jej ciekawość i lekki niepokój. Od kilku dni miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Teraz to uczucie się nasiliło.

Oczywiście, szpiegowi zawsze wydaje się, że ktoś go śledzi.

- Kto to jest, Finn?

- Nie powiedział.

Jeszcze jeden arystokrata mający tak wysokie mniemanie o sobie, że ukrywał swą tożsamość, kiedy odwiedzał kurtyzanę. Dawno miała za sobą czasy, kiedy musiała schlebiać takiej próżności. Teraz to ona decydowała, kogo przyjmie.

- Powiedz, że nie ma mnie w domu.

- Już to zrobiłem - odparł Finn. Zaskoczył ją. Jeśli próbował odprawić gościa, nawet nie informując jej o jego przybyciu, musiał to być doprawdy jakiś prostak. Ten rodzaj ludzi interesował Ginny. Jeśli to on ją obserwuje z ukrycia, dobrze by było poznać jego twarz.

- Wprowadź go - rzekła. Wstała i rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, gdzie usiąść, aby zaprezentować się jak najlepiej. Każdy mężczyzna - choćby i prostak - może być wart jej starań. Wybrała różowy szeląg, wyciągnęła się na boku, podkuliwszy pod siebie bosą stopę. Dżentelmeni uwielbiali bosa stopy i uznawali je za nadzwyczaj frywolny widok.

Usłyszała stukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziała gardłowo.

- Pan Ross, proszę pani. - Finn zaanonsował wchodzącego.

Nieznajomy na pierwszy rzut oka rzeczywiście wydal się Ginny człowiekiem z plebsu. Ubrany był byle jak, miał porysowane buty, a rozczochrane włosy okalały twarz ocienioną brodą. Ale kiedy przyjrzała się mu uważniej, stwierdziła, że Finn wykazał się całkowitym brakiem przenikliwości, jeśli chciał się pozbyć tego człowieka, uważając go za niewartego jej uwagi.

Mężczyzna był wysoki i szczupły, prawie smukły. Miał szerokie ramiona. Wchodząc, poruszał się z gracją. Na jego twarzy malowało się zdumienie. Światło lampy odsłaniało sarkastyczny błysk w jego złotawobrazowych oczach i bliznę pod zarostem na brodzie.

Pomyślała, że nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Bardzo miły wiek dla mężczyzny.

- To wszystko, Finn. - Skinęła na lokaja.
- Dziękuję, że mnie pani przyjęła. - Słaby obcy akcent. Szkocki?
- Bardzo mi miło, panie Ross - powiedziała. - Zechce pan usiąść?
- Dziękuję. - Opadł na krzesło ustawione na wprost szeszlangu. Spodnie napięły mu się na udach, ukazując muskularne nogi. Silnie dłonie lekko zacisnęły się na rzeźbionych poręczach. Ogorzała skóra poznaczona była mozaiką drobnych białych blizn. Widać było, że nie oszczędzał dłoni.

Uśmiech zgasł na wargach Ginny.

- Kim pan jest?

On także przestał się uśmiechać. Tak, jak podejrzewała, tylko udawał non-szalancję.

- Jestem przyjacielem panny Charlotte Nash.
- Przyjacielem - powtórzyła bezbarwnym głosem, nie zdradzając się z nagłym zrozumieniem. Nadal przyglądała mu się nieco sceptycznie, co dla każdego innego mężczyzny byłoby poniżające.
- Tak - odparł, poddając równie szczegółowej lustracji jej głęboki dekolt, prawie przezroczystą suknię i rozpuszczone włosy. - Najwidoczniej panna Nash ma zwyczaj dobierać sobie... - urwał znacząco - niezwykłych przyjaciół.

Riposta wywołała mimowolny uśmiech.

- Punkt dla pana.

To, zdecydowała Ginny, musi być mężczyzna, o którym słyszała tego popołudnia. Ten, który dopytywał się o nią, ale którego tożsamości nie zdołała ustalić. Nie spodziewała się, że będzie taki... niecywilizowany.

Jak ktoś taki może mieć coś wspólnego z Charlotte?

Wsunęła dłoń pod poduszkę obok siebie, gładząc wykładaną perłową macicą rękojeść pistoletu, który trzymała tam na wszelki wypadek.

- Miał pan pracowite popołudnie, panie Ross.

Spojrzał na nią pytająco.

- Słyszałam z kilku źródeł, że wypytywał pan o mnie. Ale nie zwrócił się pan do ludzi, którzy ułatwiają dżentelmenom zawarcie znajomości ze mną. *N'est-ce pas?*

- Tak.

- A więc, jestem skłonna wierzyć, że jest pan jednym z papistowskich współpracowników Charlotte zajmujących się tą samą profesją co ja, choć dla innych celów, jeśli można tak powiedzieć.

- Tą samą profesją?

- Szpiegostwem - odparła zwięźle.

Dostrzegła błysk w jego oczach.

- Jeśli pani jest szpiegiem, brakuje pani dyskrecji - mruknął. - Może jestem francuskim agentem?

- W takim razie pytałby pan o mnie kogo innego - oświadczyła śmiało - albo już by pan nie żył. Ludzie, do których pan się zwrócił, są lojalni wobec przyjaciół. Nie odpowiedzieliby na pana pytania, gdyby nie wiedzieli, kim pan nie jest. Może skończymy z tą szermierką słowną i przejdziemy do rzeczy? - Wobec jego milczenia, ciągnęła dalej. - Po co pan tu przyszedł?

- Jak powiedziałem, jestem przyjacielem panny Nash.

- Co ma do tego Charlotte? - spytała.

- Obawiam się, że wmieszała ją pani w jakieś machinacje, które mogłyby przynieść jej szkodę. Przyszedłem, żeby mnie pani przekonała, że tak nie jest. - Chociaż mówił łagodnym tonem, Ginny przebiegł dreszcz i odruchowo zacisnęła dłoń na rękojeści ukrytego pistoletu.

- Jakaż głęboka troska o jej dobro - powiedziała, uśmiechając się trochę rzewnie i rzucając mu prowokujące spojrzenie. - Doprawdy zazdroszczę pani Nash takich „przyjaciół”.

Nie podjął gry. Odpowiedział na jej kokietyjne spojrzenie bez śladu zainteresowania.

- Jest pan jej bratem? Kuzynem? Wujem? - ciągnęła. - Kim pan jest, że jej dobro leży panu na sercu? Samo zapewnienie o „przyjaźni” niewiele dla mnie znaczy.

- Ale będzie musiało pani wystarczyć - odparł. - Dość rzec, że jestem zobowiązany dbać o jej dobro.

Dopiero teraz przypomniała sobie plotki i pogłoski krążące wokół Ramseya Munro, markiza Cottrell i pułkownika Christiana MacNeilla. Łowcy Róż, jak sami siebie nazywali, młodzi ludzie uwięzieni we Francji za spiskowanie w celu obalenia rządu Napoleona, ujęci, nim zdołali zrealizować swój plan. Straciliby życie, gdyby nie ojciec Charlotte, pułkownik Nash. Zapłacił za to własnym życiem. Dlatego przysięgli chronić wdowę Nash i osierocone córki pułkownika.

Próbowała przypomnieć sobie więcej szczegółów. Kiedy przebywali we francuskim więzieniu, zdradził ich ktoś z własnego kręgu. Nie wiadomo.

czy był to jeden z nich, czy ktoś z opactwa, gdzie się wychowali. Kilka lat później anonimowy zdrajca chciał dokonać zamachu najpierw na MacNeilla, a potem na Cottrella. W czasie tego ostatniego ataku siostra Charlotte, Helena, pchnęła napastnika szpadą. Potem zniknęła. Przyjęto, że zmarł z powodu odniesionej rany.

Wszyscy uważali, że człowiek, w którym Helena rozpoznała zdrajcę i mordercę, i jej dzisiejszy gość to jedna i ta sama osoba. Dand Ross.

Ginny nie czuła już obawy. Ogarnęło ją najprawdziwsze przerażenie.

- To pan - powiedziała cicho. Palec wskazujący oparła na spuście. - Ostatni Łowca Róż.

Nie odpowiedział. Wyglądał na całkiem spokojnego. Tylko oczy czujnie rozglądały się dokoła.

Jedyna rzecz, która powstrzymywała Ginny od wyciągnięcia pistoletu, to świadomość, że gdy inni snuli różne przypuszczenia i nieodmiennie dochodzili do wniosku, że Andrew Ross jest zdrajcą i mordercą, jedna Charlotte powstrzymywała się od komentarzy.

Trzeba przyznać, że było to dość dziwne. Czyżby Charlotte wiedziała, że Dand Ross nie zginął? A może uważała, że jest niewinny? Albo jedno i drugie?

Charlotte, Charlotte, powtarzała w myśli, jakie sekrety ukrywasz przede mną?

Oczywiście, jeśli Dand Ross jest papistowskim szpiegiem, Charlotte musiałaby zachować w sekrecie zarówno jego tożsamość, jak i istnienie. Jak się zdaje, ta dziewczyna dotrzymuje tajemnicy.

- No dobrze, panie Ross, w jaki sposób mogę pana upewnić, że naszej wspólnej przyjaźni nie grozi niebezpieczeństwo?

- Proszę wyjaśnić mi rolę panny Nash w planie, który mi nakreśliła. Chodzi o spotkanie w zamku hrabiego St. Lyona.

Ginny o mało nie podskoczyła na kanapie, tak zaskoczyły ją te słowa.

- Co dokładnie powiedział panu to nieznośne dziecko? - Zawiódł ją pobłażliwy ton, w którym pokładała nadzieję. Komu naprawdę to „dziecko” dochowuje lojalności?

- Wiem, że interesuje panią list obecnie znajdujący się w posiadaniu hrabiego St. Lyona. Wiem, że hrabia planuje wystawić list na licytację, a pani chce go wykraść. Wszystko, czego się pragnę dowiedzieć, to jaką rolę odegra w tym wszystkim panna Nash.

- Żadnej.

Na jego twarzy malował się sceptyczny wyraz.

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu odwróci uwagę obecnych, to wszystko. Jest tak zachwycająco pomysłowa. Mężczyźni, starając się przed nią popisać, stają się niedyskretni. W dodatku Charlotte ma talent do poznawania ludzi o, powiedzmy, przeróżnych umiejętnościach.

- Takich jak architektki.

Kiwnęła głową.

- To właśnie ona znalazła dżentelmena z planami zamku St. Lyona. Podśledzała, jak pewna stara wdowa radziła drugiej, by zleciła przebudowanie garderób w rodowym zamku temu samemu architektowi, który tak doskonale wykonał tę pracę w nowo nabytym zamku St. Lyona. - Tak więc, widzi pan, nasza Charlotte, przy swej młodości i pozornej płochości, jest niezwykle użyteczna. Nie wspominając o tym, jak jest odważna i...

- Wolałbym, żeby nie musiała się wykazywać odwagą- wszedł jej w słowo. - Właśnie po to tu przyszedłem. By pani uzmysłowić, że moim najgorętszym pragnieniem jest, aby Charlotte nie musiała wykazywać się odwagą podczas tego zadania. W istocie nalegam na to.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie widzę powodu, by miało być inaczej. Przynajmniej nie w obecnej sytuacji. Zatem rozproszyłam pańskie obawy, teraz proszę rozproszyc moje - powiedziała. - Kim pan jest? I proszę, niech pan zrobi mi uprzejmość i przyzna, iż jestem inteligentna.

- Nigdy w to nie wątpiłem - odparł z uprzedzającą grzecznością. - Jak pani już wywnioskowała, mamy, przynajmniej na razie, podobny cel.

- W takim razie powinniśmy pracować wspólnie - podsunęła.

Pokręcił głową.

- Wkrótce wracam do Francji. Są sprawy, których muszę przedtem dopilnować. Mogę... - urwał nagle. - Zostałbym, gdybym mógł, choćby po to, by dopilnować, żeby pani dotrzymała słowa w kwestii bezpieczeństwa panny Nash.

Uśmiechnęła się miło. ukazując dołeczki w policzkach; używała wszystkich swych sztuczek, by go rozbroić.

- Jak mam pana przekonać? Pana własny kontakt, człowiek któremu Charlotte przekazuje pana listy i który organizuje naszą siatkę tutaj w Londynie, daje swoje błogosławieństwo jej współpracy ze mną.

- Mój kontakt?

Pozwoliła sobie na zwycięski uśmiech. Nie tylko on wie, jak zdobyć poufne informacje.

- Tak, Toussaint.
Widząc wyraz jego twarzy, wyprostowała się.
- Pan nie wiedział?
Dand rzucił jej pogardliwe spojrzenie.
- Nigdy nie pytałem. Wystarczy mi, że ten człowiek istnieje, nie muszę wiedzieć, kim jest. Odkryłem, że nieznamość rzeczy, które inni są gotowi wydobyć nadzwyczaj przykrymi środkami, jest jedynym pewnym sposobem uniknięcia ich wyjawienia. Gdyby na nas... naciskano.
Zrozumiała aluzję w jego słowach i nabrała dla niego większego szacunku. Znow zerknęła na drobne blizny na jego palcach. Torturowano go we Francji.
- Skąd pani wie o Toussaincie? - spytał.
- Och, nie od Charlotte, zapewniam. Odkryliśmy go całkiem przypadkiem. Jeden z gołębi, których używa, by się komunikować z opactwem, padł od strzały łucznika. Łucznik, niski funkcjonariusz sekretarza spraw zagranicznych, uznał wiadomość niesioną przez gołębia za na tyle intrygującą, by ją doręczyć swemu zwierzchnikowi, a przez to... - skromnie wzruszyła ramionami - nam. Toussaint zapewne nawet nie wie, że znamy jego tożsamość.
- Ale wie, że Charlotte należy do waszej siatki i sankcjonuje to? - spytał Dand, obserwując ją w skupieniu.
- Tak. Nawet jeśli nie powiedział tego wprost, to dał milczące przyzwolenie. Rola Charlotte jest większa, niż pan sądzi. Stała się jednym z ważniejszych współpracowników. Sądzę, że gdyby Toussaint zabronił jej działać na rzecz Anglii, i tak by to robiła. Może powinien pan wziąć z niego przykład?
- Problem w tym, że cele Toussainta niekoniecznie muszą być takie same jak moje.
- Myślałam, że agentowi papieża najbardziej zależeć będzie na przywróceniu monarchii we Francji, a wraz z nią Kościoła rzymskiego ze wszystkimi jego prawami i przywilejami - powiedziała znacząco. Leciutki błysk uznania mignął w jego ciepłych brązowych oczach. Naprawdę jest niezwykle atrakcyjnym mężczyzną.
- Ma pani rację, ale mam też pewne... osobiste powody. - Zaciśnął dłoń na krześle i wstał. Przechyliła głowę, cały czas patrząc mu w oczy. - Czy uda się pani zrealizować swój plan?
Kiwnęła głową.

- Jest pani pewna?
Nachmurzyła się poirytowana.
- Zawsze istnieje jakieś ryzyko, ale jestem przekonana, że nam się uda.
- Proszę mi opowiedzieć o St. Lyonie.
Nie widziała powodu, by odmówić.
- St. Lyon jest kolekcjonerem. Dzieł sztuki. Win. Starych książek. A zwłaszcza kobiet. Nabywa kochanki, jak inni mężczyźni kupujątabakierki. Im trudniej je dołączyć do jego kolekcji, tym bardziej mu zależy, by je mieć. Żadna konkretna kobieta nie wzbudza jego namiętności; podnieca go pogoń, wyzwanie, by zabrać ją innemu mężczyźnie. Musi mieć to, czego mu się odmawia.
- A nie myśli pani, że mężczyzna o takich apetytach stanowi zagrożenie dla panny Nash?
- Charlotte nie grozi żadne niebezpieczeństwo ze strony hrabiego. - Nie dodała, że w innych okolicznościach mogłoby być inaczej.
Podniosła wzrok. Za późno. Uświadomiła sobie, że Dand wyczytał z jej twarzy niepokój. Patrzył na nią podejrzliwie, więc pospiesznie zaczęła go zapewniać.
- Hrabia nigdy by nie ryzykował swojej reputacji, zalecając się do dobrze urodzonej panny, w dodatku do takiej, która ma tak wspaniałe koneksje jak Charlotte. Zbyt wysoko ceni sobie swą pozycję towarzyską, by pozwolić sobie ulec zauroczeniu. Gdyby nawet był rzeczywiście zauroczony.
Dand zmrużył oczy. Odszedł kilka kroków od miejsca, gdzie spoczywała na jedwabnych poduszkach.
- Poza tym - dodała gardłowo - hrabia obdarzył już względami kogo innego. Jak pan wie. zaprosił mnie, bym byłajego „specjalnym” gościem w zamku.
Przyglądał się jej badawczo, choć w obraźliwie beznamiętny sposób. Wstała z szezlongu, podeszła do niego i położyła dłoń na piersi mężczyzny.
- Ten list nie może ujrzeć światła dziennego. Poinformowano nas, że jego zawartość może obciążyć kilku wysokich funkcjonariuszy w zagranicznych rządach obecnie rozważających, czy pomagać, czy przeszkadzać wysiłkom Anglii. Funkcjonariuszy, którzy sprzyjają naszej sprawie. List może ich zniszczyć.
- Naprawdę jest pani zdumiewająco niedyskretna- mruknął.
Wbiła w niego wzrok, próbując odgadnąć, o czym myśli. Jeśli okaże się, że Dand nie zasługuje na jej zaufanie, będzie martwy, nim dojdzie do frontowych

drzwi. On albo jej lokaj Finn. Wolałaby uniknąć konfrontacji między nimi.

- Czy pan to rozumie?

- Oczywiście, że rozumiem - powiedział, nagle zniecierpliwiony. - Właśnie dlatego muszę wrócić do Francji. Powiniennem uspokoić tych, którzy wysłali list, zanim strach każe im uciec za granicę i gra będzie skończona.

Więc on jest tym człowiekiem! Agent, najbardziej znany jako Rousse, choć ma mnóstwo tożsamości i pseudonimów, był architektem pewnych bardzo delikatnych tajnych sojuszy w Europie. Ginny spojrzała na niego z rosnącym szacunkiem.

- I właśnie dlatego, zanim wyjadę, muszę otrzymać od pani obietnicę, że udział panny Nash w tej intrydze właśnie się skończył. Tutaj. - Zmrużył oczy. - Nie chce chyba pani zabrać jej ze sobą, by -jak pani to nazwała? - odwróciła uwagę obecnych, gdy pani będzie prowadzić poszukiwania?

W istocie Ginny zastanawiała się nad takim posunięciem, ale uznała, że byłoby dziwne z jej strony, gdyby przywiozła ze sobą rywalkę. Hrabia nie jest głupcem. A ona nie może sobie pozwolić na to, by wzbudzić choćby najlżejsze podejrzenia.

- Proszę mi wierzyć, panie Ross, nie pragnę pchnąć Charlotte na drogę niebezpieczeństw...

Zareagował tak szybko, że nie zdążyła sięgnąć po pistolet pozostawiony pod poduszką. Dopiero co stał swobodnie kilka kroków dalej, nagle zawisł nad nią z dłonią na jej gardle. Zacisnął ją znacząco. Chwyliła go za nadgarstek, bez powodzenia starając się uwolnić. Jego kciuk uciskał głęboko miejsce tuż pod jej szczęką. Pociemniało jej przed oczami.

- Widzę, że nie przedstawiłem dość jasno mego punktu widzenia - powiedział. - Pozwoli pani, że sprecyzuję me stanowisko. Nie dbam o to, co pani pragnie zrobić. Sam uczyniłem wiele rzeczy, których nieszczególnie pragnąłem. Ważne, co pani zrobi. Nie życzę sobie, aby narażano na niebezpieczeństwo pannę Nash. Rozumie pani? - Głos miał idealnie spokojny i chłodny.

Bezwładnie opuściła ręce, kiwając głową, gdy wpatrywał się w jej oczy. Potem uwolnił ją równie nagle, jak przedtem pochwylił. Odstąpił od niej i pochylił głowę w ukłonie, który, choć nie był szyderczy, nie był też przeprasający.

- Dobrze. Życzę pani dobrej nocy, pani Mulgrew.

*Wybrzeże północnej Szkocji,
początek zimy 1788*

- *Światło na brzegu!* ~ oficer starał się przekrzyknąć ryk sztormu.

- *Ognisko czy latarnia?*

W przedniej kajucie lugra Jeremy, obejmujący chłopca, usłyszał wrzask kapitana niosący się od strony głównego pokładu.

Skrzypienie i trzask kołyszających się bomów i naprężającego się drewna zagłuszały odpowiedź przerażonego oficera. Jeremy mocniej ścisnął chłopca, próbując dodać mu otuchy.

Statek nagle się przechylił, ciskając ich na stromo wzniesioną podłogę kajuty, a potem nagle wyskoczył w górę i znów rzucił nimi z siłą, która mogła połamać kości. Na górze ktoś wrzasnął. Kapitan zaklął wściekle.

Sztorm zaatakował ich, gdy tylko ujrzeli wybrzeże Szkocji. Uciekając przed czarnymi skłębionymi chmurami, kapitan zwrócił się na południe, oddalając się od portu Wiek. Ale sztorm ścigał ich z zawziętością wilka doganiającego zdobycę i teraz dziko rzucał małym lugrem.

Nagle luk nad nimi otworzył się na oścież. Do środka wlała się woda. Kapitan zajrzał do nich, twarz miał napiętą i zmęczoną.

- *Kierujemy się w stronę światła! Nie wiem, czy to zatapiacze, czy wybawienie!* - krzyknął do nich. - *Przygotujcie się.*

Zatrzasnął właz.

- *O co mu chodziło?* - spytał chłopiec. *Twarz miał zbiełałą, jego drobne ciało trzęsło się gwałtownie, ale nie płakał. Odwaga chłopca sprawiła, że Jeremy nie załamał się i nie zaczął zanosić szlochem.*

- *Zatapiacze* - powiedział, rozglądając się za czymś, czego mogliby się uchwycić - *to zbóje, którzy rozpalają ogniska, żeby zwabiać statki na skaliste brzegi, na których się rozbijają. Potem zbierają lup z wybrzeża i zabijają rozbitków, aby o tym nie rozpowiadali.*

Chłopiec przełknął ślinę.

- *Umiesz pływać?* - spytał Jeremy, znalazłszy solidny kawał sznura.

- *Tak.*

- *Dobrze.* - *Wypatrzył beczułkę wina, wyrwał szpunt i wylał zawartość na podłogę. Chłopiec przyglądał mu się oczyma okrągłymi ze zdziwienia. DREWNIEMI PALCAMI PRZECIAGNĄŁ SZNUR PRZEZ MOSIĘŻNE UCHWYTY PO BOKACH BECZUŁKI I ZATKAŁ JĄ NA NOWO.*

- *Chodź tu. Grzeczne dziecko* - powiedział Jeremy, obwiązując go sznurem w pasie i próbując zacisnąć węzeł. - *Jeśli to zatapiacze i statek się*

rozbije, staraj się trzymać na powierzchni. A jeżeli dostaniesz się bezpiecznie na brzeg, schowaj się.

- A pan umie pływać? - nagle spytał chłopiec.

- Nie.

Podopieczny otworzył szeroko oczy i z gwałtownym jękiem uczeplił się rąk Jeremy 'ego.

- Więc to pan musi się przywiązać do beczki!

- Nie bądź niemądry, mój mały - rzekł Jeremy, zły na siebie, że głos mu się łamie w szloch. - Ty musisz przeżyć. Twoja matka mi zaufała. Powiedziałem, że zrobię wszystko, co w mej mocy, by dowieźć cię bezpiecznie do Szkocji, i na Boga, dotrzymam słowa.

- Nie - krzyknął chłopiec, walcząc z nim jak szalony, a Jeremy, niech mu Bóg wybaczy, uderzył go mocno w drobną twarzyczkę, chwycił za wąskie ramiona i potrząsał nim, gdy statek przechylał się i zataczał jak pijany.

- Słuchaj! - krzyczał. - Uważam się za człowieka honoru. A jaki miałbym honor, gdybyś umarł, a ja bym przeżył? Nie, nie prosz mnie, bym zaprzepścił to, co czyni mnie godnym we własnych oczach. Ja bym cię o to nie prosił! - powiedział żarliwie.

- Ale, proszę pana... - Na twarzy chłopca malowało się przerażenie i oddanie. Aż do tej chwili Jeremy nie zdawał sobie sprawy, że malec szczerze go pokochał.

Serce mu się ścisnęło. Starał się uśmiechnąć, łagodniej ściskając skulone, drżące ramionka.

- Poza tym, chłopcze, to tylko na wszelki wypadek. Nawet jeśli to zbóje, może udać mi się dostać na brzeg. Więc zrób to dla mnie.

Chłopiec na chwilę zacisnął powieki, a kiedy otworzył oczy, utkwiał wzrok w sznurze, który Jeremy próbował zawiązać. Odsunął jego dłonie i sam zacisnął węzeł. Wargi mu drżały, a łzy kapały ze spuszczonego oczu.

Trzask!

Statek zatoczył się i zatrząsnął. Dziób wystrzelił w górę, jakby w coś uderzył, rzucając ich obu w dół między przewalające się meble, bagaż i książki. Odgłos pękającego drewna i wrzaski ludzi mieszały się z wyciem wiatru.

Więc stało się. Wielki spokój ogarnął Jeremy 'ego. W milczeniu pociągnął chłopca przywiązanego do pustej beczki i potykając się, taszczył go w górę po stromo wzniesionej podłodze kajuty. Statek stękał i trzeszczał. Wygramolił się na górę i odsunawszy luk, chwycił w pasie chłopca i wypchnął go w ciemność na zewnątrz, w kłębowisko deszczu i wiatru. Chwycił dłoń chłopca, gdy fala przelała się przez strzaskany buła/. Nagłe strach chwycił go za

gardło. Nie dał chłopcu sakiewki matki ani listu do tych, którzy mieli go przyjąć. Nie było już czasu, a chłopiec nawet nie wie, do kogo jechał.

Spróbował przekrzyknąć hałas i trzask pękającego drewna.

- Znajdź Ros...

Gigantyczna fala załamała się nad tonącym statkiem, wlewając strumienie lodowatej wody przez otwarty luk. Przez kilka bezcennych sekund Jeremy trzymał dłoń chłopca, walcząc z potęgą żywiołu.

Sekundę później luk się zatrzęsnał.

4

Teatr w Haymarket, Londyn

17 lipca 1806

Co za tłok. I nuda, przyzna pani, panno Nash? - Młody dandys, którego nazwisko umknęło Charlotte, stał w wystudiowanej pozie przy barierce łoży Weltonów, a jego przeciągły ton dopełniał obrazu znudzenia.

Charlotte skinęła głową, krzywiąc kokieteryjnie usta, chociaż naprawdę ledwie go słyszała. Przez cały wieczór zaprzętała ją myśl, że w czasie ostatnich odwiedzin trzy dni temu Dand nie zostawił wiadomości, którą powinna przekazać Toussaintowi. Ponieważ był to główny powód jego bytności w Londynie, powinien wrócić, żeby naprawić przeoczenie. Dziś wieczór?

Zatłoczona łoża w operze byłaby doskonałym miejscem, aby to zrobić. Mógł się pojawić w każdej chwili, jako służący, bileter albo może obdarty żebrak na schodach prowadzących do gmachu. Dałaby mu pensa, gdyby tak było, pomyślała. Uśmiechnęła się na tę myśl.

- Hej, to St. Lyon i niech mnie, jeśli nie przyprowadził tej pierwszorzędnej... - Dandys urwał nagle. - Hm. przyszedł z panią Mulgrew.

Hrabia St. Lyon wkroczył do łoża swobodnym krokiem, mając u boku Ginny Mulgrew. Z wyszukaną grzecznością skłonił się lady Welton i przywitał z baronem. Jest przystojny, pomyślała Charlotte, nie można zaprzeczyć. Troszkę więcej niż średniego wzrostu i szczupły trzymał się niezwykle prosto. Jego twarz miała ciężkie galijskie rysy, które - nie wiadomo czemu - tylko Francuz może łączyć z ogładą. Ciemne, gładkie włosy zaczesał do tyłu z szerokiego porysowanego zmarszczkami czoła. Miał szeroki, lecz ładny nos

i przyglądające się wszystkiemu ciemne, bystre oczy. Przyłapał ją na tym, że się w niego wpatrywała, i zbliżył się z uśmiechem pełnym samozadowolenia.

Dandys skłonił głowę, niezdecydowanie prześlizgując się spojrzeniem ku Ginny.

- Hrabio - powiedział. - Ach... witam panią.

Ginny zignorowała go. torując sobie drogę ku barierce balkonu górującego nad tłumem w dole. Hrabia też zbył go obojętnie, oszczędzając biedakowi rozterki, czy powinien zwracać się do kobiety z półświatka w obecności damy. Wymamrotawszy słowa pożegnania, młody mężczyzna oddalił się chyłkiem, zostawiając Charlotte z hrabią.

- Jestem zachwycony, że mogę znów panią ujrzeć, panno Nash - powiedział tamten.

Bez wysiłku wchodząc w rolę, którą grała od tylu lat, Charlotte uniosła brwi, jednocześnie ujmując i figlarnie.

- Oh, proszę, hrabio! Spotykamy się tak często, że zaczynam się obawiać, że panu spowszednieję.

- Nigdy - oświadczył hrabia. Choć był wyszukanie grzeczny, sam sposób, w jaki nie odrywał wzroku od jej twarzy, uświadamiał Charlotte, że jej dekolt jest stanowczo zbyt śmiały, a srebrna brokatowa suknia bardzo zwiewna.

Miała chęć okryć się szalem wdzięcznie udrapowanym na rękach, ale się powstrzymała. Zaśmiała się lekko i strzepnęła wachlarzem, otwierając go jednym ruchem i wprawiając w delikatne trzepotaniejedwabne i koronkowe wstawki na swym biuście.

- Zapewniam, że tak będzie - zaprotestowała. - I odtąd wyrzekam się wszelkich rozrywek, przy których moglibyśmy się spotkać, żeby pan zaczął mnie uważać za trudno dostępną.

- Droga panno Nash, proszę nie pozbawiać się żadnych przyjemności z mego powodu - powiedział hrabia. - To absolutnie niepotrzebne, gdyż, niestety, jutro wyjeżdżam z tego pięknego miasta.

Charlotte udała rozczarowanie.

- Ale dlaczego, hrabio? - spytała. - Czy nie będę zbyt śmiała, gdy zapytam, dokąd się pan wybiera?

- Śmiałość do pani pasuje, panno Nash - odparł hrabia.

W odpowiedzi Charlotte troszkę szybciej poruszyła wachlarzem, jak gdyby hrabia sprawił, że puls jej przyspieszył. Och, była w tym całkiem dobra.

- Wracając do pani pytania - ciągnął hrabia - wyjeżdżam wiedziony moim nieznośnym poczuciem obowiązku. Obiecałem przyjąć kilku dawnych przy-

jaciół w mym zamku w Szkocji. Dopiero co zawitali do Anglii i potrzebują wytchnienia, zanim rozpoczną życie w Londynie.

Mieście, które hrabia być może ujrzy najechane przez żołnierzy Napoleona. Oczywiście jeśli cena go zadowoli, pomyślała Charlotte.

- Jaki pan miły, hrabio. Ale to okrutne ze strony pańskich gości zjawiać się w szczyt sezonu i pozbawiać nas pańskiego towarzystwa!

- Chciałbym móc tego uniknąć, panno Nash. Mimo wszystko przeszkoda jest do pokonania. Zamek został całkowicie przebudowany i umeblowany na nowo i jest teraz siedliskiem luksusu. Musi pani przyjechać odwiedzić mnie kiedyś. Doprawdy, proszę mi to obiecać.

- To byłoby wielce przyjemne - powiedziała Charlotte, przechylając ujmującą głowę, jednocześnie w duchu posyłając go do wszystkich diabłów. - Nie sądzi pani, pani Mulgrew?

Ginny, którą oderwała teraz od uważnego obserwowania tłumy na partezie, pozostawała niezwykle milcząca w czasie poprzedniej wymiany zdań.

- Tak. Cudowne.

Wokół nich reszta gości Weltonów wkładała rękawiczki i wachlowała się ospale, bezskutecznie próbując ochłodzić duszną atmosferę. Niemal wszyscy przygotowywali się do opuszczenia łoża. Niewielu odezwało się do hrabiego, nikt do jego gościa. Ani jedno, ani drugie nie zdawało się go peszyć.

- Czy podobała się pani opera, panno Nash? - spytał.

- Och, zawsze podobają mi się spektakle - odpowiedziała Charlotte ze wzrokiem utkwionym w prywatne łoże po drugiej stronie sali udekorowane rubinowymi i złotymi stiukami i przylepione do ścian jak fantastyczne jaskółcze gniazda. Wewnątrz każdej z tych obwarowanych twierdz wielki świat gorliwe obracał lornetki ku Weltonom.

Prawie mogła ich słyszeć: „Ta dziewczyna chce sobie napytać biedy”. „Nieznośne stworzenie, zmosfera markizy Cottrell, jak się obawiam”. „Co ci Weltonowie sobie myślą, żeby zapraszać osobę z półświatka do swojej łoży? Czy próbują zrujnować reputację swej młodej przyjaciółki, panny Nash?” I bardzo znacząco: „Obawiam się, że panna Nash nie potrzebuje pomocy, jeśli o to chodzi”.

- Ojej! - Hrabia pochwycił spojrzenie, które rzuciła w stronę poszukiwaczy sensacji. Skłonił ku niej głowę. - Mam nadzieję, że nie wywołałem nie stosownych domysłów?

- Z pewnością nie - powiedziała oschle Charlotte. Hrabia, niezwykle wytworny w granatowym żakiecie, białym jedwabnym plastronie i żółtej

kamizelce, dostatecznie dobrze się orientował, że to nie jego obecność wywołała falę bulwersujących plotek. Chodziło o Ginny.

Z głową wysoko podniesioną, z kasztanowymi włosami lśniącymi w świetle lamp Ginny rozejrzała się wyniosłe. Jej suknia z różowej jedwabnej krepy, skrzęca się od kwiatków haftowanych kryształkami, nie miała sobie równej na widowni. Z olśniewającą cerą, którą zawdzięczała pudrowi z pyłku słuchotki, i z wargami podbarwionymi czarną porzeczką, zachowywała cięć uśmiechu. Jednak przy całej swej piękności stała sama, w małym kręgu, który się wokół niej wytworzył, oddzielając ją od reszty towarzystwa w łoży Weltonów. Jeśli to zauważyła, z pewnością nie okazywała skrępowania.

- A pani, pani Mulgrew? Czy podobała się pani dzisiejsza opera? - spytała Charlotte.

- Przepraszam, panno Nash. Zagapiłam się. Pani pytała...? - Kiedy Ginny się odezwała, hrabia odwrócił się i wyciągnął dłoń. Kurtyzana bez wahania podała mu rękę. Wyglądała triumfująco.

Właśnie po to tu przyszedł, uświadomiła sobie Charlotte. Wiedział, że tylko Weltonowie są na tyle tolerancyjni lub po prostu na tyle beztroscy, że przyjmą go z Ginny w swej łoży. Chciał, aby wszyscy zobaczyli Ginny i dowiedzieli się, że odbił ją lordowi Denneyowi, którego kochanką była do tychczas. Przyprowadził ją tylko po to, by się pochwalić swym nowym nabytkiem.

Nabytkiem. Istota tego, co Ginny ma zrobić, nagle poraziła Charlotte. Ginny zostanie kochanką hrabiego. Będzie dzielić z nim łożę. Kupił sobie ten przywilej.

Charlotte usiłowała zachować obojętny wyraz twarzy, niezdolna stłumić odrazy. Kiedy omawiały ten plan, Ginny wydawała się tak rzeczowa, jeśli chodziło o rolę, którą przyszło jej odegrać, tak zupełnie nieskrępowana propozycją hrabiego, że Charlotte nieświadomie przejęła jej nastawienie. Teraz odkryła, że było to łatwe do zaakceptowania jedynie wtedy, kiedy traktowała rzecz teoretycznie.

Widząc pożądlivy wyraz twarzy hrabiego i milczące cierpienie Ginny. Charlotte przekonała się, że dużo trudniej jej się z tym pogodzić. Nakazała sobie pamiętać o wielu ludziach: młodych żołnierzach, subiektach, matkach, dziadkach i dzieciach, których los, a może nawet życie, może zależeć od gotowości Ginny sprzedania swego ciała za zaproszenie do zamku St. Lyona.

Ginny patrzyła niewidzącym wzrokiem na Charlotte, a w sztywności jej postawy wyczuwało się ślad zaniepokojenia. Hrabia odwrócił się, by zamie-

nić parę słów z lordem Weltonem, dobrodusznym człowieczkiem, znanym z tego, że wiecznie trzymał się w cieniu swej żony. Charlotte skorzystała ze sposobności zbliżenia się do kurtyzany.

- Denerwujesz się. Czy coś źle poszło? - spytała przyciszonym głosem. - Może mimo wszystko nie umiesz tego zrobić? Taka ofiara...

- Ofiara? - Ginny przerwała jej szeptem. - Gloryfikujesz mnie, Lottie, a ja na to nie pozwolę. Właśnie to robię. Oto, czym jestem. I nie muszę szukać usprawiedliwienia.

- Ale...

- Wszystko w porządku oprócz tego, że hrabia nie powinien mnie tu przyprowadzać - ciągnęła przyciszonym głosem. - Ale musi pisać jak kogut, jak sędzę. Wolałabym tylko, żeby znalazł sobie inny kołek, z którego to zrobi. - Jej ciemne oczy przemknęły niecierpliwie po sali operowej, jak gdyby kogoś szukała. - Miałam denerwujące uczucie ostatnio, że jestem... - Urwała z twarzą napiętą i nieco gniewną.

- Jesteś co?

- Nieważne. Ubzdurałam coś sobie i tyle - szepnęła Ginny niecierpliwie, wyraźnie pragnąc skończyć tę rozmowę. - A teraz idź, porozmawiaj z tymi młodzieńcami śliniącymi się na twój widok.

Ostry ton, celowo uszczypliwy, nie pasował do niej.

- Jest jeszcze coś. Coś, co...

- Chodź, Charlotte.

Zdziwiona nagłym wezwaniem Charlotte okręciła się w miejscu.

- Pora wracać - oznajmiła baronowa, lady Welton, ze swego miejsca przy balkonie, a jej łagodna miła twarz była nieszczęśliwie skrzywiona. Wielkie szeroko osadzone oczy biegały gniewnie od Charlotte do Ginny. Powód jej cierpienia był wyraźny. Zmuszała się, by chronić Charlotte przed złym wpływem - w osobie Ginny Mulgrew - a rola ta była jej niemiła.

Lady Welton nie znosiła tego, co nazywała „wulgarnymi scenami”, z towarzyszącym im wzajemnym obwinianiem się, oskarżeniami i zranionymi uczuciami. W dużym stopniu wyjaśniało to dobroduszne lekceważenie, z jakim wychowywała swe dzieci, a także miriady bezkarnych psot i psikusów, które jej potomstwo robiło z taką regularnością.

Niestety, chociaż lady Welton do perfekcji wypracowała sobie zdolność przymykania oka na rzeczy, o których nie chciała wiedzieć, nawet jej nadzwyczajna pobłażliwość nie pozwoliła zlekceważyć znanej kurtyzany szepczącej coś do ucha dziewczynie, o której baronowa przy każdej okazji oznajmiała towarzystwu, że traktuje ją jak córkę. Nawet jeśli lady Welton sama

uważała, że przygodna znajomość z kurtyzaną - i związane z nią ciekawe rozmowy - w niektórych przypadkach były rzeczą całkiem przydatną.

Bardzo by sobie życzyła mieć tyle przezorności, by zawrzeć taką praktyczną znajomość, zanim poślubiła lorda Weltona. Trochę „interesujących rozmów” oszczędziłoby obojgu mnóstwa skrupowania. I czasu. Ale Charlotte powinna prowadzić tę rozmowę w kularach lub poczekalni czy w jakimś innym miejscu, nie najej oczach. A wtedy, gdy ludzie wytkną to oskarżycielsko palcem - a ludzie zawsze coś wytykają palcem - lady Welton będzie mogła powiedzieć z absolutną szczerością, że nie wiedziała o niczym i nie można jej za to winić.

Zamiast tego miała Charlotte przed sobą szepczącą z tamtą kobietą na jej oczach, całkiem możliwe, że właśnie o tych fascynujących rzeczach. Zatem coś należało zrobić. Co gorsza, to ona musiała to zrobić.

- Za wielki ścisk się tutaj zrobił przy tylu tłoczących się młodzieńcach. Nie można swobodnie oddychać. - Lady Welton rzuciła oskarżycielskie spojrzenie na grupę wielbicieli Charlotte, którzy otoczyli łożę, gdy tylko kurtyna opadła.

- Proszę jeszcze zostać - zaprotestował jeden z młodych elegantów. - Jeśli wyjdą państwo teraz, będzie pani musiała w jeszcze większym ścisku czekać na powóz.

- Słusznie - dodał inny. - Lepiej tu chwilę posiedzieć, niż tam stać.

Ta rozsądna argumentacja przekonała lady Welton. Nie znosiła stania w tłoku.

- No dobrze. Zaczekamy.

- Milordzie. - Hrabia asystujący tej małej scenie zwrócił się do lorda Weltona. - Mój powóz czeka po drugiej stronie ulicy. Czy mogę go państwu oddać do dyspozycji?

- Hę? Ach! - Różowa twarz barona rozjaśniła się z ulgą. - To byłoby...

- Niemożliwe - palnęła lady Welton.

Baron obrócił się i zamrugał zdziwiony interwencją małżonki. Ta zaś powstała, pogdakując jak kura, której kurczę miało pobiec za lisem.

- Niemożliwe? - powtórzył zdezorientowany.

- Nie. - Wykonała zdecydowanie niedelikatny ruch głową w kierunku Ginny. Charlotte poczuła, jak rumieniec wypływa jej na policzki za przyjaciółkę. Mimo że Ginny nie wyglądała na upokorzoną. Raczej na znudzoną.

- Nie - powtórzyła lady Welton stanowczo. - Chcę się napić ponczu przed powrotem, a nie wypadałoby kazać hrabiemu czekać. W gruncie rzeczy nalegam, by nie czekał.

- Och. - Baron obrócił się z westchnieniem, wiedząc z wieloletniego doświadczenia, że spory z jego małżonką nie przynoszą żadnego skutku. - Niech ktoś przyniesie mej żonie ponczu.

Hrabia z wdziękiem przyjął porażkę, skłoniwszy głowę, po czym podał ramię Ginny.

- W takim razie pożegnamy się z państwem. Lady Welton. Welton. - Jego ciemne oczy spoczęły na Charlotte. - Panno Nash?

Gdy tylko odeszli, lady Welton z trzaskiem zamknęła wachlarz i poprawiła szal na krągłych ramionach.

- Ależ, moja droga, właśnie posłałem młodego Farleya po poncz - powiedział baron.

- Młody Farley może go sobie sam wypić - odparła lady Welton, mocno przytrzymując ramię Charlotte i mijając młodych mężczyzn wciąż kręcących się w łoży.

- Nie rozumiem - oświadczył baron rozżalony, ruszając w ślad za nimi.

- Och, Alfredzie - oznajmiła lady Welton tonem nauczycielki przekazującej ziarno swej mądrości mało pojętnemu uczniowi. - Jedną rzecz to tolerować osobę w rodzaju pani Mulgrew w naszej łoży, kiedy i tak roi się tam od innych nicponi i lekkoduchów. - Tu nicponie popatrzyli oskarżycielsko na lekkoduchów i odwrotnie. - A całkiem co innego dobrowolnie zgadzać się najej towarzystwo w zamkniętym powozie.

I pouczywszy męża w tej delikatnej kwestii etykiety, odepchnęła łokciem młodego Farleya wchodzącego w drzwi z zamówionym ponczem. Zniknęła w tłumie w holu poniżej, gdy jej mąż przepychał się, chcąc za nią nadażyć.

Wydostali się na Catherine Street i stanęli pomiędzy innymi mecenasami sztuki - dżentelmenami próbującymi energicznie, lecz bez powodzenia, przywołać dorożkę, gdy ich żony i córki kręciły się skwaszone pod jasno oświetlonym portykiem. Londyńska wszechobecna mgła zaczęła nadciągać nad miasto znad Tamizy, spowijając ludzi przy krawężnikach i zasłaniając przedmioty, które znajdowały się dalej niż kilkanaście kroków.

Z drugiej strony ulicy, od niewyraźnych kształtów prywatnych powozów i dorożek, widmowych sylwetek koni i innych postaci, dobiegała kakofonia głosów i hałasów. Wśród kłębów mgły unosił się głos sprzedawców zachwalających prażone orzechy. Mali zamiatacze ulic zachwalali swoje usługi, damy gawędziły, a dżentelmeni krzyczeli przy akompaniamencie brzęku i skrzypienia uprząży, stukania podków i turkotu pojazdów na bruku. Jakiś woźnica wrzasnął na kogoś, by uważał, koń zarzął na trzaśnięcie bata, a mężczyzna zaklął gniewnie, gdy się potknął w mroku.

Na rogu gmachu operowego jaskrawa kula latarni ulicznej wisiała nad gromadką ladacznicy prezentujących swe wdzięki. Wykrzywiały się i uśmiechały, ukazywały dołeczki w policzkach i rzucały kokieterijne spojrzenia na młodych dandysów i fircyków, elegantów i modnisiów, którzy roili się ospale wśród nich niczym biesiadnicy wybierający następne danie.

Charlotte pochwyciła spojrzenie Ginny. Stała nieco dalej na bulwarze, głowę miała schyloną i zajęta była rozmową z hrabią. Lekko kiwnęła głową i zniknęła między dwoma powozami walczącymi o pierwszeństwo przejazdu, po czym pojawiła się po drugiej stronie i wtopiła się w mgłę.

- Będziemy tu tkwić godzinami - oświadczyła lady Welton kapryśnie. Za nimi tłumek adoratorów Charlotte rozpraszał się, szukając powozu, który dowiozłby ich na następne przyjęcie, do domu gry czy w inne zapewniające rozrywkę miejsce.

- Może przejdziemy kawałek ulicą, tam gdzie jest mniejszy ruch - powiedziała Charlotte.

Lady Welton spojrzała na nią, jakby jej urosła druga głowa.

- Po co?

- Żeby nie czekać tak długo? - zaproponowała Charlotte.

- Nie mamy nic lepszego do zrobienia. Nie powiem, żeby mi się spieszyło do Neeblerów. A tobie? Pewnie, że nie. Większość z nich jest skapa i antypatyczna. Podadzą parę skrawków baraniny oraz garstkę krewetek na przekąskę i na nasze utrapienie będziemy musiały słuchać, jak córka tego starego ramola skrzeczy, a żona bębni na fortepianie. Nie. Lepiej czekajmy. - Uniosła dłoń, machając chusteczką na męża, który sapiąc i dysząc, dreptał wzdłuż kolejki pojazdów, szukając wolnego do wynajęcia.

- Welton, krzesło, proszę!

- Ależ moja droga, odkrzyknął - skąd ja ci wezmę krzesło?

- No, doprawdy, Weltonie - odparła lady Welton z najgłębszą irytacją - gdybym wiedziała, nie prosiłabym cię. żebyś mi jakieś znalazł, prawda?

- Całkiem słusznie - bąknął Welton i zaprzestawszy szukania powozu, ruszył na poszukiwanie krzesła dla żony.

- Welton jest kochany - powiedziała lady Welton pocieszona, klepiąc Charlotte po ręce.

- Pani Mulgrew! - Gdzieś po drugiej stronie ulicy rozległ się męski głos. - Pani pozwoli?

Charlotte zerknęła w stronę Ginny. Kurtyzana nachmurzyła się, słysząc prośbę, by przeszła przez zatłoczoną aleję. Z wyrazem niecierpliwości na ładnej twarzy uniosła spódnicę i zeszła z krawężnika na śliski bruk. Zniknęła między pojazdami.

- Ach! - Na okrzyk zadowolenia lady Welton Charlotte obróciła się z powrotem. Akurat na czas, by ujrzeć lorda Weltona, jak prowadzi dwóch osiłków taszczących pomiędzy sobą marmurową ławkę wziętą nie wiadomo skąd. - Zawsze można liczyć na Wel...

- Uwaga!

Ostrzeżenie poniosło się nad tłumem. W nagłej ciszy Charlotte usłyszała szalony tętent podków koni, które poniosły, dźwięczących o bruk. Turkot kół mieszał się z gruchotem pędzącego pojazdu. Krzyk... straszliwy łoskot!

Potem odgłos pojazdu oddalił się równie szybko, jak się pojawił. Ciszę przerwał tupot nóg i niespokojne głosy wołające na alarm.

- Jest ranna! Ranna! Niech ktoś wezwie felczera. Szybko.

- Och! - jęknęła cicho lady Welton, zasłaniając dłonią usta. - Jakaś biedna kobieta została potrącona. Mam nadzieję, że jej nie znam...

Straszne przeczucie ogarnęło Charlotte.

- Charlotte, kochanie! Dokąd idziesz? Nie możesz...

Cokolwiek jeszcze powiedziała lady Welton, przepadło, gdyż Charlotte popędziła ulicą, szukając kobiety, którą stratowały konie ciągnące powóz. Tłumek zebrał się w alei kawałek dalej. Charlotte przepchnęła się przez krąg ludzi, modląc się, by nie okazało się, że...

- Nie!

Ginny Mulgrew leżała na boku z nogą nienaturalnie podgiętą pod siebie. Kałuże brudnej wody zbierające się między kamieniami bruku wsiąkały w jej piękną suknię. Ślad podkowy głęboko odcisnął się na materiale kilka centymetrów od jej biodra. Twarz miała zbielełą, oczy zamknięte.

Charlotte ukłękła na ziemi obok niej, nie czując twardych kamieni pod kolanami. Ostrożnie odgarnęła z czoła Ginny ciężkie pasmo włosów. Cienka strużka krwi sączyła się z rozcięcia pod nim.

Charlotte podniosła wzrok na krąg przejętych twarzy.

- Musimy ją zabrać z ulicy! I znaleźć doktora. Zaraz! - rozkazała.

Dżentelmen w zielonej kamizelce pstryknął palcami na dwóch służących w liberii wyciągających szyję, by lepiej widzieć.

- Znajdźcie coś do przeniesienia tej kobiety - rozkazał. - Szybko! - Przynajmniej go posłuchali.

Hrabia St. Lyon ukazał się u boku Charlotte ze zdumionym wyrazem twarzy.

- Co się stało?

- Jakiś przeklęty fanfaron stracił panowanie nad końmi - wyjaśnił dżentelmen. - Przejechał tę biedną kobietę. Diabelny głupiec!

- Mój Boże - szepnął St. Lyon. - Czy wyzdrowieje?

- Nie dowiemy się, dopóki nie zostanie zbadana - odpowiedziała Charlotte stanowczo. - Nie można jej zostawić tutaj, na ulicy.

Dwaj służący wynurzyli się z tłumu, niosąc szeroką ławkę.

- Teraz ostrożnie.

Troskliwie przenieśli Ginny na ławkę. Ich wysiłki, choć starali się być delikatni, sprawiły jej tyle bólu, że cuciły ją z omdlenia. Szloch udręki wydarł się jej z gardła.

- Już dobrze - powiedziała Charlotte kojąco. - Zabieramy cię stąd.

- Dokąd? - spytał z troską dzentelmen w zielonej kamizelce.

- Do mego domu - odpowiedział St. Lyon.

- Nie - wyszeptała Ginny ze zbolałymi oczyma wielkimi jak sadzawki, utkwionymi w Charlotte. - Proszę.

- Do mego domu - powiedziała Charlotte tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Zostanę przy niej. Lepiej będę potrafiła się nią zająć niż pan, hrabio. St. Lyon nie protestował. Wstał.

- Przyrowadzę mój powóz - powiedział i pospieszył na drugą stronę ulicy.

- Lottie. - Wąty głos był ledwie słyszalny, wyrazy z wielkim wysiłkiem opuszczały wargi Ginny. - Obiecuj.

- Spokojnie, kochanie...

- Lottie! - dyszała, rzucając dzikie spojrzenia. - Musisz mi obiecać.

- Tak, tak - mruknęła Charlotte, starając się ją uspokoić. - Oczywiście. Wszystko.

Ginny pokręciła głową z twarzą złamaną nieszczęściem.

- Musisz zrozumieć, Lottie. Nie wolno ci pozwolić się od tego odwieść. Musisz pojechać do St. Lyona zamiast mnie!

5

*Culholland Sauare, Mayfair
18 lipca 1806*

Musisz jakimś sposobem przekonać ich obu, żeby przystali na nasz plan.

- Ginny szeptała ochryple do Charlotte. Twarz wciąż miała poszarzałą, a ból wyrwał malutkie zmarszczki w kącikach jej ust. Ale chociaż źrenice miała rozszerzone od leków, które zostawił jej doktor, zdawała się przytomna.

- Tak - zapewniła ją Charlotte, poprawiając lekką kapę wokół szczupłej figury Ginny, uważając, by nie urazić nogi unieruchomionej pomiędzy dwoma deszczułkami. - Wypij to - namawiała chora, wciskając w jej dłonie filiżankę bulionu. - Musisz się pokrzepić.

Ginny niecierpliwie szarpnęła głową.

- Czy Rossowi można ufać?

- Tak. - Charlotte odstawiła filiżankę. - Powtarzam ci, że można mu całkowicie zawierzyć. Jego oddanie jest takie samo jak twoje czy moje.

- Nie wątpię w jego oddanie. Nie wiem tylko, komu jest oddany - bąknęła Ginny. Zacisnęła powieki, walcząc z szarpającym bólem, a także z działaniem leków, które wzięła tuż przed przyjściem Charlotte. Oszałamiały ją. - Powiedziałaś wcześniej, że dostałaś wiadomość od twego... drugiego partnera.

- Tak - odrzekła Charlotte, marszcząc czoło na wspomnienie krótkiego liściku, który przyszedł kilka godzin temu. - Chce się ze mną spotkać dziś po południu.

- Och!

- Spotkaliśmy się przedtem tylko dwa razy - wyjaśniła Charlotte z wyrazem zdziwienia na twarzy. - On zajmuje wyjątkowo wysoką pozycję i boi się, żeby nie odkryto, kim jest. Dopiero kilka miesięcy temu miałam okazję mu się przyjrzeć. Za pierwszym razem spotkaliśmy się późno wieczorem i cały czas trzymał się w cieniu. Kazał mi zostawiać wiadomość pod kamieniem, sam przyglądał się z daleka, a potem ją zabrał.

- Bardzo ostrożny człowiek - powiedziała Ginny. - Skąd ta nagła zmiana?

- Nie wiem. Podejrzewam, że usłyszał o twoim wypadku i chce się dowiedzieć, jak to wpłynęło na nasz plan.

- W takim razie lepiej idź - powiedziała Ginny, zamykając powieki.



Charlotte owinęła się ciasniej peleryną pomimo jej przykrego zapachu zadowolona, że pożyczyla ją od zdziwionej pomywaczki. Nawet najprostszy ubiór z jej garderoby wyróżniałby się w tej obskurnej bocznej uliczce w Drury Lane. Woźnica wynajętego powozu, obawiając się nie tylko o swoje konie, ale i o siebie, odmówił dalszej jazdy do zakazanej dzielnicy i zostawił ją na końcu alei, niechętnie zgodziwszy się zaczekać pół godziny.

Nie mogła go winić. Chociaż dzień był jasny i powietrze łagodne, prawie ją obezwładniał zaduch unoszący się z nad rynsztoków biegnących po obu

stronach rozjeżdżonej jezdni. Budynki, poprzekrzywiane z pijackim lekceważeniem symetrii, majączyły nad nią rozrośnięte wszerek w górnej części niczym ciemne grzyby. Okna były zabite deskami - właściciele oszczędzali w ten sposób, gdyż nie musieli płacić od nich podatku. Trzeszczące schody prowadziły do nędznych ciasnych mieszkań na górze. Gromadki milczących, wojowniczych młodzików wystawały w drzwiach gospód w suterrenach, a wyglądający na wyczerpanych mężczyźni wleki się, mijając kobiety o pustych oczach, tułające gliniane dzbanki, i apatyczne, obdarte dzieci.

Charlotte rozejrzała się za jakimś drogowskazem. Nie znalazła żadnego. Żadnej wskazówki, że znajduje się w dobrze jej znanym Londynie. Wypatrzyła kobietę siedzącą na górnym stopniu schodów prowadzących do kolejnego pubu z półnagim szkrabem na kolanach ssącym kciuk.

- Szukam Sparrow Lane. Numer 12 - powiedziała. - Możecie mi powiedzieć, gdzie to jest?

Wzrok kobiety padł na trzewiki z cielęcej skóry, których peleryna Charlotte nie zdołała zasłonić.

- Za dwa pensy.
- Macie ćwierć pensa.

Dłoń kobiety wystrzeliła w górę, chwytając monetę.

- Tam. - Kiwnęła głową za siebie przez ramię. - Stoisz paniusiu akurat przed nim.

- Dziękuję. - Charlotte weszła po stopniach ku wskazanym drzwiom, spoglądając w górę na przekrzywione linie dachów. Czy tam trzymane są gołębie pocztowe, których Toussaint używa do komunikowania się z ojcem Tarkinem w Szkocji?

Energicznie zastukała do drzwi. Nie musiała długo czekać. Otworzyły się na oścież i stanął przed nią energiczny mężczyzna.

- Panno Nash. Jestem wdzięczny, że pani przyszła. Proszę. - Usunął się z przejścia.

Pochyliła się w niskich drzwiach i znalazła się w pokoju bez okien oświetlonym jedną lampą. Wewnątrz było duszno, gorąco i ciemno - jedyne okno zabito deskami. Mimo to pokój wyglądał lepiej, niż mogłaby się spodziewać, oceniając po stanie budynku na zewnątrz. To prawda, że podłoga ugięła się pod stopami, a ściany były spękane, ale ktoś ostatnio porządnie wyszorował. Zapach ługu szczypał w oczy i wypełniał nozdrza.

- Zechce pani usiąść? - spytał Toussaint z cieniem francuskiego akcentu.

Charlotte zrzuciła pelerynę wstrząśnięciem ramion i przysiadła na brzeżku krzesła, badawczo przyglądając się mnichowi-żołnierzowi, który ją wezwał.

Kiedy go poznała kilka miesięcy wcześniej, wydawał jej się starszy. Jego brązowe włosy tylko na skroniach lekko musnęła siwizna. Twarz była wprawdzie zniszczona, lecz nie wyglądał na starca.

Odniosła wrażenie, że ten człowiek zupełnie nie wygląda na mnicha. Prawie wyczuwała pulsującą w nim determinację. Poruszał się z wysiłkiem, jak gdyby w rytm jakiegoś staccata. Wyglądało to, jakby z największym trudem panował nad swymi ruchami. Nawet jego dłonie, opuszczone po bokach, zaciskały się i otwierały jak usta ryby wyrzuconej na brzeg. Była pewna, że jest nieświadomy tego nerwowego ruchu. Nie była to tylko nieopanowana energia. Chociaż jego usta się uśmiechały, przewiercające ją czujne oczy były bezlitosne. Jego spojrzenie zatrzymało się nagle na jej skromnym dekolcie.

- Czy to... czyżby to była jedna z żółtych róż z St. Bride's? - W jego głosie zabrzmiała dezaprobata. - Jedna z tych, którą chłopcy przywieźli pani rodzinie?

- Tak - odparła. Zapomniała, że przypięła ją rano do stanika. - Przypuszczam, że uważa to brat za bardzo sentymentalne?

- Sentyment może zniszczyć człowieka. Lub sprawę. Niech pani będzie ostrożna. Dziękuję, że pani przyszła. Nowiny na temat pani Mulgrew są wielce niepokojące. Wręcz alarmujące. Ta tragedia może mieć daleko sięgające reperkusje. Takie, którym nie zdołamy zapobiec lub ich zrekompensować. Nie możemy sobie pozwolić na stratę tego listu - powiedział głuchym głosem. - Proszę mi powiedzieć, jak ciężkie są obrażenia pani Mulgrew. Czy w krótkim czasie wyzdrowieje na tyle, żeby pojechać na północ? - W jego głosie brzmiała rozpacz.

- Obawiam się, że nie. Nie ma szans, aby zrealizowała swój plan.

Z sykiem wypuścił powietrze i powieki opadły mu, zakrywając oczy. Otworzył je zaraz i zauważywszy wyraz twarzy Charlotte, wstał i popatrzył na nią z góry.

- Nie przesadzam mówiąc, że ten list jest bardzo ważny. Nie tylko nadawca znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie, jeśli jego tożsamość zostanie odkryta, i nie tylko jego kraj odczuje na sobie gniew Napoleona, gdy ten dowie się, że go zdradzono. Ucierpi także Kościół, w tym wielu księży, którym dopiero niedawno pozwolono wrócić do swych diecezji.

- Proszę brata?

Nachylił się nad nią, a w jego żarliwym spojrzeniu dostrzegła błaganie, by zrozumiała.

- Napoleon i papież są w niezgodzie. Chciwość i mania wielkości Napoleona rosną. Poczł się urażony, gdy papież nie chciał przyłączyć się do

embarga przeciw Brytanii. Jeśli ktokolwiek dowie się, że ten list był adresowany do biur papieskich i został otwarty... - Pokręcił głową. - To będzie wymówka, której Napoleon szukał, żeby zerwać wszystkie więzy z Kościołem i ogłosić papieża swym wrogiem. Widzi pani teraz, dlaczego jestem tak wzburzony. Nigdy nie pochwalałem planu pani Mulgrew, ale tylko głupiec nie dostrzegłby, że dawał największą szansę na odzyskanie listu. Teraz... - Wykonał gest, jakby coś odrzucał i odwrócił się z ramionami tak skulonymi, że dostrzegła, jak drżą. - Musimy odzyskać list. Nieważne, za jakim poświęceniem. Nieważne, kto poniesie ofiarę. Musimy. Po prostu musimy!

Obejrzał się na nią i zdała sobie sprawę, że wstrzymał oddech. Był bardzo wzburzony, a kropelka piany zebrała mu się w kąciку warg. Jego oczy błagały ją o zrozumienie. Dłonie mu drżały.

- Rozumiem - powiedziała Charlotte, czując trochę odrazy, ale bardzo poruszona jego oddaniem i moralną rozterką. - I muszę przyznać, że z ulgą się dowiaduję, że jesteśmy zgodni w tej sprawie.

Mnich wyprostował się, obracając się do niej twarzą.

- Co pani ma na myśli?

- Mam zamiar zastąpić panią Mulgrew.

Szeroko otworzył oczy. Rozchylił wargi i szybko je zamknął.

- Co? Powinienem pani zabronić - wyszeptał.

Ten mnich nie był prostoduszny.

- Bracie Toussaint - powiedziała łagodnie - właśnie po to prosił brat o to spotkanie, czyż nie? Żeby mnie spytać, czy mogłabym znaleźć kogoś, kto zastąpiłby panią Mulgrew? A kto miałby to zrobić, jeśli nie ja?

Widać było, że poczuł się obrażony.

- Ja... nie byłem pewien... To jest... nie myślałem, że pani zechce...

Ulitowała się nad nim.

- Nie chce brat, żebym to zrobiła. Rozumiem. Mnie też się to nie podoba. Ale wie brat, że tylko mój udział w tym planie da mu jakąś szansę powodzenia. To niegodne brata udawać, że to nieprawda. - Proszę pozwolić mi dokończyć - mówiła dalej, zanim zdążył ponowić protest. - Przecież od początku chciał brat podsunąć mi ten pomysł. To była trudna decyzja i kiedy się zjawiłam, na nowo uderzyło brata, jak jestem młoda, jak niedoświadczona w sprawach świata. Więc wycofuje się brat, mimo że to nie jest zły wybór.

Nie próbował dalej protestować. Zamiast tego powiedział:

- Ale jak pani ma nadzieję wejść w taką rolę? - Twarz mu rozbłysła od nagłego natchnienia. - Mogę...

- Nie musi brat nic robić - zapewniła go. - Zdam się na Danda Rossa, który mi pomoże.

- Dand? Tutaj? Teraz? - Odniosła wrażenie, że całkiem go wytrąciła z równowagi. Mrugał, jakby próbując odzyskać jasność widzenia. - Mój Boże... to opatrność sama - mruczał, czyniąc dłonią znak krzyża w okolicy serca. - Tak miało być.

- Podejrzewam, że opatrność ma niewiele wspólnego z osobą Danda Rossa - powiedziała Charlotte oschle. - Przyjechał, żeby zameldować o zaginionym liście, o czym już wiedzieliśmy. Musi wrócić do Francji w ciągu paru tygodni. Wtedy nie będę już potrzebowała jego pomocy.

- Czy przyjdzie tu? Spotkać się ze mną? - spytał Toussaint.

- Nie. - Charlotte pokręciła głową. - Nawet nie wie, że brat jest jego kontaktem.

Toussaint uśmiechnął się przepaszająco.

- Nie. Oczywiście, że nie. Ja... Tylko tyle, że... Wychowywałem go. - To ostatnie zostało powiedziane ze wzruszającą dumą.

Charlotte przyjrzała mu się ze wzmożonym zainteresowaniem.

- Jaki on był? - Nie mogła się oprzeć chęci zapytania. - Jako chłopiec?

- Dand? - Toussaint zadumał się na chwilę, zatopił w jakimś marzeniu, które sprawiało mu przyjemność, gdyż łagodny uśmiech wygiął mu wargi. - Diabelski pomiot, tak nazywali go mnisi. Zawsze robił to, czego nie powinien. Wymykał się z sypialni, by szukać przygód, zachęcał do tego innych chłopców, a potem wygadany jak diabeł wymigiwał się od kary, kiedy zostali przyłapani. Stary zielarz brat Marcin powiadał, że to odmieniec.

Tak. Nietrudno jej było w to uwierzyć.

- A pozostali chłopcy? - podpowiedziała.

Toussaint uśmiechnął się i pierwszy raz Charlotte dostrzegła odrobinę ciepła w jego chłodnym spojrzeniu.

- Ram był tak samo wytworny i opanowany jako chłopiec, jak jest jako mężczyzna. A Kit... - skrzywił się - tak samo mocny w swych przekonaniach jak jego ciało.

- Był jeszcze czwarty - powiedziała Charlotte - ten, którego stracono we Francji.

- Douglas Stewart. - Toussaint skinął głową, a jego twarz wyrażała niewymowny smutek.

- Kit powiedział kiedyś, że Douglas był ich duszą. Spoiwem, które wiązało ich razem. Musiał być nadzwyczajny.

Toussaint zmarszczył czoło, jakby szukając w umyśle obrazu pasującego do tego słowa.

- Nadzwyczajny? Czy ja wiem? Był dość bystrym chłopcem. Dość silnym, ale nie atletycznym. Miał wzniosłe zasady, był poważny. Ale powaga rzadko czyni z kogoś urodzonego przywódcę.

Charlotte nigdy nie słyszała, żeby Ram albo Kit wyrażali inne uczucie względem Douglasa Stewarta niż uwielbienie. Była zafascynowana.

- Nie rozumiem.

- No cóż. Ram potrafił pięknie mówić i poruszał się z gracją. Kit miał siłę i determinację.

- A Dand?

- Dand był bystry. I miał wdzięk. Ale i ciemną stronę charakteru, która nawet najlepszemu z chłopców musiała się zdawać nęcąca. Douglas natomiast... zresztą, nieważne. - Pełen zadumy nastrój, który chwilowo opanował Toussainta, teraz nagle się rozwiął. - Dostyc. Tamto już minęło i dziś nic nie znaczy. Najważniejsze, że Dand jest gotów pomóc pani zrealizować jej plan. W jaki sposób?

Gorąco oblało policzki Charlotte i poczuła zadowolenie z względnej ciemności panującej w parnym pokoiku.

- Bracie Toussaint - powiedziała - sumienie brata jest już i tak dosyć obciążone. Nie poddawajmy go dalszej próbie, dobrze? Proszę się zadowolić tym, że nie stanie mi się nic złego, a pomoc Danda wystarczy, żeby ugruntować moją wiarygodność jako kobiety, którą hrabia będzie mógł bezpiecznie skompromitować.

Brwi Toussainta ściągnęły się, gdy spojrzał na nią spode łba.

- Moje dziecko...

- To będzie wiarygodne, proszę brata, nie autentyczne.

6

*Północna Szkocja,
Boże Narodzenie 1788*

Nie po to cię ratował przed poderżnięciem gardziółka, żeby cię teraz zastrzelili. Nieważne, co gada Geoff, samem widział czerwone kubraki, jak

maszerują główną północną drogą. - Siwowłosa mężczyzna o potężnych ramionach wspiął się na palce i zerknął za gęsty żywopłot ciągnący się wzdłuż drogi. Nie wypatrzywszy nic, opadł na całe stopy i obrócił się, przyglądając się chłopcu z niewyraźną miną.

- Dość mam tego kluczenia i wymykania się, nie jestem za bardzo chyży w nogach ani długo nie wytrzymam, kiedy taki szczeniak się za mną wlecze jak cień. Miło było służyć ci za przewodnika i kompana, paniczku, ale pora się rozejść. - Mrużył oczy jak krótkowidz, a złamana szczęka rozciągała mu wargi w wiecznym grymasie, ale po blisko miesiącu spędzonym w towarzystwie Trevora chłopiec wiedział, że stary żywi do niego uczucia tak bliskie przywiązania, jak tylko zdolny był do tego złodziej, przemytnik i zapewne morderca.

- Masz zwinną rączkę do zamków i miej to na uwadze na dalsze lata. Ale nie teraz. Takie młodziuchne i delikatne chłopaczki jak ty... - Urwał i pokręcił głową. - Nie dla ciebie życie na gościńcu. Nie. Lepiej byś poszedł do opactwa St. Bride ś, a nie szukał szczęścia tutaj. Opat wraca tędy z miasta co drugą środę. Niezadługo się tu pokaże.

- Nie chcę iść do opactwa.

Mężczyzna pokiwał głową.

- Pewnie, że nie. Ale nie masz się gdzie podziąć, a ojciec opat nie jest zły jak na klechę. No i jest ich więcej w opactwie, takich chłopców jak ty. Sierot. Chłopiec nie odezwał się słowem.

- Wiesz - powiedział Trevor zamyślony. - Jakbyś mi powiedział, kto ty jesteś, może bym znalazł tego, kto cię szuka.

- Powiedziałem ci - odrzekł chłopiec z egzaltowanym westchnieniem. - Jestem ostatnim męskim potomkiem dynastii Burbonów, ale skoro twoi przyjaciele utopili wszystkich, którzy mogli to potwierdzić i zostawili mnie bez grosza i bez dowodu, że mówią prawdę, pewnie jeszcze długo będę zdany na siebie.

- Bezcelny bękart - zachichotał Trevor. - To cię uratowało, widzisz. Rozśmieszylesz Czarnego Sama bajdami o szlachetnie urodzonych i pałacach, i przez to cię oszczędził. A co do tego, ktoś ty taki, to jasne, że jakbyś miał do kogo pójść, to już byś tam poszedł beze mnie.

- Dobrze mnie traktowałeś, Trevorze - powiedział chłopiec. - Dziękuję, że mnie nie zabiłeś.

Trevor znów wlepił w niego wzrok i westchnął/.

- Mój własny syn mógłby być taki. Zmysłne ręce i uparty jak osioł. I całkiem dobry kompan.

- *No więc, nie powiem, że jestem bystry. Ale wiem to i owo, i robię ci z tego podarek, chłoptasiu. Możesz to wziąć albo na to plunąć, guzik mnie to obchodzi, po tym jak już usłyszysz, co ci mam rzec. Ale usłyszeć musisz. Zatem tak. Nieważne, kim byłeś, nim cię wyrzuciło na te skały, gdzie cię znalazłem schowanego. Kim tam sobie byłeś we Francji, ten ktoś umarł na tym brzegu.*

Chłopiec kiwnął głową. Jeśli żywił urazę do ludzi - także do Trevora - którzy byli winni jego obecnej sytuacji, a także śmierci jego towarzyszy - zachował to dla siebie.

- *Nie bądź głupi, chłopcze. I bez ciebie jest aż za dużo głupców na świecie. Miej rozum. Możesz do końca swoich dni płakać za tym, co chcesz mieć, albo brać z życia, co jest do wzięcia. Niezgorzej obracasz językiem i dasz się lubić, jak się postarasz. Zrób dobry użytek z tych rzeczy, co to ich żadne morze nie zatopi ani żaden zbój nie ukradnie. Dbaj o to, czego cię nowego nauczyłem. Ty...*

Rżenie konia kazało Trevorowi urwać w pół zdania. Przykucnął za żywopłotem z dłonią zaciśniętą na barku chłopca.

- *To powóz opata. Rusz się. Wyleż na drogę i pokiwaj, żeby stanął.*

- *Ale...*

- *Na miłość boską, chłopcze - powiedział Trevor zrozpaczony. - Zrobiłem w życiu jeden dobry uczynek, kiedy cię zabrałem z wybrzeża. Teraz daj mi zrobić drugi. Kto wie, może to wystarczy, żebym się prześliznął przez bramę w sądnym dniu.*

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

- *Och, raczej w to wątpię — rzekł, po czym, nie oglądając się, wygramolił się na zabłoconą drogę i zatrzymał nadjeżdżający powóz.*

*Culholland Sauare, Mayfair
18 lipca 1806*

- Nie bądź niemądra! - oświadczył Dand, stając nad Charlotte zajęta haftowaniem fiołków na nowej powłoczce na poduszkę.

Lokaj wprowadził go do ogródka otoczonego murem. Zgodnie z jej przypuszczeniem Dand wrócił tego rana z listem dla Toussainta. Tak, jak oczekiwano, nie był zachwycony tym, co mu powiedziała o zmianie planów.

Nie spodziewała się jednak, że Dand zareaguje tak gwałtownie. Że zupełnie się zmieni. W istocie z trudem rozpoznawała w tym nieznanym nonszalanckiego i niewzruszonego hultaja, którego, jak jej się zdawało, dobrze

znała. Zwykły ironiczny i rozbawiony wyraz twarzy zastąpił groźny marsz, a jego chód stał się wojowniczy, gdy szeroko stawiał kroki.

- Nie jestem niemądra - odparła spokojnie. - Przestań się zachowywać jak nadopiekuńczy starszy brat.

- Och, zapewniam cię - powiedział niskim, aksamitnym, a tym samym bardzo irytującym tonem - moje uczucia teraz są dalekie od braterskich.

Przełknęła ślinę, nie dając się zawstydzić.

- Jeśli sobie przypomnisz, że mamy zadanie do wypełnienia, to będzie nam wszystkim dużo łatwiej.

- Nie - powiedział szorstko. - Nie ma sposobu, żeby to się stało łatwe. To jest żalosne. Głupi pomysł zrodzony w gorączkującym mózgu i romantycznej wyobraźni. Tobie daję wybór, która z tych ról bardziej ci pasuje, drugą zostawiam pani Mulgrew.

- Czyżbyś mnie oskarżała, że jestem romantyczna? - spytała Charlotte pojednawczym tonem.

- Wczoraj bym tak nie powiedział, ale tego, co zamierzasz zrobić, nie można inaczej nazwać jak romantyczną głupotą. Postanowiłaś zostać bohaterką.

- Nie ja - wycedziła Charlotte. - Los tak postanowił.

- Los czy pani Mulgrew? - spytał Dand podejrzliwie. - Gdzież jest ta poturbowana nieszczęsnica, skoro o niej mowa?

Pokręciła głową skonsternowana.

- Jest dla mnie źródłem nieustannego zdumienia, że wychowano cię w zakonie benedyktyńskim znanym z gościnności i miłosiernego traktowania chorych i rannych.

- Drzemałem na lekcjach o miłosierdziu. Do rzeczy. Powtarzam. Gdzie ona jest?

- Jeśli musisz wiedzieć jest na górze w łożku. - Zebrała siły. Raz... dwa...

- Dobry Boże! - Zamknął oczy, usiłując, jak dobrze wyczuwała, powstrzymać inwektywy cisnące mu się na usta. Chociaż niby dla czego miałyby się kępować teraz, kiedy już uraczył ją taką wulgarnością.

- Powiedz mi, Lottie - wyrzekł, z wysiłkiem poruszając wargami - czy aż tak bardzo podoba ci się pozycja towarzyskiego wyrzutka, że nagle, z dnia na dzień, postanowiłaś się nim stać? Czy może zanik twego rozsądku był powolniejszym procesem?

Ostrożnie odłożyła tamborek.

- Nie musisz mnie obrażać.

- Przeciwnie, muszę. Zwłaszcza jeśli przejawiasz tak bezsensowny pęd do samozniszczenia! - krzyknął.

- Przestań wrzeszczeć. Służba usłyszcy. Ginny jest tutaj, ponieważ podczas wypadku jej noga została złamana w kilku miejscach - wyjaśniła, czekając, by okazał choć trochę współczucia. Nie zrobił tego. Spróbowała znowu. - Być może przez całe życie będzie utykała, jeśli w ogóle przeżyje. - Ani cienia zrozumienia. - Ogromnie cierpi. Doktor zaaplikował jej coś na uśmierzanie bólu, ale nie jest zdolna sama się sobą zająć. Dlatego u mnie została.

- Po to ludzie mają służbę.

- Nie - oznajmiła stanowczo. - Po to ludzie mają przyjaciół. A ja uważam Ginny nie tylko za współpracownika, ale i za przyjaciółkę. Ty też powinieneś.

- Ani jej nie znam, ani jej nie ufam. Ona i ja pracujemy dla różnych ludzi. Mało kto potrafi służyć dwóm jednocześnie. - Zamilkł znacząco. - Co znaczy, jak przypuszczam, że muszę ci pogratulować talentów na tym polu.

Uśmiechnęła się słodko.

- Nie uda ci się nakłonić mnie, żebym robiła to, czego chcesz, Dand. Ani żebym zrezygnowała z tego, czego ja chcę.

- Cholera!

- A zatem - ciągnęła spokojnie - proponuję, żebyśmy przedyskutowali naszą obecną sytuację i sposób, w jaki można jeszcze odzyskać list.

- Mój Boże - mruknął do siebie. Był zrozpaczony, sądząc po sposobie, w jaki przeczesał włosy rękami. - Ona nawet nie jest zdolna wymówić słowa „ukraść”, a jest zdecydowana... nie. - Pokręcił głową, wpatrując się w nią. - Nie.

- Tak - oznajmiła równie zdecydowanie. - A ty może będziesz uprzejmy usiąść?

Jego spojrzenie stało się twardsze. Wychyliła się naprzód, a głos jej złagodniał.

- Proszę, Dand. Usiądź. Możemy omówić to rozsądnie, spokojnie. Nie jestem głupia. Nigdy mnie nie traktowałeś, jakbym była.

- Nigdy przedtem się tak nie zachowywałaś!

Opadła na oparcie krzesła, machnąwszy lekceważąco ręką.

- Doskonale, wykrzycz się - powiedziała tonem guwernantki wyczerpanej napadem złości swego podopiecznego. - Kiedy skończysz, omówimy plan.

Wlepił w nią wzrok zbity z tropu jej pobłażliwością.

- Niech będzie - powiedział z rezygnacją i wyciągnął się w wiklinowym fotelu na wprost niej. - Mów.

Och, nie cierpiała, kiedy się tak zachowywał. Udawał władczego i niedostępnego. Ale był jej potrzebny. Obie go potrzebowały. Ich plan zależał od pozyskania jego pomocy.

Zsunęła się z krzesła i uklękła w gęstej, bujnej trawie przed nim. Spojrzał na nią zupełnie zaskoczony. Stanowczym gestem położyła dłonie na jego rękach i natychmiast poczuła w nich powściągane napięcie.

Opuszkki palców miał poodgniatane i szorstkie, ale złotawe włoski na nadgarstkach były delikatne. Mężczyźni z towarzystwa mieli dłonie białe i miękkie jak łoż. Jego były silne i smukłe. Wszystko w nim było prowokacyjnie męskie. Przecież to mężczyzna jak inni, uświadomiła sobie. A w sztuce owijania sobie mężczyzn wokół palca ona jest prawdziwą specjalistką.

- Dand - powiedziała cicho - wiesz lepiej niż ja, co jest stawką w tej grze.

Wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu. Chwyił ją za nadgarstek i szarpnął ku sobie, tak że opadła mu na kolana. Zaskoczona podniosła wzrok, napotykając jego palące spojrzenie.

- Nie waż się. Nie próbuj na mnie swoich kobiecych sztuczek. - W jego zduszonym głosie brzmiało ostrzeżenie. - Nie jestem dżentelmenem i nie zachowam się tak jak oni.

Szarpnęła się w tył, ale zamiast ją wypuścić, poderwał ją na nogi i uwolnił dopiero, gdy stanęła wyprostowana. Cofnęła się niepewnie, jakby miała przed sobą ulubionego psa, który nagle wyszczerzył na nią zęby. Już drugi raz przeraził ją swą nieoczekiwaną reakcją. A zdawało jej się, że go zna. Jak bardzo można się mylić.

Nagle gniew w jego oczach zgasł, pozostała tylko bezsilna rozpacz.

- Jest jakiś inny sposób. Musi być inny sposób, aby dostać się do zamku - mamrotał.

Nagłe łzy zakręciły jej się w oczach i poczuła gniew. Wściekłość na tę sytuację, na przeklęty powóz i na Danda, że miał tupet spierać się z nią, kiedy była gotowa to zrobić. Nie jest to droga, jaką by dla siebie wybrała. Jak on śmie traktować ją jakby nie zastanawiała się nad tym dłużej niż nad decyzją, w co się ubrać? Mój Boże, on się zachowuje tak, jakby podejmowała się tego lekkomyślnie, pod wpływem impulsu, jakby uważała to za rodzaj psikusa. Wyrwała ręce z jego uścisku i stanęła prosto z płonącymi oczyma.

- Jakież to sposób? - spytała.

- Jeszcze go nie wymyśliłem. Ale to zrobię.

- Cudownie - rzuciła zgryźliwie. - Ale, na razie, dopóki twoja wybitna inteligencja nie dostarczy lepszego rozwiązania, może byśmy realizowali jedyny plan, jaki mamy? A to oznacza, że St. Lyon musi zaprosić do zamku mnie zamiast Ginny.

- Dlaczego miałyby to zrobić? - Wpadł w jej cięty ton. - Już wiem. Może zamieścisz ogłoszenie w „Timesie”, informujące, że właśnie przyjmujesz zgłoszenia kandydatów na twego protektora i oferujesz specjalne warunki dla St. Lyona.

- Nie bądź wulgarny.

- Choć brzydzi mnie niezmiernie obrażanie twych delikatnych uczuć, czy mogę wskazać, że bycie kokotajest wulgarny? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- To niczego nie rozwiązuje. Wiem, że nie będzie łatwo stworzyć odpowiednie pozory - przyznała, zbliżając się ostrożnie ku głównemu celowi ich rozmowy - ale obmyśliłyśmy z Ginny pewien wybieg.

- Usycham z niecierpliwości, by go poznać.

Zignorowała złośliwość.

- Jutro rano St. Lyon wyjeżdża do swego zamku, by tam oczekiwać gości, którzy, jako że przybywają z wielu różnych miejsc, będą się zjeżdżać po trochu przez cały miesiąc. St. Lyon będzie znudzony, niecierpliwy. Za jakiś tydzień Ginny napisze do niego i zaproponuje mu moje towarzystwo zamiast niej.

- I nie sądzisz, że wyda mu się dziwne, że mu się ciebie podsuwa jak koszyk jabłek? - spytał z ponurym sarkazmem. - Oczywiście, poza faktem, że pomysł, iż zupełnie nagle rozpoczęłaś karierę kurtyzany, wydaje się co najmniej absurdalny. Nie uważam, aby St. Lyon był mężczyzną, który pozwala komuś dobierać mu kochanki. A nawet gdybym się mylił co do niego. Mężczyzna, który gra w tak niebezpieczną grę, musi sobie zadać pytanie, dlaczego jego niedoszła kochanka pozbawia się szansy pozyskania bogatego protektora.

Charlotte wzięła głęboki oddech. Nie spodobają mu się argumenty, jakimi obali jego zastrzeżenia.

- Na pytanie, dlaczego Ginny miałyby zaproponować kogoś na swoje miejsce, da się łatwo odpowiedzieć - stwierdziła. - To oczywiste, że następnym krokiem w jej zawodzie jest stręczycielstwo. - Niepotrzebnie wysilała się na żartobliwy ton. Jego oczy w kolorze agatu, kiedyś tak ciepłe, teraz pozostały obojętne i zimne jak kamienie w rzece.

Pokusiła się o uśmiech.

- St. Lyon chętnie mnie do siebie zaprosi, ponieważ... ponieważ on... już dawniej okazywał mi zainteresowanie.

Pomyliła się. Nie wyczerpał swego słownika obrazowych inwektyw. Przynajmniej wzięła je za inwektywy na podstawie tonu, jakim je wyrzucał. Nag-

le zerwał się na równe nogi, co wystraszyło ją tak, że odskoczyła, cała się kuląc.

Wlepił w nią płonący wzrok. To musi być dla niego trudniejsze, niż przypuszczała, pozwolić, by pakowała się w niebezpieczeństwo, kiedy przysiągł ją strzec. Serce jej się ścisnęło, ale zwalczyła słabość. Każdy się poświęca. Każdy ponosi ofiary. Jeśli cel jest wystarczająco ważny.

- Dand, nie ma nikogo innego - powiedziała, robiąc krok w jego stronę. - Nasza grupka konspiratorów jest bardzo mała i prawie nie ma wśród nas kobiet. Zaledwie my dwie, Ginny i ja. Zresztą, nawet gdyby była inna kobieta; taka, którą St. Lyon uznałby za pociągającą, taką, której można by zaufać, która zna plany zamku i ma pojęcie, czego szuka; St. Lyon nigdy nie wpuściłby obcej osoby do swej siedziby. Nie w takiej chwili. Będzie podejrzliwy wobec każdego, kogo nie zna...

- No właśnie! - Dand uczenił się jej ostatniego zdania. - St. Lyon będzie podejrzliwy wobec wszystkiego, co wyda mu się choć trochę dziwne. A cóż może być dziwniejszego niż fakt, że nagle postanowiłaś wziąć go sobie na kochanka? Możesz mieć za męża każdego mężczyznę z towarzystwa.

Uśmiechnęła się bladej na tę wielką przesadę.

- To się nigdy nie uda. Poza tym - ciągnął, odwracając się i odchodząc parę kroków - St. Lyon nie narazi swej pozycji towarzyskiej, rujnując reputację szwagierki markiza Cottrell.

Wzięła głęboki oddech.

- Niczego nie będzie ryzykował.

Znieruchomiał odwrócony do niej plecami.

- Jak to?

- Bo do tego czasu będę kobietą upadłą.

- Co? - Obrócił się w miejscu.

- Zanim St. Lyon dostanie list Ginny, w salonach będzie huczało od opowieści o moim upadku. On ma wielu przyjaciół w towarzystwie. Będą do niego często pisywać i na bieżąco donosić o wszystkich najnowszych ploteczkach. I dlatego potrzebuję twojej pomocy.

Pokonała niewielką odległość między nimi, trąciwszy spódnicą krzak żółtej róży i strząsnawszy deszcz wirujących płatków. Niepewnie wyciągnęła rękę. Wpatrywał się w nią, jak gdyby to było gołe stalowe ostrze, ale nie drgnął. Z wahaniem położyła otwartą dłoń najego piersi. Był taki ciepły, żywy. męski.

- Chcę, żebyś został moim uwodzicielem - szepnęła.

Patrzył na nią przez długą chwilę, z zaskoczenia szerzej otworzył oczy. Ściągnął ciemne brwi i burknął:

- Oszalałaś. Jesteś pewna, że to nie ciebie kopnął koń?
Przysunęła się bliżej, unosząc twarz i pragnąc spotkać jego spojrzenie.

- Dand. Nie ma nikogo innego, kogo mogłabym o to poprosić. Musisz udawać mego kochanka. Zostawaj do późna w moim domu. Pokazuj się ze mną publicznie. Wyglądaj na zadurzonego. Pomyśl tylko - rzuciła mu psotny uśmiech - będziesz narzędziem mego upadku. Większość mężczyzn uznaby to za wyróżnienie.

Odsunął się, uchylając się od jej dotknięcia. Nie pozwolił się kupić pochlebstwami.

- Przestań mną manipulować. Nie jestem jednym z twoich smarkatych fagasów.

Nie. Z pewnością nie jest. Nigdy nie był podobny do żadnego ze znanych jej mężczyzn, ani teraz, ani dawniej. Popełniła błąd, próbując nim manipulować. Ma dla niego zbyt wiele szacunku. Opuściła rękę, a jej kokieteryjny uśmiechek wyparował.

- Ten plan zadziała.

- O tak. To brzmi całkiem prawdopodobnie. Niszczysz swoją reputację i przyszłość, bo uległaś namiętności do jakiegoś bezimiennego przybłądy?

- Nikt w Londynie nie wie, kim jesteś. Dam do zrozumienia, że znałam cię w Yorku, że jako dzieci byliśmy zakochani, ale potem kupiłeś patent oficerski. Wróciłeś i właśnie go sprzedałeś. A gdy znów cię zobaczyłam po latach, rozważa mnie opuścić i zostałam twoją kochanką. Każdy, kto zna moją reputację, w to uwierzy - dodała oschle. - Po tygodniu zerwiemy ze sobą. Będę udawać, że wrócił mi rozsądek, za późno, by uratować straconą reputację, ale wystarczająco wcześnie, by zdać sobie sprawę, że pozycja żony byłego kapitana lekkiej straży nie przypada mi do gustu. I to także nikogo nie zdziwi. Potem postaram się, żeby do odpowiednich osób dotarły plotki, że moja przyjaciółka Ginny Mulgrew przekonała mnie, że najlepiej dla mnie będzie pójść za jej przykładem i postarać się o bogatego protektora, na przykład St. Lyona.

- Obudź mnie, proszę - błagał niebo nad głową.

- Przestań! - Jej także niezbyt podobał się ten plan, ale był to jedyny plan, jaki mieli.

- Nie wezmę w tym udziału. - Odwrócił się, ale nie pozwoliła mu odejść. Okrążyła go i zatrzymała, pchnawszy dłonią w pierś.

- Owszem, weźmiesz - powiedziała. - Bo wiesz, ilu ludzi można by... uda się ocalić, jeśli znajdę list. Tak samo, jak wiesz, ilu z nich zginie, jeśli tego nie zrobię.

- To się nigdy nie uda.

- Być może - przyznała. - Ale musimy spróbować. Ja muszę spróbować. A jeśli się nie powiedzie... przynajmniej będę wiedziała, że nie dlatego, iż ceniłam swą reputację bardziej niż życie setek, może tysięcy niewinnych ludzi. Dand... - Słońce świeciło jej prosto w oczy, tak że nie widziała dokładnie jego twarzy ani jej wyrazu. - Sumienie nie dałoby mi spokoju, gdybym nie spróbowała zdobyć listu? Jak mógłbyś żyć ze świadomością, że mi w tym nie pomogłeś?

- Jak mógłbym żyć, gdybym to zrobił? - Jego głos był zdławiony i pełen gorczy. Uniósł dłoń, tak że palce zawisły tuż nad jej policzkiem, i poruszył nią, jak gdyby ją głaskał.

- Będziesz musiał. Tak jak i ja.

Opuścił rękę.

- Poza tym być może wcale nie będę musiała zostać kochanką St. Lyona - podsunęła z nadzieją. - Może się do mnie zrazić albo odkryć, że jestem zbyt wymagająca jak na jego gust. Albo zbyt wyrachowana. Pojadę tam jako jego ewentualna kochanka, Dand. To nie jest fakt dokonany. - Modliła się, żeby to ostatnie było prawdą. Czepiała się tej nikłej nadziei. - Pomóż mi.

- Nie masz chyba najmniejszego pojęcia, o co mnie prosisz? - burknął. a serce tłukło mu się gwałtownie pod jej dłonią.

- Mówisz o przysiędze Łowców Róż? O tym, że masz dbać o dobro wszystkich kobiet z rodziny Nashów? - Musi jej pomóc. Obróciła się, szukając słów, które mogłyby go przekonać. Zobaczyła żółtą różę samotnie zwisającą z drżącej gałązki. Schyliła się, zerwała i podała mu kwiat.

- Przysięgłeś, że zrobisz to, o co cię poprosimy. A ja proszę, żebyś mi pomógł.

- Nie ślubowałem dopomóc w skompromitowaniu ciebie - powiedział żarliwie, nawet nie spojrzawszy na kwiat w jej dłoni.

- Wiem, ale pragnę, abyś zamiast mnie bronić, pomógł mi ocalić życie wielu ludzi.

Wstrząsnął nim dreszcz i zacisnął zęby. Ujęła jego pięść i odgięła długie palce, ostrożnie wkładając w nie różę. a potem równie ostrożnie na powrót je zamknęła.

- Myślę, że to korzystna transakcja - zaartowała niepewnie, modląc się, by się zgodził. - Proszę, Dand.

Międłac w ustach przekleństwo, zgniótł niewinny kwiat i wyszarpnął rękę z jej dłoni. Zawsze się jej wyrывał, przypominała sobie, a ona zawsze znajdowała jakiś pretekst, by go dotykać.

- Jak?

Szybko, póki był skłonny jej wysłuchać, przedstawiła plan, który obmyśliły z Ginny w czasie długich godzin przed świtem.

- Będziesz musiał przybrać fałszywą tożsamość. Zbyt wielu ludzi zna twoje nazwisko po zejściu z Heleną w zeszłym roku. Potem pojawiaj się, kiedy chcesz, jakbyś mój dom był twoim własnym. Zachowuj się jak kochanek. - Wzruszyła ramionami, lekko się uśmiechając. - Udawaj, że mnie uwiodłeś. Nie odwzajemnił uśmiechu.

- Nie miej złudzeń, Lottie. Cokolwiek zrobisz, świat nigdy się nie dowie, że to było na niby - powiedział chłodno. - Będziesz musiała ponosić konsekwencje tej maskarady przez resztę życia. Nawet jeśli nam się powiedzie, wygramy wojnę i Napoleon zostanie pokonany, nie będzie publicznego oświadczenia tłumaczącego twoje motywy i szlachetny cel. Dla ciebie nie będzie świętowania, żadnych odznaczeń. Gazety nie nazwą cię bohaterką i nie podadzą twojego nazwiska w kolumnie towarzyskiej. Nikt ci nie powie: „Dziękuję”.

Będał tobie szeptać. Ludzie zaczynają do ciebie odwracać plecami. Damy będą przechodzić na drugą stronę ulicy, by uniknąć spotkania z tobą a młodzi birbanci będą przechodzić na twoją stronę, by cię nagabywać. W oczach świata będziesz stracona.

- Rozumiem. - Miała niejasne przecucie, co może jej przynieść przyszłość. Wiedziała, jakie życie prowadzi Ginny. - Pomożesz mi?

Na długą chwilę zapatrzył się w jej zdecydowaną twarz, trwając w milczeniu, wreszcie rzekł, zgrzytając przy tym zębami:

- Niech to piekło pochłonie! Zgoda.

- Dziękuję. - Odetchnęła z ulgą.

- Zgoda - powtórzył. - Ale tylko dopóki nie wymyślę innego planu. Czy rozumiemy się?

- Całkowicie - wyrzuciła bez tchu. - Wierz mi, niczego bardziej nie pragnę, niż żebyś znalazł inne wyjście.

Przyjrzał się jej z zaciśniętymi wargami.

- St. Lyon jutro wyjeżdża do Szkocji?

- Tak.

- W takim razie musisz zostać skompromitowana już wkrótce, tak?

- Jak najszybciej - zgodziła się.

- Dokąd wychodzisz jutro wieczorem? - spytał, a potem dodał z odcieniem goryczy: - Bo przyjmuję, że wybierasz się dokądś?

- Tak - odparła. - Miałam wziąć udział w balu dobroczynnym w salach Argyll.

- Wyśmienicie, to miejsce publiczne. Zmarszczył brwi w zamyśleniu. -- Postaram się należycie wyglądać.

Przekrzywiła głowę pytająco.

- Po co?

Oczy zalśniły mu ostrym błyskiem, którego dotąd nie widywała.

- Żeby wziąć udział w spektaklu *Ruina panny Charlotte Nash*.



Zmierział ku południowej części miasta. Napinał szerokie ramiona i marszczył oblicze, sprawiając, że cofnąłby się przed nim każdy przechodzień, gdyby się na takiego natknął. Nie zważał na to, że okolica jest coraz uboższa. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, kierował się ku zakazanym zakamarkom leżącym gdzieś na uboczu modnych dzielnic.

Szczyćcie i pech zarazem schwytały go w pułapkę. Usidliły go okoliczności i przykra konieczność. To nie należało do jego planu. Ta drobna dziewczyna o wesołych ustach - której skrzące się oczy i cięty język kryły determinację i serce równie nieugięte i nieustraszone - nie powinna być w ogóle w to wmieszana. Do licha, przez nią sprawy zaczynają mu się komplikować.

To jego wina, oczywiście. Wiedział, że będąc nią kłopoty, od pierwszej chwili kiedy jąjrzał. Nie jest piękną Heleną czy Kate, ale jest bardziej fascynująca, z jej swawolnymi oczami, jaskrawocynamonowymi lokami, pełnym życia obejściem i śmiałymi ustami - istota zmysłowa a jednocześnie inteligentna.

Należało się trzymać od niej z daleka, ale jego stanowczość osłabła ostatnimi czasy. Ocierał się o śmierć raz po raz, co sprawiło, jak podejrzewał, że zachciało mu się posmakować życia, zanim je utraci. Zamknął oczy, pokręcił głową i prawie się roześmiał. To było takie absurdalne.

Nie pozwoli, żeby pokrzyżowało to jego plany. Nic nie zmusi go do zboczenia z wytyczonej drogi. Nie udało się to ojcu Tarkinowi ani jego „braciom”. Charlotte też nie będzie przeszkodą.

Los pchnął go na tę drogę całe lata temu, kiedy zawiódł go do St. Bride's, gdzie nawiązał przyjaźnię. Droga wymagała sprawności w posługiwaniu się szpadą, pięścią i umysłem. Ale on wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że nie można było z niej zawrócić.

Musi iść naprzód, jeśli na końcu czeka go zguba. Użyje wszystkich narzędzi, które wpadną mu w ręce. aby osiągnąć cel. Może i podziwia Charlotte Elizabeth Nash. I diabelnie jej pragnie. Mógłby nawet... Nie.

Nie pozwoli, by emocje stanęły mu na przeszkodzie. Znajdzie sposób, żeby się udało.

Zawsze znajdował.

7

*Sale balowe Argyll, Londyn
19 lipca 1806*

Charlotte przystanąła na progu sal Argyll, starając się opanować nietypowe dla niej zdenerwowanie. Światło świec odbijało się od setek luster, rozświetlając blask jak konfetti, iskrząc się na stanikach obszytych sztucznymi brylantami, migocząc w diamentach szpilek do krawatów, połyskując w sznurach pereł, lśniąc w wypomadowanych włosach i połyskliwych atłasowych kamizelkach. Czasem padało na koniuszek języka ukradkiem zwilżającego wargi lub chwyciło błysk białych zębów.

Znała tych ludzi. Wielu poznała pięć lat temu, kiedy, przybywszy do Londynu, została nieoficjalnie wprowadzona do towarzystwa przez swą przybraną rodzinę Weltonów. Tak jak Weltonowie, większość obecnych dzisiaj, to były osoby mile, jeśli nawet trochę zmanierowane. Nie bardziej skłonne osądzać bliźnich niż siebie. Była tam lady Partridge, która jedząc słodczyce, starała się wydymać usta w kształt serca, wiecznie zakłopotana pani Hal Werson oraz przemiły przystojny lord Beau Winkel.

Ale dostrzegła między nimi także mniej przyjazne twarze: Hecubę Montaigne White, kiedyś ulubienicę Londynu, znaną jako „stokrotka” z powodu mnogości jej romansów, ostatnio ogarniętą „cudownym religijnym nawróceniem” i zachęcającą innych, by poszli w jej ślady; hrabinę Juliette Kettle, niegdyś szkolną koleżankę Charlotte; George’a Ravenscrofta, któremu kiedyś posiadała pakiet środków odświeżających; a także lorda Bylespota, który pokazał jej, co naprawdę znaczy „zuchwałość”, a którego onajeszcze gruntowniej nauczyła znaczenia słowa: „nie”.

Przez cały ten czas robiła wszystko, by ich do siebie nie zrazić. Ci ludzie jednym słowem mogli zniszczyć reputację kobiety i skazać ją na życie po drugiej stronie linii oddzielającej eleganckie towarzystwo od reszty cywilizowanego świata. Czatowali wokół sali balowej, czekając na czyjaś gafę czy

nieostrożne słowo, by potem zlecieć się niczym sępy i rozdziobać ofiarę, która dopuściła się wykroczenia.

A zatem tego wieczoru będą mieć ucztę. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, do północy reputacja Charlotte będzie już mocno nadwerżona. Jeszcze krok i zostanie kobietą upadłą. Nowiny dotrą do hrabiego St. Lyona w ciągu tygodnia, a chociaż rozumiała konsekwencje, jakie miało to dla niej samej i zgadzała się je ponieść, nie mogła przestać wyobrażać sobie udręki i zszokowania siostr, kiedy usłyszą o wydarzeniach tego wieczoru.

Trudno, czyż miała inny wybór?

Jeszcze raz zerknęła ku Juliette Kettle błędzącej wzrokiem w tłumie i szukającej jakiegoś wykroczenia, którym by mogła nacieszyć swą wścibską naturę. *Bon appetit*, Juliette. pomyślała i wzięwszy głęboki oddech, weszła w drzwi sali balowej z głową wysoko podniesioną i kokietyrjnym uśmiechem na wargach.

W kilka minut otoczyli ją wielbiciele, zarówno znajomi, jaki i nowi, ciągnący za rękaw swych towarzyszy, dopraszający się, by ich jej przedstawili. Włączyła się do tej gry, uśmiechając się ślicznie, rzucając ukradkowe spojrzenia jak przynętę w potok mężczyzn i wyciągając ich na brzeg potrząśnięciem głowy, ujmującym trelem śmiechu lub żartobliwym klepieniem złożonym wachlarzem. Wkrótce żeberka z kości słoniowej tegoż wachlarza zostały zabazgrane nazwiskami mężczyzn, którym obiecała taniec.

Flirtowała z lekkomyślnością, jakiej nigdy przedtem się nie dopuściła. Ignorowała przyjaciółki, wiedząc, że jutro będądziękować swej szczęśliwej gwiazdzie, że przeszła obok nich obojętnie. Leciutkie szepty, jak nieprzyjazny wiatr wśród zeschniętych liści, szeleściły zagłuszone gwarem rozmów i muzyki.

W miarę jak szmer plotek przybierał na sile, robiła się coraz bardziej niespokojna. Kiedy on się zjawi? Gdzie jest? I wreszcie: czy ktokolwiek uwierzy, że wydał jej się pociągający?

Och, była zdania, że jeśli sama twarz mogłaby sprowadzić kobietę na złą drogę, twarz Danda byłaby idealna do tego celu. Ale ona nie jest zwykłą kobietą, jest trzpiotką znaną jako Charlotte Nash. Słynie nie tylko ze śmiałych wybryków, lecz także z doskonałego gustu. Jest bardzo wybredna i tylko niektórym mężczyznom zechciała podarować taniec lub pozwoliła się prowadzić do stołu. Nikt nie da wiary, że zauroczył ją ktoś w źle leżącej lub niegustownej kamizelce albo, uchowaj Boże, brodaty.

- Jak sądzę, to mój taniec, panno Nash? - U jej boku pojawił się młody porucznik, którego jej przedstawiono na wystawie sztuki w zeszłym tygodniu.

Zerknęła na wachlarz. Ach, tak. Albright, Matthew.

- Tak, rzeczywiście!

Wesoło przyjęła jego ramię i pozwoliła się poprowadzić ku rzędowi tańczących. Obchodził się z nią delikatnie, z czcią, jego dłoń w rękawiczkach ledwie dotykała jej dłoni.

- Jest pani czarująca. Wspaniała!

- Dziękuję - odpowiedziała machinalnie. - Jest pan zbyt uprzejmy.

„Czarująca”. Jego uwielbienie, tak szczerze i czyste, wywołało niespodziewany dreszcz zgrzyoty. Po tym wieczorze, czy kiedykolwiek inny mężczyzna uzna ją za „czarującą”? Czy raczej określenia odtąd dodawane do jej nazwiska będą z tych, których żaden mężczyzna nie pozwoliłby łączyć z jego córką lub siostrą, nie mówiąc o żonie?

- Nie. Nie jestem uprzejmy. Mówię prawdę. Nigdy nie znałem takiej osoby jak pani. Jest pani tak ekscytująca, tak fascynująca, tak...

- Prowokująca - zamruczał męski głos gdzieś za nią. - Ty mała łobuzico.

Określiła się w miejscu. Wysoki mężczyzna o szerokich barach stał przed nią w wytwornym stroju wieczorowym: granatowym fraku, śnieżnobiałej kamizelce i równie białym fularze ułożonym we wspaniałe fałdy i spiętym spinką z topazem. W ogorzałej twarzy połyskiwały oczy w kolorze bursztynu. Lśniące brązowe włosy były precyzyjnie przystrzyżone nad karkiem. Twarda, kwadratowa szczęka wygolona gładko jak marmur obnażała bladą bliznę w kształcie półksiężyca na szczupłym policzku. Szerokie, kształtne usta uśmiechały się kpiąco.

Dand? On sam! I o dziwo wyglądający na dżentelmena. Prawie na arystokratę z wyjątkiem tej ogorzałej cery i brzydkiej blizny.

Spłynęła na nią ulga.

- Obiecałaś mi ten taniec - powiedział do niej.

- Twierdzą, że pan się myli. - Albright, zmartwiony obrotem sprawy, wystąpił naprzód i wskazał na wachlarz w dłoni Charlotte. - To moje nazwisko jest zapisane na pani wachlarzu. Nie pańskie.

- Doprawdy? - spytał Dand. niechętnie przenosząc wzrok z Charlotte na młodego porucznika. Posławszy mu uśmiech, który po prostu nie wyglądał na przyjazny, od niechcienia wyrwał wachlarz z ręki Charlotte i zgniótł go w kulkę. Upuścił zmięty śmieć na podłogę.

- Niestety, panna Nash zgubiła wachlarz. Ale jestem pewien, że teraz przypomni sobie, że to mnie, a nie panu. należy się ten taniec. I następny. - Wrócił spojrzeniem do Charlotte. - I jeszcze następny. I jeszcze jeden. Musisz pamiętać, prawda. Lottie?

Zdrobnienie dotarło do jej uszu, jak pieszczota, ciepłe i poufale. Serce podskoczyło jej w piersi. Kącik jego ust uniósł się w zawadiackim uśmiechu świadczącym o tym, że wiedział, jaki ma wpływ na jego rytm. To jest gra, przypominała sobie. Takie jest jego zajęcie, sposób na przeżycie - grać rolę. Ona przecież też tak robi.

Nigdy by go nie podejrzewała o tak dobre aktorstwo. Będzie go musiała pochwalić.

- Nie można tańczyć tyle razy z jednym partnerem - oświadczył Albright z poczerwieniałą twarzą. - Obraża pan damę. Żądam satysfakcji.

Dand uniósł brwi, spoglądając na Albrighta z wyrazem leniwego zainteresowania. Jak kocur bawiący się z myszą, pomyślała Charlotte, wstrzymując oddech.

- Zanim zrobi pan coś, czego pański ojciec będzie żałował, przyjmując, że pański ojciec ma dla pana ciepłe uczucia, czemu nie spyta pan damy, czy czuje się obrażona? - Wygiął ciemną brew w jej kierunku. - A więc, panno Nash?

Po tej odpowiedzi już nie będzie dla niej odwrotu. Zawahała się.

- Lottie? - Głos Danda był łagodny, jakby dobrze rozumiał, co ona właśnie poświęca. To dodało jej siły. Uśmiechnęła się przepraszająco do Albrighta.

- Niestety, zapomniałam, że ten dżentelmen rości sobie prawo do tego tańca. I do następnych.

Porucznik, obrażony i rozżalony wlepił w nią wzrok, a ciemny rumieniec zaczął wpełzać na jego pokryte meszkiem policzki. Postawił ją na piedestale, a teraz runęła z niego. Zdradziła jego wyobrażenie o niej.

- Przykro mi - powiedziała.

- Rozumiem - odparł sztynowo. Skłonił się w stronę Danda. - Życzę panu dobrej zabawy.

Jego dobór słów sprawił, że krew odpłynęła z twarzy Charlotte. Albright odwrócił się, ale dłoń Danda błyskawicznie dosięgła jego ręki i określiła go w miejscu.

- Zdaje się, że nie dosłyszałem, synku - powiedział Dand lekkim, tonem, ale niebezpiecznie mrużąc oczy. - Dla twego dobra, taką mam nadzieję.

Młody oficer spojrział spode łba. Jego instynkt walczył z dumą. W nagłym odruchu Charlotte położyła dłoń na ręce Danda. To jest żałosne. Jak on może krzywdzić tego młodego człowieka za to, że wziął za prawdę to, w co rozmyślnie kazali mu wierzyć. I bez tego trudno jej dojść do ładu z własnym sumieniem.

- Proszę pana...
Zignorował ją.
- Co powiedziałaś?
Instynkt zwyciężył, młodzieniec odwrócił oczy.
- Życzę panu miłego wieczoru - bąknął i znów się odwrócił, oddalając się ciężkim krokiem wśród stłoczonych tancerzy. Charlotte przyglądała mu się, jak odchodzi, wyobrażając sobie pytania, które go czekają, i pełne potępienia odpowiedzi, jakich udzieli.
- Przykro mi.
Obejrzała się. Dand przyglądał jej się ponuro.
- Nie z mego powodu, mam nadzieję - powiedziała lekko. - Osiągnęliśmy to, co chcieliśmy. Moja reputacja jest w strzępach.
- Jeszcze nie. - Z nadspodziewaną delikatnością ujął jej dłoń i z drwiącym, wyzywającym przekrzywieniem głowy wziął ją w ramiona i zaczął taniec.
Okazał się nieoczekiwanie biegłym tancerzem, poruszał się z naturalnym wdziękiem, gdy prowadził ją wzdłuż długiego rzędu par ustawionych do ludowego tańca. Nie odzywał się, ale kiedy kroki żywego tańca zbliżały ich do siebie, wpatrywał się w jej twarz z żarliwością, którą każdy obserwator musiał zauważyć. Jak prawdziwy kochanek, namiętny i stęskniony...
Oczywiście, że robił to, czego wymagała jego rola, ale niemal można było uwierzyć, że prawdziwe uczucie rozpala to płomienne spojrzenie... Musi wziąć się w garść. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, że nachodzą ją takie obłąkane pomysły. To pewnie przez ten tłum ludzi, kalejdoskop kolorów, zbyt głośną muzykę i ciężki zapach perfum unoszący się jak gęsta mgła nad Tamizą z rozgrzanych ramion, zarumienionych dekolców i połyskujących biustów. Nic dziwnego, że czuje się odurzona.
- Wyglądasz na rozkojarzoną, moja droga - powiedział Dand, prowadząc ją w tańcu.
- Mam powody - odparła, w jednej chwili wymyśliwszy sobie wiarygodną przyczynę. - Zniszczyłeś mi wachlarz. Bardzo ładny zresztą.
- Kupię ci nowy - odpowiedział, chwytając jej dłonie i obracając ją lekko na zewnątrz figury. - Zresztą musisz przyznać, że wyszło z tego świetne przedstawienie dla naszych widzów. To bardzo męskie z mojej strony bronić swego terytorium i takie tam rzeczy.
- Przez połamanie całkiem dobrego wachlarza? - spytała powątpiewająco, gdy lekko położył dłoń na jej talii.
Roześmiał się, powodując, że kilka głów odwróciło się ku nim.

- Tak właśnie. Chłopak od razu zrozumiał, że jeśli zaryzykowałbym połamanie wachlarza, to muszę być pewny twego uczucia. Zapewne tego nie zrozumiesz. Kobiety nigdy nie rozumieją subtelności męskich gier.

Jego nonsensowna paplanina sprawiła, że wrócił jej humor.

- Masz rację - odrzekła. - To dla mnie zbyt subtelne. Lepiej bym zrozumiała twoje terytorialne roszczenia, gdybyś przerzucił mnie sobie przez ramię i wyniósł z sali.

Nie odpowiedział. Zaborczo przyciągnął ją ku sobie bliżej, niż było stosowne, przypominając jej tym samym, że jest dużo silniejszy od niej. Spuścił powieki i wygiął usta w uśmiechu, który sprawił, że się zarumieniła. Była wytracona z równowagi. Niech go licho z taką biegłością w tej roli. Przez niego czuła się jak młoda panienka, nieśmiała i niepewna siebie.

Taniec się skończył, ale on nie puszczał jej dłoni, przyciągając zdumione, urażone spojrzenia osób ich otaczających. A kiedy orkiestra zaczęła następną melodię, nie czekał ani nie pytał o pozwolenie, tylko pociągnął ją na powrót w swe ramiona. Tym razem zagrano kotyliona, francuski taniec, który towarzystwo wciąż uważało za trochę rozwiązły. W parę minut zdała sobie sprawę, że Dand jest więcej niż biegłym tancerzem, po prostu jest nadzwyczajny.

- Gdzie się nauczyłeś tańczyć? - spytała. - Nie wyobrażam sobie, by było do tego wiele okazji w opactwie.

- Przeciwnie. Brat Fidelis ma cudownie lekkie ruchy.

Charlotte roześmiała się pod wpływem wizji kragłego zakonnika, którego poznała w klasztorze, tańczącego menueta. Płonące spojrzenie Danda pożądliwie spoczęło na jej ustach. Bardzo miły akcent. Wyglądał właśnie tak, jak powinien kochanek.

- Nie, powiedz mi prawdę.

- Człowiek uczy się różnych rzeczy tu i tam - odparł, odrywając wzrok od jej ust. W parę chwil wyraz jego twarzy stał się zamknięty, a myśli gdzieś błądziły, gdy kroki zmusiły ich, by na krótko zmienili partnera.

- Co się stało? - spytała, kiedy taniec doprowadził ich do początkowego układu.

- Nic - powiedział. - Po prostu...

Nagle przerwał taniec, chwycił ją mocno za nadgarstek i wyciągnął z rzędu tańczących par. Bez słowa skierował się do francuskich drzwi stojących otworem na końcu sali. Inni tancerze usuwali im się z drogi, wykręcając szyje, by śledzić ich odejście.

Dand poprowadził ją przez otwarte drzwi na jasne, oświetlone księżycem kamienne płyty na zewnątrz. Na końcu niewielkiego ogrodu otoczonego

murem stali dwaj dżentelmeni zajęci rozmową, ich głosy niesły się w czystym wieczornym powietrzu. Rozprawiali o ostatnich embargach.

- Co ty wyrabiasz? - spytała przyciszonym głosem, gdy zatrzymał się i położył dłoń, ciepłą i ciężką najej krzyżu.

- Sama to podsunęłaś. - Zabrzmiało to, jak gdyby próbował sam siebie o czymś przekonać.

- Błagam, oświeć mnie - powiedziała. - O czym ty mówisz?

- Po co spędzać całą noc na tańcach, gdy będę usiłował odstraszyć co do jednego twych biednych adoratorów, kiedy możemy dużo łatwiej i skuteczniej uzyskać pożądaną efekt?

- Nie rozumiem. - Odchyliła do tyłu głowę, szukając wytłumaczenia w jego twarzy. Przez kilka sekund wpatrywał się w nią w napięciu, po czym nagle odstał o krok. Luźno opuścił ręce.

- Boże. - Odgarnął palcami włosy, burząc kunsztownie ułożone loki i zmienił się na powrót w rozczochranego, nieco podejrzanego nicponia, którego tak dobrze znała. - Nie potrafię uwierzyć, że ktokolwiek mógł sądzić, iż to się może powieść. To szaleństwo.

Jego irytacja zapaliła w niej iskrę.

- Może i szaleństwo, ale szaleństwo jest, jak sądzę, naszym jedynym wyborem - odparła. - Wracając do rzeczy, czy wyciągnęłaś mnie tutaj, by dać mi otuchy, czy masz jeszcze coś do powiedzenia?

Przyjrzał jej się, zacisnąwszy szczęki.

- Nie.

- To co tutaj robimy? Nie jest ciemno, zauważ. Ludzie widzą nas całkiem wyraźnie. I niektórzy się przyglądają.

- To jest właśnie powód, dla którego tu wyszliśmy - powiedział zawzięcie. - A także to.

Bez ostrzeżenia chwycił ją w ramiona, przycisnął brutalnie do siebie i spał ustami najej wargi.

Nikt jeszcze jej tak nie całował. Nie było w tym żdźbła finezji ani wyrafinowania, z jakimi całowała ją większość jej szarmanckich zalotników. Był brutalny. Ani cienia przymilnej pieśczoły, ani słodkiego błagania, ani spragnionych próśb. Zamiast tego dokonał zmysłowej napaści, zaskoczył ją oszalałającą pewnością siebie, z jaką zawładnął jej ustami.

Przyciągnął ją bliżej, urągając wszelkiej przyzwoitości, biodro do biodra, udo do uda, brzuch do brzucha, z ustami zdecydowanymi, gorącymi i otwartymi najej ustach. Jego dłoń przytrzymała jej kark, przeciskając się między starannie ułożonymi puklami włosów, siejąc spustoszenie w tym artystycz-

nym dziele, uwalniając krótkie loki ze wstążek i odchyłając jej głowę do tyłu, aby mieć lepszy dostęp do jej ust. Niech ją Bóg wspomóż, nie opierała się.

Nie była na to przygotowana. Nic w edukacji, jaką odebrała, będąc najbardziej uroczą i śmiałą kokietką w towarzystwie, nie przygotowało jej na coś takiego. Jej ramiona same objęły jego szyję, wargi otworzyły się ekstatycznie pod jego ustami, serce tłukło się w piersi, gdy napierał na nią, pogłębiając zaborczy pocałunek.

Westchnęła, a wtedy jego ciepły, wilgotny język natychmiast dotknął jej języka. Myśli rozsypały się w jej umyśle szarpane rozdzierającym pożądaniem. Przymknęła powieki, a dłonie zacisnęły się na szerokich pochylonych nad nią ramionach.

Świat zawirował, pragnienie przerodziło się w potrzebę. Nogi się pod nią ugięły, więc pomógł jej utrzymać równowagę, przesuwając jej ciało po swej twardej, prężnej postaci. Jego usta oderwały się od jej ust. W głowie kłębiły jej się myśli, a zmysły całkowicie nią zawładnęły. Słabo słyszała własny urywany oddech, czuła galopujący rytm serca. Dand jęknął głucho, znów przyciągając jej głowę ku sobie. Jego rozgorączkowane oczy płonęły w mroku. Gotów był pocałować ją raz jeszcze.

Ale nie ona, nie była na to gotowa. Odepchnęła go sztywnymi rękami. Natychmiast ją puścił.

Niepewnie spojrzała mu w twarz. Był opanowany, ale jego pierś unosiła się i opadała gwałtownie pod jej płasko rozłożoną dłonią. Z pospiesznego bicia serca odczytywała reakcję daleką od obojętności.

- Masz się wydawać porwana namiętnością a nie wyglądać, jakbyś próbowała uniknąć gwałtu, moja droga - zamruczał zduszonym, zgryźliwym głosem. Popatrzył znacząco na dłoń, którą bezskutecznie go odpychała.

Fala gorąca wezbrała w jej gardle, szybko zabrała rękę.

- Tak lepiej - szepnął, schyliwszy głowę i przesuwając ustami wzdłuż jej długiej szyi. Delikatne drżenie przebiegło jej ciało. - Nie martw się. Nie pocałuję cię drugi raz. Jeszcze kilka minut uległości w mych ramionach i myślę, że możemy spuścić kurtynę na nasze przedstawienie.

Przedstawienie. Zatrzymał usta u nasady jej szyi, gdy język uderzał leciutko w puls bijący szaleńczo w małym zagłębieniu. Już nie drżała, ale niemal trzęsła się w jego ramionach.

- Spokojnie, Lottie - szeptał swym ciemnym, nasyconym namiętnością głosem. - To przecież nic wielkiego.

Jednak to było coś wielkiego, czuła to. Z pewnością było.

- Moja droga, zrobiłaś to! - wykrzyknęła Ginny, gdy Charlotte weszła do sypialni. Na żądanie Ginny pokojówka przybiegła z wiadomością, kiedy tylko Charlotte wróciła. Kurtyzana podciągnęła się na stosie poduszek, z twarzą ożywioną po raz pierwszy od czasu wypadku. - Zrujnowałaś swą opinię! To wspaniałe. A jak szybko i skutecznie udało ci się tego dokonać. Doprawdy cudownie!

- Jak się dowiedziałaś? - spytała Charlotte.

- Lord Skelton był tu godzinę temu - zachichotała Ginny. - Musiał biegiem wypaść z sal Argyll, żeby mi przynieść tę wiadomość. Co za oddanie! Naprawdę, winna mu jestem całusa!

- Co powiedział?

- Chciał być pierwszym, który poinformuje mnie o najbardziej nieprzyzwoitej, najsmakowitszej *on elit*, jaka wykluła się w towarzystwie w ostatnim dziesięcioleciu. *On elit* głoszącej, że młody anioł, który zaopiekował się mną w potrzebie, został skompromitowany!

Pochyliła się do przodu, a jej piękne skośne oczy lśniły niezwykłym blaskiem.

- Czy Ross zgwałcił cię tam w ogrodzie?

- To już przesada - odparła Charlotte, próbując rozpaczliwie zdobyć się na światowy ton i nakazując nogom, by nie ugięły się pod nią. Osunęła się na brzeg łóżka Ginny.

Więc stało się. Została skompromitowana. Tylko że jej osłabłe kończyny mają dużo mniej wspólnego ze świadomością upadku niż z mężczyzną, który go spowodował. Całowano ją wiele razy. robiło to wielu mężczyzn. Żaden z nich nigdy nie poruszył jej tak jak Dand. Nie zostawił jej bez tchu, z rozwichrzoną fryzurą, z pulsem tłukącym jak wiatr o szybę i z pustym żołądkiem. Chyba na coś zachorowała.

Zmusiła się. by spotkać promienne, wszystkowiedzące spojrzenie Ginny.

- Jakie to miłe ze strony lorda Skeltona. Przyjmuję, że potwierdziłaś jego „najgorsze obawy”?

- Dopiero po długim załamywaniu rąk i wydobyciu od niego niezliczonych przysięg o zachowaniu dyskrecji, które skwapliwie złożył, co znaczy. że do tej pory - spojrzała na zegar, który pokazywał pierwszą w nocy - usłyszeli o tym wszyscy, włącznie z drugim ogrodnikiem burmistrza.

Poklepała poduszkę za sobą.

- Chodź, siadaj i opowiadaj.

Charlotte z ciężkim sercem ściągnęła z palców rękawiczki. Nie miała ochoty zostać tu dłużej. Pragnęła samotności, by pomyśleć, ale także -jak się obawiała - wspominać.

- Nie ma wiele do opowiedzenia, a ja jestem niewiarygodnie wyczerpana.

- To, moja mała. jest wielkie kłamstwo - powiedziała Ginny, unosząc wygiętą brew. - Dalej. Opowiadaj.

- Przepędził młodego porucznika Albrighta, zatańczył ze mną dwa razy z rzędu, wyciągnął mnie do ogrodu, postarał się, żebyśmy byli właściwie ujęci w ramę drzwi, a potem mnie pocałował.

- A ty?

- Oddałam pocałunek. Entuzjastycznie.

- Grzeczna dziewczynka. To wcale nie musi być nieprzyjemna praca. A potem?

- Potem przeszliśmy przez całą zatłoczoną salę balową, narzucił mi na ramiona swój płaszcz i dosłownie mnie wniósł do wynajętego powozu, do którego potem sam wsiadł, wołając głośno do woźnicy, by wiozł nas do mego domu.

- Idealnie! - pochwaliła Ginny. - A potem?

- Dwa kwartały dalej zastukał w dach powozu, kiwnął na woźnicę, by stanął, wysiadł i życzył mi dobrej nocy.

- Och? - w głosie Ginny zabrzmiało rozczarowanie. - I to wszystko?

- Wszystko oprócz tego, że jutro ma zamiar zabrać mnie na przejażdżkę po Hyde Parku w celu. jak powiedział, utwierdzenia mojej niesławy w umysłach wszystkich, do których jeszcze to nie dotarło. - Nie powiedziała Ginny, w jaki sposób Dand patrzył na nią w czasie krótkiej jazdy powozem. Twarz miał ukrytą w cieniu. Siedział przygarbiony w najdalszym kącie ciemnego wnętrza, a w ciszy panującej między nimi wibrowało wyczuwalne napięcie.

- Wspaniale. Widzę, że obmyślił postępowanie z godną podziwu precyzją. Zaczynam chyba aprobować pana Rossa. Powiedz mi, jak wyglądał?

- Wyglądał?

- Tak - powiedziała Ginny. - Czy był tak nieokrzesany jak... - chrząknęła - jak mi o nim opowiadałaś? Czy nabrał może trochę miejskiego polotu?

- Och, był w najwyższym stopniu elegancki. A chociaż jego postępowanie było zdecydowanie niecywilizowane, wyglądał idealnie.

- Jeszcze wspanialej! - zawołała Ginny. - Nowiny rozejdą się tak szybko, że mogą nawet osiągnąć St. Lyona w drodze na północ. Ale dla pewności muszę wieczorem ułożyć do niego liścik i napomknąć, jak bardzo się obawiam, że moja uparta młoda przyjaciółka, panna Nash, postawiła się w niebywale trudnej sytuacji.



Mężczyzna przepchnął się przez ciżbę otaczającą małego gazeciarza, wykrzykującego wiadomości dnia o ostatnich podbojach Napoleona, ledwie świadomy przepychającego się tłumu. Musi się skoncentrować. Sytuacja na szachownicy zmieniła się w ciągu ostatniej doby. Na szczęście potrafi przystosować się do zmian.

Ale... niech go Bóg ma w swej pieczy, nie zdawał sobie sprawy, że tak się tym przejmie. Że wyda mu się to takie trudne. Nawet teraz mało brakuje, aby poddał się emocjom.

Z wysiłkiem przełknął ślinę. Czuł, jak powraca pragnienie i, rozejrzawszy się ukradkiem, wypatrzył obskurne podwórko, ciemne i puste o tej późnej godzinie. Z głową wysoko uniesioną zanurzył się po omacku w atramentową czerń. Oddech miał urywany, ścisnęło go w gardle. Zaczął grzebać w kieszeniach płaszcza, szukając szczyryka, który zawsze nosił przy sobie. Potem, z uczuciem wstydu i ulgi, zdarł rękawiczkę i szeroko rozłożył palce. Koniec z widocznymi bliznami. Już więcej nie. Kiedy to się skończy, a on zajmie należne mu miejsce w społeczeństwie, nie będzie już potrzebował... dokonywać na sobie tej okropności.

Wyciągnął cienki, śmiertelnie ostry nóż z malachitowego futerału i utkwiał wzrok w srebrzystym czubku, który układał mu się w dłoni tak pięknie, idealnie wyostrzony, i popróbowował oprzeć się połyskującej pokusie.

Głowę odchylił w tył i oparł o ceglana ścianę. Wszystkie jego emocje walczyły ze sobą - duma i rozpacz, i gniew, i... tak, miłość ściskająca mu serce wciąż i wciąż na nowo, do głębi duszy!

Jęknąwszy ze wstrętu do siebie, wbił czubek ostrza w czułe ciało pomiędzy palcem wskazującym a środkowym, syknął, czując kłujący, rozjaśniający umysł ból. Cudowny ból, jak kwas zżerający winę, zwątpienie i przerażenie, niezostawiający niczego prócz wyśmienitego... czystego... cierpienia.

Ogarnął go spokój. Wracał mu dobry nastrój. Odzyskał właściwą perspektywę. Jego zwykła bystrość umysłu wydawała się ostrzejsza. Czuł, że świat

jest bardziej klarownym miejscem. Beztrudno wsunął ostrze na powrót do futerału, a myśli już skupił na wypadkach wieczoru i nowych problemach, które z tego wynikały. Myślał o dziewczynie, prostytutce, a także o mężczyźnie znanym jako Dand Ross.

Oczywiście. Oczywiście. Dlaczego nie widział tego przedtem? Wszystko wspaniale się ułoży. Nawet lepiej, niż planował początkowo. To było prawie, jakby sam Bóg tak zrządził.

Może i tak jest.

8

*Culholland Square, Mayfair
20 lipca 1806*

Panno Nash! Panno Nash! - Lizette, pokojówka Charlotte, nawet nie pofatygowała się, żeby zastukać do drzwi. Po prostu wpadła do pokoju z szeroko rozwartymi oczyma i otwartymi ustami.

Charlotte zmusiła się, by sięść prosto w łóżku. Była przestraszona.

- O co chodzi, Lizzie? Coś się stało?

Pokojówka frunęła do okna sypialni, szarpnięciem rozsunęła ciężkie brokatowe draperie i wypełniła pokój jaskrawym światłem. Okręciła się wkoło z dłonią na piersi.

- We frontowym holu czeka jakiś mężczyzna! Zjawił się w fikuśnym powozie dziesięć minut temu i zażądał, żeby lokaj go wpuścił. Kiedy ten mu powiedział, że pani nie przyjmuje, wszedł sam! Jest tam na dole i powiedział mi, żebym kazała się pani pospieszyć.

- Tak ci powiedział? - Zamrugała powiekami. Niewiele spała ostatniej nocy, nie pozwoliło jej na to uczucie ponizenia. Nie chodziło o upokorzenie tym, że zrujnowała sobie swoją reputację, ale o to, że nie potrafiła ukryć swej fizycznej reakcji na nieoczekiwaną biegłość Danda Rossa w miłosnych igraszkach.

- Kto to jest?

- Nie wiem, proszę pani! Nabab, jak myślę. Jest brązowy jak Hindus, ale ubrany jak hrabia, wystrojony jak z pudełeczka, i przemawia, aż miło posłuchać. Tylko że to nie dżentelmen. No bo czy dżentelmen tak by się zachowywał? Akurat!

Dand jest tutaj? - pomyślała Charlotte zmieszana. Mówił, że przyjdzie po nią po południu.

Zerknęła na metalowy zegar ustawiony na gzymsie kominka. Wskazywał dziewiątą. Nieludzka pora na przyjmowanie odwiedzających, jeśli nie wydarzyło się nic ważnego.

Wyskoczyła z miękkiego łóżka, narzuciła jedwabny prześwitujący szlafrok w żonkilowym kolorze, który jej podała Lizette i pospiesznie wybiegła z sypialni.

- Czy mam posłać po lokajów? - spytała Lizette, ruszając za nią.

- Nie! - zawołała Charlotte przez ramię, zbiegając boso po schodach. Coś musi być nie tak. W przeciwnym razie, dlaczego Dand by nalegał, żeby się pospieszyła? Pokonała schody i podest nad holem...

- Niech ktoś skoczy i powie tej dziewczynie, żeby nie traciła czasu na strojenie się. - Głos Danda, znudzony, władczy, przesycony męską pobłażliwością i zdradzający leciutki obcy akcent, sprawił, że stanęła jak wryta. - Człowiek chce wiedzieć, co kupił pod tym całym takielunkiem.

Jakby w nią piorun strzelił. Wyjrzała przez balustradę do frontowego holu. Dand stał pośrodku parkietu, wspierając się lekko na lasce ze srebrną gałką, rozglądając się od niechcenia.

Wcale nie wyglądał na zdenerwowanego. Przeciwnie, na całkiem zadowolonego. Nic się tu nie zgadzało. Wszystko było nie tak. To ona jest doświadczoną weteranką flirtowania. Jest mistrzynią przyjemnych dreszczyków. Jest niezrównaną, nieosiągalną, prowokacyjną panną Charlotte Nash. A on jest... jest... szczurołapem!

Ale przystojnym szczurołapem. Diabelnie przystojnym. Nie da się zaprzeczyć. Jego granatowy surdut leżał na szerokich ramionach bez jednej zmarszczki zaburzającej idealny krój. Żółtobrazowe spodnie opinały muskularne uda, a czarne heskie buty lśniące lustrzanym połyskiem obciskały tydki.

- Co tu robisz? - zawołała, wychylając się przez poręcz.

Zadarł głowę. Oczy rozbłyły mu zadowoleniem.

- Ach, Lottie! Wyglądasz urzekająco. Przyznaję, że jestem zachwycony. Naprawdę!

Kpiący błysk w jego oczach speszył ją. Uświadomiła sobie, jak wygląda z krótkimi lokami potarganymi prosto z pościeli i twarzą bladą po niespokojnym śnie. Jak na zuchwałą kokietkę, łamiącą męskie serca, przedstawia się pewnie zdecydowanie niekorzystnie.

- Co ty tu robisz?

- Cóż, jak tylko załatwiłem przejęcie płatności, stwierdziłem, że skoro porozumieliśmy się co do naszego związku, wolę cieszyć się twym ujmującym towarzystwem, niż ponosić dodatkowe koszty hotelu. - Zdecydowanie nabrał lekkiego francuskiego akcentu.

- Naszego związku? - powtórzyła machinalnie. - Co u diabła jeszcze chcesz...

- Nie przy dzieciach, Lottie - odparł Dand ścisłym głosem, oglądając się znacząco przez ramię.

Obróciwszy głowę, Charlotte poszła za jego spojrzeniem. Za jej plecami Lizette zastęła w podnieconym zdumieniu, z szeroko otwartymi oczyma.

- Cii... - usłyszała szept Danda.

Wyjrzała na dół do przedpokoju. Lokaje Brian i Curtis stali poniżej, po bokach drzwi frontowych, z twarzami podobnie skonsternowanymi i zdziwionymi, gotowi rzucić się jej na pomoc w każdej chwili. Wychyliła się dalej i ujrzała kucharkę podsłuchującą za pokrytymi zielonym sukniem drzwiami prowadzącymi do kuchni. Kiwała głową, jakby jej najgorsze przypuszczenia w końcu się potwierdziły. Nawet posługaczka, z pióropuszem do kurzu wciąż ścisłym w ręku, wyjrzała chyłkiem z frontowego salonu, by sprawdzić, co się dzieje.

- Boże drogi! Niech to licha! - Cichy jęk wydobył się z jej warg.

Dand cmoknął językiem współczująco.

- Och, moje biedne kochanie. Nie chciałem, żeby pokojówka cię budziła. Ale ta głupia pannica nie słuchała głosu rozsądku. Przekrzywił głowę, jakby nagle naszała go jakaś myśl.

- No tak, Lottie - powiedział tonem łagodnej wymówki - nie powiedziałaś służbie o mnie, prawda? Niegrzeczna dziewczynka. Nic dziwnego, że wszyscy są tak niezdrowo podnieceni. Powiedz im, żeby zajęli się swoimi sprawami, na co czekasz?

Rozejrzał się po zgromadzonej służbie, bardzo spokojnie, ale z ostrzeżeniem w ciemnych oczach.

- Czy może ja im powiem?

- Nie... Nie. - Wahała się. Jaki ton należy przybrać, kiedy ma się jakby nigdy nie ogłosić służbie, że się zostało kobietą upadłą? Przyłapał ją absolutnie nieprzygotowaną. To nie fair. Trzeba improwizować. Coś rzuconego od niechcenia, wyniosłego i dystygowanego...

- Wy wszyscy odejdźcie. Weźcie się do pracy. Po prostu idźcie sobie! - Dand uśmiechnął się przepraszająco do zaskoczonej służby. - Ona pragnie chwili sam na sam ze mną. - Idźcie!

Potruchtali, oddalając się ze żwawością chrząszczy spłoszonych jaskrawym światłem. Kilka sekund później jedynym śladem po ich obecności było delikatne kołysanie się drzwi.

Dand uśmiechnął się szeroko, wznosząc oczy ku Charlotte.

- Dobrze poszło, jak sądzę.

- Doprawdy? - spytała chłodno. - Kłaniam się przed twoją znajomością rzeczy. A teraz po raz ostatni pytam, co u licha zdaje ci się, że tu robisz?

- Och, co za język. Wiesz, Lottie, najbardziej ekskluzywne utrzymanki są znane z tego, że publicznie zachowują się nadzwyczaj delikatnie, a prywatnie wprost przeciwnie. Bardzo się obawiam, moja droga, że ty to traktujesz całkiem na odwrót.

- Dand...

- Po prostu staram się przekazać, ile mogę dobrych rad - powiedział lekko, balansując laską na ramieniu i ruszając w górę po schodach. Jego ruch sprawił, że się cofnęła. Niemożliwe, żeby chciał wejść do jej sypialni! Są pewne granice, których nawet ona nigdy nie przekroczyła. To była jedna z nich i zareagowała instynktownie.

- Stój. Zostań tam! - rozkazała. Zatrzymał się w pół drogi i przyjrzał jej się zadziwiony. - Ty... Ty zaczekaj w... w jadalni!

- Wiesz, że jak na taką twardą małą sztukę jesteś zdumiewająco prowincjonalna...

Nie czekała, żeby usłyszeć więcej. Zakręciła się na pięcie i zawróciła do swego pokoju. Szybko zrzuciła nocną koszulę i spryskała twarz wodą, po czym umyła zęby włosianą szczoteczką i pospiesznie wzięła skromną i nadzwyczaj przyzwoitą suknię z batystu koloru kości słoniowej w śliwkowe pionowe pasy.

Co to wszystko miało znaczyć? Najwyraźniej przyszedł tu, aby ich przedstawienie wydawało się jeszcze bardziej prawdopodobne. Ale co dokładnie sobie ukartował, żeby jeszcze bardziej ją pogrążyć? Niczego nie była pewna poza tym, że może chciał posunąć się dalej, niż ona sama byłaby skłonna. Niż miałaby odwagę się posunąć, poprawiła się, gdy naszło ją wspomnienie ich namiętnego uścisku, wywołując dreszcz podniecenia w brzuchu. Dość tego. Czarną aksamitną wstążką odgarnęła z twarzy gęstwinę krótkich loków, i odzyskawszy styl, ruszyła stawić czoła Dandowi.

- Gdzie on jest? - spytała lokaja.

- Monsieur Rouse jest w pokoju stołowym, proszę pani.

Monsieur Rouse? On naprawdę oszalał.

Zastała Danda usadowionego wygodnie na honorowym miejscu przy stole, nakładającego łyżką trochę jajka na tost. Na jej powitanie zamachał nad talerzem srebrnym widelcem.

- Twoja kucharka wspaniale przyrządza jajka Lottie! Twierdzi, że szczyptorek czyni cuda.

Zignorowała jego słowa i z godnością podeszła do stołu. Ona też jest osobą światową i pora mu o tym przypomnieć.

- Zaryzykuję to, że się powtórzę - wycodziła przez zęby - i spytam, co tu robisz? I kiedy nabrałeś tego francuskiego...

Przerwał jej obcesowo krótkim, znaczącym gestem i sięgnął po dzbanek, by nalać ciekawą strużką czarny, parujący płyn do filiżanki.

- Francuskiego zwyczaju picia kawy rano? - wykrzyknął, gładko wpadając jej w słowo. Posłał ostrzegawcze spojrzenie w stronę drzwi, najwyraźniej podejrzewał, że są podsłuchiwanie. - Przecież jestem Francuzem.

Uśmiechnął się promiennie, każąc Charlotte zastanowić się przez chwilę, czy rzeczywiście nie jest po części Francuzem. Z pewnością mówi tym językiem jak rodowity Francuz. I to nie prostackim żargonem, ale płynnym językiem arystokraty. Ale nie. To bez sensu. Jest przecież szkockim sierotą.

- Powinnaś coś zjeść - ciągnął Dand swobodnie. - Curtis!

Natychmiast drzwi prowadzące do kuchni otworzyły się z rozmachem i wszedł jej najmłodszy lokaj. Dand miał rację. Służba ich podsłuchuje.

- Słucham, proszę pana?

- Panna Nash chce się posilić. Jajko? - Uniósł brwi pytająco i omiół wzrokiem jej szczupłą figurę, zuchwale ją oceniając. - Dwa jajka. I tost.

Tego było już za wiele. Nie jest kłaczą zarodową, którą wygrał w zakładzie i przyszedł skontrolować, czy warto ją zachować. Uchodzi za jego kochankę. Kochanki są traktowane przez swych protektorów szarmancko i z uwielbieniem. Przynajmniej tak słyszała.

Widząc burzę zbierającą się w jej oczach, dodał:

- I miód. Najwyraźniej wymaga dosłodzenia.

Curtis, jak przystało na dobrego lokaja, zdołał zdusić kiełkujący uśmiech, ale nie ukrył bezwstydnego błysku w oku.

- Natychmiast, proszę pana.

- I dość z tym czatowaniem przy drzwiach - dorzucił Dand od niechcenia.

- Nie chciałem być niegrzeczny, proszę pana. Starałem się tylko zapewnić jak najszybszą obsługę, proszę pana.

- Jestem pewien. Ale poczuje się mocno obrażony, jeśli przyłapię kogoś podsłuchującego pod drzwiami. Zechciej wspomnieć o tym służbie.

- Oczywiście, proszę pana.

Gdy tylko Curtis wyszedł, Dand wrócił na swoje krzesło.

- Teraz możemy rozmawiać.

- Och, dziękuję ci - powiedziała Charlotte sarkastycznie, siadając przy przeciwnym końcu długiego stołu.

- Moja droga - powiedział - zrobiłem, co mogłem, by zapewnić nam prywatność, ale jeśli się upierasz, by siedzieć tak daleko, ośmielę się twierdzić, że nie trzeba przykładać ucha do drzwi, by słyszeć naszą rozmowę.

Miał rację. Ale nie musiał przy tym być taki zadowolony z siebie. Zdała sobie sprawę, że powinna ustalić wiele rzeczy, by znów jak dawniej być na przyjacielskiej stopie z Dandem. Za bardzo się przed nim odsłoniła, gdy całował ją zeszłego wieczoru. Ale to było wczoraj, a dziś jest nowy dzień. Przypomniała sobie, kogo ma udawać, jeśli ma jej się udać ta maskarada.

Z wdzięcznym skinieniem głowy zbliżyła się do niego. Wstał i podsunął jej krzesło, które przyjęła.

- A teraz - powiedziała, wskazując mu, by usiadł - proszę. Mów. Po pierwsze, po co to francuskie nazwisko?

- Chociaż podobał mi się pomysł przedstawienia mnie jako syna dawnego sąsiada, uznałem, że zbyt łatwo byłoby zdemaskować to kłamstwo - odparł. - Twój ojciec, moja droga, był osobą dość znaną, a twój dom rodzinny znajdował się w jednej z najelegantszych dzielnic Yorku. Jestem pewien, że dzisiaj w Londynie znajdują się ludzie, którzy kiedyś tam mieszkali i którzy potrafią porażająco dokładnie wyliczyć, kto zamieszkiwał w którym domu przy tej i tej ulicy.

- A w czym ma pomóc udawanie Francuza?

- Francuskiego emigranta - poprawił. - Andre Rousse'a, który wraz z rodziną spędził kiedyś cudowny sezon w Bristolu po ucieczce przed okropnościami dziejącymi się w rodzinnym kraju mego biednego papy. To tam szczęśliwy przypadek doprowadził do naszego brzemiennego w skutki spotkania.

- Przerwał swą recytację i zatopił w niej pytające spojrzenie. - Czy kiedykolwiek uważałaś nasze spotkanie za brzemienne w skutki, Lottie? Ja tak. Tak czy inaczej, nasze rodziny się spotkały. Jestem pewien, że doceniasz tę błyskotliwą bajeczkę, prawda? Gdyby ktokolwiek się zdziwił, że nigdy o mnie nie wspomniałaś, to przecież w dzisiejszych czasach nie wspomina się bez absolutnej konieczności o francuskich koneksjach, zgoda?

Musiała przyznać, że jego plan miał zalety.

- Zdaje mi się, że to ma sens.

- Naprawdę, zawrócisz mi w głowie takimi pochlebnymi osądami. Prawie się uśmiechnęła. Podparła brodę ręką i przechyliła głowę.

- Ale po co tu przyszedłeś, Dand?

Zjadł następny kęs jajka.

- Zdawało mi się, że to się rozumie samo przez się. Przyszedłem, żeby wcielić się w rolę twego protektora. Nasza maskarada musi być prawdopodobna.

- Do tego nie jest niezbędna twoja obecność tutaj o tej nieludzkiej godzinie.

- Nie zgadzam się. Och, to prawda, że wprawiliśmy w ruch ludzkie języki zeszłego wieczoru. Ale w oczach towarzystwa zostałaś jedynie skompromitowana. Większość osób zapewne czeka na zapowiedź w „Timesie”. Zwłaszcza stary St. Lyon, wiedząc, kim jesteś, i co ważniejsze, kim jest twój szwagier.

Pomyśl sama, Lottie, co jest bardziej prawdopodobne, twoje natychmiastowe zaręczyny czy natychmiastowe wejście do półświatka. Niewątpliwie byłoby przyjemnie całować cię na każdym rogu ulicy i w każdym miejscu publicznym w Londynie, aż wreszcie stałoby się oczywiste, że nie ukaże się żadne ogłoszenie w „Timesie” i że całkowicie i prawdziwie straciłaś reputację. A dopiero wtedy St. Lyon mógłby wpaść w twoją pułapkę. - Tyle tylko, że twój upadek przyszedłby o wiele za późno, bym miał z niego jakiś pożytek. - Uśmiechnął się młdo. - Chciałem powiedzieć, żebyśmy my mieli. St. Lyon musi być przekonany, że stałaś się kobietą z półświatka, jak bardzo trafnie zauważyłaś zeszłego wieczoru. I to jak najszybciej i jak najdosadniej.

- Upił łyk kawy. - A w jaki sposób można wykorzenić wszelkie wątpliwości co do twojej pozycji? Najlepiej żeby tu zamieszkał. Poza tym żadne plotki nie są tak szybkie ani tak nie trafiają ludziom do przekonania jak te rozsiewane przez twą własną służbę.

On ma zamiar tu mieszkać? Wyprostowała się powoli, szeroko otworzyła oczy, a zaraz potem usta, kompletnie wstrząśnięta. Nie zdawała sobie sprawy, że on zamierza tak daleko posunąć tę maskaradę. Och, kilka wczesnych śniadań, kilka wizyt późnym wieczorem, oczywiście bez przyzwoitki, ale... mieszkać tu?

- Ale... ale...-jąkała się. - Ja nie... to znaczy, myślałam, że jeśli jest jakaś szansa, że potem moglibyśmy... że jeśli pozostanie jakaś wątpliwość co do mego... - nie mogła znaleźć delikatnego sposobu powiedzenia tego, co należało - mego stanu...

- Ach. Chodzi ci o to, że miałaś nadzieję wymigać się od etykiety kurtyzany? - odpowiedział jej współczującym tonem.

Co się stało temu gniewnemu, upartemu Szkotowi? Temu samemu, który zaklinał się i wściekał na najłżejszą sugestię, że mogłaby przywdziać maskę kobiety lekkich obyczajów? Zniknął. Zamiast niego siedział przed nią zły brat bliźniak w wytwornym ubraniu, elegancko niefrasobliwy.

- Obawiam się, że wszyscy musimy uczyć się żyć z tym, co wybierzemy, Lottie - powiedział z tą samą obmierzłą łaskawością.

- Dlaczego się zmieniłeś? Dlaczego nagle tak się zapaliłeś do tego planu?

- Wróciłem do mego mieszkania. Przemyslałem to. - Jego spojrzenie stało się nieprzeniknione. - Przemyslałem sobie wszystko, co jestem gotów zrobić, żeby osiągnąć cel. I pogodziłem się z myślą, że zrobiłbym wszystko, co konieczne, podjąłbym każde ryzyko i poniósłbym każdą ofiarę, by ostatecznie dopiąć swego.

Spojrzała na niego smętnie, żałując, że nie była mniej przekonująca, gdy przekonywała go do tego planu. Równocześnie uświadomiła sobie, jak absurdalna jest to myśl.

- Widzisz, Lottie - powiedział Dand, a jego spojrzenie złagodniało, stając się bardziej znajome, rozbawione i ironiczne. - Nie tylko ty ponosisz ofiarę, zauważ. Gdy tylko twój szwagier Munro o tym usłyszy, będzie mnie ścigał na koniec świata, by podziurawić szpadą. A twój drugi szwagier, zawzięty Kit? - Zaśmiał się. - Nie spocznie, dopóki nie znajdzie okazji, by połamać mi kości.

- Nie jeśli wytłumaczę im okoliczności - powiedziała. - Zresztą, nawet się nie dowiedzą, że to ty.

Jego spojrzenie wyostrzyło się, ale głos pozostał beztroski.

- Pozostaje tylko mieć nadzieję...

Ruch w korytarzu sprawił, że obrócił głowę. Momentalnie chwycił Charlotte za nadgarstek i posadził na kolanach.

- Och!

- Pamiętaj, o co gramy! - Ledwie zdążył mocno ją przytrzymać w pasie i szepnąć, kiedy drzwi otworzyły się z rozmachem i ukazał się Curtis niosący srebrny półmisek z kopolastą przykrywą. Lokaj stanął jak wryty z okrągłymi oczyma, gdy ujrzał, gdzie siedzi jego pani.

- Postaw to tutaj, Curtis - powiedział Dand swobodnie, gładząc plecy dziewczyny gestem posiadacza. Curtis zrobił się czerwony jak cegła. Charlotte z trudem oddychała. Potrafi to zrobić. Musi.

- Zuch chłopak. Ale, kochanie, czy na pewno muszę cię karmić?

Dobrze, że odwróciła głowę, bo lokaj byłby zdumiony, gdyby odczytał z ruchu jej warg słowo, którego, jak podejrzewała, w ogóle nie powinna znać.

Brazowe oczy Danda błysnęły nieudawanym zachwytem.

- Ach! Zawstydzona! Jakie to... rozkoszne. Zostaw półmisek i idź sobie, Curtis. Chcemy być sami!

Usłyszał stuknięcie półmiska stawianego na stole i po kilku sekundach drzwi się zamknęły. Z gniewnym prychnięciem odepchnęła się od piersi Danda, próbując zejść z jego kolan, ale mocno ją przytrzymał.

- Co właściwie spodziewałeś się osiągnąć tym małym interludium, poza tym, że speszyłeś... biednego Curtisa? - zapytała z najświętszym oburzeniem, ponieważ trzymana w ten sposób nie mogła nie czuć jego muskulatury, siły jego ramion, zapachu. Nawet przez płótno i wełnę, gorąco jego ciała, męskie i absolutnie dla niej nowe, było rozpaczliwie rozprasające.

- Służba, Lottie, to nasza najważniejsza publiczność w tym podstępnie. Muszą rozpowiadać o nas historie, a zatem trzeba dostarczyć materiału do plotek. Proponuję, żebyśmy jak najczęściej wzbogacali ich zasób opowieści.

W odpowiedzi na te nonsensy próbowała wstać. Nie pozwolił jej. Tylko się zaśmiał.

- Kto by pomyślał? Zawadiacka, figlarna, uwodzicielska panna Nash, świętoszka?

Przysunął wargi bliżej jej ucha i szepnął:

- Nie bądź wobec mnie taka wstydliva i dziewczęca, mała uwodzicielko! Ciepły obłoczek jego oddechu ożywił pragnienia z zeszłego wieczoru.

- Nie jestem niezdecydowana. Nie jestem świętoszką. Jestem rozpuszczoną panną kokietką, figlarką fiirciarą- oznajmiła, czując, że podrażniono jej dumę. Wszystko w niej dygotało. - Absolutnie nie jestem świętoszką.

- Więc przestań się zachowywać jak świętoszka. Zostań. - Przechylił ją w tył, zmuszając by się o niego oparła. Duch stał się ciałem, wspomnienie stało się nowym przemożnym pragnieniem. - Zostań - powtórzył dziwnym głosem. - Oswajaj się ze mną, z moim ciałem, moim dotykiem.

To miało sens. Dużo sensu. Pod warunkiem, że on nie wie o pożądaniu szmerzącym w jej żyłach. Oszałamiającym. Wprawiającym w euforię. Zbyt potężnym, by je ignorować. Zbyt rzeczywistym, by się go wyprzeć. Jej ręce, dotychczas sztywno obejmujące jego szyję, zaczęły się rozluźniać. Ciało zaczęło wtapiać się w niego, jak gdyby miękło w odpowiedzi na jego twardość, chcąc go wchłonać, poddać się, otworzyć...

Nie! Nawet gdyby ona i Dand nie byli... towarzyszami? Współkonspiratorami? Rozsądek nakazywał jej bronić się przed tym uczuciem. A to znaczyło, że musi być absolutnie uczciwa wobec siebie.

Dla Danda to tylko emocjonująca gra. a Londyn i Paryż, i wszystko pomiędzy nimi stanowią szachownicę, na której każdy jest figurą. Przesławia je, manipuluje nimi, używa dla ostatecznego celu. Ale ona nie jest Dandem. Nie umie być tak beznamiętna. Pytanie, czy jest dość dobrą aktorką, by ukryć swą uczucia?

Będzie musiała spróbować.

- Zgoda.

- Przecież to nie wyrok śmierci - szepnął. Czy jego wargi musnęły brzeg jej ucha? Drgnęła. - Poza tym, jak sprytnie mi wyjaśniłaś, to nie potrwa długo.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Były przejrzyste jak płytki bursztynu, fałszywie słodkie i ciepłe, zmrużone w kącikach. Malowało się w nich kpiące rozbawienie, które tak dobrze знаła.

- Najdalej za jakieś dwa tygodnie - ciągnął - odegramy równie publiczne i równie namiętne rozczarowanie. Opuścę cię. a ty, wzgardzona i beznamiętnie zrujnowana, wymkniesz się chyłkiem do naszego gniazdko, by naprawić, co się da w twym żalnym życiu.

Rozmyślnie się starał stworzyć obraz, jak z przerysowanej i przesadnie romantycznej powieści. Nie mogła się nie roześmiać, odczuwszy ulgę, gdy zaprzestał igraszek z jej uchem. Przynajmniej tak to sobie wytłumaczyła.

- Okropność!

Kiwnął głową pogodnie.

- Tragiczne.

- Tak, to się nigdy nie uda.

Nie zwrócił uwagi na jej słowa. Nosem rozsunął loczki na jej karku. Skamieniała. Wciągnął powietrze głęboko i przesadnie.

Nie. Nie. Ona nie jest uśmiechającą się głupawo, strachliwą panią, omdlewającą, gdy mężczyzna okaże jej względy.

- Co to za zapach?

- Jaśmin. - Przypomniała sobie, żeby oddychać.

- Ładny. - Jego oddech rozchodził się ciepłymi wirami, spływając jej po grzbiecie, i wprawiał w drżenie zakończenia nerwów. Mocno zagryzła dolną wargę. Nie pozwolił się tak łatwo rozproszyć. Skądinąd, ciekawe, gdzie też on się nauczył tej sztuczki?

- Mam lepszy pomysł zakończenia naszego związku, który okazał się pomyłką - powiedziała, odpychając go i próbując przybrać beznamiętny ton.

- To ja cię odprawię. A ty w porwy cierpienia i rozpaczki zbyt wielkiej, by ją rozpamiętywać, rzucisz się z London Bridge. - Zawahała się, czując że

chyba posunęła się za daleko. - Albo wsiądziesz na pierwszy statek do Egiptu.

- Nie, nie - poprawił ją łagodnie, nie dając jej odejść i znów podskubując wargami jej szyję. Leciutki dreszcz rozkoszy przeleciał jej po skórze. - Widzisz, jeśli ja cię porzucę, to twoja decyzja, żeby wziąć następnego kochanka, będzie logicznie wynikała z faktu, że w swoim nieszczęściu szukasz u kogo innego powrotu chwil wyrafinowanej rozkoszy i szczęścia, jakie znalazłaś ze mną.

- Zauważ, jak szkodliwe takie wrażenie byłoby dla mej misji - sprzeciwiła się grzecznie, obracając się gwałtownie w jego objęciach, przez co ich wargi znalazły się niebezpiecznie blisko siebie. Zatopił spojrzenie w jej ustach, sycąc się ich widokiem.

- A to dlaczego? - Odrobinę rozchylił wargi. Przechylił głowę, jak gdyby miał...

- Dlatego... - pisnęła i głos ją zawiódł. Spróbowała znów. - Dlatego, że żaden mężczyzna, a już zwłaszcza St. Lyon, dobrowolnie nie pozwoli się porównywać z poprzednim kochankiem, a już na pewno nie z tym. w którego wyższość każe mu się wierzyć.

Dand nachmurzył się, ale nie oderwał wzroku od jej ust. Czyżby pozostał tam jakiś okruszek? Delikatnie przejechała koniuszkiem języka po górnej wardze. Źrenice Danda pociemniały. Jego pierś, dotąd poruszająca się miarowo, znieruchomiała.

- Nie. - Postanowiła nie dać się spieszyć jego zachowaniem, które, jak podejrzewała, było udawane. - Lepiej, jeśli ja cię rzucę, bo wówczas St. Lyon będzie sądził, że mój związek z tobą okazał się tak fatalny, że po zerwaniu natychmiast chcę się przekonać, iż nie zawsze musi być tak źle. - Uśmiechnęła się słodko, pochylając się i ujmując go dłonią pod brodę. Jego zarost był jak najdrobniejszy papier ścierny, skórę pod nim miał ciepłą. - *N'est-ce pas?*

- Możemy później uzgodnić szczegóły. - Wyglądał na roztargnionego. Troszkę... odurzonego. Nagle odchylił się w tył i wstał, unosząc ją i stawiając obok siebie tak łatwo, jak gdyby była dzieckiem. - Gdzie każesz wnieść moje rzeczy?

- Co? Ach. - Poczuli lekki zawrót głowy. Za mało snu, za dużo wrażeń. - Nie będziesz miał dużo miejsca - powiedziała. - Więc nie sprowadzaj tu mnóstwa rzeczy.

- Nie mam mnóstwa rzeczy - odparł.

Co do tego nie miała wątpliwości, ale jego słowa przypomniały jej coś, co nurtowało ją od zeszłego wieczoru. - Skąd wzięłeś to ubranie i tamto, które

nosiłeś wieczorem? I jak udało ci się doprowadzić do taki zadbanego wyglądu w tak krótkim czasie?

- Ach. Tak. Dość łatwo. Po prostu zajrzałem do miejskiego domu Munra i pożyczyłem parę rzeczy z jego garderoby. Zawsze byliśmy podobnej budowy. Cieszę się, że nie utył przy tym wystawnym życiu, jakie prowadzi.

- Włamałeś się do domu markiza Cottrella i ukradłeś jego ubrania? - spytała, niezdolna ukryć podziwu.

Wzruszył ramionami z udawaną skromnością.

- Przecież jestem szpiegiem, Lottie.

- A... - wskazała na jego idealnie przycięte włosy, gładko wygoloną szczękę, wymyślne fałdy krawata - reszta?

- Panie z Barrow Street były bardzo uprzejme.

Zatrzęsło ją rozgrzane do białości, nieokreślone, lecz wysoce nieprzyjemne wzburzenie.

- Nie będziesz potrzebował ich starań w przyszłości.

Uniósł pytająco jedną brew.

- Teraz, kiedy jesteś... zaangażowany gdzie indziej, nie wolno ci się pokazywać w podłych burdelach.

- One nie są podłe - odparł z cieniem uśmiechu.

- Nie obchodzi mnie to! - Opanowała się. - Nie wolno ci się pokazywać, jak wychodzisz z jakiegokolwiek burdelu czy domu rozkoszy. W ogóle.

- Nikt mnie nie zobaczy!

- Nie będziesz ryzykował - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Wobec tego, czy umiesz zawiązać krawat?

Nigdy nie miała okazji spróbować, ale nie miała zamiaru mu tego powiedzieć ani ryzykować, że będzie szukał wsparcia w chętnych rękach jakiegś ladacznicy.

- Oczywiście że umiem.

Przekrzywił głowę, przyglądając jej się z widocznym sceptycyzmem.

- A nauczyłaś się tego...?

Uśmiechnęła się tajemniczo. Niech sobie myśli, co chce.

- Rozumiem - odrzekł krótko z improwizowanym uśmiechem - lepiej sprawdzę, co woźnica zrobił z ubraniami Rama. Za nic nie chciałym podważyć twojego słynnego dobrego gustu, pokazując się po południu w Hyde Parku w czymś nieeleganckim.

- Ty się dobrze się bawisz, prawda? - spytała.

- Chyba tak - odparł. - Nie najgorzej.

Ty zostań ze mną - powiedział brat Toussaint chłopcu o impertynenckim języku. - Reszta jest wolna.

Pozostali czterej chłopcy - Ramsey, Douglas, John i Christian - odłożyli drewniane szpady do ćwiczeń i z ociąganiem oglądając się na Danda, wyszli z pustych stajni, wyraźnie zaciekawieni, co spsocił tym razem. Chłopiec, nawet jeśli był niechętny rozdzieleniu go z przyjaciółmi, nie okazał tego.

Czekał z wyćwiczoną cierpliwością, palcem nogi zgniatając mrówkę pełznącą obok. Coś w tej prostodusznej twarzy niepokoiło Toussainta. A może to sposób poruszania się chłopaka? Nie taki, jak drapieżny wdźwięk małego Munro, lecz pełen godności, którą zauważało się w jego chodzie, w wyprostowanych plecach, ściągniętych ramionach, w jakiejś dostojnej władczości. Gdzie ten chłopiec nauczył się chodzić w taki sposób? A co ciekawsze, dlaczego zadaje sobie wiele trudu, by to ukryć?

A może to czujność kryjąca się za psotnymi błyskami jego oczu? Cokolwiek to jest, kojarzyło się Toussaintowi ze śmiercią i pogardą, z gilotynami i zakrwawionymi gronostajowymi szatami. Ale jeśli jego podejrzenia są słuszne, znaczyło to, że jeden z najwyższych postawionych rodów Francji zawieruszył swą latorośl w szkockim opactwie. Jakże są na to szanse?

I wreszcie, dlaczego coś mówiło Toussaintowi, że Dand Ross jest kimś innym niż szkockim sierotą, za którego on i ojciec Tarkin go uważają? Czy te plotki są prawdziwe? — zastanawiał się. Czy naprawdę po nocach, w koszmarach, Dand Ross wykrzykuje francuskie słowa?

- Oni cię wcale nie znają, prawda? Reszła chłopców? - dumał na głos, w zamyśleniu trąc dłonią czubek głowy.

Chłopiec zamrugnął oczami. Wydawał się taki prostoduszny, i już samo to było kłamstwem. Ten za dużo wie o sprawach doczesnych.

~ Znaję, proszę brata - odparł rezolutnie. - Całkiem dobrze, bym powiedział. Dość dobrze, żeby mnie nazywać diabłem wcielonym.

~ A to prawda?

- Nie — powiedział chłopak z wyzywającym uśmiechem. - Ojciec Tarkin nie trzymałby przecież demona w swojej trzódce?

~ Myślę, że nie - odpowiedział były kapitan straży Ludwika X, a jego głębokoboko porwana bruzdami twarz zdradzała zatroskanie. Wrogowie rojalistów

posunęliby się do ostateczności, by zgładzić wszystkich pretendentów do francuskiego tronu. Jaką sumę można dostać za informację, że opactwo przynależało członka królewskiego rodu? Olbrzymią.

Opat specjalnie prosił Toussainta, by czuwał nad tym chłopcem, by jak najlepiej go wyszkolił, gdyż, jak się wyraził ojciec Tarkin, Dand Ross ma wielkie możliwości. To znaczy jakie? – zastanawiał się Toussaint.

Przekrzywił głowę, badając prostoduszną twarz. Nic niezwykłego, po prostu niezwykle sympatyczny młody urwis. Zwyjątkiem... oczu, które bez trudu wytrzymały jego spojrzenie i miały w sobie zbyt wiele rozbawienia, zbyt wiele świadomości, jak na takiego dzieciaka.

- Od jak dawna tu jesteś, Andrew?
- Nazywają mnie Dand, proszę brata.
- Od jak dawna?

Chłopiec wzruszył ramionami i skubnął kołnierz, zerkając na boki, właśnie tak, jak powinien chłopiec próbujący wykręcić się od niewygodnych pytań dorosłego.

- Nie wiem. Jakies trzy lata, zdaje mi się. Ojciec Tarkin musi to mieć gdzieś zapisane w księgach. A o co chodzi?

Toussaint o mało się nie uśmiechnął. Dziecko nie zadaje pytań starszym. Zwłaszcza duchownym.

- Czy lubisz chłostę, Dandzie Ross?
- Nie, proszę brata. - W jego szybkiej ripoście był cień zawziętej zjadliwości. No, no! Ten chłopak chyba nie lubi być w czyjejs władzy. Nic dziwnego. Jest z tej czwórki najbardziej skłonny do psot, do robienia rzeczy, których wyraźnie im zabroniono.

- W takim razie panuj nad swym językiem, chłopcze.
- Tak.
- Jesteś tu dłużej niż wszyscy inni chłopcy, których uczę.

Dand zastanowił się nad tym przez parę sekund, chociaż Toussaint miał wrażenie, że zna dzień i okoliczności przybycia każdego z chłopców.

- Oprócz Douglasa Stewarta. On był tu przede mną.

Toussaint oczywiście już to wiedział. Dołożył starań, by zebrać jak najwięcej informacji o tych pięciu chłopcach, których Tarkin chciał szkolić w sztuce wojennej. Prośba, by się tego podjął, wydawała mu się bardzo dziwna.

Losy Christiana MacNeilla i Ramseya Munro łatwo było prześledzić. Douglas Stewart był jedynym ocalałym z epidemii, która zabiła jego rodzinę. John Glass został odesłany z domu swego wuja, gdy świeżo owdowiała wujenka

zdecydowała, że jej obowiązki trzymania w domu i żywienia krewnych męża nie rozciągają się na siostrzeńców.

Tylko Dand Ross wydawał się przybyć znikąd, znaleziony na drodze przez ojca Tarkina. Chłopiec dał się poznać jako łobuziak, ale uprzejmie powściągliwy. Naturalną koleją rzeczy w sierocińcu wybuchały utarczki, które rozstrzygały o nieoficjalnej hierarchii wśród wychowanków, ale Dand Ross nigdy się w nie nie mieszał. Trzymał się na uboczu, typowy samotnik, choć lubiany przez kolegów. Drzemiący w nim niespokojny duch wyczekiwał okazji, by się ujawnić.

Do czasu przybycia Christiana MacNeilla. Wtedy, o dziwo, wszystkie części układanki, czekające, by złożyć się w całość, nagle odnalazły się wzajemnie. Douglas, Dand, Ramsey i Kit, te cztery indywidualności z dnia na dzień zespoliła braterska więź.

- Czy to wszystko, proszę brata? – spytał Dand, tęsknie zerkając w stronę drzwi.
- Prawie, chłopcze. Skąd przybyłeś? Gdzie mieszkałeś, zanim trafiłeś do St. Brideś?

Chłopiec skrzywił się z rozdrażnienia.

- Nie wiem. To tu, to tam. Nie pamiętam nazwy żadnego miasta. Ale to było daleko stąd.
- A twoi rodzice?
- Nie miałem rodziców. Zawsze byłem sam – powiedział.
- Rozumiem. Jeszcze jedno, reszta chłopców. Jesteście ze sobą tak blisko.
- Tak. Są dla mnie jak bracia – zagorzał zadeklarował Dand.
- Bracia czasem zachęcają jeden drugiego do psot i brawury, które mogą być niebezpieczne lub lekkomyślne.

Dand czekał.

- Dla ich własnego dobra, gdyby cię poproszono, byś mi zdawał sprawę z ich rozmów i uczynków, zrobiłbyś to?
- Nie, proszę brata. Nie zrobiłbym. – Powiedział to bez wahania.
- Nawet gdybym ci groził karą?

Dand uśmiechnął się. Był to uśmiech całkiem dorosły. Niezwykle niepokojący w tej szczupłej, figlarnej twarzyczce.

- Wtedy może bym się zgodził.
- Rozumiem. – Więc poczucie lojalności w tym chłopcu nie jest zbyt głębokie. Może jego możliwości nie są tak imponujące, jak ojciec Tarkin...

~ Ale wtedy... – dorzucił Dand z wyraźnym błyskiem w jego miękkich, brązowych oczach – może powiedziałbym bratu to, co mi się wyda, że brat chce usłyszeć.

*Toussaint przyjrzał mu się wstrząśnięty.
Więc może jednak Dand Ross okaże się kimś dużo większym, niż którykol-
wiek z nich sobie wyobrażał.*

*Hyde Park, Londyn
popołudnie, 19 lipca 1806*

Popołudnie było słoneczne, powietrze ciepłe i park zapełnił się towarzystwem cieszącym się piękną pogodą. Charlotte czuła się niezwykle szykownie w sukni z kremowego batystu ozdobionej malutkimi zielonymi listkami. Wytworna i pewna siebie.

- Wielki Boże, Lottie - powiedział Dand z odcieniem zrezygnowanej rozpaczy - jesteś sztywna jak mitra biskupia. Co w ciebie wstąpiło, moja mała?

No, zgoda. Może nie była aż tak pewna siebie. Tyle że nie przywykła, by ktoś się nią afiszował, jak swoją własnością, i jeszcze nie nabrała do tego drygu.

Dand trzymał w jednej ręce lejce wynajętych koni, umiejętnie prowadząc je spokojnym, spacerowym chodem przez najpopularniejszy bulwar Hyde Parku. Jego wolna ręka spoczywała na oparciu siedzenia, wprawdzie nie dotykając Charlotte, lecz z punktu widzenia każdego obserwatora, deklarując jego bezsporne prawo posiadacza. Nigdy przedtem nikt jej nie „posiadał”. Czy można się dziwić, że jest trochę spięta?

A on ma czelność pytać, co jest nie tak.

Jej skrępowanie pogłębiało upokarzające wrażenie, że to wszystko go bawi. Za każdym razem, gdy na nią spoglądał, widziała rozbawienie czające się pod osłoną udawanej czułości, błysk jakiejś myśli, którą się nie dzielił. Co gorsza, te obawy w ogóle nie tłumili jej požądania, które wciąż jej towarzyszyły.

Za każdym razem, gdy jej dotykał, nawet nieznacznie i bezwiednie, kaskady rozkoszy spływały po jej skórze. Gdy się odezwał, musiała na niego spoglądać, a zatem widzieć zarys jego warg i przypominać sobie, jak zaborczo przykrywały jej usta.

- Nic - oświadczyła, wiedząc że głos ma jeszcze bardziej nienaturalny niż postawę. - Co miałoby we mnie wstąpić? Wszystko jest w porządku.

- Z ulgą to słyszę. Spytałem, bo jakoś nie wyglądasz na damę tak owładniętą pożądaniem, że gotowa jest wyrzec się dobrego imienia, by być z mężczyzną. A po to tu chyba jesteśmy? Żeby wypełnić podyktowane najlepszymi intencjami zalecenia pani Mulgrew i przekonać towarzystwo, że jesteś

owładnięta do szaleństwa niepohamowaną namiętnością? Lepiej by było, gdybyś nie odsuwała się wstydliwie, gdy tylko na ciebie spojrzę lub cię dotknę. - Posłał jej uśmiech, pełen zadowolenia z siebie, a przy tym drapieźny. - Aja będę na ciebie spoglądał. I dotykał cię. Więc zrób dobrąminę do złej gry i staraj się wczuć w sytuację.

- Jestem nieprzekonująca, powiadasz? - Zareagowała na ukryte wyzwanie. Miała wprawę w słownych potyczkach. Nawet z Dandem. - Zapewne to ty nie nawykłeś do tego, jak dama się zachowuje w takiej sytuacji? Bez wątpienia twoje doświadczenie z dziewczkami z oberży i im podobnymi wyrobiło w tobie przekonanie, że jeśli kobieta nie wije się na twych kolanach, to nie okazuje należytego entuzjazmu dla twych męskich wdzięków.

Jego oczy zaiskrzyły się uznaniem.

- Wyznaję, że będąc niepewnym siebie i zarozumiałym samcem, wymagam dość oczywistych oznak, że moje wysiłki są doceniane.

Niech to licha, pomyślała z podziwem, ależ ma refleks.

- Banialuki.

- Naprawdę jestem zachwycony, że łatwo wytłumaczyć twoją sztywność, bo zaczynałem podejrzewać, że... - głos mu stopniowo ścielił i wrzucił ramionami.

- Podejrzewać co?

Pokręcił głową, zręcznie kierując powóz w mniejszą, lecz dość uczęszczaną aleję.

- To nie wymaga komentarza.

- Nie - sprzeciwiła się zdecydowana wyjaśnić, co podejrzewał. - Nalegam.

- No więc... - powiedział, ociągając się - zacząłem podejrzewać, że jesteś podekscytowana naszym wczorajszym pocałunkiem i siedzisz sztywno, wyczekując następnego z całą panięską trwogą.

Ogień oparzył jej gardło i przedarł się w górę ku policzkom. Wielkie nieba, oblała się rumieńcem! A nie rumieniła się od lat.

Utkwiła wzrok w platanie widocznym w głębi alei.

- Pocałunek? - powtórzyła znudzonym głosem. - Jaki pocałunek? Był jakiś pocałunek?

- Tak - odparł spokojnie. - W ogrodach Argyll. Pocałowałem cię.

- Ach. Tamten pocałunek. Prawie zapomniałam. Byłam taka zmęczona pod koniec tego wieczoru, sam rozumiesz.

- Tak jak mi się zdawało. - Kiwnął głową. - Widzę teraz, jaki byłem śmieszny. Ale to dowodzi, jak mylne wrażenie może sprawić brak doświadczenia.

Błyskawicznie zwróciła głowę ku niemu. Zapatrzył się przed siebie, jak gdyby nigdy nic.

- Brak doświadczenia?

- Tak - odpowiedział swobodnie. - Myślałem, że skoro jesteś wyraźnie taka niedoświadczona w całowaniu, to mogło cię to speszyć.

- Nie jestem niedoświadczona w całowaniu! - oświadczyła. - Całowano mnie mnóstwo razy. Wiele, wiele razy. Mężczyźni zawsze mnie całują.

Nachmurzył się, ściągając brwi w wyrazie najgłębszego politowania.

- Och, moje biedactwo - powiedział - tak mi przykro.

- Co takiego? - spytała. - Dlaczego?

Jak on śmie myśleć, że jest niedoświadczona? - irytowała się i jakby przez myśl jej nie przeszło, że większość młodych kobiet, zwłaszcza tych, które są doświadczone, pewnie wolałyby, żeby myślano o nich zupełnie inaczej. Jak on śmie ją osądzać?

I jak śmie powozić bez rękawiczek? Jego ręce, z palcami wplątanymi w skórzane lejce, były zrogowaciałe i dość szorstkie. Słońce połyskiwało w złotych włoskach na wierzchu dłoni i na nadgarstkach. Czy on cały jest pokryty takim samym lśnięciem...? Nie. Nie będzie się zastanawiać. Uważa tylko, że takie dłonie, męskie, silne i owłosione, powinny być przyzwoicie pokryte rękawiczkami. Najwyraźniej Dand nie ma pojęcia, co przystoi dżentelmenowi ani jak się powinien zachowywać. No i oczywiście, jak powinien całować dżentelmen.

Rozejrzał się wkoło, a widząc, że nikogo nie ma w pobliżu, zatrzymał powóz przy alejce pod osłoną wysokiego buka. Luźno owinał lejce na hamulcu i zwrócił się do niej. Miał ponury wyraz twarzy.

- Nie chciałem cię obrazić.

- Nie obraziłeś mnie - warknęła.

- Tylko że, widzisz, z twojej letniej reakcji na mój pocałunek wywnioskowałem, że nie masz doświadczenia w tych rzeczach.

Letniej? On nazwał to letnią reakcją? Aż za dobrze pamięta, że prawie wzołgała się na niego, starając się przedłużyć to doznanie. Co, w takim razie, musiałyby zrobić, żeby nazwał jej reakcję żarliwą?

- Ale skoro...

- Skoro co? - spytała.

- Wstydę się. Moi poprzednicy nędznie się spisali, skoro twoje poprzednie doświadczenia były błahe i niewarte zapamiętania.

- Wręcz przeciwnie - zaprzeczyła gorąco. - Były bardzo miłe.

- Mile. - Lekko wzruszył ramionami, bardzo przypominając przy tym jej swagra Rama, kiedy ten był czymś w najwyższym stopniu zdegustowany. -

Nie tego oczekuje się, trwając w namiętym uścisku. W istocie, w słowniku namiętności słowo „miłe” oznacza potępienie, krótko mówiąc, klęskę.

Przyglądała jej się jak życzliwy nauczyciel. Lekki wietrzyk rozwichrzył mu świeżo przystrzyżone włosy. Brzytwa drasnęła go z boku szyi. Ślad skaleczenia nadawał mu wygląd równocześnie bezbronny i silny. Ta sprzeczność budziła dziwne zmysłowe poruszenie w jej brzuchu.

- Nie ma nic złego w tym, że coś jest miłe - oświadczyła stanowczo. - Człowiek nie musi poddawać się najniższym instynktom, czuć się wzburzony i znękanym i wystawiony na nieprzyzwoite doznania żeby uznać pocałunek za triumf.

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Cóż, w istocie, właśnie musi.

Odwróciła się.

- Nie ma sensu spierać się z tobą. Widzisz wszystko z zupełnie innej perspektywy niż ja. Z bardzo niskiego punktu widzenia, muszę dodać.

Roześmiał się.

- Och, przyjemnie by cię zaskoczyły drobne radości, jakimi cieszymy się my, ludzie z nizin. Niestety, moje kochanie, nie udajesz kogoś zajmującego się czystą profesją. A pocałunek, porządny pocałunek, jest wilgotny i gorący, zapierający dech i natarczywy.

- To brzmi męcząco - oznajmiła chłodno, po czym wydała absolutne potępiający wyrok: -I niechlujnie.

- Ano tak właśnie. - Jego furkocząca szkocka wymowa wyraźnie nieobecna od czasu, gdy wcielił się w jej francuskiego kochanka, powróciła, płynna jak whisky i aksamitnie miękka. - Udany pocałunek przyćmiewa jasność najbystrzejszego umysłu, kpi sobie z wszelkich zasad, niweczy najlepsze intencje, tłumi instynkt samozachowawczy i zastępuje go niepoahamowanym pragnieniem.

- Nie wyobrażam sobie, jak można znajdować w tym upodobanie - stwierdziła pruderyjnie.

Odpowiedział lubieżnym uśmiechem.

- Tego się właśnie obawiałem. W tej kwestii będziesz musiała polegać na mnie, Lottie. Jest coś cudownego w urzeczeniu zmysłowym, utracie panowania i puszczeniu wodzy namiętności i instynktowi. W słodkiej uległości znajdujemy najwyższą wolność.

Jego słowa obudziły falę tęsknoty i poruszyły w niej awanturniczą żyłkę, wprawiając ją w stan napiętego wyczekiwania.

Żartobliwie musnął czubek jej nosa, rozpraszając hipnotyzujący czar, jaki rzuciły na nią jego słowa.

- Nie wnikając w twoje osobiste upodobana w tej kwestii, dość powiedzieć, że twoje obecne nastawienie wszystko psuje. Po prostu nie wytwarzasz wokół siebie aury kobiety zaangażowanej w niebezpieczny romans. Na szczęście, możemy temu zaradzić.

- Co masz na myśli? - spytała podejrzliwie.
 - To, czego ci nie dali dawniejsi partnerzy.
 - A cóż to takiego? - spytała ostro.
 - Doświadczenie. Takie, które zdecydowanie nie będzie „miłe”.
- Oddech uwiązał jej w gardle.

Dand krzywo się uśmiechnął. Zdjął rękę z oparcia i przejechał kciukiem tuż nad kącikiem jej ust.

- Co ty na to, Lottie? Gotowa jesteś zrobić coś odrobinę niechlujnego? - Jego głos był stłumiony, sugestywny i obezwładniający.

- Nie.

- Co? Nawet dla Boga i ojczyzny? Gdzie jest ta harda, światowa kusicielka, za jaką się podawałaś? - Wyśmiewał się z niej. Charlotte nie zносиła, gdy się z niej śmiano. Nie, to źle powiedziane. Ogólnie uważano ją za kobietę chętnie śmiejącą się z własnych dziwactw. Nie cierpiała natomiast tego, że Dand Ross się z niej śmieje.

Wahała się. Może potrzebuje patyny tego... doświadczenia. Tego czegoś, cokolwiek to jest, czego zdaniem Danda tak dotkliwie jej brakuje. Może... dla słusznej sprawy...

- Zgoda.

Zaskoczyła go. Było jasne, że nie oczekiwał, iż ustąpi.

Naszła ją nagła myśl. Równie kusząca jak nieprzyzwoita propozycja Danda. On też może się nauczyć tego i owego.

- Co mam robić? - spytała pogodnie.

- Odpęrz się. - Jego kciuk przesuwał się łagodnie po jej górnej wardze. - To nie jest inkwizycja, zauważ. I tylko dlatego, że dążymy do czegoś, co nie będzie „miłe”, to nie znaczy, że będzie przykre.

- Obiecanki cacanki - wymruczała, obserwując go spod opuszczonych rzęs. Z satysfakcją zauważyła leciutki przestרח na jego twarzy.

Na krótką chwilę zapomniała, kim jest: Charlotte Nash. najlepiej się zapowiadająca panną w towarzystwie, tak sprytną, jak osoba dwa razy starsza od niej; biegłą kusicielką, nieznośną pannicą i uznaną zdobywczynią serc. Teraz przypomniła sobie to wszystko i postara się, żeby Dand też to zapamiętał. A jeśli nie zorientował się jeszcze, że jej reputacja ma pewne podstawy, to wkrótce się dowie.

Nachylił się i delikatnie musnął wargami jej usta. Był to pocałunek zupełnie niepodobny do gorączkowego zapamiętania się, tak miękki, że zdźbło puchu wywarłoby więcej nacisku, tak krótki, że szepnięcie słowa trwa dłużej. Jednak natychmiast ożywił tysiąc bogatych wrażeń wzdłuż konturu jej wargi.

- A niech mnie!

Odsunął się i spojrzał z góry. Uśmiechnął się.

- Nie pamiętam, abym przedtem całował ofiarną dziewicę. Czy zażadasz potem oliwy na stos?

Poszła za jego wzrokiem. Dłonie trzymała ciasno zaplecione na kolanach. Tak się nie uda. Miała ugruntować swoją reputację łobuzicy i flirciary, a nie topnieć jak wosk, nie mogąc zaczerpnąć tchu po jednym małym pocałunku. To on miał stopnieć.

- Znow jestem letnia. - Zdołała to powiedzieć, okazując jedynie leciutki żal. - Proszę. Pozwól mi to powtórzyć. Przysięgam, że wykrzeszę trochę entuzjazmu. - Rozpromieniła się na jego zdumione spojrzenie. - Jestem, jak ogólnie wiadomo, dobrą aktorką. Ale powiedz mi - zmarszczyła brwi w konsternacji - ile właściwie uznania należy okazać staraniom dżentelmena?

Jego zdziwienie się rozwiało. Jeśli zdobyła chwilową przewagę, to teraz ją utraciła. Rozparł się na siedzeniu, sprawiając wrażenie, jakby poświęcił jej pytaniu całą należną uwagę. Nie do końca udało jej się powstrzymać uśmiech.

Przebóg, uwielbia prowadzić takie gierki z Dandem Rossem! Trudno o lepszego przeciwnika.

Podrapał się w brodę kciukiem, wywracając oczy ku niebu.

- Muszę przyznać, choć z największą niechęcią - powiedział wreszcie - że my, mężczyźni, jesteśmy w sposób godny ubolewania podatni na manipulację nami. Nasze dobre mniemanie o sobie może utwierdzić lub zniweczyć najdrobniejszy gest. Jeśli westchniesz w odpowiednim momencie, uczyni to męczyznę twym niewolnikiem, ale zmarszczenie brwi może go rzucić w piekło wątplenia.

- Byłoby dość miło zrobić z ciebie mojego niewolnika, Dand - powiedziała nieco gardłowym tonem.

Skromnie schylił głowę.

- Cóż, mówiłem mniej lub bardziej ogólnie. Nie wszyscy mężczyźni są tak wrażliwi.

- Ty na przykład jesteś wyjątkiem? Wyższym ponad to? - spytała.

Znow ten skromny uśmiech.

- Wyższym? Raczej mniej podatnym. Ale, proszę bardzo, jeśli życzysz sobie wypróbować twe umiejętności...

- Myślę, że tak zrobię.

Udając pewną siebie, do czego było jej bardzo daleko, pochyliła się ku niemu i ujęła go dłonią pod brodę. Nie golił się od rana i zarost odczuła jako jedyny w swoim rodzaju i ogromnie męski.

- Wolę, jak mężczyzna jest świeżo ogolony - skłamała, przesuwając palcami tuż nad jego policzkiem przeciętym blizną. Opuszkami delikatnie igrała z jedwabistym papierem ściernym. Poruszył głową, rozmyślnie ocierając się policzkiem o jej dłoń, jak wielki kocur. - Gładki i cywilizowany. Ale podoba mi się zapach twojej wody kolońskiej. Drewno sandałowe to jeden z moich ulubionych zapachów.

Z lekkim dreszczem zdała sobie sprawę, że wbrew przyjaznemu wyrazowi malującemu się na jego twarzy oczy mu ściemniały, a oddech stał się trochę zbyt miarowy.

Pokręciła głową i zauważyła po raz pierwszy, bardziej dotykiem niż wzrokiem, leciutką bruzdę w jego brodzie.

- To był błąd. Żaden mężczyzna nie chce, by jego dama mówiła mu, że znalazła się na tyle blisko innego dżentelmena, że czuła jego zapach. Nie ważne z jak niewinnego powodu.

- Och - powiedziała fy wolnie - to nie takie niewinne. Mój szwagier jest nadzwyczaj przystojnym mężczyzną.

- Niech zatem diabli wezmą jego ładne oblicze - rzekł Dand. Mile się uśmiechał, ale wyraz jego oczu zdradzał pewne napięcie. - Może byś mnie już pocałowała i zrobiła ze mnie niewolnika? Jestem umówiony na lunch.

Roześmiała się. Mógł sobie mówić, co mu się spodoba, i tak zauważyła cień pożądanego w jego wzroku. W gruncie rzeczy wcale nie jest taki obojętny.

- Jak sobie życzysz - zamruczała. Przysunęła się bliżej, jeszcze bliżej... Utkwiła wzrok w jego oczach. Zapanowała cisza przerywana tylko szmerem ich oddechów. Śmiało pogładziła palcem wskazującym jego dolną wargę, łącznie raz. Tym razem sunąc koniuszkiem palca po śliskiej wewnętrznej krawędzi.

Chwytał go zębami i zwilżył językiem opuszkę.

Zadrzała. Nigdy jeszcze nikt jej nie zrobił czegoś takiego! To więcej niż zuchwałe. To nie do pomyślenia. Wrażenie tego dotknięcia przeniknęło ją do głębi, zalewając ciało elektryzującą świadomością, wypełniając ją nisko w łędźwiach płynnym ogniem.

Zmrużył oczy, częściowo przysłaniając powiekami głęboki brąz źrenic, ocieniając je gęstwiną złoto zakończonych rzęs, przez co stały się ciemniejsze i bardziej lśniące. Jak u drapieźnika, który bawi się zdobyczą.

Puścił jej palec.

- Oddychaj, Lottie, kochana! Nawet nie doszliśmy jeszcze do pocałunku! Może lepiej odłożymy te małe zawody na później, kiedy już zbadasz pole i będziesz mogła wytoczyć więcej artylerii niż dotychczas?

Więcej artylerii? Z wysiłkiem powstrzymała ciętą odpowiedź cisnącą jej się na usta, ale nagle jego słowa wywołały ciąg skojarzeń: bitwa, broń, jej szwagier starający się nauczyć ją podstaw szermierki pewnego nudnego popołudnia.

Uniosła jedną brew.

- Przeciwnie. Jeszcze nie stanęłam do walki.

- Doprawdy? Był irytująco zadowolony. Myśli, że podkopał jej wiarę w siebie.

Pochyliła się i płasko rozłożyła dłonie na jego piersi, przenosząc na nie ciężar ciała. Uniosła twarz ku jego twarzy i z satysfakcją poczuła, jak jego mięśnie kurczą się pod jej dłonią.

„Cokolwiek robisz, niech zawsze będzie robione... spokojnie”, w myśli powtarzała sobie pierwszą lekcję Rama. Spojrzenie Danda czujnie spoczywało na niej.

„I bez pośpiechu”. Dotknęła wargami jego warg.

„Lecz jednak z wigorem...” Przycisnęła usta, nakrywając nimi ciasno jego wargi, unosząc głowę, by zetknęły się mocniej, wychylając się naprzód, tak że jej piersi, cierpiące z wyczekiwania, wsparły się na nim.

Jej dłonie ześliznęły się w dół po twardym konturze jego piersi i wsunęły pod jego rozchyłony surdut. Jedwabna kamizelka nie mogła zamaskować żeber, napiętej talii, płaskiego brzucha. Jest taki mocny, pomyślała bez tchu, wszystko w nim jest masywne jak kamień.

Pachniał mydłem sandałowym i rozgrzanym w słońcu wykrochmalonym płótnem. Smakował kawą. Wargi miał ciepłe i mocne. Pogłębiła pocałunek, objęła go rękoma w pasie pod surdudem, zmuszając go, by zareagował, by dał jakiś dowód, że dzieli odczucia tętniące w niej.

I zareagował. Poczwała, jak jego ciało twardnieje, mięśnie napinają się i coś natarczywie napiera na jej biodro.

- Oddychaj - wymruczała mu jego własne słowa prosto w usta w triumfującym otumanieniu zmysłowości. Cofnęła ręce.

Pomyślała, że teraz on z pewnością zakończy ich pocałunek, zdemaskowany, pobity w grze, do której ją wyzwalał. Powinna być mądrzejsza. Pociągnęła ją z powrotem w swe objęcia, kradnąc jej oddech, wysysając z niej duszę.

Odwrociła głowę, ale przytrzymał w dłoniach jej twarz. Sięgnął językiem do jej ust, nie szybko, jak złodziej, ale powoli. Wsunął jedną dłoń w jej włosy, a drugą otoczył jej plecy.

Nie powinna przyjmować takiego wyzwania... Powinna...

Zalała ją fala gorąca, piekąc w czubki palców kuczowo zaciśniętych na polach jego surduta, wspinając się na policzki, napierając na piersi nieznanym ciężarem.

Bez ostrzeżenia posadził ją sobie na kolanach, ociężale badając językiem zakamarki jej ust, drażniąc ją, by go smakowała, czuła i chłonęła. Poddała się z wybuchem tęsknoty, od której zakręciło jej się w głowie.

Znalazła językiem jego język, wpląawszy się w wilgotny i natarciwy pocałunek otwartymi ustami. Weisnęła się pod jego surdut i wsunęła mu dłoń, dosięgając muskularnych barków. Przywarła do niego, wchłaniając jego gorąco. Przechylił ją bezwolną, tak że spoczęła w jego ramionach. Nachylił się nad nią, mając jej głowę wtuloną w swój bark. Czuła tamtą najbardziej obcą jego część jeszcze wyraźniej - przypomnienie, do czego ta zabawa prowadzi i jak musi się skończyć.

- Dobry Boże. - Zdawało jej się, że słyszy jego mruknięcie. - Już dosyć, Lottie. Błagam cię.

Chciała tak trwać, rozkoszując się wrażeniami dostarczonymi przez jego ciało, usta i ramiona. Ale jego słowa przypomniały jej, kim jest - Charlotte Nash, kokietką i flirtującą, i kim jest on - Dandem Rossem, ale nie jej wielbicielem. Nie jej kochankiem. Realizują pewien plan, a w jego ramach grają w miłą grę, i oboje o tym wiedzą.

Wyrwała się, przerywając pocałunek. Szukała właściwego tonu, swobodnego, z nutą triumfu i cieniem szyderczej kpiny, by nie dowiedział się, jak bardzo jest poruszona.

- Błagasz, Dand? Więc mogę cię z miejsca uznać za mego nowego niewolnika? - spytała, pragnąc rzucić się z powrotem w jego ramiona.

Jego twarz nie wyrażała ani trochę emocji. Bez słowa uniósł ją i posadził po stronie pasażera, po czym odwinął lejce z drażka hamulca.

Dopiero teraz zauważyła inne powozy oddalające się z podejrzaną opieśzałością z miejsca, gdzie się zatrzymali, których właściciele albo z czerwonymi twarzami unikali jej wzrokiem, albo spotykali jej spojrzenie z zacięciem satyrów.

Co za przedstawienie odegrali! Jaką rozrywkę! Jak mogła tego nie zauważyć? A Dand? Czyjego zdławione błaganie o litość było ubarwieniem gry? A reakcja jego ciała niczym więcej niż odpowiedzią na czysto fizyczny bodziec?

- Jestem przekonana, że moje aktorstwo tym razem nie zawiodło. - Cudem zdobyła się na beztroski, nonszalancki ton.

To kazało mu odwrócić głowę.

- Aktorstwo?

- Tak. Z pewnością publiczność je doceniła. - Wyrzuciła dłoń w geście obejmującym inne powozy.

Rozejrzał się, nie okazując poruszenia ani zainteresowania. Oczywiście, wiedział, że oni tu są. Oczywiście.

- Zdawało mi się, że wyśmienicie sobie radzę - ciągnęła ze swadą. - Naprawdę, nalegam, żebyś przeprosił moich dawniejszych nauczycieli sztuki miłosnej. I jak? - Dlaczego się tak uparła, żeby usłyszeć, jak Dand potwierdza jej podejrzenia, i dlaczego jej głos wybrał sobie ten moment, żeby zadrzeć? Przełknęła ślinę, dumnie zadarła brodę. - Czy mam cię zaliczyć do wziętych w niewolę? Dlaczego mi nie odpowiadasz?

Zamiast się odezwać, wyciągnął ku niej rękę i łagodnie odgarnął pukiel włosów, który opadł jej za uchem.

- Co robisz? - spytała.

- Mówiłem ci, że staniesz się trochę niechlujna, Lottie - powiedział.



Z zaciekawieniem przyglądał się, jak biegnie po schodach do frontowych drzwi, z brodą wysoko zadartą i ściągniętymi ramionami. Nie wyglądało to, żeby kontrolowała ten marsz na oślep. Wątpił nawet, czy jest świadoma, że zaraz uderzy twarzą w drzwi. Wzdrygnął się na tę myśl i już miał po raz kolejny obrazić ją zawołaniem, by uważała, gdzie idzie, kiedy drzwi cudem się otworzyły, a ona nawet nie zmyliwszy kroku, wpadła przez nie i zniknęła mu z oczu.

Curtis, który widocznie stał na baczność przy frontowych drzwiach i dostrzegł przybycie pani - a także jej stan - odpowiedział na spojrzenie Danda wyrazem rezygnacji i uniwersalnego męskiego zrozumienia, po czym cicho zamknął drzwi.

Dand machnął lejcami po zadach dobranej pary siwych wałachów. Pomyślał, że nie powinien drażnić jej tak bezwzględnie, ale tak rozkosznie mu się poddała a on nie mógł nigdy się oprzeć okazji uszczypnięcia w nos panny Charlotte Nash. Zresztą traktowała absolutnie zbyt poważnie swą rolę pierwszej pogromczyni serc w towarzystwie. Przed całym miastem popisywała się swą beczelnością i łobuzerstwem z gorliwością doprawdy wzruszającą. Uśmiechnął się.

Ona jest... wspaniała. Wspaniałe połączenie dumy i praktyczności, śmiałości i skromności, twardej pragmatystki i sentymentalnej idealistki, kobiety i dziewczynki. Jej usta są słodkie jak nektar, a jej pocałunek ognisty jak czerwony pieprz, jej dotyk równocześnie elektryzuje i koi, jej westchnienia są uległe i zdobywcze.

Jego uśmiech zgaś.

Tylko, co u licha on ma z tym zrobić?

10

*Partridge Hall, St. James Square
22 lipca 1806*

Och, z całą pewnością jej opinia jest nieodwracalnie zrujnowana! - powiedziała hrabina Juliette Kettle, kosztując nieco peklowanej wieprzowiny. Jej towarzysz, siedzący po prawej, lord Beau Winkel, zmartwiony zmarszczył czoło. Lubił Charlotte Nash. Była diabelnie miła i traktował ją jak uroczy przedmiot.

Po jego prawej stronie baronowa Welton pochylała się nad talerzem i łypnęła okiem na hrabinę.

- Wcale się nie zdziwię, jeśli w ciągu tygodnia ukaze się ogłoszenie w „Timesie”.

- Ba! - Hrabina zlizwała kropelkę sosu z czubka palca. - Trochę na to za późno, nieprawdaż?

- Może dla niektórych - powiedziała lady Welton lodowato, a jej pulchne policzki zaróżowiły się. - Ale dla siostry markiza Cottrella niewątpliwie czynią wyjątek wszyscy, oprócz największych zarozumiałców albo osób niemających aspiracji do obracania się w najwyższej postawionych kręgach.

Ten wykręt naprędce wymyślony dla ratowania sytuacji był zdecydowanie trafiony. Hrabina była dobrze znaną zagorzałą snobką, z ambicjami, by wejść do tych kręgów towarzyskich, które do tej pory wstrzymywały się z zapraszaniem jej.

- Są rzeczy, których się nie przewycięży nawet dzięki wysokim koneksjom - odparła sztywno.

- Miłość może bardzo wiele przewyciężyć, hrabino - odrzekła lady Welton.

- Miłość? - Pytanie padło z ust nieskazitelnie ubranego młodzieńca nazwiskiem Rawsett siedzącego naprzeciw lady Welton. Spóźnił się na londyński sezon, gdyż właśnie zakończył długi objazd obu Ameryk.

Lady Welton zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

- Z pewnością słyszał pan już to słowo, młodzieńcze?

Dandys odwzajemnił jej się uśmiechem wyższości.

- Częściej, niż potrafię spamiętać, droga lady. Jestem po prostu zaskoczony, że użyła pani tego określenia na opisanie poczyną panny Nash i jej... wielbiciela.

- No, nie wiem - wtrąciła z rozrzewnieniem Hal Verson zasiadająca po lewej ręce Rawsetta. Jej oczy miały kolor brązowych bratków. - Czy państwo widzieli ich razem? Bo ja tak. W wypożyczalni książek we środę. Ten sposób, w jaki on na nią patrzy... To zapiera dech. A ona przygląda mu się ukradkiem z rodzajem słodko-gorzkiej udręki.

- Doprawdy? - zadumał się Rawsett. - A przecież mówi się o niej, że nie jest zdolna do tak wzniosłych uczuć, jakich by się oczekiwało od damy ojej wychowaniu.

- Nie bez powodu cieszy taką reputacją. - Słowa padały jak kamienie, a rzucił je lord Bylespot. Jego propozycje Charlotte Nash odrzuciła kiedyś stanowczo i w bolesny dla niego sposób, a teraz musiał przyglądać się, jak przyjmuje je od innego mężczyzny. Ten dwudziestoosmioletni przystojny blondyn miał już prezencję mocno nadszarpniętą pijaństwem. Ponuro wlepił wzrok w swój talerz i wychylił duszkiem kieliszek wina. Dopiero wtedy dorzucił: - A zła sława, jaką zyska tym ostatnim wybrykiem, będzie jak najbardziej zasłużona.

Inni biesiadnicy wymienili zakłopotane spojrzenia. Lord Bylespot miał cięty język i nieżyczliwe usposobienie. Co ważniejsze, bywało, że jego zdanie podzielał książę regent. Jeśli Bylespot uznał, że zachowanie Charlotte Nash jest nie do przyjęcia... Niech lepiej biedaczka zabiega o względy tych, którzy jej współczują, jeśli ma nadzieję wyjść cało z tarapatów, w które się wpakowała.

*Culholland Square, Mayfair
24 lipca 1806*

- I żebyś sobie nie myślał, że na tym koniec. Uczciwie cię ostrzegam, że twoja królowa zaraz podzieli przedwczesny koniec gońca - przechwalała

się Charlotte. Siedziała wtulona w róg kanapy, którą dzieliła z Dandem, z nogami wyciągniętymi przed siebie i stopami opartymi najego kolanach. Zgięła się w pół w pasie i rażnym machnięciem dłoni przewróciła białego gońca Danda.

Z drugiego końca kanapy Dand nachmurzony przyglądał się szachownicy rozłożonej na stoliku pomiędzy nimi, długimi palcami niedbale ugniatając obolałą lewą stopę Charlotte.

- Od smarkuli, która błagała mnie, bym rozcierał jej bolące stopy po wczorajszych harcach na parkiecie, spodziewałbym się wdzięczności, a nie triumfowania nade mną- zauważył, studiując szachownicę.

W odpowiedzi wpełzła prawą stopą na twardą płaszczyznę jego brzucha, próbując wbić mu palce w żołądek. Wrażenie było takie, jakby chciała je wbić w kamień.

- Przestań - powiedział w roztargnieniu i pacnął ją w stopę.

Już mu chciała odpowiedzieć, ale wcisnął nasadę dłoni w łuk jej stopy i ponownie ją rozmasowywał. Nie potrafiła się zdobyć na nic więcej niż pomruk. Wyjście naprzeciw jego wyzwaniu, by uczyła się akceptować jego dotknięcia bez przestachu i czerwienienia się, okazało się całkiem łatwe, myślała, rozkoszując się przyjemnością. Może zbyt łatwe?

Minęło osiem dni od wypadku Ginny i pięć od wprowadzenia się Danda do tylnej sypialni. Z każdym mijającym dniem Charlotte przyłapywała się na tym, że szuka tych lekkich dotknięć i delikatnych pieszczot, których używał z tak niszczącym skutkiem. Pieszczot, przypomniawszy sobie, które udawał dla rozrywki publiczności. Nie wolno jej zapominać, że są odgrywane, a nie prawdziwe.

Gdyby tylko mogła to samo powiedzieć o własnej reakcji. Niestety. Znała doskonale zgubny sposób, w jaki jej serce przyspieszało rytm, uprzedzając jego leniwe spojrzenie lub delikatne muśnięcie palcem wnętrzej nadgarstka, pamiętała, jak nieruchomiała bez tchu, kiedy odgarniał jej włosy z czoła najwykleszszym przeciw gestem na świecie.

- Myślisz, że jestem zgubiony - powiedział, mrużąc oczy skupione na szachownicy.

- Twoja królowa, ściśle biorąc - poprawiła.

Spojrzał na nią, a potem, z uśmiechem, którego nie potrafiła nie odwzajemnić, wrócił do kontemplowania szachownicy. I to był jeszcze jeden problem, może nawet większy. Im więcej czasu spędzała w jego towarzystwie, tym dłużej pragnęła z nim przebywać.

Nawet kiedy nie śledziły ich ludzkie oczy i nie spoglądał na nią z żarliwością kochanka - rzekomego kochanka, musi to sobie stale przypominać - to

i tak podniecał ją, rzucał jej wyzwanie, prowokował ją i rozbawiał. Wyciekiwała tych chwil, kiedy będą sami, ukryci przed ich publicznością, razem w zaciszu domowym. Czasami, kiedy spoglądał na nią w takich chwilach, dostrzegała w jego badawczym wzroku coś więcej niż ironię lub rozbawienie. Coś, co usiłował ukryć, ale nie potrafił tego zrobić. Nie całkiem. Widowała takie samo spojrzenie u zbyt wielu mężczyzn, by nie wiedzieć, co oznacza. Pożądanie.

Nigdy wcześniej nie przerażał jej żar uczuć żadnego mężczyzny. Ale teraz strach ją ogarniał przed niemyim pożądaniem Danda Rossa, które ten starał się w sobie zwalczyć. Ale strach ten nie był całkiem nieprzyjemnym odczuciem. Raczej elektryzującym. Jeśli Charlotte nauczyła się czegoś w swym młodym życiu, to cieszyć się chwilą, gdyż następna mogła nieść coś dalekiego od przyjemności. Mógł umrzeć ojciec albo matka, rodzeństwo mogło cię wysłać między obcych, a twoja przyszłość może zależeć od umiejętności przypodobania się...

Poddała się tej doktrynie teraz, przesuwając stopę niżej po brzuchu Danda. Poczwała wyraźne wybrzuszenie. Górna warga mu zadrgała, ale oprócz tego wydawał się zupełnie obojętny. Spróbowała potrzeć piętą o szorstką wełnę jego spodni, nisko na brzuchu.

Spojrzał na nią raz jeszcze, a w jego oczach kryło się ostrzeżenie. Wstrzymała oddech.

- Strzeż się, Charlotte. Nawet pies łańcuchowy się zadławi, byle dosięgnąć przynęty, jeśli pokusa będzie dość wielka.

- Ale po to jest na łańcuchu - powiedziała, ignorując ostrzeżenia rozsądku - żeby zapobiec atakowi.

- Czasem łańcuchy pękają- powiedział zdławionym głosem, wytrzymując jej spojrzenie.

- Całe szczęście, że tylko gramy swoje role, prawda? - spytała i czekała bez tchu na jego odpowiedź.

Nie doczekała się.

- Prawda? - powtórzyła.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął i zdjął jej stopę z kolan, od niechcenia przestawiając wieżę na szachownicy.

Drażni się z nią. Doskonale, odpowie mu pięknym za nadobne. Rozparłszy się na kanapie, uniosła ręce nad głowę, przeciągając się wyzywająco.

- Poddaj się. Dand - wymruczała.

- Nigdy - odparł, wodząc oczyma po polu bitwy. - Widzisz, nie doceniłaś determinacji, z jaką jestem gotów bronić mej pani.

Uniósł swego skoczka i namyślał się kilka sekund, trzymając go tuż nad czarnym polem. Gdyby wykonał ten ruch, skoczek znalazłby się na takiej pozycji, że nie mógłaby schwycić jego królowej, jak miała zamiar. Ale dzięki temu mogłaby zbić jego ostatniego gońca jej pionkiem, co wystawiało na niebezpieczeństwo króla.

- Śmiały ruch.

- Ale może konieczny. - Leniwym spojrzeniem powędrował w górę na spotkanie jej wzroku. Głos mu ścielił do szeptu. - Muszę zadać sobie pytanie, co jestem gotów zrobić dla jej bezpieczeństwa i jakie siły jestem gotów stracić w tym celu. I wreszcie, ostatecznie, jak mój wybór wpłynie na wynik gry?

Obracał skoczka w palcach, z głową podniesioną, obserwując ją badawczo.

- Powiedz mi, Lottie, jak myślisz? Czy mam opuścić moją drogą dziewczynę? Rozegrać sprytnie grę i poświęcić ją?

Coś w jego głosie przejęło ją dreszczem. Spojrzenie stało się mroczne i obce.

- Tego nie wiem - szepnęła i w tym momencie odgłos kroków w korytarzu rozproszył dziwny nastrój.

Natychmiast Dand sięgnął przez długość kanapy, chwycił Charlotte w talii i wciągnął sobie na kolana. Tak samo szybko zarzuciła mu ręce na szyję, poczochrawszy włosy, jak gdyby spędzili godziny w długotrwałym i namiętym uścisku. Drzwi otworzyły się szeroko i Ginny wkuśtykała na kulach. Curtis stał tuż za nią.

- Doprawdy, pani Mulgrew, co za niespodzianka - powiedział Dand, nie czyniąc żadnego ruchu, by wypuścić Charlotte.

- Krzesło, proszę! - burknęła Ginny, wykonując gwałtowny gest, który kazał lokajowi wbiec truchcikiem, wysunąć krzesło i znieruchomić w oczekiwaniu, aż Ginny zatoczy się ku niemu i osunie na siedzenie tak wdzięcznie, jak pozwoli jej połamana kończyna.

Ginny odczekała, aż Curtis wyjdzie z pokoju, po czym spojrzała na nich, a widząc ich nadal splecionych w uścisku, przewróciła oczyma w jawnej irytacji.

- Z połowy korytarza słyszałam was dwoje paplających o królowych i gońcach, więc dajcie sobie spokój z tym żarliwym uściskiem. Nie robi na mnie wrażenia - powiedziała oschle. - I nie przekonuje mnie.

Charlotte zaczęła się wiercić, chcąc się uwolnić. Dand przytrzymał ją ciasno.

- Chyba mógłbyś mnie teraz wypuścić - powiedziała.

- Wielkie nieba, Charlotte, czy nie słyszałaś dopiero co pani Mulgrew? Jesteśmy nieprzekonujący w roli kochanków. Musimy dołożyć starań, by to naprawić, a praktyka, jak mówią, prowadzi do perfekcji - powiedział, od niechcenia pieszcząc okrytą meszkiem skórę na jej karku. - Zresztą lubię cię trzymać na kolanach. W mych ramionach.

Wolałaby, żeby tego nie powiedział. Prawie mu uwierzyła. Naprawdę wolałaby, żeby tego nie robił. Trudno było myśleć, kiedy pragnęła spocząć w jego szerokich ramionach i pozwolić mu na wszystkie te grzeszne rzeczy, które dotychczas tylko udawała. Rzeczy, które wyobrażała sobie późno wieczorem, kiedy imponujące barykady, jakie wzniosła, by oddzielić rzeczywistość od gry, rozsypywały się na kilka minut przed zaśnięciem tylko po to, by musiała je starannie odbudowywać po obudzeniu się następnego dnia.

- Z całą pewnością trzeba wam czegoś więcej niż praktyki - powiedziała Ginny chłodnym tonem.

Jej słowa zaskoczyły kompletnie Charlotte.

O ile się orientowała, ich plan rozwijał się doskonale. Choćby te zaproszenia, zwykle zasypujące stolik w holu, już pojawiające się w połowie mniej licznie, wyraźny znak, że jej zła sława zaczyna się z powodzeniem ugruntowywać. Wkrótce nikt nie zechce jej widzieć w swym domu. Jaki sukces! - pomyślała szyderczo. Kto może chcieć czegoś więcej?

Ginny powinna promienieć ze szczęścia, a nie ich strofować.

Dand leniwie rozcierał jej plecy między łopatkami, jednocześnie gładząc policzkiem loki na czubku jej głowy. Ten czuły gest rozdmuchał ciepłe uczucia, które wznieciła ich wcześniejsza gra słowna. Jeszcze chwila i zacznie mruczeć z rozkoszy. Głowa jej się osunie w zgięcie jego szyi przy barku i zmusi go do spojrzenia w dół na nią, jak podnosi...

- Pani Mulgrew zdaje się być zdenerwowana - szepnął Dand z ustami w jej włosach, a potem zwrócił się do Ginny: - Czy powinna pani chodzić?

- Wyjeżdżam po południu - oświadczyła Ginny szorstko.

- Z pewnością to nierozsądne - powiedziała Charlotte, budząc się z bezwładu zaprawionego rozkoszą. - Jesteś jeszcze słaba i możesz znów dostać gorączki. Nie pozwolę...

- Nie możesz sobie pozwolić na to. by trzymać mnie tutaj w roli swego rodzaju seniorki rodem prosto z farsy - ucięła Ginny chłodno. - Ludzie mogą pomyśleć sobie, że gram rolę przyzwoitki. Tak, tak, wiem. że to absurd, ale Publika jest absurdalna, zwłaszcza jeśli chodzi o zniesławienie tych, których

wolałaby rozgrzeszyć, albo - znacząco zawiesiła głos - szwagierki tych, których się boi. A ty, moja droga Charlotte, jesteś jednym i drugim. I nie pomagasz sprawie sposobem, w jaki traktujesz Rossa.

- Nie rozumiem.

- Rzeczywiście nie - prychnęła Ginny. - Co to ma być, te rumieńce i ukradkowe spojrzenia, o których tyle słyszę od służby w tym domu i od znajomych na mieście? Masz uchodzić za kobietę ogarniętą żądzą, a nie miłością.

- A pan - spiorunowała wzrokiem Danda - lepiej by przestał grać usychającego z miłości wielbiciela i zaczął się zachowywać, jak władczy kochanek. Mój Boże, człowieku! Powiedziałeś, że musisz wracać do Francji i to szybko. Do tego czasu masz utwierdzić towarzystwo w wyobrażeniu o twym niekwestionowanym prawie do Charlotte, a potem sprowokować bardzo publiczne, bardzo dramatyczne zerwanie.

Dand popatrzył na nią.

- Na razie to pani pociąga za sznurki w tym teatrzyku lalek, a my się temu poddajemy. Ja się poddaję. Ale może się okazać, że jest pani zdana na własne siły.

Chociaż wyraz twarzy miał dość przyjazny, w obojętnym spojrzeniu czaiła się groźba, która kazała Charlotte zamilknąć. Jeszcze raz uświadomiła sobie, że nie potrafi określić, jak daleko Dand zdolny jest się posunąć, by osiągnąć cel. Podejrzewała, że dalej, niż myślała. Co gorsza, zagrożenie, jakie stanowił, zamiast ją skłonić do wycofania się, czyniło go tylko bardziej fascynującym. Ginny zeszytniała.

- Wiem, do czego zmierzam. Myślałam, że pan też. - Zwróciła się na powrót do Charlotte. - Czy może zapomniałaś?

- Oczywiście, że nie - odparła Charlotte, chociaż prawdę mówiąc, dni bieły tak szybko. Starła się zapomnieć, że kulminacja tego małego spektaklu ma się rozegrać wkrótce. A wtedy...

- Postaram się pani nie rozczarować - usłyszała słowa Danda. - Może pani wrócić do domu. I proszę zachować spokój, jeśli jeszcze jest pani do niego zdolna.

To brzmiało jak odprawa, władcza odprawa, i o dziwo, Ginny zdawała się jej podporządkować. Co tu się dzieje? Pod powierzchnią tej wymiany zdań kryło się coś więcej. Charlotte podejrzewała, że tych dwoje spotkało się wcześniej.

- Dobrze - powiedziała Ginny, wstając. - A co do mojego opanowania i spokoju, jestem pewna, że nie ustępuję one pańskim zdolnościom w tej dziedzinie. - Przeszyła go wzrokiem.

Charlotte, wciąż w objęciach Danda, poczuła, jak jego ramiona lekko się napięły, gdy Ginny, postukując kulami, wychodziła z pokoju.



- Dand? Niebezpieczny dla mnie? - spytała Charlotte z uśmiechem. Myślę, że się mylisz, Ginny. Dla wroga pewnie może być niebezpieczny, ale nie dla mnie. Ja jestem jego... towarzyszką.

Charlotte odprowadziła kurtyzanę do sypialni i zapytała ją wprost o jej ostatnią rozmowę z Dandem. Sławna piękność wsparła się na stosie poduszek i westchnęła. Rzuciła zdawkową uwagę o tym, że Dand odwiedził ją wcześniej, przed ich mistyfikacją, by upewnić się, że Charlotte nie będzie przynętą w grze.

Zakończyła to wszystko zatroskanym ostrzeżeniem, że Dand Ross może nie być tym, kim się wydaje. W istocie, może być niebezpieczny. Charlotte wolała nie przyznawać, że już o tym wie.

- Ale on mnie nie skrzywdzi - zapewniała uparcie. - Jest wiemy jak pies.

- Pozwól, że ci coś opowiem o psach - odrzekła Ginny. - Kiedy mieszkaliśmy w Aleksandrii, mój ojciec trzymał psy do polowań na lwy. Przepadłam zwłaszcza za jednym, olbrzymim, przyjaźnie wyglądającym stworzeniem. Błagałam ojca, by mi pozwolił zrobić z niego mojego pieszczocha. Zgodził się, oczywiście, dlaczego nie? Jabari był nadzwyczaj łagodnym, potulnym i powolnym zwierzęciem. Z zadowoleniem sypiał w moim łóżku i pozwalał mi się ubierać w chustki pokojówki. Jadał tureckie smakołyki z mej dłoni, ostrożnie oblizując każdy mój palec.

Charlotte uśmiechnęła się.

- Potem pewnego dnia ojciec uznał, że jestem dość duża, żeby pojechać na polowanie. To było straszne. I emocjonujące. Po godzinach tropienia na sawannie psy osaczyły wielkiego lwa, który atakował bydło miejscowego plemienia. Jeden po drugim rzucały się na bestię i jeden po drugim ulegały jej, rozdarte pazurami i poszarpane lwimi kłami. Aż wreszcie ostatni pies rzucił się jak włócznia na potwora i zacisnął mu szczęki na gardle. Chociaż pokiereszowany, nie wycofał się, dopóki lew nie padł ze zmiażdżoną tchawicą.

Charlotte poczuła, że blednie, słuchając brutalnego opisu.

- Dopiero później, gdy mężczyźni opatrzyli rany psa, ojciec zwrócił mi uwagę, że pies, który stanął do walki z taką zjadłością, to był mój łagodny

Jabari. Nigdy nie widziałam go takiego dzikiego, bezlitosnego, tak zabójczego. Przeraziła mnie myśl, że zwierzę zdolne do takiej dzikości spało każdej nocy w nogach mego łóżka.

Charlotte się wzdrygnęła.

- Wyobrażam sobie, że później już nie pozwalalas mu spać w twoim pokoju.

Ginny się zaśmiała.

- Wielkie nieba, przeciwnie.

- Dlaczego? - spytała Charlotte zaskoczona. - Jeśli tak cię przerażał?

- Bo to ja byłam jego panią. Ja miałam władzę nad tą wspaniałą dzikością. Czy rozumiesz poczucie władzy, jakie mi to dawało? Odurzająca, cudowną potęgę? W istocie, spał przy mnie przez resztę swego życia. - Urwała i skrzywiła się drwiąco. - A kiedy go zabrakło, już nigdy nie spałam tak spokojnie.

- Czy ta opowieść ma morał, Ginny? - spytała Charlotte świadoma, że głos jej się trochę trzęsie. Słowa kurtyzany potwierdzały jej wcześniejsze przekonanie, że fakt, iż Dand zdolny jest do bezwzględnych działań, jeszcze bardziej ją podniecał.

- Tak - odpowiedziała Ginny, unosząc wytwornie wyskubane brwi. - Staraj się wiedzieć, co śpi w twym łóżku, Charlotte.

*Opactwo St. Bride's
sierpień 1795*

- *Jak ja wam zazdroszczę, chłopcy!* - *Brat Fidelis, który przyniósł czterem wyrostkom południowy posiłek: suchary, ser i piwo, przystanął przy furcie otoczonego murem ogrodu i popatrzył wkoło z widocznym upodobaniem.*
- *Spędzać dni wśród takiego piękna!*

Legenda głosiła, że dawno temu pewien krzyżowiec przywiózł złotą różę z podróży na Wschód i podarował niezwykle kwiat opactwu w podziękowaniu za opiekę nad jego rodziną w czasie zarazy. Opat zbudował ten otoczony murem ogród specjalnie jako oprawę dla jedynej złotej róży na całych Wyspach Brytyjskich. Ale z biegiem czasu i wraz ze zmianami politycznymi katolicy wśród szkockich górali stali się tak nieliczni, że szkoda było marnować wysiłku na opiekę nad kwiatami, kiedy inne zadania były bardziej naglące. Do czasu, gdy obecny opat, ojciec Tarkin, nie urządził w małym opactwie rodzaju sierocińca dla dzieci nielicznych katolickich Szkotów, jacy

pozostali po rebelii w czterdziestym piątym roku i ostatniej nieudanej próbie podjętej przez księcia Karola, by odzyskać szkocką koronę. Ojciec opat widział w zaniedbanym ogrodzie różanym idealne miejsce, by rozpuszczeni, niezdiscyplinowani chłopcy mogli wyładować nadmiar energii i nauczyli się posłuszeństwa.

Ogród różany stał się niemal drugim domem dla czterech zawadiaków: Douglasa, Kita, Rama i Danda. Ten ostatni wyczołgał się z rowu, który kopał, by uśmiechnąć się łobuzersko do dobrodusznego krągłego zakonnika.

- *Proszę bardzo, bracie Fidelisie!* - *zawołał do wciąż uśmiechniętego mnicha.* - *Może brat zająć moje miejsce, kiedy tylko zechce!*

Brat Fidelis się obraził. Nigdy się nie obrażał. Za to, gdyby Dand odpysknął tak drugiemu głównemu ogrodnikowi, wiecznie zrządzającemu i skwaszonemu zielarzowi, bratu Marcinowi, przez tydzień wcierałby maść w obolały tyłek. Brat Fidelis tylko pogroził mu palcem i powiedział:

- *Przyjdzie czas, że docenisz to, co tu robisz.*

- *A co to jest właściwie?* - *Douglas, stękający pod ciężarem beli siana, którym miał ściółkować sadzonki, przystanął, zadając pytanie zakonnikowi.*

- *Tworzenie piękna. Wszystkim, którzy przychodzą tutaj, szukając ukojenia i pociechy, wystarczy tylko popatrzeć, przejść się tymi ścieżkami, by wróciła im pamięć o wielkiej Bożej miłości.*

Douglas przekrzywił głowę.

- *Brat naprawdę lubi te róże czy nie?*

Brat Fidelis się uśmiechnął.

- *Kocham je. A teraz marsz do pracy - powiedział i zniknął za jedyną furtką w murze ogrodu.*

Ram Munro dźwignął ciężki głaz na miejsce, skąd się stoczył - na wierzch zawalonego muru otaczającego studnię. Odsunął się, otarł rękawem pot z czoła, po czym się rozejrzał. Wkoło nich róże kwitły z beztróską intensywnością, kpiąc sobie z czterech wyrostków trujących się, żeby one mogły bujnie się krzewić.

- *Jak myślisz, Dand?* - *zawołał zasapany Ram w stronę kolegi. Dand zdążył już wrócić do rowu po drugiej stronie wiklinowego płotu odgradzającego go od reszty chłopców. Teraz rytmiczne miganie łopaty, wznoszącej się i opadającej nad splecionymi końcami wikliny, było jedynym widzialnym znakiem jego obecności. - Czy kiedyś poskromimy to piękno, jak ci się zda-je?*

- *Jakie piękno?* - *usłyszał zgryźliwą odpowiedź Danda. Jego łopata nie przestawała się poruszać.*

- *To nie żadne piękno!* - Douglas, pozbywszy się beli siana, wskoczył na wierzch na pół zawalonego obrzeża studni. Ułamał gałąź dzikiego bzu i zakręcił się w miejscu, wymachując nią. - *To jest smok, a ja jestem Tristanem przybywającym, by go zgładzić!*

- *A ja jestem Galahadem!* - ogłosił Ram, zrywając drugą gałąź i celując nią w Douglasa.

- *A dlaczego nie samym królem Arturem?* - zawołał Dand z głębi swej dziury.

- *Bo on nigdy nigdzie nie wyruszał!* - wyjaśnił Douglas i zamachnął się gałęzią na Rama, który zgrabnie odparował atak i zaraz się zrewanżował. Douglas roześmiał się zachwycony. - *Musiał wysyłać innych na poszukiwania. Wolę to robić sam. I mieć... -jego namiastka szpady uderzyła o gałąź Rama - własne przygody. - Jeszcze jedno machnięcie i jeszcze jeden stuk drewna o drewno. - Zdobywać własną chwałę. A to... - urwał i wyrzucił wolne ramię w górę w geście obejmującym cały ogród - będzie mój plac ćwiczeń.*

- *O co ci chodzi?* - spytał Kit, który nieco dalej, schylony, próbował wyrwać potężny korzeń wrośnięty w mur ogrodu. Już w wieku piętnastu lat miał bary szerokie jak dorosły mężczyzna.

- *Myślę, że to jest jedno z tych zadań -powiedział Douglas - które mają nas przygotować do dorosłego życia.*

Głowa Danda wychyliła się znad wiklinowego płotu.

- *W takim razie mogę przestać kopać.*

- *Dlaczego?* - spytał Ram podejrzliwie. Dand Ross nigdy nie miał na nic uprzejmej odpowiedzi.

- *Bo nabrałem przekonania, że jestem już tak dobrze zaprawiony w kopaniu rowów, że lepiej nie będę.*

Douglas uśmiechnął się i z westchnieniem cisnął swoją szpadę z gałęzi. Lekko zeskoczył na ziemię, skończywszy zabawę.

- *Czekają nas większe rzeczy niż kopanie rowów, Dand. Nigdy o tym nie zapominaj.*

- *Tak - szepnął Dand cicho, przyglądając się, jak Douglas odchodzi powolnym krokiem. - Nigdy w to nie wątpię.*

Słynna piękność o nienagannym, jeśli nie znakomitym, wychowaniu wzięła sobie kochanka. Jakiegoś zabojada. - Rawsett, typowe wcielenie młodego fircyka, zakasłał, uświadomiwszy sobie własną gafę. - Chciałem powiedzieć Francuza.

- Kogoś ze starego reżimu, bez wątpienia - powiedział jego gospodarz, Maurice St. Lyon. Na szczęście dla Rawsetta, hrabiego nazbyt zajęła sensacyjna wiadomość, by poczuł się urażony obelgą wobec swej narodowości. Zresztą, mieszkał wśród Anglików od wybuchu rewolucji i przywykł do ich złych manier.

- Bez wątpienia - zgodził się Rawsett. Zdjął płaszcz z pelerynką i cisnął go na ręce oczekującego lokaja. Zgodnie ze swą plotkarską naturą Rawsett wyrzucił z siebie największą sensację, gdy tylko przekroczył próg zamku i dojrzał gospodarza. Teraz obrócił się i z gwizdem wciągnął powietrze na znak uznania.

- To prawdziwa forteca, St. Lyon, mój drogi. Naprawdę wspaniała. - Rozejrzał się dokoła, podziwiając puszysty wschodni dywan, ciężkie obicia pokrywające świeżo połatane mury, błyszczące drewniane parkiety i lśniące nowe szyby w oknach. - Powinieneś zobaczyć miejsce, w którym dorastałem. Bez kanalizacji. Bez ogrzewania. Bez ludzi z towarzystwa.

Z tych trzech rzeczy, pomyślał St. Lyon, musiało mu najbardziej brakować towarzystwa. Cóż za plotkarz! Rawsett należał do tego typu ludzi, z jakimi St. Lyon nierazjuż miał do czynienia. Syn wiejskiego szlachcica, który uciekł z rozsypującej się siedziby przodków i trafił w jaskrawe światła wielkiego świata. Taki ktoś, raz znalazłszy się w towarzystwie, rzadko dobrowolnie wracał do rodzinnego majątku. Z tego, co St. Lyon się dowiedział od tego pretensjonalnego bufona, tak też było i z nim samym.

- Kazałem zainstalować wszystkie najnowocześniejsze urządzenia i wygody - powiedział. - Cenię sobie komfort tak samo jak ty, mój drogi.

- I z pewnością zatrudniłeś też najlepszą służbę. - Rawsett wskazał milczących lokajów stojących przy wejściu i przy dwóch dużych oknach, ludzi wybranych ze względu na ich lojalność i umiejętność walki, a nie dlatego, że mieli zgrabne nogi i apollinijską aparycję. - Musieli cię kosztować fortunę. Ale w końcu, czy można mieć za dużo służby, he?

- Nie wtedy, kiedy w każdej chwili można się spodziewać wizyty nieproszonych gości - odparł St. Lyon. Dwukrotnie w Londynie pojmał złodziei, którzy mieli wykraść list. Niestety, byli to najemnicy. Nie znali swoich mododawców i żadną metodą nie udało się wydobyć z nich pożytecznych informacji. Dużo by dał, aby poznać nazwiska tych, którzy działali przeciwko niemu - nie tylko po to, by pozbyć się wrogów, ale i dlatego, że mógłby sprzedać tę informację za grube pieniądze.

- Ufam, że podróż nie była zbyt uciążliwa? - spytał Rawsetta.

Młody człowiek zacisnął usta ze zniecierpliwienia.

- Trudno oczekiwać czego innego, kiedy się podróżuje w tych dzikich okolicach. - Lekko wzruszył ramionami. - Ale dla ciebie, mój drogi, dobrowolnie wyrzekłem się przepychu i wyśmienitego towarzystwa w pełni sezonu. Wiem, że docenisz moje poświęcenie, zwłaszcza że ten fascynujący skandal, o którym właśnie wspomniałem, zaczynał się rozwijać, kiedy wyjeżdżałem.

- Och, doceniam to jak najbardziej - zapewnił go St. Lyon z zachwytem.

Rawsett, ze swymi wypieszczonymi i przesadnie uperfumowanymi lokami spadającymi na blade czoło, noszący jedną z tuzinów par skórkowych rękawiczek ufarbowanych tak, by pasowały do jeszcze większej liczby kamizelek we wszelkich możliwych barwach, był absolutnym błaznem. Ale pożytecznym. I nieoczekiwanie przebiegłym.

Przecież to właśnie Rawsett przyniósł mu list, który St. Lyon ma zamiar wystawić na aukcji. Ten wieśniak natrafił na „umierającego starego rojalistę zabojada”, odbywając podróż po Włoszech - skoro objazd Europy był w tych wojennych czasach niedostępny dla wchodzących w świat młodzieńców - i zgodził się dostarczyć mienie tego dżentelmena krewnemu mieszkającemu w Rzymie.

Zgodnie z tym, co St. Lyon wiedział o charakterze Rawsetta, zapatrzony w siebie bubek od razu zapomniał o swej obietnicy. Do czasu, gdy po powrocie do Londynu, wczesną wiosną tego roku, został przedstawiony St. Lyonowi. Jak się należało spodziewać po Anglika, Rawsett zdecydował, że ten czy inny zabojad to żadna różnica, i był skłonny przekazać rzeczy zmarłego w ręce St. Lyona.

Ale kiedy St. Lyon rozpoznał nazwisko rojalisty, Rawsett zorientował się, że ma w ręku rzecz ciekawszą niż parę „francuskich listów miłosnych i takich tam bzdur”. Powodowany ciekawością i chciwością postanowił przejrzeć rzeczy zmarłego, zanim je odda St. Lyonowi. Wśród nich znajdował się mały cylinder i towarzyszący mu list, dający wiele do myślenia. Rawsett zrozumiał, że jest w posiadaniu cennej rzeczy.

St. Lyon właśnie szykował się, by ulżyć Rawsettowi w jego brzemieniu - i w konsekwencji wyzwolić go z życiowych trosk - gdy angielski dandys okazał nieoczekiwaną przebiegłość. Rozumiejąc, że on sam nie spożytkowałby należycie znaleziska, zaproponował St. Lyonowi spółkę. W zamian domagał się bardzo rozsądnego procentu od sumy, która, jak St. Lyon oceniał, miała się okazać fortuna. St. Lyon był człowiekiem interesu, więc na to przystał. Zresztą drobna szlachta, nawet pochodząca ze wsi, jak Rawsett, mogła się przydać. Rawsett bywał pożyteczny. Zdawał się wiedzieć wszystko o wszystkich.

- A ta sławna piękność. To ktoś, kogo znam?

Rawsett zrobił tajemniczą minę i rozejrzał się wkoło, jakby się bał, że ktoś go podsłucha.

- Och, tak mi się zdaje - bąknął zdawkowo.

- I jest to?

Rawsett nabrał powietrza i jednym tchem wyrzucił z siebie nazwisko:

- Charlotte Nash!

- Panna Nash? - powtórzył St. Lyon zdumiony. Co prawda, Ginny Mulgrew napomykała mu w listach, że żywiłowa młoda Charlotte ostatnio przeholowała, wypróbując pobłażliwość towarzystwa, ale nigdy by się nie spodziewał czegoś takiego ze strony dobrze wychowanej damy!

- Tak. - Wypomadowany fircyk nie mógł powstrzymać śmiechu. - Taka młoda. I taka namiętna. Należało się tego spodziewać, podejrzewam. Właściwie... - nachylił się, zwierzając swój sekret - ja się spodziewałem.

- Znasz nazwisko tego Francuza? - spytał St. Lyon zaciekawiony.

Rawsett zauważył nitkę przy rękawie surduta i porzuciwszy plotki na rzecz poprawki krawieckiej, podniósł wzrok z charakterystycznym dla siebie tęnym spojrzeniem.

- Nazwisko?

- Tak - powiedział cierpliwie St. Lyon. - Kochanka panny Nash.

- A. Ach. tak. Znam. Rousse. Andre Rousse.

- Nie do wiary - bąknął hrabia.

Rawsett, nim odpowiedział, wykrzywił twarz w wyrazie najgłębszego skupienia.

- Ależ tak. Jestem pewien, że dobrze zapamiętałem to nazwisko, bo powtórzył je kilkakrotnie lord Skelton, którego spotkałem, zamawiając u krawca kamizelkę. Przyszedł zamówić potwornie niegustowny żakiet. Przysięgam, że ten człowiek nie ma ani trochę wyczucia stylu... właśnie on wyjął... - urwał na moment - to wszystko. - Z miauknięciem obrzydzenia Rawsett Przyłożył palec wskazujący do nosa. - To straszny plotkarz.

- I lord Skelton tak po prostu powiedział ci, że Andre Rouse jest kochankiem panny Nash?

- Nie tylko kochankiem - sprostował Rawsett ze źle ukrywaną skwapliwością-alejej protektorem. Przejął płatności zadom i swobodnie korzysta z drzwi frontowych!

- Czy to możliwe? - zastanawiał się St. Lyon. Nazwisko Rouse budziło w nim wiele skojarzeń. Te dawniejsze wyraźnie nie miały tu nic do rzeczy, ale najświeższe mogły się okazać interesujące.

Ludzie, z którymi St. Lyon utrzymywał kontakty we Francji, w swych listach wspominali z rzadka o agencie o niewyraźnych powiązaniach, który czasem wchodził w drogę, innym znów razem pomagał osobom oddanym idei przywrócenia monarchii. Jego nazwisko brzmiało Rouse. To nie do uwierzenia, aby tamten szpieg zerwał owoc, który kusił tak często samego St. Lyona.

- I powiadasz, że to jest nowa... znajomość?

- O ile mi wiadomo, ten człowiek przyjechał do miasta ledwie dwa tygodnie temu i od razu był widziany, jak obcałowuje pannę Nash publicznie. Wchodzi do jej domu i wychodzi z niego o bardzo interesujących porach.

- Plotki służby? - odpowiedział St. Lyon.

- Nie, to wyszło od kilku wiarogodnych świadków. Osób z towarzystwa.

Może i naprawdę Charlotte Nash wzięła sobie kochanka. Kimkolwiek by był, niech go diabli za jego tupet, pomyślał St. Lyon. On sam chciał uwieść tę ślicznotkę, ale był daleko bardziej ostrożny. Musiał być. Ale kiedy w końcu ten monsieur Rouse zniknie... Skoro owoc został zerwany, łatwo może przejść w inne ręce. Ale na to, pomyślał wzdychając w duchu, pewnie trzeba trochę poczekać.

Wciąż czekał na przybycie trzech liczących się gości. A ponieważ podróż przez ogarniętą wojną Europę nie należała do łatwych, zjawia się zapewne dopiero za parę tygodni. Tyle czasu upłynie, zanim wreszcie można będzie zacząć licytację. Tymczasem musi zająć czymś swoich gości, nie zawsze układnych ludzi, żeby się nawzajem nie pozabijali. Mógłby ich powierzyć na trochę Rawsettowi. Ten głupiec jest zabawny. Niestety, miał inną, dużo ważniejszą misję dla swego kompana.

Biedak będzie nieszczęśliwy, gdy mu się każe znów wyjechać, pomyślał St. Lyon, biorąc przyjaźnie pod ramię Rawsetta i prowadząc go do wielkiego holu. Może mu nie powie do jutra.

- Powiedz mi, Rawsett, czy w tawernie na rozstajach sajakieś dziewczuchy warte tego -jakby to delikatnie ująć?- by usłużyć lepszym od nich?

Rawsett, rozpromieniony, że jego wyrafinowany partner pyta go o opinię co do zalet wiejskich swawolnie, zatarł ręce i przygotował się do wykładu.

*Opactwo St. Bride's
jesień 1794*

Dand Ross przykucnął z dłońmi wspartymi na kolanach, gapiąc się na posiniaczoną twarz Douglasa. Cicho gwizdnał z uznaniem.

- Zachodzę w głowę, czym taki szlachetny młodzian jak Dougie Stewart naraził się wiecznie prześladowanemu Johnowi Glassowi?

Douglas spróbował poruszyć szczęką, po czym wypluł grudkę krwi na podłogę stajni.

- Jesteś idiotą, Dand.

- Może byś wytarł krew z twarzy, Doug? Na jej widok żółdek mi się wywraca - powiedział Dand, sięgając do kieszeni po zmiętą chusteczkę. Cisnął ją przyjacielowi, który wytarł sobie usta. Straty nie były tak wielkie, jak się zdawało. Doug miał podbite oko i opuchniętą wargę, ale skaleczenie było płytkie, a zęby pozostały nienaruszone. ~ Dlaczego tak się na ciebie uwzięli, Douglas?

- John usłyszał, jak rozmawiamy z Ramem o Braterstwie Róży. Też chciał złożyć ślubowanie.

Twarz Danda wykrzywiła się w komicznym zaskoczeniu.

- Chodzi ci o to przedstawienie w ogrodzie w zeszłym miesiącu? Kiedy kazałeś nam przebić kciuki kolcem róży, mieszać naszą krew i ślubować sobie wzajemnie wierność po wieczne czasy? Wziąłeś cięgi za te brednie?

- Dla mnie to nie są brednie, Dand - odparł spokojnie Douglas. Jego spojrzenie było skupione, przenikliwe. - Ani dla Rama czy Kita.

- Zgoda. Doug - powiedział wreszcie Dand. - Dlaczego nie pozwoliłeś mu wypowiedzieć tych słów? To przecież tylko słowa. Oszczędziłbyś sobie cięgów.

Na to Douglas zamrugał oczami.

- To nie były tylko słowa, Dand. Czy tego nie rozumiesz? To było przyrzeczenie. Ślubowanie. To było... rytualne w pewnym sensie. Nie miałem zamiaru tego szargać, pozwalajcie by John Glass robił sobie z tego zabawę. On by nie umarł za ciebie. Nie umarłby za nikogo. Gdybym mu pozwolił złożyć ślubowanie, straciłoby wartość dla nas wszystkich. Czy tego nie widzisz? Już by nic nie znaczyło. Czy ty niczego nie traktujesz poważnie?

Dandpochylił się i oparł łokcie na kolanach, zwieszając między nimi dłonie.

- *To tylko słowa, Doug. Niewarte nadstawiania za nie karku.*

- *Chcesz powiedzieć, że nie zrobiłbyś tego samego co ja?*

Dand roześmiał się, tak samo szczerzy w swym niedowierzaniu jak Douglas w swoim.

- *Nie, Doug. Nie zrobiłbym.*

- *W takim razie żal mi ciebie, Dand. Naprawdę żal - powiedział Douglas. Jego twarz była ściągnięta i nieszczęśliwa. Skierował się ku drzwiom stajni zdecydowany zostawić Danda samego. Nagle się zatrzymał, jak gdyby nie mógł odejść, wbrew sobie samemu.*

- *Kocham cię, Dand, ale zwątpiłem w ciebie. Naprawdę - powiedział.*

~ *Nie bardziej niż ja w ciebie - szepnęła Dand, zeskakując na ziemię i ruszając za nim.*

12

Culholland Square, Mayfair

28 lipca 1806

Proszę pani? - Lizette wsunęła głowę w drzwi sypialni. Zatopiona w nowym marzeniu, w którym Dand całował ją i deklarował się jako jej oddany niewolnik, Charlotte z poczuciem winy upuściła żółty pączek róży, który bezwiednie obracała w palcach, i obejrzała się.

- Tak, Lizette? - powiedziała.

- Lady Welton jest na dole i prosi, by poświęciła jej pani parę chwil.

- Lady Welton? - powtórzyła Charlotte z zadowoleniem. Od wielu dni nie miała wiadomości od swej dawnej dobrodziejki. Zaczynała już się martwić, że coś złego się dzieje u Weltonów i wywnioskowała, że któryś z chłopców musiał wdać się w jakąś awanturę albo Maggie postanowiła wcześniej wrócić z podróży zagranicznej ze swym nowo poślubionym mężem. - Ależ wprowadź ją zaraz do frontowego salonu i zaproponuj jakiś poczęstunek. Powiedz, że zaraz zejść.

Ciesząc się na spotkanie, Charlotte poczesła szczotką krótkie loki i owiązała szyję wstążką, po czym pospieszyła na dół. Weszła do pokoju z dłońmi wyciągniętymi na powitanie.

- Lady Welton! Jak cudownie, że panią widzę!

Starsza pani, ubrana w bardzo stonowany sposób, wstała i niezręcznie ujęła wyciągnięte dłonie Charlotte, ściskając je mocno. Powiodła po niej spojrzeniem od czubka ładnie uczesanej głowy po filigranowe, wykwentne koźłące pantofelki wystające spod rąbka białej sukni we wzorek.

- Nie wyglądasz jak upadła dziewczyna - wypaliła lady Welton.

- Jak co? - zadowolenie Charlotte uleciało. Nie powinna być zaskoczona. Najwyraźniej to nie żaden oburzający postępek potomstwa Weltonów był powodem długiej nieobecności lady Welton. W głębi duszy chyba zdawała sobie z tego sprawę.

Spojrzenie lady Welton omiotło niespokojnie pokój, jak gdyby szukając śladu dziejących się tu bachanali. Potem, z wybrednością, jakiej nigdy przedtem Charlotte u niej nie zauważyła, baronowa przysiadła ostrożnie na brzeżku otomany i przyjrzała się Charlotte z mieszaniną zdumienia i smutku.

- No wiesz, Lottie. Kobieta... swobodnych obyczajów.

Gdyby to nie było tak wyraźnie przykre dla byłej dobrodziejki, Charlotte może by się roześmiała. Dzięki Bogu, Lizette zjawiła się w samą porę z tacą. Ustawiła na stole przed Charlotte karafkę z chłodzoną lemoniadą i szklanki, dygnęła i wyszła z salonu. Charlotte z wdzięcznością wykorzystała tych kilka chwil, by przygotować się do przesłuchania. Jeśli pierwsze słowa lady Welton były jakąś wskazówką, to spotkanie może się okazać niezwykle bolesne.

Baronowa przyszła w określonym celu. Pozostało tylko przekonać się, w jakim, ale już teraz Charlotte przeczuwała, że ta wizyta nie wróży nic dobrego dziewczynie, która kiedyś była hołubiona w domu Weltonów. Natomiast kreaturze, którą wspólnie z Dandem powołali do życia, dla dobrze się zapowiadającej ladacznicy, która ma wejść do zamku St. Lyons i wykraść zaginiony list, bez wątpienia pomoże osiągnąć cel. Musi się tego trzymać.

Naprawdę to fatalne, że serce nie pozwalało jej cieszyć się triumfem.

- Jak wygląda kobieta swobodnych obyczajów? - spytała, nalewając słodko-gorzki napój do szklanek.

Lady Welton, zapomniawszy na chwilę o swym zażenowaniu, zmrużyła oczy w zamyśleniu.

- Impulsywna, rozwiązała. Rozpalona i... nieprzyjemnie natarczywa.

- Wielkie nieba! - jęknęła Charlotte z lekką odrazą. - Cóż, może jestem ulepiona z innej gliny.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedziała lady Welton.

Charlotte przyjrzała jej się ze zdziwieniem.

- A to dlaczego?

- Bo to oznacza, że wdałaś się w ten niestosowny romans niewiedzioną namiętnością, ale dla... pieniędzy. - Lady Welton wyrzekła to ostatnie słowo, jak gdyby kalało jej usta.

- Tylko taki mam wybór? - Charlotte starała się zachować niefrasobliwy ton, ale widok lady Welton, z tym nieszczęśliwym spojrzeniem błękitnych oczu, sprawiał jej prawdziwy ból, którego nie udało jej się do końca ukryć.

- Nie. - Lady Welton wyciągnęła do niej dłoń, a Charlotte natychmiast, nie zastanawiając się nad tym, że nieczuła rozwiązała kurtyzana zignorowałyby taki gest, wyciągnęła swą rękę i ucisnęła jej dłoń. Ręka lady Welton zdrząła.

- Rozumiem cię, Lottie - powiedziała. - Znam cię. Jesteś tak podobna do mnie w tym, że nie chcesz, by opinia towarzystwa wyrokowała, co masz robić, z kim utrzymywać znajomość albo jak postępować. Wiem, że jesteś żywiołowa i kokieteryjna i może troszkę za często zdana na łaskę swych impulsów.

Impulsywna. Jak mało ją rozumie ta miła kobieta. Wszystko, co robiła, wypływało z jasno nakreślonego, z góry ustalonego planu. Wszystko oprócz jej reakcji na Danda Rossa. Jest najmniej impulsywną kobietą.

- Wiem, jak młody mężczyzna może zawrócić w głowie i sprawić, że każda ofiara wyda się warta paru minut w... - baronowa przełknęła ślinę - jego objęciach. Zwłaszcza jeśli jest przystojny. Zwłaszcza jeśli on wywiera... niewłaściwy nacisk i zdobywa władzę nad tobą.

Dobry Boże, Charlotte dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że lady Welton pytają, czy Dand nie uwiódł jej wbrew jej woli!

- Lady Welton, ja nie jestem...

Dłoń lady Welton śmignęła w górę i nakryła usta Charlotte, uciszając ją.

- Proszę, Charlotte, zastanów się. Wystarczy, że mi powiesz, iż nie podejmujesz tego... życia dobrowolnie, że żałujesz swego położenia, a ja znajdę sposób, by to wszystko naprawić. Welton, przy swojej lekkomyślności, nie jest jednak bez wpływów, a ja dołożę starań, byś... nie cierpiała zbytnio z powodu... tego błędnego kroku.

Powoli opuściła dłoń, kładąc ją na rękę Charlotte i mocno ją ściskając.

- Proszę. - Widać było, że pragnie, aby Charlotte dodała jej otuchy. Że czuje się bardzo zraniona, zdradzona. - Nie wiem, jak to wyjaśnić Maggie. Nie wiem, co powiedzieć Weltonowi. Proszę. My cię kochamy. Lottie.

Ból targnął Charlotte, wstrząsając nią do głębi. Nie mogła nic powiedzieć. Pogodziła się z tym, że czekają udręka i cierpienie, które musi znieść. Ni-

gdy się co do tego nie oszukiwała. Wiedziała, że jej życie po tym przedsięwzięciu może być trudne. I oczywiście wzięta pod uwagę uczucia sióstr, powtarzając sobie, że wyrządzoną im krzywdę ukoi wpływ czasu, miłość i wsparcie ich mężów.

Ale nigdy nie zastanawiała się, jak głęboko jej postępowanie dotknie wszystkich innych, którzy ją kochali: wielbicieli, szkolne koleżanki i przyjaciół. Z pewnością musi do nich zaliczyć lady Welton.

Jak może zranić tyle osób? Jak może ranić lady Welton, tak jej życzliwą, która opiekowała się nią rozpieszczając, traktując jak córkę w swym domu, a nie jak rezydentkę bez grosza, którą przecież była?

Jaki miała wybór?

- Przepraszam, lady Welton - wydusiła z siebie wargami sztywnymi z wysiłku, by utrzymać uśmiech. - Ale jestem całkiem zadowolona z mej obecnej sytuacji.

Dłoń lady Welton opadła.

- Nie wierzę w to. Ty... nie rozumiesz, co to znaczy, dziecko. Będziesz wyrzutkiem. Już jesteś wyrzutkiem.

Charlotte wysiliła się na beztroski ton.

- Istnieją inne kręgi towarzyskie poza eleganckim światem.

Lady Welton pokręciła głową.

- Nie, moja droga, nie dla ciebie. Nie oszukuj się, wmawiając sobie takie kłamstwa. Zostałaś wychowana wśród określonych ludzi, w pewnym stylu i oczekujesz od życia i własnej przyszłości bardzo konkretnych rzeczy. Jesteś przyzwyczajona, by cię uwielbiano, zalecano się do ciebie i chwalało cię. Lubisz chodzić, gdzie zechcesz, z przekonaniem, że wszędzie zostaniesz przyjęta. Do tej pory ludzie nie odwracali się od ciebie na ulicy, lecz pozdrawiali cię z szacunkiem i sympatią. Biesiadowałaś z przyjaciółmi, którzy nie chcieli od ciebie niczego innego poza twoim towarzystwem.

Charlotte, my obie zawsze byłyśmy bezceremonialne. Będę bezceremonialna i teraz. Czy ta kobieta, pani Mulgrew, jest dla ciebie wzorem osoby, z jakimi pragniesz spędzić resztę twych lat? Czy jesteś zadowolona z towarzystwa, jakie ona sobą reprezentuje, kobiet, które zna, a które muszą ze Względu na swoją sytuację zawsze usuwać się przed stojącymi wyżej od nich? Czy chcesz spędzać każdą chwilę, wiedząc, że jesteś szacowana jak sztuka bydlą przez rozwiązłych mężczyzn o złej sławie?

Charlotte odwróciła głowę, bojąc się, że wybuchnie łzami, a lady Welton źle odczyta jej ból i pośle po wojsko, by wyrwać ją ze złowrogich szponów Danda.

- Przebóg, lady Welton - wyrzuciła z siebie - zdaje się pani wiedzieć nadspodziewanie dużo o życiu kobiety lekkich obyczajów.

Blask szczerzej życzliwości zgasł na twarzy lady Welton, nadając jej nagle wygląd kruchej i zranionej.

- Rozmyślnie mnie ranisz - powiedziała łagodnie. - Nie myślałam, że jesteś do tego zdolna. Chyba wcale cię nie znam.

Charlotte podniosła wzrok i wysoko zadarła brodę. Nie po to przez tyle lat grała rolę zajętej tylko sobą wietrznicy, żeby jej umiejętności zawiodły ją teraz przy pierwszym kłopotliwym ukłuciu sumienia.

- Tak sędzę - powiedziała beztrzesko. - I podejrzewam, że to jest właśnie powód pani wizyty, nieprawdaż?

- Co? - spytała lady Welton zmieszana.

- Żeby mi wprost powiedzieć, że nie może mnie pani znać już dłużej - powiedziała Charlotte. - Bardzo uczciwie z pani strony. Bardzo szlachetnie. Błagam, proszę uznać, że wypełniła pani wszelkie zobowiązania, do jakich się wobec mnie poczuwa.

- To nieuczciwe. - Lady Welton zacisnęła splecione dłonie na kolanach, przybierając wyraz twarzy tak bolesny jak piesek pokojowy, którego kopnięto.

- Istotnie - zgodziła się Charlotte, nim się zdołała powstrzymać. - Ale wie pani, że naprawdę nie ma innego wyboru, jak zgodzić się ze mną, prawda? Nie może pani dłużej mnie znać - powiedziała dużo łagodniejszym, uprzejmiejszym tonem, niż zamierzała. - Ja to rozumiem.

Łzy stanęły w oczach lady Welton. Łzy smutku, ale też ulgi.

- Pragnęłabym, żeby był inny sposób. Żeby...

Drzwi pokoju otworzyły się i stanął w nich Dand, nieskazitelnie wytworny w przywłaszczonym ubraniu Rama Munro. Spojrzenie miał władcze i opiekuńcze... Kłamstwo. Wszystko związane z całą tą obrzydliwą męczarnią jest kłamstwem. Jego żarliwość, jej utracona cnota, ich związek, jego przeszłość... Wszystko, nawet to jego przekłete ubranie. Odwzajemniła jego spojrzenie, wiedząc, że nie udaje się zamaskować bólu. Przygryzła trzęsącą się wargę.

Zmrużył oczy. Drwina uczyniła twardszymi jego rysy, i oto wkraczał do pokoju, prosto ku miejscu, gdzie siedziała lady Welton, ocierając oczy chusteczką, którą zawsze trzymała zatkniętą za gorset.

- Lottie, moje kochanie - stwierdził z diabelskim uśmiechem - nie powiedziałaś mi, że mamy towarzystwo!

Niemożliwe, żeby oczekiwał, że przedstawi go lady Welton. Byłaby to najgłębsza zniewaga dla biedaczki. Charlotte nie zrobi tego. Za nic!

Jak oparzona jego słowami, bojąc się, że Charlotte, albo przynajmniej ta obca istota, którą kiedyś znała jako Charlotte, uczyni jej tę zniewagę, lady Welton wstała, potykając się. Potem, z głową wysoko podniesioną i łzami ciekącymi jej niepowstrzymane po upudrowanych policzkach, bez słowa przeszła obok Danda i zniknęła w holu. Chwilę później usłyszeli, jak zamykają się frontowe drzwi.

Charlotte próbowała. Próbowała z całych sił odnaleźć swój swobodny, nonszalancki sposób bycia, manierę nieszczeroci i swobody. Podniosła wzrok, unosząc jedną brew, i utkwiła oczy w ogorzałej, kanciastej twarzy Danda.

- No, nieźle poszło, jak sędzę - powiedziała.

Nagle ostrym szarpnięciem pociągnął jaku sobie i porwał w ramiona. Objął mocniej plecy, a głowę ułożył na swej szerokiej piersi.

Charlotte załamała się i rozszlochała.

13

*Jermyn Street, Piccadilly
30 lipca 1806*

Dwa dni później Ginny, zerknąwszy znad kartkowanych magazynów spiętrzonych wokół tapczanu, ujrzła swą młodoprzyjaciółkę i natychmiast odłożyła pochodzące z przemytu wydania *La Belle Assemblée*. Charlotte nie wyglądała najlepiej.

Chociaż brakowało jej klasycznej urody sióstr, Charlotte zawsze miała w sobie coś więcej, energię i żywiołowość, które dodawały jej nieodpartego uroku. Ale teraz jej zwykłe ożywienie zniknęło. Fioletowe cienie otaczały złoto cętkowane oczy, a napięcie czyniło usta bladymi i wrażliwymi.

Ze złym przeczuciem Ginny zamknęła pismo, pominęła powitalne grzeczności i od razu spytała:

- Co się stało, Charlotte? Gdzie jest pan Ross?

Czyżby ten łobuz ostatecznie wprowadził Charlotte w sprawy cielesne i okazał się nieodpowiednim przewodnikiem na tę pierwszą wyprawę? Czy był niedelikatny? Niemiły? Gniew wezbrał w żyłach Ginny.

- Jest zajęty gdzie indziej.

Ginny przyjrzała jej się uważnie. Nie. To nie tu leży problem. W przeciwnym razie jego nazwisko wyzwoiłoby dużo silniejszą reakcję. Wskazała Charlotte miejsce obok siebie. Posłuchała jej z wątłym uśmiechem.

- Powiedz mi, dlaczego wyglądasz tak ponuro, moja droga. Może boisz się kontynuować nasz plan z powodu moich obcesowych słów w zeszłym tygodniu? Nie miej mi za złe szorstkiego tonu, kochanie - poprosiła Ginny.
- Myślałam tylko o tym, co jest najlepsze dla naszego przedsięwzięcia.

Nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo ceni sobie towarzystwo Charlotte - kobiety z jej własnej klasy, która odebrała podobne wykształcenie, widziała te same rzeczy i znała tych samych ludzi, co kiedyś ona.

- Zresztą - ciągnęła pogodnie - może moje słowa nadały potrzebny rozpęd, bo w ciągu ostatnich kilku dni pociągnęłaś tę maskaradę wprost wspaniale, Lottie. - Chociaż muszę się przyznać do mej małej rólki - uśmiechnęła się, ukazując dołeczki w policzkach. - Kilka monet wetkniętych w dłonie twej dobrze opłacanej służby przekonało ich, by byli dużo bardziej rozmowni na temat wypadków w twym miłosnym gniazdku. W salonach wrze od plotek o twych niedyskrecjach.

Niedyskrecje. To słowo zabrzmiało mdło.

- O niczym innym się nie mówi - zapewniła ją Ginny.
- Moje niedyskrecje są w istocie imponujące.
- Tak. - Kurtyzana, zmarszczywszy czoło, sięgnęła po porcelanowy dzbanek stojący na stole obok niej. - Pozwól, że naleję ci filiżankę czekolady. Wyglądasz na przybitą, moja kochana.

Charlotte nie odpowiedziała.

- Co cię sprowadza?
- Przyszłam, bo chcę zapytać o kilka rzeczy. Muszę to wiedzieć.

Ginny z całym spokojem nalała parującego ciemnego płynu do wytwornej porcelanowej filiżaneczki.

- Oczywiście. Co chcesz wiedzieć, Lottie? Dlaczego jesteś taka zaniedbana?

Charlotte popatrzyła Ginny prosto w oczy.

- Czy to było trudne dla twej rodziny? Kiedy dowiedzieli się o stylu życia, jaki przyjęłaś? Jak zareagowali?

Więc o to chodzi. Litość ścisnęła serce Ginny. No tak, powinna tego oczekiwać. Rzecz okazała się łatwiejsza do zrobienia w wyobraźni niż w rzeczywistości. Ale teraz jest już za późno, by się wycofać. Wszystko, co potrafi zaoferować tej śmiesznej, dzielnej, naiwnej dziewczynie to kilka kłamstw.

które przynajmniej teraz złagodzą jej ból. Oto, jak diament czystej wody staje się zwykłym pariasem.

- Nie mam licznej rodziny. Młodszą siostrę, która nie odezwała się do mnie od dziesięciu lat oraz wuja, który zareagował podobnie. - No i trochę kuzynów tu i ówdzie. Nie byli zadowoleni, ale ostatecznie pogodzili się z tym, na co nie mają wpływu. - Zerwali ze mną wszelkie kontakty.

Skończyła nalewać czekoladę, mając nadzieję, że Charlotte nie zauważy, jak się z tym guzdrała. namyślając się, co powiedzieć.

- Arystokracja nawykła do skandali, Lottie. Będziesz dziwowiskiem na krótko. Przestaną się ekscytować twoją historią, gdy tylko następny skandal ściągnie ich uwagę.

- Więc gdy tylko ktoś inny zrukuje sobie reputację, zostanę zapomniana. - Ton Charlotte był oschły.

Chybaj jednak winna jest dziewczynie prawdę.

- Zapomnę cię, ale ci nie wybaczą. Część twojej rodziny, zależnie od uczuć, jakie żywią wobec ciebie, zrobi, co się da, by ci ulżyć. Ale dla dobra ich dzieci nie będą mogli publicznie przyjmować cię w swych domach. Przynajmniej tych miejskich.

Drżenie wstrząsnęło szczupłą figurą Charlotte, ale jej spojrzenie pozostało zdecydowane, a głos spokojny, gdy mówiła:

- Rozumiem.

- Jeśli znajdziesz sobie dość potężnego kochanka, w dodatku żarliwie ci oddanego, może wymusi na swych znajomych, by tolerowali twe towarzystwo. Mam na myśli jego przyjaciół płci męskiej. Niektóre z ich żon mogą być zmuszone przyjmować cię na mniej elitarnych spotkaniach. Ale ogólnie rzecz biorąc, na zawsze pozostaniesz poza kręgiem, w którym kiedyś się obracałaś.

Ginny na pół oczekiwała gniewu, łez, przykrej sceny pełnej wyrzutów i oskarżeń. Charlotte ją zdumiała. Chociaż pobladła, tylko kiwnęła głową.

- Dziękuję ci za szczerość.

Spokojna akceptacja Charlotte sprawiła, że Ginny poczuła się mała i winna. Były to odczucia, których nienawidziła i instynktownie zaatakowała je.

- Przypuszczam, że masz mi za złe, że nie ostrzegłam cię w porę - powiedziała szorstko.

Uśmiech Charlotte złamał serce Ginny.

- Mylisz się.

Ginny zamknęła oczy, z nienawiścią rozpoznając w sobie uczucia, o których myślała, że wyzbyła ich się dawno temu - samooskarżanie się i poczucie

winy. Domagały się swych praw, zmuszały, by jeszcze raz rozważyła swe decyzje, wszystko co zrobiła pchana ambicją i determinacją. Jakże miała prawo wprowadzać w swój obrzydliwy świat tę... dziewczynkę; skazywać Charlotte na los taki sam jak jej?

- Jest pewne wyjście - usłyszała własne słowa. - Możesz wyjechać z Londynu, ale musisz to zrobić natychmiast. Powinnaś udać się do twego szwagra markiza. Nigdy już nie będziesz się cieszyła takim prestiżem i podziwem jak dawniej, ale mogłabyś odzyskać jakąś tego część. Nawet najsurowsza matrona może przyznać, że popełniłaś błąd, młodzieńczy grzeszek, jeśli okażesz -1 to publicznie - stosowny żal i skruchę. Krótko mówiąc, ukryjesz się w wiejskiej posiadłości markiza na kilka lat. Po tym czasie mogłabyś wrócić do towarzystwa.

Ginny nie wiedziała, czy dziewczyna ją słyszy. Wzrok miała nieobecny zapatrzonej w przyszłość, którą Ginny mogła sobie tylko wyobrazić.

- Kocham moje siostry - wyszeptła Charlotte. - Mam bliskich przyjaciół, których moje postępowanie stawia w nieznośnej sytuacji.

- Wiem.

- To okropne, że każę im cierpieć za mnie z powodu przywiązania, jakie dla mnie mają.

- Rozumiem.

Charlotte potrząsnęła głową jak gdyby próbując poukładać sobie myśli. Przygryzła wargę i drżącą dłonią ze znużeniem przesunęła po twarzy.

- Nie wiem - szepnęła do siebie. - Nie wiem.

Ginny wyciągnęła ku niej rękę i delikatnie dotknęła jej przedramienia.

Ze zmęczonym uśmiechem Charlotte wstała, zostawiając nietkniętą stygnącą czekoladę w filiżance.

- Dziękuję ci, Ginny. Muszę iść.

- Ale - zapytała Ginny - co zrobisz?

- To jeszcze jedna rzecz, której nie wiem - odpowiedziała spokojnie i wyszła, zakończywszy na tym rozmowę.

Nigdy nie przyjmowała, że będzie łatwo zająć miejsce Ginny u boku St. Lyonsa, ale nie zdawała sobie sprawy, że będzie ją o aż tyle kosztować. I, jakże była głupia, nigdy w pełni do niej nie dotarło, że cenę za to zapłacą wszyscy przyjaciele, nie tylko ona i jej siostry.

Nikt, a już najmniej ona sama, nie zatroszczył się, by zapytać, czy inni są chętni cierpieć z powodu jej publicznej hańby. Nie, zachowywała ten wybór dla siebie. Świadomość tego prześladowała ją od wizyty lady Welton, wtrącając ją w otchłań wątpliwości i wyrzutów sumienia. Nie wychodziła z pokoju przez dwa dni, wymawiając się bólem głowy i próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. Wreszcie, targana rozterką, poszła szukać rady u Ginny. Odpowiedź kurtyzany nie rozwiała jej wątpliwości. Nadal nie wiedziała, czy ma prawo ciągnąć dalej maskaradę, czy też raczej powinna skorzystać z wyjścia zaproponowanego przez Ginny. Wciąż nie potrafiła tego rozstrzygnąć.

Zdjęła rękawiczki i położyła je obok srebrnej tacy, na którą kiedyś kładziono tuzin zaproszeń dziennie. Teraz leżał na niej tylko jeden list. Odruchowo zabrała go do pokoju porannego, w myślach wspominając dzień w opactwie dwa lata wcześniej, kiedy wkroczyła na tę emocjonującą drogę życiową.

Wtedy wydawało się to takie szlachetne, takie chwalebne. Wielka maskarada dla dobra Anglii, którą podjęła, by uczcić pamięć ojca. Co by powiedział, gdyby się dowiedział, kim się stała... a przynajmniej, za kogo uważają świat? Czy byłby dumny, gdyby znał powody jej postępowania? Czy tylko zdumiony i skonsternowany?

A może zrobiła tylko to, czego się domagało jej szalone serce? Czy jej motywy są brudne, czy uczciwe? A co najważniejsze, czy jej motywy mają jakieś znaczenie?

Weszła do pokoju, upuszczając niedbale szal na krzesło. Z roztargnieniem wzięła nóż z kości słoniowej i przecięła woskową pieczęć na kopercie. Obojętnie otworzyła list. Dopiero gdy zauważyła, że jest od Kate, serce w niej struchlało.

Zaczęła czytać:

Najdroższa Charlotte

Przepraszam, że od tak dawna nie pisałam, ale pułk musiał posuwać się jak najszybciej, co pozbawiło mnie wolnego czasu, który na ogół poświęcałam na korespondencję. To był ciężki miesiąc, droga siostrzyczko. W zeszłym tygodniu w niespodziewanych potyczkach straciliśmy kilku ludzi z pułku. Biedny porucznik McHenry stracił rękę, a zostawił w domu dopiero co poślubioną żonę. Pocięszam się tym, że przynajmniej do niej wróci. Co mi przypomina o jedynej dobrej wiadomości, jaką się mogę podzielić.

Kit został wezwany do kraju i wraca do Londynu z końcem miesiąca! Jakże bym pragnęła, żeby to było na stałe. Ale ma tylko się stawić

na naradę z dowództwem. Jeśli ta wojna wkrótce się nie skończy, niezwłocznie wrócimy na kontynent. Och, Lottie, pragnę rozpaczliwie, żeby położono kres temu straszному konfliktowi!

Jakże jestem zadowolona, że jesteś bezpieczna w Anglii, kochanie. A żebyś się nie martwiła o moje bezpieczeństwo, zapewniam cię, że żony oficerów w każdych okolicznościach są trzymane z daleka od pola bitwy. Ale chociaż nic mi tu nie grozi, a Kit stara się jak może, by mnie chronić od tych okropności, nie można uciec od nich na tyle daleko, by nie wiedzieć, co się dzieje na polu bitwy.

Tyle zniszczenia. Tyle strat. Tylu ludzi ginie, a jeszcze więcej ma zrujnowane życie. To nie tylko nasi żołnierze, Lottie, ale też nasi wrogowie - bo kiedy się widzi człowieka wykrwawionego i w agonii, nie można nie odczuwać współczucia, bez względu na to, po której stronie walczył! Ale jeszcze dotkliwsze są niedole, jakie niesie wojna zwykłym ludziom, niewolniczej widowni dziejącego się barbarzyństwa.

Tyle pól, przez które przechodzimy, leży odłogiem, nie dając pługów. Stodoły są puste, zapasy rozkradzione lub skonfiskowane. Kto może, ucieka przed nami, a kto nie może, zostaje, by dać świadectwo tym okropieństwom.

Bóg nie przeznaczył człowiekowi, by zabijał jeden drugiego. W każdym z nas zaszczerpił odrazę do czynów, na które ci żołnierze muszą się zdobyć, by zrobić to, co konieczne. Ich to rani, Lottie. Wiem, bo widziałam pokłósie „wojennej chwały”. Chodziłam między namiotami późno w nocy po bitwie i słyszałam, jak płaczą.

Boję się, że ich koszmary się nie skończą. A jeśli nawet, przy Boskiej pomocy, wrócą do domu, będą ich nękały przez resztę życia. Wymagamy od cywilizowanych ludzi strasznych rzeczy, Lottie. Każemy im się wzajemnie zabijać.

Jednego tylko pragnę. Chciałabym jakoś dopomóc w zakończeniu tej wojny. Zrobiłabym wszystko! Wszystko! Ale co ja mogę, prócz wspierania mego drogiego Kita i ściskania rąk rannym i umierającym? I modlitwy, by Dobry Pan sprawił, żeby ta walka ustała, by wojna zakończyła się szybko. Każdy dzień przynosi tyle strat - dla wszystkich ludzi. To się musi skończyć. Módl się, żeby się skończyło, Lottie. Dla dobra nas wszystkich.

Twoja kochająca siostra
Kate

Charlotte starannie złożyła list. Wrócił jej spokój po raz pierwszy od wizyty lady Welton dwa dni temu.

- Panno Nash? Czy mogę w czymś pomóc?

Charlotte podniosła wzrok na Lizette stojącą na progu, przyglądającą jej się z z troską. Przywykła widzieć tę troskę w ciągu ostatnich dwóch dni, gdy odrzucała towarzystwo Danda i zaprzestała prowadzenia ich maskarady. Pragnęła wtedy samotności, niepewna, co mu powie, kiedy zażąda od niej wyjaśnień.

Tak, a więc wkrótce rozproszy niepokój Lizette. I Danda. Skończyła z zamyśleniem rąk i spóźnionym krytykowaniem własnych działań. List Kate przypomniał jej, że ma niepowtarzalną okazję zrobić coś więcej niż wznoszenie modlitw o koniec wojny.

- Tak, Lizette - powiedziała z uśmiechem. - Przyszykuj moją złotą suknię. Wychodzę dziś wieczór. A kiedy wróci monsieur Rousse, poinformuj go, że dziś wieczorem wybieramy się do teatru i że zależy mi, aby był obecny, kiedy będą spuszczać kurtynę po pierwszym akcie.

Zawadiacka twarzyczka Lizette rozkwitła uśmiechem, kiedy służąca usłyszała zuchwały ton Charlotte.

- Tak, proszę pani - powiedziała, dygając.

14

*Hamstead House, Bedford Square
30 lipca 1806*

I tak nasza sztuka zmierza ku zakończeniu - powiedział Dand, gdy wynajęty powóz toczył się ku rezydencji hrabiny Hamstead.

Zaproszenie zostało wysłane i przyjęte na długo przed występnym romansem Charlotte, a ponieważ hrabina Hamstead sama cieszyła się nieco burzliwą przeszłością, nie próbowała go cofnąć. Lub może przyjęła, że Charlotte jeszcze ma dość delikatności uczuć, by swym przybyciem nie wprawić w zaniepokojenie zarówno gospodyni, jak i siebie samej.

Niestety, hrabino, pomyślała Charlotte, ten raut to wprost idealna sceneria dla naszego ostatniego występu. Nie mogę przepuścić takiej okazji.

Poruszyła się, a sztuczne brylanty, które pożyczyła od Ginny, zamigotały w przyćmionym świetle. Granatowy aksamit jej narzutki wtopił się w mrok wnętrza powozu, podczas gdy jej biust jarzył się blado jak pierś gołębiczy, wyglądając ze śmiałego dekoltu.

Czuła się spokojna, skupiona i pewna siebie. Żadnych nerwów. Żadnego skrępowania. Może tylko niecierpliwiła się trochę i chciała już mieć to za sobą. Naprzeciwko, w kącie powozu Dand tkwił w milczeniu. Po tym wieczorze ich drogi się rozejdą. On wróci do Francji, a ona... ruszy do Szkocji.

Powóz zatoczył się, hamując, trafiwszy pomiędzy pojazdy poruszające się w ślimaczym tempie wzdłuż bulwaru prowadzącego do rezydencji Hamsteadów. Dand milczał od dłuższej chwili. Jego odziane w rękawiczki dłonie bieleły się na tle surowej czerni wieczorowego stroju, spoczywając nieruchomo oparte na srebrnej gałce laski. Charlotte wiedziała, że jego swoboda się ulatnia. Niemal mogła wyczuć jego skupione spojrzenie.

- Jesteś gotowa na ten wieczór? - spytał, gdy powóz znów ruszył.
- Tak - odparła. - A ty?

- Och, zdecydowanie tak. Chociaż wciąż nie rozumiem, dlaczego to ja mam być tym porzuconym.

Zdała sobie sprawę, że usiłuje zająć czymś jej myśli, aby się nie denerwowała. Z zadowoleniem z tego skorzystała.

- Przedyskutowaliśmy to szczegółowo. St. Lyon powinien myśleć, że nie jestem jakąś godną pożałowania panienką, lecz oportunistką pozbawioną sentymentów. Osobą szukającą bogatszego i hojniejszego protektora.

- Zdaje się, że to ma sens. Ale ostrzegam cię, że moja męska duma może nigdy się w pełni nie odrodzić po zniewadze, jaką chcesz jej wymierzyć dziś wieczór.

- Spieszę cię zapewnić, że to nie ciężar, który nosisz w spodniach, lecz waga twojej sakiewki zostanie podana w wåtpliwość.

- Ojej, Lottie. - Dand cofnął się zszokowany. - Ależ ty się pikantnie wyrażasz.

- Zauważyłeś? - odparła dumna z siebie. - Ćwiczyłam takie zwroty cały wieczór. Ginny podzieliła się ze mną najbardziej smakowitymi kąskami.

- Wolę sobie nie wyobrazić - powiedział oschle.

- Nie ma sensu rujnować sobie opinii w jakiś wymuszony sposób. Ja zrzuń ją sobie z polotem. - Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że przynajmniej wygląda walecznie. Pragnęła zakończyć tę rozmowę, zostawiwszy Danda

w przekonaniu, że jeśli o nią chodzi, to w pięknym stylu odegra swą rolę w wieczornym przedstawieniu. - Albo przynajmniej z humorem.

- Jakże mi będzie ciebie brakować, Lottie - wymruczał. - Naprawdę cieszyłem się tymi dniami spędzonymi razem.

- Ja tak samo - odwzajemniła się uprzejmie, żeby nie podejrzewał, do jakiego stopnia prawdziwe są jej słowa. Godziny, które spędzali we dwoje, znaczyły dla niej dużo więcej, niż była gotowa przyznać, nawet sama przed sobą. A tych godzin, kiedy ich role wymagały, by z nią flirtował i jej dotykał, będzie jej brakowało najbardziej.

Pieszczoty Danda sprawiały, że ugiwały się pod nią nogi. Od jego gorących spojrzeń przyspieszał jej puls. Dotknięcia leciutkie jak szept sprawiały, że zapierało jej dech. A pocałunek Danda...? Wystarczył, żeby bardziej głupiotka dziewczyna, bardziej naiwna, bardziej romantyczna niż ona, leżała bezsennie po nocach i rozmyślała, do czego takie pocałunki w końcu prowadzą, i rozpaczła, że nigdy się o tym nie przekona.

Na szczęście nie jest taką dziewczyną.

Jednak - pomyślała w nagłym przypływie zuchwałości, którą odkryła w sobie na nowo po przeczytaniu listu Kate - przy tylu poświęceniach, które ponosiła ostatnio, powinna mieć gwarantowane miejsce na początku kolejki, kiedy przyjdzie na nią pora stanąć u bram rajy.

Powóz zaczął hamować. Odsunęła zasłonkę i zapatrzyła się na ciąg szerokich marmurowych stopni prowadzących do otwartych dwuskrzydłowych jaskrawo oświetlonych drzwi. Lokaje stali rzędem po obu stronach, przyjmując gości napływających jak błyszcząca rzeka od strony ulicy.

- To... jest szaleństwo - rzekł Dand cicho. Nawet w ciemności potrafiła zauważyć jego krzywy uśmiech.

- Powtarzasz mi to bez przerwy - powiedziała. Zaszli już za daleko, żeby się teraz wycofać, i wiedzieli o tym oboje.

- To się nie powinno było zdarzyć - wymamrotał. - Szaleństwo.

- Szalony koń - poprawiła Charlotte, myśląc o powozie, który potrafił Ginny i zmienił jej własne przeznaczenie. - Zastanawiam się, co go spłoszyło? Z tego niewątpliwie płynie nauka, że najlepiej ułożone plany mogą zostać zniweczone z powodu skrawka papieru, chłopcęj procy lub przemykającego się kota.

- Tak - rzekł Dand przeciągle. Przez długą chwilę milczał, a potem z przesadną kurtuazją dodał: - Póki mam możliwość to zrobić, pozwól, że pogratuluję ci wspaniałej gry w ciągu ostatnich tygodni.

Powiedział to jak pełen uznania kolega aktor przyklaskujący grze partnerki przed zamykającym przedstawienie ostatnim aktem.

- Dziękuję ci. Ja też ci gratuluje. A teraz sądzę, że powinniśmy odpowiednio zakończyć naszą maskaradę.

- Tak.

Żadne się nie ruszyło.

- Lottie.

- Hm?

- Wiesz, że wracam do Francji za kilka dni.

- Tak. Błagam, bądź ostrożny.

- Tak, tak. - Machnął ręką na jej troskliwość. - Ale... chcę powiedzieć, że... Wiesz, że po tym wieczorze nie mogę przyjść do twego domu. A jeżeli przypadkiem natkniemy się na siebie w jakimś miejscu publicznym, musisz mnie zignorować.

- Rozumiem. Po tym, jak zdecydowałam, że moja przyszłość leży gdzie indziej, nie będę przecież oglądać się przez ramię.

- Właśnie. - Zobaczyła błysk jego białych zębów i serce zabiło jej mocniej w piersi. - Więc to jest ostatni raz, kiedy możemy jeszcze przez chwilę porozmawiać.

Znamienną chwilę. Kiedy znów się zobaczą, wszystko będzie inaczej niż teraz.

- Ale - ciągnął - gdybyś mnie potrzebowała w ciągu najbliższych kilku dni, wynająłem mieszkanie na Bedford Square. A potem, kiedy tylko będziesz chciała, wystarczy, że skontaktujesz się z ojcem Tarkinem, żeby mnie znaleźć. On wie, jak do mnie dotrzeć.

Jego troska wzruszyła ją, ale pokryła to uczucie promiennym uśmiechem i lekko kiwnęła głową.

- Czy mam ci również przysłać żółtą różę? To znaczy, jeśli będzie na nie sezon?

Kiedy nie odpowiedział, wyciągnęła rękę i lekko dotknęła jego dłoni.

- Och, Dand. Skończmy już z tą twoją przysięgą, żebyś przestał spoglądać z taką ponurą determinacją i nie spędził nie wiadomo ilu lat, wyczekując kwiatów ode mnie.

Usiadła na powrót, uśmiechając się z galanterią.

- Oto moje oficjalne słowo: Ja, Charlotte Nash, niniejszym zwalniam cię z twego ślubowania.

- Nie jest twoją rzeczą mnie zwolnić, Lottie - powiedział, a jego spokojny głos wypełnił ciemność. - Tylko moje serce może osądzić, kiedy spłaciłem swój dług.

- Biedne serce - szepnęła.

- Stałe, że aż litość bierze - zgodził się i nagle nachylił się w przód, pokonując niewielką odległość między nimi, i lekko dotknął jej policzka koniuszkami palców.

Niech go licha, tak czy inaczej! Dlaczego znowu zdjął rękawiczki. Teraz elektryzujący dotyk gołej dłoni zmusił ją do zaciśnięcia powiek w przypływie tęsknoty.

- Kochana Lottie - wyszeptał łagodnie - jeśli kiedyś będziesz w potrzebie, wezwij mnie, a przybędę jak najszybciej. - Jego palce ześliznęły się po jej policzku na szyję i zaczęły przeczesać krótkie loczki na jej karku. Po chwili ujął jej głowę i przysunął się bliżej. Jego ciepły oddech miał w sobie leciutki zapach brandy, a ona usłyszała bicie swego serca, gdy wstrzymała oddech.

- Jeśli zażadasz czegoś ode mnie, czegokolwiek, żadna noc nie będzie zbyt ciemna, żadna droga zbyt długa, żaden ocean zbyt szeroki ani armia żadnego króla zbyt wielka, by mnie powstrzymać. Spełnię twe życzenie lub zginę, próbując to zrobić.

Serce zatrzepotało jej od tych wibrujących tonów, mrocznej potęgi słów, i zapragnęła - mój Boże, pożałowała tego! - uwierzyć, że jest w nich coś więcej niż honor. Coś głębszego niż czysta, niezłomna szlachetność.

Jego usta dotknęły jej ust w słodko-gorzki pocałunku, niepodobnym do żadnego poprzedniego, delikatnym i pełnym tęsknoty. Lecz właśnie, gdy unosił dłonie, by ująć w nie jej twarz, powóz stanął i przechylił się, gdy woźnica zeskakiwał na ziemię. Dand puścił ją niechętnie i opadł z powrotem na siedzenie z oczyma lśniącymi w półmroku.

- I - odezwał się cichym wibrującym głosem, gdy drzwi się otworzyły - nie będę potrzebował żadnej cholerniej róży, żeby mnie doprowadziła do ciebie.



- Mówiłem jej, że robi z siebie przedstawienie - oświadczył na cały głos monsieur Andre Rousse, ale nie było jasne, do kogo się zwraca. Kilka osób w pobliżu obróciło się na tę głośną, lekko bełkotliwą deklarację.

- Nie może być inaczej, ale ona tego właśnie chce. A co to jest, może ktoś spyta? - warknął, przewiercając wściekłym spojrzeniem obiekt swej perory. - Powiem wam. Każda kobieta, która publicznie pokazuje się w takim neglizżu, robi to w oczekiwaniu, że zawisnie na szyjach większej liczby mężczyzn niż krawat od handlarza starzyzną!

Od czasu wielkich aktorów Sarah Siddons i Johna Kemble'a, występujących razem na scenie ponad dwadzieścia lat temu, towarzystwo nie bawiło się takim spektaklem. Cisza zapadła w tłumie, który kłębił się w foyer prowadzącym do sali jadalnej. Głowy wykręcały się, wargi nieruchomiały, oddechy ustawały.

Wysoki, przystojny Francuz, monsieur Rousse, znalazłszy w tłumie swą kochankę Charlotte Nash, głośno nią komenderował, gdy stała, zalotnie uderzając złożonym wachlarzem w pierś jakiegoś wyraźnie zauroczonego kawalera. Usłyszawszy nikczemne oskarżenie, dama stała się tak blada jak jej suknia ze złotej siatki, która zmuszała każdego obiektywnego widza do przyznania, że jest tak uszyta, żeby niewiele pozostawiała wyobraźni co do powabów ukrytych pod cienką materia. Złośliwe matrony zapewniały później uszczypliwie, że suknia została zwilżona, by lepiej oblepiała to, co - każdy musiał przyznać - było w istocie wspaniałą figurą.

Powoli jędzą o imbirowych włosach obróciła się i jej kocie oczy spoczęły na mężczyźnie, którego całe towarzystwo uważało za jej kochanka.

- Krawat od handlarza starzyzną? Jeszcze jedna rzecz, na którą ledwie cię stać, Rousse?

Przepychanie się ku drzwiom całkiem ustało. Scena zapowiadała się na główną atrakcję wieczoru. Monsieur Rousse - którego nikt nie znał, lecz o którym wszyscy słyszeli - przybył tu z Charlotte Nash, prowadząc ją pod rękę i ignorując chichoty zdumienia i syknięcia dezaprobaty, ciągnące się za nimi. Panna Nash natychmiast zostawiła go samego, a on nie przestawał się upijać do stanu, w którym powinien dawno leżeć pod stołem, jak z podziwem zauważył pewien stary generał, sam znany z mocnej głowy.

Panna Nash, przeciwnie, zadowalała się flirtowaniem w najbardziej ekstrawagancki sposób z każdym mężczyzną, który nie unikał jej towarzystwa, a takich, jak podkreślało kilka mądrych starych matron, było znacznie więcej, niż to by się podobało różnym żonom, matkom i narzeczonym.

Rousse obserwował jej zabawę z błyskiem czarnych oczu. Wlewając w siebie jeden kieliszek porto za drugim, ignorując ponętne spojrzenia co śmielszych matron. które w swych nocnych wyznaniach lub pospiesznie gryzmołonych pamiętnikach przyznawały, że rozumieją - w czysto hipotetycznym sensie - dlaczego ktoś tak kapryśny i zapalczywy jak Charlotte Nash zrujnował dla niego swą reputację.

Ale kiedy Charlotte pochylała się i szepnęła coś. na co pewien młodzian z oczyma jak koła - dziedzic olbrzymiego i ogromnie wulgarnego przedsiębiorstwa, zaczerwienił się z zadowolenia - Rousse jak burza przemierzył

salę i odciągnął ją po czym wepchnął do małej wnęki. Przez następnych kilka chwil z jej wnętrza dawały się słyszeć uspokajające pomruki i sporadyczne ryki wściekłości. Jednakże jakiegokolwiek balsamu panna Nash użyła, usiłując ugłaskać swego rozwścieczonego amanta, najwidoczniej jej się nie powiodło. Wynurzył się z wnęki z przekleństwem na ustach i szaleństwem w oku. Kilka minut później ukazała się panna Nash, wzdychając z rozdrażnieniem, a potem wracając do swego ujmującego sposobu bycia.

To było dwie godziny temu.

Teraz, wydawszy dziki ryk, Rousse przepychał się przez tłum. Najwyraźniej miał zamiar wyrządzić jakąś krzywdę pannie Nash! Niemal dotarł do dziewczyny, która stała z władczyim wzgardliwym spojrzeniem, gdy obezwładniło go kilku dżentelmenów, obawiając się najgorszego.

Wrywał im się wściekle.

- Puśćcie mnie. Uwolnijcie mnie, wy diabły! Jeśli, nędzne łajdaki, też nie jesteście jej niewolnikami!

- Puśćcie go - powiedziała przeciągle panna Nash z drwiącym machnięciem dłonią. - Nigdy sobie nie pójdzie, jeśli przedtem nie zrobi z siebie widowiska.

Ociągając się, dżentelmeni puścili ręce Rousse'a. Jego piękne oczy straciły dziki blask. Przeszedł obok kilku ostatnich osób oddzielających go od Charlotte. Stał przed nią, trzęsąc się z emocji.

- Słucham, Rousse? - zapytała znudzonym głosem. - Jakajeszcze awanturę urządzisz? Błagam, pospiesz się z tym. Wszyscy ustawiają się do kadryla, a ja przepadam za tym tańcem.

- Jesteś okrutna.

- Jeśli niezgoda na podtrzymywanie niewygodnego złudzenia jest okrutna, to przyznaję się do winy.

- Ty lafiryndo bez serca! Ja cię uwielbiałem!

Leciutki uśmiezek wykrzywił jej wargi.

- W takim razie uratowałam twą duszę od swego rodzaju świętokradztwa i powinieneś być mi wdzięczny, jeśli ci powiem *adieu*. A ja - mówiła dalej kamiennym tonem - właśnie ci mówię *adieu*.

To rzekłszy, zamierzała się odwrócić. Ale Rousse zapadł się w udrękę. Jego cierpienie było tak wielkie, że można było tylko żywić gorącą nadzieję, iż samemu nigdy się podobnego nie doświadczy. Twarz miał straszna- wykrzywioną i zropaczoną. Wprost oszalał z wściekłości. Chwycił Charlotte za rękę, gdy go mijała. Gładko się zamachnęła. Odgłos, z jakim jej dłoń uderzyła w jego policzek, poniósł się nad zahipnotyzowanym tłumem.

Puścił jej rękę, osłupiały, pijany, upokorzony.

- A teraz, kiedy już poniżyłeś nas oboje, może będziesz tak dobry i odejdziesz? - Jej głos stracił chłodną obojętność. Pierwszy raz zadrgało w nim zdenerwowanie. W jej oczach zalśniło coś, co mogło być łzami.

Przez długą chwilę stali, wpatrując się w siebie nawzajem, a na jej twarzy walczyły ze sobą uczucia, których nikt, nawet najbardziej zadufana w sobie jędza, nie potrafiłby zinterpretować. I nagle Rousse uklonił się - całkiem zgrabnie, jak na kogoś tak pijanego - i wyszeptał cicho: - Pani pokorny sługa. Pani niewolnik.

A chociaż panna Nash została jeszcze na małą godzinkę i tańczyła, języki zaczęły mleć, szepty szły za nią wiernie jak cień.

- Wprost mu oświadczyła, że nie jest w stanie jej utrzymać w takim stylu. Jak by sobie życzyła.

- To tak, jakby oświadczyła, że szuka kogoś, kto mógłby to zrobić.

- Zawsze byłam zdania, że ona jest zbyt bezpośrednia.

- Ale aż tak? Znam jej siostrę, markizę Cottrell. Będzie zdruzgotana.

- Prawdopodobnie nie. Wiedziała, że należy czegoś takiego oczekiwać.

Nie tak jak mój biedny naiwny syn Jeff.

- Ani mój prostoduszny siostrzeniec Carl.

- I mój niczego niepodjejrzący mąż.

15

Culholland Satiare, May fair
3 sierpnia 1806

Czekanie jest najtrudniejsze, stwierdziła Charlotte cztery dni później, gdy apatycznie nawlokła igłę kolejnym kawałkiem niebieskiej jedwabnej nitki. Studiowała plany przeróbek w zamku St. Lyona tak długo, że potrafiłaby z pamięci wykonać ich dokładne kopie. Wiedziała, gdzie wychodzi każde okno i dokąd prowadzi każdy korytarz dla służby, które szafy ściennie są dość głębokie, by się w nich ukryć, które drzwi prowadzą klatki schodowe i które kasetony maskują skrytki. A potem... starała się zabić czas.

Niedobrze jej się robiło na myśl o haftowaniu, zmęczyło ją czytanie, obrzydło jej własne towarzystwo, a jedyna osoba, z którą chciałyby porozmawiać.

siedziała sobie gdzieś w mieszkaniu na Bedford Square, grając rolę jej odrzuconego kochanka - przynajmniej tak ją poinformowała Ginny. Pił, grał w karty i się łajdaczył - przyjmowała, że się łajdaczył - gdy ona haftowała poduszki!

To niesprawiedliwe. Och, dostawała zaproszenia. Ktoś proponował jej przejażdżkę powozem na wieś, ktoś inny, by odetchnęła nocnym powietrzem w publicznych ogrodach rozkoszy albo zjadła obiad z grupą zamożnych dżentelmenów. Była tak znudzona, że omal nie przyjęła ostatniego takiego zaproszenia, które otrzymała do robiącego karierę polityka. Przynajmniej rozmowa mogłaby się okazać ciekawa, chociaż wątpliwe, żeby miała coś wspólnego z polityką, czyż nie?

Więc siedziała. Grywała w wista z Ginny podczas codziennych odwiedzin kurtyzany, bębniła palcami, gapiąc się przez okno na placik po drugiej stronie ulicy i myślała o Dandzie. Pragnęła być z nim. Ćwiczyła nawet niektóre z jego co barwniejszych wyrażań.

Wzięła głęboki oddech. To prowadzi donikąd. Musi pomyśleć o czymś innym. Na przykład, że do tej pory St. Lyon na pewno otrzymał list Ginny i może nawet na niego odpowiedział. Co będzie, jeśli nie połknie haczyka? Nie wolno jej tak myśleć?

A zatem, jeśli nie pozwalała sobie wracać myślą do Danda i jego podłych flirtów oraz nie śmiała się zastanawiać nad ewentualną klęską ich planów - niemożliwe, aby całe jej poświęcenie poszło na próżno - zostało jej niewiele tematów do rozmyślań oprócz... oprócz... wzorów na poduszki.

Wydawszy policzki, Charlotte odłożyła robótkę i podeszła niepokieszona do bombonierki, którą przysłał jakiś wielbiciel. Już pół tuzina złotych siatkowych gniazdek stało ogołoconych z marcepanowych cudeniak. Nic dziwnego, pomyślała drwiąco, że tak wiele upadłych kobiet, które jej wskazywano w operze, było tłusciutki jak gołąbki.

Właśnie podniosła do ust marcepanową różyczkę, kiedy drzwi salonu otworzyły się z rozmachem. Na progu stanęła Ginny. balansując na nowej elegancko wykonanej parze kul. Jej ładną twarz ożywiało źle tłumione podniecenie. Machała kartką papieru jak chorągiewką w dniu urodzin króla.

- Przyszło! Zaproszenie dla ciebie! - wyrzuciła jednym tchem. Wkuśtykała do pokoju, zgrabnie okręciła się na jednej kuli, a drugą pchnęła drzwi, by się zatrzasnęły. - Przyszłam równocześnie z posłańcem, więc od razu zapłaciłam za przesyłkę. Znam jego pismo, Charlotte. - To od St. Lyona.

Przeszła przez pokój, głośno stukając kulami o posadzkę, i wsunęła list do rąk Charlotte.

- Czytaj!

Charlotte wzięła papier i nie sięgając po nóż, wsunęła palec pod pieczęć. Dumna, że dłoń jej nie zadrżała, rozpostarła złożoną kartkę i przeczytała.

Więc stało się. Wzięła głęboki oddech. I jeszcze jeden.

- Co pisze? - spytała Ginny. Bez słowa Charlotte podała jej list.

Droga panno Nash

Bardzo się zasmuciłem, usłyszawszy o nikczemnych i niesmacznych awansach, jakimi panią ostatnio obrażono. Pochlebiam sobie, że może wiedziałbym, co pani przeżywa, gdybym nie był rzucony z daleka od wszystkich, których kiedyś znałem, a przez to może znalazłbym się w innej, choć spieszę zaznaczyć, że niekoniecznie gorszej sytuacji.

Takie przeżycia są nadzwyczaj bolesne, zwłaszcza jeśli ktoś nie ma przy sobie przyjaciół, na których może polegać. Kogoś, kto zapewni mu nie tylko wsparcie i współczucie, lecz także towarzystwo i rozrywkę, żeby przypomnieć, że życie, ze wszystkimi bogatymi i obfitymi radościami, nadal jest przygodą dla tych śmiałków, którzy gotowi są przyjąć jego wyzwania. Proszę, błagam panią, niech mi będzie wolno oddać do pani dyspozycji mój zamek i moją przyjaźń w chwilach pani rozterki.

Jeśli nie przekaże pani swej odmowy odwrotną pocztą memu stangretowi Jeffriesowi, przyślę po panią powóz w sobotę rano z poleceniem przywiezienia pani do mego zamku.

Z żarliwą nadzieją, że przyjmie pani mą propozycję i niecierpliwie wyczekując przyjemności pani uroczego towarzystwa,

Maurice, hrabia St. Lyon

Ginny podniosła wzrok, z odcieniem zdumienia w twarzy.

- Udało się. Zrobiłyśmy to, Charlotte. Przyśle po ciebie powóz. Już jutro!

- Tak szybko? - bąknęła Charlotte.

- Cóż, moja droga, to tylko dowodzi jego zapału. Powinno ci to pochlebiać.

- Tak - powiedziała. - Powinno. - Skuliła łopatki, jakby ktoś włożył na barki ogromny ciężar, ale spojrzenie, które skierowała na Ginny, było promienne i bezkompromisowe.

- A więc, najtrudniejsze mamy za sobą. Pozostaje tylko znaleźć list i zastąpić go fałszykatem - powiedziała. - Och, i chyba będę musiała być miła. żeby St. Lyon nie stracił zainteresowania mną. Ale nie aż tak miła, żeby nie mógł znieść rozdzielania ze mną na ten czas, kiedy będę prowadzić poszukiwania.

Uśmiechnęła się - nowym uśmiechem, twardszym i bardziej napiętym.

- Po prostu będę musiała znaleźć sposób, aby złagodzić mój kolosalny magnetyzm.

Ginny nie dała się oszukać. Zbyt dobrze znała Charlotte. W jej ciemnych oczach zalśniła litość. Zmrużyła je. To nie litości najbardziej potrzebuje teraz Charlotte. Potrzeba jej siły.

- Jak tylko znajdziesz tamten list - powiedziała Ginny - musisz wymyślić jakiś wykręt, który pozwoli ci natychmiast wyjechać.

- W stosownym momencie, chciałaś powiedzieć? - Charlotte nie mogła powstrzymać się od ironii. Nie będzie żadnego stosownego momentu i obie to wiedziały.

Ginny odwróciła głowę, przygryzając dolną wargę.

- On jest... delikatnym kochankiem, Lottie - powiedziała, ścisząc głos. - Jest miły podczas... podczas intymności.

„Miły?” To słowo ścisnęło Charlotte za gardło.

Nie chciała, żeby był miły. Bez względu na to, jak „miło” St. Lyon potraktuje jej ciało, nie ma sposobu, żeby stał się dla niej kimś droższym niż Dand. Spędziła tygodnie, udając, że ją i Danda łączy miłość. W końcu naprawdę się w nim zakochała. Nie chce nawet myśleć, że ktoś inny mógłby się znaleźć na jego miejscu. Że ktoś inny mógłby jej dotykać.

Znała każdy odcień oczu Danda - od ciepłej bursztynowej barwy stopionego toffi do prawie czarnej palonej kawy. Znała każdą szramę na jego dłoniach, sposób, w jaki unosił brwi chwilę przed tym, nim się uśmiechnie, leniwa ospałość jego ruchów, swobodny wdźwięk, drzemiacą w nim siłę, determinację czającą się pod jego znużeniem.

Rozumiała bystrą inteligencję kryjącą się pod niezobowiązującą ciekawością. Poznała w nim twardego realistę, który miał władzę nad beztróskim hultajem. Znała jego smak, jego zapach. Wystarczyło zamknąć oczy, a każdy jej zmysł uczestniczył w odtwarzaniu jego obrazu.

Jak to możliwe, by doświadczyła większej intymności z kimkolwiek innym? Tylko w fizycznym akcie uprawiania miłości.

Odpowiedź przygniotła ją straszliwym ciężarem i osłupiającą prawdą.

Wciąż była dziewicą. St. Lyon na pewno to zauważy.



Pokój był duszny i przegrzany, ale z powodu deszczu zacinającego od wschodu w szyby nie miał innego wyboru, jak tylko zostawić okna zamknięte. Na zewnątrz nocne niebo było czarne, gęste i ciężkie, zapowiadające nadejście gwałtowniejszej burzy.

Z irytacją, jaką rzadko odczuwał, szarpnięciem zerwał z siebie koszulę i cisnął ją na krzesło, po czym położył się na wąskim łóżku w wynajętym mieszkaniu. Skrzyżował nogi w kostkach i splótł dłonie za głowę, po czym pogrążył się w kontemplacji pająka skrzętnie snującego sieć wprost nad jego głowę. Jest jakaś wróżba w tych machinacjach pająka, pomyślał w przypiływie czarnego humoru.

Czy wszystko w ciągu ostatnich sześciu lat było częścią Bożego planu, który miał go rzucić na kolana?

Prawdopodobnie.

Wbrew wszelkim wysiłkom nie potrafił zapomnieć o Charlotte Nash. Uśmiechnął się w ciemności. Do licha z tępotałobuzicą. Myślał, że grając usłużnego łajdaka, będzie ukradkiem mieć na nią oko i zręcznie utrzymując z dala od ciemniejszej strony jego życia. A tylko wszystko pogorszył. Sprawiał, że mu zaczęła ufać. Doprowadził do tego, że poczuła się z nim swobodnie, przestała się bronić, przestała się pilnować.

Dobry Boże, gdyby ona знаła ogrom powściągliwości, z jaką przyjmował jej druzgocące leciutkie pieszczoty. Gdyby rozumiała fizyczny ból, jaki cierpiał pod gradem jej poufałości, jej pocałunków i westchnień; opanowanie, jakie w sobie wyrobił, by nie odpowiadać w pełni na te niewinne prowokacje - nie zgodziłaby się przebywać z nim w jednym pokoju, a co dopiero w tym samym domu.

Nie pragnął jej ot tak, po prostu. Pragnął jej absolutnie i wyłącznie. Zamknął mocno powieki, zacisnął zęby w rozpacz i gniewie. Nie powinien dać się złapać w tę pułapkę, tę żądzę, tę...

Miłość, pomyślał gorzko.

Miał niewiele czasu. Najgorsze z możliwych zakończenie tej farsy to takie, że odnajdzie go tu Ram. Niewiele lepiej byłoby, gdyby przyłapał go Kit MacNeill. Powinien stąd wyjechać gdzieś daleko, zanim obaj razem lub każdy z osobna wrócą do Anglii. A jego informatorzy donosili, że to nastąpi już wkrótce. A wtedy...? Wtedy nie będzie mógł wrócić, dopóki kurtyna nie opadnie po zakończeniu sztuki.

Nie wolno mu rozmyślać w nieskończoność o Charlotte czekającej na zaproszenie St. Lyonsa. Hrabia jest człowiekiem praktycznym. I czujnym. Nawet jeśli po nią posłał, wiele przemawia za tym, że zaczeka z zaprosze-

niem, aż załatwi sprawę z listem. Tym samym zniknie konieczność, która wpychała ją do jego łóżka. Ale co będzie, jeśli hrabia...

Nie. Musi wyjechać. Nie może tu zostać i trzymać Charlotte z dala od St. Lyonsa. Nieważne, jak uparcie serce mu podpowiada, żeby właśnie to zrobić. Są rzeczy, którym poświęcił pół życia. Los wielu ludzi, może nawet setek, zależy od powodzenia jego misji i nie poświęci ich życia dlatego, że się zakochał w Charlotte Nash.

- Monsieur Rousse? - Służąca, która sprzątała wynajęte mieszkanie, zastukała do drzwi. - Wiadomość dla pana.

Pomyślał, że powinien włożyć koszulę, żeby nie gorszyć dziewczyny, ale był tak rozgrzany i lepki, a ona pewnie widziała mnóstwo bardziej interesujących rzeczy w swym krótkim życiu niż mężczyzna napiętnowany znakiem róży. Przerzucił nogi przez krawędź łóżka, wstał i otworzył drzwi.

- Tak? Jaka wiadomość? - spytał krótko.

Upuściła list na jego wyciągniętą dłoń, szybko dygnęła i pospiesznie uciekła, nie dając mu innej szansy niż powrót do pokoju.

Nie był zdziwiony nadejściem listu. Wciąż zbierał informacje z różnych źródeł. Większość informatorów wolała anonimowość zapewnianą przez list niż ryzykowne spotkanie twarzą w twarz. Jednak gatunek papieru był lepszy niż zwykle używany przez jego korespondentów.

Złamał pieczęć i natychmiast dostrzegł eleganckie kobiece pismo i dyskretny podpis, tylko z paroma zawijasami. Wszystko dużo mniej staranne, niżby oczekiwał po tak ekstrawaganckiej nadawczyni jak Charlotte Nash.

Proszę. Przyjdź dziś wieczór.

Wpychając poły koszuli do spodni, zbiegł po dwa schodki naraz do frontowego holu, narzucił na siebie płaszcz i dał nura w deszcz.

*Opactwo St. Bride's
wiosna 1799*

- Nikt nie może wiedzieć, dokąd jedziecie. Żaden z pozostałych chłopców ani żaden z zakonników. Gdyby ktoś was wypytywał, to obrzydło wam życie klasztorne i wyruszacie zaznać uciech Edynburga. - Ojciec Tarkin przystawał przed każdym z młodych ludzi wyprężonych przed nim na baczność. Zaglądał w każdą Parę oczu głębokim, badawczym spojrzeniem. - Nikt nie będzie miał powodu wątpić w tę historię. Wasza czwórka trzyma się razem od blisko dziesięciu lat.

Kit MacNeill się zawahał.

- *A co z Johnem Glassem?*
- *To znaczy? - spytał ojciec Tarkin.*
- *Wie, że coś się szykuje. Nęka Douglasa pytaniami, dokąd chodzimy po jutrzni i dlaczego Ram tak usilnie ćwiczy francuski akcent.*
- *I co mu powiedziałaś, Douglas? - Ojciec Tarkin zwrócił się ku brązowowłosemu młodemu mężczyźnie na końcu.*
- *Powiedziałem, że mamy zamiar uciec któregoś wieczoru, machnąć ręką na opactwo i wyrobić sobie pozycję w świecie - uśmiechnął się Douglas. Był podniecony zauważył Dand. Chętnie podejmował się misji, którą ukartowali ojciec Tarkin, brat Toussaint i tajemniczy gość z Francji. - To niedalekie od prawdy, czyż nie?*

- *Tak, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, o co się modłę - odparł ojciec Tarkin. - Nikt nie będzie wiedział, kim jesteście. Właśnie tak jak teraz. - Jego oczy natrafiły na spojrzenie Danda i wytrzymały je przez znaczący moment, którego reszta chłopców zdawała się nie zauważać.*

Dand wziął sobie do serca rady starego przemysłowca. Usłyszał je wiele lat temu, tuż przed tym, jak ojciec Tarkin zabrał go z pobocza drogi. Upłynęły lata, nim wyznał przenikliwemu opatowi nazwisko rodziny, w której się urodził. Oczywiście, teraz nie znaczyło to zbyt wiele. Z jego najbliższej rodziny nikt nie żył, a ci, którzy byli zainteresowani znajomością jego miejsca pobytu, musieliby się dobrze natrudzić, żeby go znaleźć. W dodatku nie było dowodu - żadnego - że jest tym, za kogo się uważa.

Zwyjątkiem tego, że nie zapomniał. Nigdy nie zapomniał. I nie zapomni. - Ja wiem, kim jestem. - Odezwwał się Douglas ze spokojną pewnością. - I znam tych mężczyzn obok mnie. Nie muszą znać ich rodowodu, żeby wiedzieć, ile są warci.

Ojciec Tarkin spojrział na niego z uznaniem i lekko skinął głową.

- *Dobrze powiedziane, Douglas.*
- *Cała nadzieja w tym, że to się okaże prawdą - wymamrotał brat Toussaint, wymieniając pełne wątpliwości spojrzenia z czwórka młodych ludzi. - Kit jest zbyt porywczawy. Ram za uprzejmy. Douglas musi się wyżyć myśli o tym, że wypełnia jakąś szlachetną misję, a Dand... - Pokręcił głową. - Nie wiem, co on myśli. Ale w końcu nigdy tego nie wiedziałem.*

- *Dand sam nie wie, co myśli jeden raz na dwa - powiedział Douglas, kładąc rękę na barku Danda i rozpraszając napięcie. - Na szczęście ma nas trzech, żebyśmy mu udzieliли własnych myśli w razie potrzeby.*

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Nawet Toussaint mimowolnie się uśmiechnął.

- Proszę się nie martwić, proszę brata - powiedział Douglas poważnie. - Będzie brat z nas dumny. Przyrzekam.

*Culholland Square, Mayfair
3 sierpnia 1806*

Charlotte siedziała na ławce w holu naprzeciwko stojącego zegara wsłuchana w odgłosy padającego deszczu. Jedyne kinkiet na ścianie rozlewał w korytarzu miodową poświatę, tonując intensywne kolory orientального chodnika i ściemniając do herbacianej umbrы żółte kwiaty róż w wazonie na stole.

Utkwiła wzrok we frontowych drzwiach, czekając, by tajemnicza postać zmaterializowała się po drugiej stronie wąskiego bocznego okienka. Słuchała, jak mechanizm zegara posuwa się i zgrzyta, powoli wybijając dziesięć dziesiętnych uderzeń.

Godzinę temu skończyła się pakować. Kwadrans później wysłała list do Danda. Pół godziny temu dała wolne służbie na cały wieczór. Nie trzeba ich było zachęcać, by skorzystali z pobłażliwości pani, i to szybko, żeby nie zmieniła zdania. Piętnaście minut temu zeszła tutaj.

Gwałtowne grzmotnięcie mosiężną kołatką kompletnie ją zaskoczyło. Pode-rwała się na równe nogi, jak strzała podbiegła i odryglowała zamek. Otworzyła drzwi. Dand Ross stanął nad nią, z gołą głową ociekający deszczem, w rozpiętym płaszczu, w przemoczonej koszuli, z oczyma ciemnymi jak nocne niebo.

Przestraszyło go, że sama otworzyła mu drzwi. Pobiegł spojrzeniem nad jej ramieniem, rozglądając się za służbą. Jego usta, zwykle tak skore do uśmiechu, były zaciśnięte, wyraz twarzy napięty.

- *Co się stało? Gdzie jest służba? Co się wydarzyło?*

Kiedy już przyszedł, kiedy mijając ją, ruszył energicznie w głąb słabo oświetlonego korytarza, opuściła ją pewność, z jaką pisała list.

- *Nic złego się nie stało - powiedziała, kurczowo splatając palce. - Dałam służbie wolny wieczór. A co do tego, co się wydarzyło...*

Obrócił się i czekał. Woda kapała ze sfatygowanego płaszcza, zbierając się w kałużę u jego stóp i rozlewając po marmurowej posadzce. Pozbył się

wytwornego Rama, zauważyła. Nosił swe stare ubrania, połatanne i źle leżące.

- St. Lyon zaprosił mnie do swego zamku.

Dand zeszywniał.

- Kiedy?

- Jego powóz przyjeżdża... pojutrze rano - skłamała, nie chcąc, aby ich spotkanie przebiegało w pośpiechu.

Dand zrobił krok ku niej i zatrzymał się, jakby szarpnięty smyczą.

- Za dwa dni?

- Tak - odpowiedziała cicho.

Zmarszczył czoło w dzikim grymasie, rozchylił wargi i wydał z siebie coś w rodzaju warknięcia.

- Niech mnie piekło pochłonie!

- Sądzę, że to moja rola. - Starła się wydobyć trochę humoru z sytuacji.

- Chyba, że w końcu pokajam się za me grzechy, co z pewnością uczynię.

- Nie rób tego.

Obróciła się do niego plecami pod pretekstem zamknięcia drzwi, by zapamiętać nad kłębiącymi się w niej uczuciami: radością, strachem, poczuciem winy i pożądaniem. Słyszała, jak zdejmuje płaszcz, czuła, że staje tuż za nią. Ujął ją pod brodę i zmusił do odwrócenia głowy, tak żeby patrzyła na niego przez ramię. Jego twarz była opanowana, ale oczy... w rym spojrzeniu był mrok. Dawniej zawsze dostrzegała drwiącą isierkę humoru. Dlaczego nigdy nie zauważyła tych głębin?

Delikatnie otoczył jej policzek dłonią. Z cichym westchnieniem zamknęła oczy. Nie wydał dźwięku, ani jeden oddech nie opuścił warg zawieszonych nad delikatnymi loczkami na jej skroni. Odwrócił się ku niemu, jak kwiat do źródła światła. Poczuła, jak palce drugiej ręki wplata w jedwabiste pukle na jej karku.

- Dlaczego po mnie posłałaś, Lottie? - Dłonie, tak ostrożnie trzymające jej twarz, zadrżały.

Otworzyła oczy. Serce trzepotało jej się zarówno ze strachu, niepewności, jak i niecierpliwego wyczekiwania.

- Chcę, żebyś się ze mną kochał, Dand.

Głośno wciągnął powietrze.

- Dlaczego?

Bo byłeś moim pierwszym bohaterem, i wciąż nim jesteś, mogłaby powiedzieć.

Istnieje prawda, ale istnieje też coś takiego jak nadmiar prawdy.

- Jestem dziewicą - powiedziała po prostu i czekała. Jego dłonie nagle opadły, oderwawszy się od jej twarzy. Szarpnął się krok w tył jak uderzony. Patrzył osłupiały, niedowierzający.

- Mój Boże.

Policzki jej spłonęły.

- Nie mogę pojechać do St. Lyona, będąc dziewicą. - Wymówka była diabelnie dobra. Nie, to lepsze niż wymówka. To prawda, choć tylko częściowa, gdyż przede wszystkim chciała, żeby to właśnie Dand wprowadził ją w tajniki alkowy.

Na pół odwrócił się od niej, wodząc spojrzeniem po suficie i ścianach, patrząc na cokolwiek, byle nie na nią.

- I postanowiłaś zaszczyścić mnie honorem pozbawienia cię dziewictwa? - Mówił ze zdumioną i gorzką powściągliwością.

- A kogo innego? - spytała cicho. - Kogo innego miałabym poprosić? Dokąd iść? Do obcego?

Jej słowa pokonały dzikie skrzywienie jego warg, morderczy błysk oka. Wydawszy dźwięk podobny do śmiechu, lecz straszny, pokręcił głową.

- Nie. Nie waż się iść do obcego. - Rąbnął pięścią w ścianę przed sobą. - Nie. - Gips roztraskał się pod jego knykциями. - Nie.

- Dand!

Zatrzymał się, z dłońmi płasko rozpostartymi na ścianie, z głową zwieszoną między ramionami. Wilgotna tkanina koszuli naciągnęła się na jego szerokich plecach, odbijając rysunek każdego mięśnia, napiętego i sztywnego.

- Chwilę, moja droga - powiedział znękany głosem. - Jedną chwilę.

- Przepraszam, Dand - rzekła. Wiedziała, że wyda mu się to... trudne. To, o co go poprosiła, było całkowicie sprzeczne z kodeksem honoru dżentelmena. A przecież nie mogła powiedzieć mu prawdy. Że go kocha, że go pragnie pożądaniem, które nie potrzebuje uzasadnień ani wymówek, by poszła za nakazem swego serca.

Ale będzie musiała się pilnować. Nigdy by jej nie pozwolił pojechać do St. Lyona. gdyby podejrzewał, że darzy go uczuciem. Nie miałoby znaczenia, czy je odwzajemnia, czy nie - a nie miała podstaw wierzyć, że czuje do niej coś więcej niż przyjaźń. Pozwolił jej podjąć się tej misji tylko dlatego, że uważają za tak samo odporną na sentymenty jak on sam. Za osobę podchodzącą z chłodnym dystansem do uczuć. Dlaczego miałby myśleć co innego? Do niedawna ona sama tak samo o sobie myślała. Ale patrząc teraz na niego, na jego szerokie plecy napięte i męskie, na długie ręce oparte o ścianę, poczuła nagły przypływ pożądania.

- Proszę cię, Dand. Po prostu tak byłoby dla mnie o wiele... swobodniej, bo... - kocham cię, cisnęło jej się na usta - bo ci ufam.

- Ty mi ufasz? - Powtórzył jej słowa jak zamroczony. Mięśnie jego grzbietu napięły się jeszcze bardziej, jeśli to możliwe. Szepcząc przekleństwa, odepchnął się od ściany i stanął prosto. - Ty mi ufasz.

- Tak. Bardzo wysoko cię cenię, także, a to stanowi dla mnie różnicę, w tym... przedsięwzięciu.

Odrzucił się. Ich spojrzenia się spotkały. Wyglądał starzej w świetle rzucającym ostre cienie. Niebezpieczny. Nieprzewidywalny. Przebiegła ją lekki dreszcz, na pół z trwogi, na pół z podniecenia.

- Doprawdy to wysoka ocena. I nie bez podstaw, z pewnością? Bo kto inny jak nie Dand Ross zabrałby damie dziewictwo i z miejsca posłał ją do łóżka innego, pomógłby jej usunąć tę niedogodność? - Jego spojrzenie ściemniało. - Masz rację. Nie przychodzi mi na myśl nikt inny.

- Dand. - Chwyciła jego dłoń, uniosła sobie do twarzy i przytuliła do niej policzek. - Żadne z nas nie chciałoby, żeby to się tak rozegrało, gdybyśmy mieli wybór. Wiem o tym.

Obróciła głowę i przycisnęła wargi do wnętrza jego dłoni. Cofnął się, z opuszczonymi powiekami i rozszerzonymi nozdrzami.

- Wiem, że nie reagujesz na mnie obojętnie. Ja... cię czułam. I musisz wiedzieć, że przy wszystkich mych protestach bardzo lubię twoje pocałunki. - Takie letnie słowa dla takiej rozdzierającej tęsknoty.

- Dobry Boże, Lottie - szepnął. - Jak mam postąpić słusznie, kiedy mi mówisz takie rzeczy?"

- To jest słuszne - odpowiedziała poważnie, nakłaniając go. by się zgodził. - Ja tego chcę. Ty sprawiłeś, że tego chcę. Leżę bezsennie w nocy i staram się. by odżyły te wszystkie odczucia, które obudziłeś swym dotykem, spojrzeniem, pocałunkiem. I wiem, że przy tej całej maskaradzie i udawaniu przynajmniej to nie jest fałszywe. Nie z mojej strony. - Bo cię kocham, krzyczało w niej wszystko. - I nie z twojej. Wiem, bo cię znam.

- Znasz? - szepnął ochryple.

- Tak. Więc proszę, ko...

Nie dał jej szansy dokończyć. Przyciągnął ją szorstko do siebie, spotkał ustami jej usta. W odpowiedzi zarzuciła mu ręce na szyję.

Był wilgotny i chłodny, mokry od deszczu - woda wsiąkała w jej cieniki jedwabny szlafroczek. Ramiona mu dygotały, ciało drżało, gdy osuwali się na kolana na podłodze okrytej dywanem. Przywarła do niego kurczowo, pragnąc go, ulegle mu się poddając, gdy zasypywał pocałunkami jej oczy i skro-

nie. Jego usta wypalały piekącą ścieżkę wzdłuż jej policzka i niżej, na jej szyi- Zanurzył dłonie w jej włosy, trzymając ją nieruchomo przy swoich ustach, jak gdyby nie było mu jej dość. Jak gdyby się bał, że zostawi go spragnionego-

- Nie zrobię tego. Nie mogę - szeptał w jej dekolcie. - Boże, Lottie. Pomyśl, o co ty mnie prosisz!

Odepchnął się od niej, zbyt mocno ściskając ją za ramiona. Pokręcił głową, a jego górna warga zadrgała w warknięciu, gdy usiłował zapanować nad sobą. Zapanować nad tą chwilą.

- No i masz - wydyszał, patrząc na nią dzikim wzrokiem, głos mając przesycony udreżonym humorem. - Kiedyś mnie spytałaś, czy ci się udało zrobić ze mnie niewolnika. Ciesz się teraz! Rzuciłaś mnie na kolana. Ale nie pros o więcej. Tego nie mogę zrobić. Nie żądaj tego ode mnie.

Wpatrywała się w niego z ustami nabrzmiałymi od jego pocałunku, z ciałem dygoczącym z przemożnego pragnienia. Z pewnością umrze, jeśli on ją zostawi w takim stanie. Musi znaleźć sposób, aby go przekonać, by wyrzekł się swego honoru, swego poczucia dobra i zła. Żeby zapomniał o zobowiązaniu wobec jej ojca.

- Więc mam porzucić nasz plan? A może znaleźć kogoś innego, kto mi pomoże? Znajdę. Przysięgam. Kiedyś mi powiedziałeś, że zrobiłbyś wszystko, poniosłbyś każde ryzyko, żeby osiągnąć swój cel. Bądź pewien, że jestem tak samo zdeterminowana. Nie poddam się teraz, tak blisko celu.

- To może się w ogóle nie powieść! - wydusił przez zaciśnięte zęby. - Możesz stracić wszystko, wyrzec się wszystkiego, nawet prawa przeżycia tego pierwszego razu z kimś, kogo kochasz. Poświęcisz to wszystko i ponieśiesz klęskę. Nie rozumiesz? Istnieje jedynie nikła szansa, że to się uda.

- I muszę ją wykorzystać - powiedziała. - My musimy. Bo nic innego nam nie pozostało.

- Nie.

Wyrwała mu się i chwiejnie wstała. Pomyślał, że odejdzie i zostawi go. by spróbował odzyskać resztki spokoju. Ale została. Podeszła do stolika i wyrwała żółtą różę z wazonu. Jak zamroczony bitwą żołnierz, wróciła do miejsca, gdzie pozostał, klęcząc. Oczy jej zalśniły. Róża drżała jej w dłoni.

- Nie.

- Powiedziałaś, że wszystko. - Rzuciła mu różę na kolana. - Kochaj się ze mną.

Dreszcz wstrząsnął jego ciałem. I oto się dźwignął z kolan i wziął ją na ręce z zastygłą twarzą. Z okrzykiem radości zarzuciła mu ręce na szyję.

i położyła głowę na jego piersi. Głośne dudnienie jego serca odzywało się głucho przy każdym miarowym oddechu. Pod wilgotną koszulą skórę miał gorącą.

Przemierzył korytarz, wszedł po ciemnych schodach i znalazł jej pokój na górze. Plecami pchnął drzwi i wszedł. Lampa, zapalona, jak ją przygotowała na wieczór, rzucała krąg światła na nieskazitelną kapę przykrywającą łóżko.

Ostrożnie położył ją na łóżku, opierając o miękkie poduszki. Odsunął się i przysiadł przy jej biodrze. Pochylił się nad nią, ujął jej twarz w dłonie. Chciwie błędził spojrzeniem po jej rysach.

- Stworzyłeś mi gorsze piekło, niżbym sobie potrafił wyobrazić.

Wyciągnęła przed siebie ramiona.

Wszelki rozsądek, wszelka determinacja, wszystkie lata poświęcone jednemu celowi umarły na jej widok, zmiecione absolutną uczciwością tego gestu. Pod nim, w cieniu, jaki na nią rzucał, jej jedwabiste ciało jarzyło się pośród potarganej gazy jej koszuli. Migoczące światło czyniło z jej rudawych loków pełną blasku pochodnię. Oczy jej lśniły. Tęczówki miały kolor cętkowanej złotem umbry. Nie dostrzegł w nich żadnych wątpliwości, tylko niecierpliwe wyczekiwanie. Nie mógł się od niej oderwać. Nie mógł zmusić swej woli do działania.

- Wcześniej myślałem, że jestem zgubiony - wyrzucił jednym tchem. - Ale to ty całkiem mnie pogrążyłaś.

Zgiął się, muskając wargami leciutko uperfumowane ciało nad brzegiem głębokiego dekoltu. Przebiegł go dreszcz rozkoszy. Ostatecznie rozbroiła go oszałamiająca czułość, z jaką na nią reagował.

Powieki jej zadrgały, gdy przesunął się ku górze, smakując ją, wodząc językiem po jej górnej wardze, zanurzając się w kącik ust. Jej oddech stał się urywany. Przejechał ustami po czubku jej brody i w dół ku wdzięcznej kolumnie szyi. Wygięła się na jego powitanie. Dla niego. Upajające. Fantazja stawała się prawdą.

Wyczuwszy puls trzepoczący u nasady jej szyi, oparł zęby w tym wrażliwym miejscu. Łatwo byłoby zrobić jej krzywdę. Jest taka krucha. Ale dlaczego w takim razie poczuł się jak zagrożony nadciągającym niebezpieczeństwem?

Jej koszula zwilgotniała od jego mokrego ubrania, co czyniło materiał prawie przezroczystym. Dostrzegł jej ciemnoróżowe sutki. Odgarnąwszy zwiewny materiał, odsłonił nagapiers. Znieruchomiała, a on pochylił głowę i skubnął wargami bujną wypukłość.

- Och... ojej! - Jej dłoń zdrząła mu na plecach. Matowa barwa jej głosu chwyciła go za serce i ścisnęła je na nowo, ale się nie cofnął. Było już za

późno, by to przerwać. Chwycił dłoń błędząca między nimi niepewnie - czy bliską odrzucenia go, czy przyjęcia, nie zamierzał sprawdzać - i uwięził ją przy jej udzie. Dotknął językiem czubkającej piersi. Wzdrygnęła się, zaszokowana intymnością.

Drugą dłonią przesunął po jej ramieniu i ściągnął z niego koszulkę. Powiodł palcami w dół, poprzez piersi do kobiecego wcięcia jej talii i ku rozszerzeniu bioder, wzdłuż wyprężonego uda do kolana. Tam podwinął materiał szlafroka, podciągając koszulkę coraz wyżej, dopóki jego knykcie nie musnęły atłasowego zagłębienia pod jej kolanem.

Z biegłością, o którą się wcześniej nie podejrzewał, rozwiązał atłasowe wstążeczki pończoch. Przesunął otwartą dłonią w dół po idealnej linii łydki, zwiłając pończochę do kostki. Kiedy dosięgnął jej stopy, ściągnął pończochę i pozwolił jej spaść na podłogę, po czym zajął się drugą. Ugiął jej nogę w kolanie, nakłaniając ją, by otworzyła się na jego przyjęcie.

Poddała się, chociaż dłoń, którą wciąż przytrzymywał, zwinęła się w pięstkę z napięcia, a oczy zwrócone ku niemu pełne były niepokoju, wyczekujące i czujne.

Czuł, że staje się coraz gorętszy, twardszy. Coraz bardziej pragnął uczynić zadość jej prośbie. Własne ciało wydawało mu się sztywne i bezwzględne, niezręczne, kiedy chciał ruszyć z nią swobodnie do tańca starego jak świat.

- Puść mnie - szepnęła.

Więc o to chodzi. Nie potrafił jej odmówić, pomimo że spieszo mu było ją japięścić, wziąć ją, bawić się jej ciałem, upajać tą słodką kobiecością, zapłatać się w jej ramionach, w lśniących lokach, w sidłach wonnego jedwabistego ciała i gładkich kończynach. Wyprostował się i puścił jej rękę.

Uniosła palce, tak niepewnie, jak wznosi się dym w nieruchomym powietrzu, i wreszcie dotknęła z boku jego twarzy. Powiodła po bliźnie w kształcie półksiężyca obok ust.

- Ja nie odejdę. Nie musisz mnie zmuszać, bym została, przytrzymując w niewoli. Jestem tu z własnej woli. Nie widzisz? Chcę, żebyś to ty się ze mną kochał, Dand. Ty.

- Och. Lottie.-Tylko tyle był zdolny powiedzieć. Szorstko wziął ją w swe objęcia, siniając ją pocałunkiem, zanurzył dłonie w jej gęstych włosach, kołysząc ją, zdesperowany i boleśnie pragnący tego. co chciała mu dać. Obrócił się, przeturlał się na plecy i wciągnął ją na siebie, układając ją tak, że spoczęła na nim całym ciężarem. Rozpostarł dłoń nisko na jej plecach, drugą ręką ujmując z tyłu głowę, gdy ustami napierał najej usta.

Przesunął się, okręcił, wciągnął ją pod siebie, szukając pomiędzy ich ciałami brzegu jej szlafroka. Wyszarpnął go, by ich nie rozdzielał i...! Wielkie nieba! Skóra jak skrzydła motyla, delikatna, o jedwabistości pyłku, a wyżej kędzierzawe włoski i jeszcze delikatniejsze ciało. Osadził biodra w tym idealnym schronieniu, wpychając się pomiędzy jej nogi, dysząc pod wpływem cudownego doznania.

Ogarniała go gorączka. Potrzeba, by wziąć ją, stawała się prawie nie do wytrzymania. Chwytał ją za ramiona, ustami gładząc jej skronie i powieki, policzki i szyję, konchę ucha i czubek brody, po czym na nowo wracając do jej ust, sycąc się jej cichymi pojękiwaniami. Chciał być delikatny, ale zamiar ustąpił miejsca pożądaniu, kiedy pociągnął za wycięcie szlafroka i usłyszał trzask pękających szwów, gdy obnażał ją do pasa. Przycmione światło padło na jej piersi, miękkie małe wzgórki zwieńczone różyczkami.

Podłożył ramię pod jej talię, pociągając ją ku górze, ku sobie. Chwytał wargami sutek i nakrył go językiem. Pożądanie go raniło. Kołyszając się, napierał na złączenie jej ud, słuchał jęków rozkoszy i strachu. Błogosławieństwo czy przekleństwo? Boże, już nie wiedział.

- Chcę, żebyś mnie pragnęła - szepnął szorstko.

Odpowiedziała, jakby jego słowa były pozwoleniem, na które czekała. Szarpnęła jego koszulę, zrywając mu ją z ramion. Rozległ się odgłos guzików spadających na podłogę. Wiedziona intuicją znalazła przekłętą bliźnię na jego piersi. Natychmiast wyczuł, jak się skuliła. Namietność opadła niespełniona. Ze stęknieniem odchylił się w tył, pozwalając, by światło padło mu na pierś. Pozwalając jej zobaczyć, jak został napiętnowany. Czekał.

Charlotte nigdy nie widziała niczego tak absolutnie męskiego. Jego ciało było tak piękne, tak idealnie ukształtowane, silne i zdrowe. Ramiona podtrzymujące go zawieszono nad nią. Szerokie bary zwięzające się ku klatce piersiowej. Pierś rzeźbiona z płaszczyzn pokrytych ciemnymi włosami, które układały się trójkątnie, gęstniejąc i przechodząc w cienką linię w dole brzucha, by zniknąć pod paskiem jego spodni.

Ten widok rozdmuchał żar jej pożądania, boleśnie odnawiając ból, który narastał pod nieznanym wybrzuszeniem napierającym na najintymniejsze miejsca. Pożądanie pulsowało nisko w jej brzuchu, w piersiach, wargach. Tylko on mógł ją z tego wyleczyć.

Wiedziała, że powinna szybko się czymś okryć, ale wszystko, o czym była zdolna pomyśleć to, że chce go czuć, przyciskać nagie piersi do twardych konturów jego torsu. I... do hańbiącego piętna róży, perłowej wypukłej bli-

żny wielkości jej dłoni. Jak bardzo to musiało boleć! Ile on musiał wycierpieć!

Odepchnęła się ku górze łokciami i powoli, z rozmysłem, przesunęła wargami po przykryj bliźnie. Jego pierś wypięła się w szorstkim głębokim wdechu. Pocałowała go jeszcze raz, delikatnie. Miał skórę gorącą, wilgotną, gładką. Pożądanie rosnęło i brało władzę nad jej wyobraźnią. Śmiało i lubieżne myśli przelatowały jej przez głowę.

Ciało mężczyzny, pomyślała zdziwiona, jest pełne wdzięku i niewiargodnie wrażliwe. Wystarczyło, że lekko dmuchnęła na jego szyję, by wywołać dreszcz, który wstrząsnął całym jego ciałem. Dość było najłżejszego skubnięcia u nasady szyi, by zaciskał powieki i ciężko oddychał, rozdymając nozdrza. A jeśli wsunęła delikatnie język w kącik jego ust, żeby...

Wgniótł ją w poduszki z napiętą twarzą i płonącymi oczyma. Sięgnął pomiędzy nich i natarł na najbardziej intymną część jej ciała.

Wpatrzona w niego wbijała mu palce w ramiona. Wyglądał tak obco. Tak gniewnie. Ani trochę nie był podobny do przystojnego łajdaka, który drażnił się z nią i ją wyśmiewał. Wyglądał... jak mężczyzna doprowadzony do ostateczności. Wycofał się z jej ciała, zaledwie trochę, ale tym ruchem obudził jakąś rozkosz, która kazała jej wygiąć się naprzeciw niemu. Ta sama rozkosz pulsowała, gdy powoli do niej wracał. Cudowne. Wyczekiwała go i było to dla niej słodką torturą. Wczepiła się w niego, szukając oparcia. To już... tuż poza zasięgiem... umykające... drażniące... trzeba tylko...

Jej ciało wygięło się w łuk wyprężone w pełnym wdzięczności powitanium. Rozkosz eksplodowała jak proch, znakomita, szokująca i potężna. Łzy pociekły jej po policzkach, a śmiech wyrwał się z ust.

Dand tulił ją, a wyczerpanie i rozkosz sprawiały, że czuła się ociężała. Pozwoliła myślom błądzić, chciała choć na chwilę zapomnieć o jutrzejszym dniu.

Deszcz ustał, zanim Charlotte się obudziła, z policzkiem spoczywającym na ciepłym torsie Danda. Obejmował ją ramieniem. Przez kilka chwil wstrzymywała oddech i pozwalała sobie wierzyć, że to tylko pierwszy ranek z wielu następnych takich samych. Że namietność, którą wzbudzi li w sobie i którą dzielili, będą dzielić wciąż na nowo podczas długich i burzliwych nocy. dzień za dniem, tydzień za tygodniem, przez wiele pór roku i wiele lat. Łatwo jej to przyszło w ciemności poprzedzającej świt.

Ale nagle usłyszała odgłos ciężkich kół przetaczających się ulicą pod oknem. Ptak zaśpiewał gdzieś daleko i zrozumiała, że ranek jest już bliski.

Dand musi odejść przed świtem.

Zamknęła oczy i otarła się policzkiem o jego pierś.

- Lottie. - Przyciągnął ją bliżej, a ona zastanawiała się, od jak dawna nie spał. Ile wspólnych minut zmarnowała na sen. Teraz już za późno.

- Moja pokojówka zaraz przyjdzie - powiedziała. - Musisz przedtem odejść, bo inaczej wszyscy uznają żeśmy się pogodzili.

- Poczekaj z wyjazdem parę dni - poprosił. - Potrzebuję tylko tyle. Powiedz, że nie masz odpowiednich strojów, że musisz poczynić przygotowania...

- Dand, nie mamy czasu. Wiesz to równie dobrze jak ja. Aukcja może się zacząć w każdej chwili. Muszę tam być, zanim list opuści Szkocję z nowym właścicielem.

- Tych kilka dni...

- Może sprowadzić nieszczęście na wielu ludzi. - Uniosła się na łokciach, balansując przedramionami na jego twardym brzuchu, opuszki palców kładąc nad jego sercem. - Dand. Muszę jechać.

Dojrzała cienie przesuwające się po jego twarzy. Z głębi domu doszedł ją trzask zamykanych drzwi. To posługaczka, która przyszła posprzątać i rozpałić w kominkach.

- Musisz iść, Dand. Proszę. Nie możemy ryzykować, że St. Lyon się o tym dowie.

- Niech go piekło pochłonie. - Z pomrukiem przetoczył ją pod siebie i bezbłędnie odnalazł jej usta w twardym, rozpaczliwym pocałunku. Odpowiedziała skwapliwie, desperacko pragnąc wtopić się w niego, tylko że... Świtało. Powinność i odpowiedzialność szczydziły z niej, zatruwając jej przyjemność, dopóki wreszcie im się nie poddała.

- Proszę - szepnęła, pragnąc bardziej niż czegokolwiek innego, żeby został, by znów się z nią kochał, żeby nigdy nie odszedł. Nie chciała nic wiedzieć o wojnie i liście, który może zmienić jej bieg. - Proszę.

Podniósł głowę.

- Pójdę. Wymyślę coś. I wrócę po południu.

- Kiedy?

- O trzeciej. O czwartej w ostateczności.

- Lepiej przyjdź później. O szóstej. Znów odprawię służbę.

- Niech będzie o szóstej.

Odsunął się, a ona poczuła, jak łóżko zapada się, gdy siadał i rozglądał się w poszukiwaniu ubrania. Przyglądała mu się w milczeniu, gdy wstawał, i nie mogła powstrzymać zachwyty dla sprężystej siły jego postaci, szerokiej w barach, zwięzającej się ku szczupłym biodrom i długim muskularnym udom i łydkom. Włożył spodnie i koszulę i popatrzył na nią.

- Kompletnie zburzyłeś moje plany, wiedz to - powiedział zadumany. Nie potrafiła zgadnąć, o co mu chodzi. - Ale przysięgam, że jeśli jest na to jakiś sposób w niebie lub w piekle, użyję go, żeby wszystko wyprostować. Wyglądaj mnie dziś wieczór, Lottie.

- Dobrze.

Ruszył do wyjścia, ale wtem, jakby tknięty strasznym przeczuciem, obrócił się z powrotem, nachylił nisko i uniośł ją na spotkanie swych proszących ust. Odpowiedziała mu z większą żarliwością, niż zamierzała, zarzucając mu ramiona na szyję i oddając pocałunek z całą beznadziejną tęsknotą. Na koniec puścił ją i ułożył delikatnie, z prawie dworną troskliwością a zanim się wyprostował, starannie przykrył ją prześcieradłem.

- Do wieczora - szepnęła i jak duch rozwiął się w przecierającym się mroku. Tylko cień w miejscu, gdzie były drzwi, prowadzące do wciąż ciemnego korytarza, świadczył o tym, że Dand naprawdę odszedł.

Dopiero wtedy pozwoliła sobie na odpowiedź, gdy łzy przelały jej się przez powieki i pociekły po policzkach.

- Żegnaj - szepnęła.

17

*Lochy LeMons, Francja
marzec 1800*

Nie mogli dojrzeć nieba, ale pogoda zawsze znalazła sposób, aby dotrzeć do najgłębszej nawet dziury w lochach zamku LeMons. Zimą w dół szybów i klatek schodowych wionęło chłodem, od którego drętwiały palce rąk i nóg. W lecie ciemność zapiekała się z wilgotnym zaduchem. A teraz, wiosną, deszcz sączył się po szerniałych od pleśni murach więzienia, rozlewając się po niemwnej podłodze.

Dand przykucnął pod ścianą. Zwiesił głowę, a plecy oparł o wilgotny kamień. Douglasa zabrali wczoraj przed świtem. Równocześnie odprowadzono Kita słaniającego się, przyciskającego nasiąbniętą krwią szmatę do ohydneho szpecącego piętna. Róża, jak wydyssał, krzywiąc się, gdy Ram zwilżył przypalony materiał odrobiną brandy, którą wytargował od jednego ze strażników.

Lada chwila na pewno wrócą i zabiorą albo jego, albo Rama. I będą przesłuchiwać ich tak samo, jak przesłuchiwali Kita.

Pytali go, kto im pomagał w czasie podróży, z kim się kontaktowali w Malmaison, którzy strażnicy są lojalni, a którzy są rojalistami. Kit oczywiście nic im nie powiedział. Kiedy odmówił zeznań, nadzorca postanowił zmusić go do tego, wypalając różę na jego piersi.

Nadzorca miał nikłe wyobrażenie, jaką ironię stanowiła jego tortura. Przybyli do Francji, udając szkokkich sympatyków. Ostentacyjnie przywieźli żonie Napoleona, Józefinie, rzadką nową różę do jej kolekcji. W rzeczywistości mieli spotkać się ze współkonnspiratorami w jej rezydencji w Malmaison. Ale wykryto ich. Za znak ich zdrady nadzorca obrął żelazny stempel w kształcie stylizowanej róży.

I tak oto cenne braterstwo Douglasa zostało na zawsze przypieczętowane symbolem ich wierności.

Dand zerknął na Rama stojącego nieopodal. Nawet w tych obskurnych lochach emanowała z niego elegancja i obojętność. Obok niego stał Kit wyglądający na ponurego i wyczerpanego, cienie rzeźbiły diaboliczne rysy w jego wymizerowanej twarzy. Jeśli jeszcze bardziej wychudną, będą wyglądali jak gargulce, którymi straszy się dzieci.

Zamknął oczy. Są ważniejsze sprawy niż honor. Ram to rozumie. Kit, także. Ale Douglasowi Dand nigdy nie zdołał wytłumaczyć, że istnieje coś więcej oprócz jego dzieciennych wyobrażeń o rycerskości. Ten biedak naprawdę myśli, że są rycerzami, a to, co robią, jest chwalebna krucjata. Też mi chwala. Wszystko, czego było trzeba, to...

Odgłos stąpania i ciągnięcia łańcuchów po skale przywołał go do rzeczywistości.

Zaryglowane drzwi otworzyły się i wszedł Douglas, poruszając się bardzo ostrożnie, niepewny swych sił. Twarz miał zbiełałą, wyostrome rysy. Mrugał oczami, jakby niczego nie widział. Poruszał wargami w drżących drobnych wybuchach i wzdrygnięciach. Jego zaskoczone spojrzenie padło na Danda, jak gdyby nie spodziewał się, że go tu zobaczy. Chwycił powietrze ustami i wyciągnął dłoń.

Dand wstał z wysiłkiem.

Pod koszulką Douglasa nie było grubego, skrwawionego tamponu.

- Ja... ja nie... - Dłoń mu się trzęsła, gdy mówił, a twarz mu się wykrzywiła. - Proszę. Musisz wiedzieć, że ja nie mogłem... Ja nie...

- Wiem - wychrypiął Dand z obrzydzeniem. — Nie złamałeś wiary. Jestem pewien, że byłeś całkowicie szlachetny, przyjacielu. Wierny do końca. Nikt nigdy nie wątpił, że...

- Czas złożyć nadzorcy małą wizytę, monsieur - oznajmił smętnie strażnik, który odprowadzał Douglasa do celi.

- Tak - powiedział Dand. - Spodziewałem się tego.

*Culholland Squari, Mayfair
4 sierpnia 1806*

- Jak to wyjechała?

Przystojny i sprawny jak młody grecki bóg, Curtis nie był też głupcem. Przy całej jego malowniczej atletycznej budowie zdawał sobie sprawę, że nie sprostą rozgniewanemu mężczyźnie stojącemu naprzeciw niego za progiem. Pierwsze krwawe pasemka zmierzchu odbijały się w bursztynowych oczach monsieur Rousse'a diabelskim błyskiem, sprawiając, że młody lokaj cofnął się o krok.

- Pani wyjechała dzisiaj wcześniej rano, proszę pana - wydusił z siebie. - Przyjechała karetą i stangret załadował jej bagaże...

- Bagaże? - Monsieur Rousse aż podskoczył na to słowo.

- Tak, proszę pana. Wielką stertę bagażu. - Curtis z niepokojem zerknął po sąsiednich rezydencjach. Jak dotąd nie zauważył ciekawskich pokojówek wyglądających przez okienka przy drzwiach, żaden przechodzień nie zatrzymał się, by zobaczyć, jaką nową katastrofę sprowadziła na tę niegdyś porządną dzielnicę źle widziana sąsiadka.

Curtis lubił pannę Nash. Nie chciał, by padła ofiarą jeszcze większego skandalu, a ten człowiek, pomimo jego beztroskiego usposobienia, był narzędziem jej upadku. To, że miał czelność uważać, że ma wszelkie prawo tu się znajdować, żądać informacji, gdzie ona jest i z kim, prawie skłoniło Cur-tisa do wypróbowania swej odwagi. Prawie.

Zamiast tego zapytał:

- Nie zechce pan wejść? Może któraś z pokojówek wie więcej niż ja.

- Tak. - Monsieur Rousse przekroczył próg, gdy Curtis stanął z boku. - Przyrowadź Lizette.

- Przykro mi, proszę pana. Nie mogę. Lizette towarzyszy pannie Nash.

Francuz znieruchomiał. Jego twarz stała się nagle nieruchoma i bardzo spokojna. To opanowanie wystraszyło Curtisa jeszcze bardziej niż poprzedni gniew. To te jego ślepie, pomyślał, unikając ich mrocznego spojrzenia. Humor, dziki czarny humor i chęć rozszarpania kogoś na sztuki, widoczne były w ich ciemnych głębiach.

- Więc kłamała - powiedział, wykrzywiając usta w strasznym uśmiechu. Okręcił się w miejscu i pokonał schody jednym susem, zbiegając na ulicę, z płaszczem powiewającym za nim, gdy jego pożegnalne słowa poniesione przez wiatr dobiegły uszu lokaja.

- Kto by się tego domyślił po tej uroczej małej flirciarce?

A Curtis pomyślał, że nigdy nie słyszał, by najwulgarniejszy język brzmiał tak złowrogo jak pieszczotliwe zdrobnienia Rousse'a.



Spoczywała w jego ramionach, pozwalając mu pić jęki namiętności ze swych warg, dzieliła z nim swe ciało raz po raz w ciągu jednej nocy, która wypaliła w jego duszy mocniejsze piętno niż znak na jego piersi. I cały czas kłamała, wiedząc, że wyjedzie, że wyruszy do St. Lyona rano. Wiedziała, że kiedy tu wróci, zastanie dom pusty. A miała pewność, że wróci, bo, na Boga, uprawiali miłość. Kochanek nie zrzeka się swej partnerki na rzecz innego, a on był jej kochankiem. Na Boga, powinien być dumny z tej dziewczyny. Przejrzała go bez trudu.

To było wczoraj rano, zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu. Dużo zdziałał w tak krótkim czasie, ale jeszcze zbyt mało. Jeszcze nie wszystko.

Tak, kochanie, moja najdroższa, myślał ze strasznym uśmiechem, gdy wynajęty powóz toczył się ulicami, chociaż zrećnie ze mną pograłaś, nie wiesz o mnie jeszcze wszystkiego. Jeszcze cię zadziwię.

Powóz zwalniał, wjeżdżając do dzielnicy portowej, gdzie robotnicy ładowali i rozładowywali slupy i statki kupieckie mimo wojny przewożące towary, a marynarze wylewali się z drzwi suterren mieszczących sklepy z ginem i tawerny, korzystając z uciech, zanim zamustrują na okręty, lub świętując przeżycie kolejnej niebezpiecznej podróży. A w dzisiejszych czasach wszystkie podróże były niebezpieczne.

Embarga i blokady, jakie Napoleon wprowadził przeciwko Anglii, zmniejszyły ruch w londyńskim porcie, ale wciąż byli kapitanowie ufni w chyżość swych statków i we własne umiejętności nawigacyjne, gotowi ryzykować wyprawę na nieprzyjazne wody za godziwą nagrodę. Z jednym z nich Dand Ross umówił się na spotkanie.

Zostało jeszcze wiele do rozważenia. Jego plany się zawaliły. Jeśli siatka jego kolegów nie zostanie poinformowana o zmianie strategii, sprawy mogą przybrać fatalny obrót. Trzeba było ułożyć listy i wysłać je, poczynić różne

uzgodnienia. A wszystko to musiało być wykonane, zanim przyjdzie odpływ, on odpłynie.

Z niecierpliwym mruknięciem zastukał w sufit pojazdu, prosząc woźnicę, by stanął. Otworzył drzwi i zeskoczył na ziemię w biegu. Cisnął zapłatę woźnicy i skinął na jednego z chłopców do noszenia pochodni, którzy kręcili się w pobliżu tawern, licząc na zlecenie posyłki.

- Który to jest Mudlark? - spytał.

Chłopiec wskazał na mały slup ze świeżo pomalowanymi czarnymi burkami. Dwóch marynarzy garściami piasku przecierało farbę, by ją zmatowić. Mądry kapitan, pomyślał Dand z uznaniem, nie ryzykuje, że światło księżycza złoży lśniący pocałunek na jego sterze.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął grubą kopertę. Zapatrzył się na nią, walcząc z chęcią zrobienia czegoś zupełnie innego, niż planował.

Nie chciał tego. Nie potrzebował. Miał istotne sprawy na głowie.

Wszystko zostało załatwione. Obrazy Charlotte wyczerpanej namiętnością lub napiętej i wyginającej się albo otwierającej szeroko oczy pod wpływem zaskakującej rozkoszy, albo zamroczonej sennością wypełniały mu umysł. Jej zapach, który wciąż nosił na swym ciele, sprzysiągł się, by spętać mu rozum i zniweczyć jego zamiary. Ale wciąż była przeszłość, z którą się należało rozliczyć, nieprzyjaciele do znalezienia, miejsce w świecie, o które się należało upomnieć.

Wciąż stary dług do spłacenia.

Wręczył list chłopcu z kilkoma pospiesznym rozkazami. Potem wcisnął błyszczącą monetę w jego spoconą rękę i syknął do brudnego ucha ponure ostrzeżenie, ponieważ znał chłopców. Wiedział, do jakiej zdrady byli zdolni, wiedział też dokładnie, jakich słów użyć, by do nich przemówiły. Chłopiec złapał powietrze i z przejęciem kiwnął głową, a Dand Ross ruszył w dół po trapie na pokład „Mudlarka”.

18

*Wielka Droga Północna i Szkocja
od 4 do 9 sierpnia 1806*

Podróż na północ do szkockiego zamku St. Lyona była długa i nużąca. Nie zmienił tego nawet luksusowo wyposażony pojazd, który przysłał. Charlotte

czuła się okropnie. Tylko towarzystwo pokojówki pozwalało jej znieść tę jazdę. Co do Lizette wydawała się całkiem zadowolona z sytuacji, flirtując z muskularnymi młodymi forysiami, których St. Lyon wynajął dla ochrony przed rozbójnikami, albo paplając bez opamiętania.

Wyściełane skórzane siedzenia i aksamitne zasłony z frędzlami w oknach wyraźnie imponowały dziewczynie łasej na luksusy. Korzystała z małych pikowanych podnóżków, puchowych poduszek i kaszmirowych pledów na kolana. Charlotte prawie słyszała myśli Lizette, tak czytelnie odbijały się one na jej zadowolonej twarzy. Jeśli tak wygląda upadek, to może wcale nie jest taki niepożądany.

W normalnych warunkach Charlotte może by bawił pragmatyzm pokojówki, ale teraz była zbyt pochłonięta myślami, żeby zważać na Lizette. Kiedy wreszcie ta zdała sobie sprawę, że Charlotte prawie nie zwraca uwagi na jej paplaninę, okazała prawdziwie zadziwiająca zdolność do spania w prawie każdych warunkach, pozostawiając Charlotte samą z jej myślami. Anie były one przyjemne...

Rzecz w tym, że... nie mogła przestać pamiętać. Noc, którą spędziła z Dandem, wypełniała jej myśli i niszczyła jej determinację. Wmawiała sobie, że dzięki ternu, że odjechała, nie mówiąc mu o swych zamiarach, nie tyle oszukała Danda, co oszczędziła im obojgu trudnego pożegnania. Ale w głębi serca temu nie wierzyła.

Zapatrzyła się w krajobraz za oknem, ale każdy kilometr tylko prowadził ją dalej w labirynt wątpienia. Jak Dand się czuł, kiedy wrócił wieczorem i przekonał się, że wyjechała? Ale też, co by zrobił, gdyby mu powiedziała, że karetą St. Lyona zabierze ją najbliższego ranka, a nie dzień później? Czego się po nim spodziewała?

Że zażąda, żeby wyszła za niego i do diabła z St. Lyonem, listem i całą Wielką Brytanią? Dand? Nie odstąpił od swego celu mimo tortur, zdrady, igraszek losu i wielkiej osobistej straty. Dlaczego miałby odstąpić teraz? Dlatego, że pozbawił ją dziewictwa? Pozwoliła sobie na nikły, smutny uśmiech. Nigdy nie powiedział, że ją kocha.

Tak, adorował ją swym ciałem, i to bardzo wymownie. Tak wymownie, w istocie, że zdawało się niemożliwe, by nie czuł do niej czegoś więcej niż tylko pożądanie. Ale znowu, co ona wie o uprawianiu miłości? - pytała siebie. Może to zawsze tak jest.

Nie wierzyła w to. I czepiała się uparcie swego przekonania, że mężczyzna i kobieta nie mogliby dzielić tak potężnej rozkoszy bez zaangażowania uczuć obojga. Serce by jej pękło, gdyby mu powiedziała, że za kilka godzin

odjeżdża do zamku St. Lyona, a on nic by nie zrobił, by temu przeszkodzić lub przynajmniej nie próbował jej przekonać, żeby nie jechała. Nie, dużo lepiej nie poddawać próbie jego uczuć. Przynajmniej w ten sposób może wierzyć w to, w co chce. W co musi wierzyć.

Nawet gdyby Dand oddał diabłu resztę świata w zamian za ich miłość, czy naprawdę mogłaby kupić sobie szczęście za krew młodych żołnierzy? Bała się, że potrafiłaby to zrobić. To, bardziej niż cokolwiek innego, przekonało ją, że musi kontynuować plan sama, dopóki ma jeszcze... dość charakteru. W ostateczności zostanie nawet kochanką St. Lyona. Jeśli nie będzie innego wyjścia.

Takie myśli kłębiły się w głowie Charlotte. I z dnia na dzień stawały się bardziej niecierpliwe. Piątego dnia Charlotte przeklinała czułą troskliwość St. Lyona ojej wygodę. Gdyby istotnie była początkującą kurtyzaną, prawdopodobnie doceniłaby jego dbałość. Ale chociaż obiecywała stangretowi, że nie zostanie ukarany, jeśli wbrew rozkazom ruszy trochę żwawiej, siwy stary Francuz uparcie przestrzegał zaleceń swego pana, aby podróż nie nadwreżęła się damy. Zatem wlekli się, wyruszając późno i zatrzymując się wcześniej w zajazdach dla dylżansów, które St. Lyon uznał za odpowiednie. Z każdym kilometrem napięcie Charlotte rosło.

W miarę podróży krajobraz stawał się posepny, tak jak jej myśli. Skapane w zieleni pola uprawne, które otaczały Londyn, przeszły w pofałdowany teren pokryty plamami sadów i pokratkowany kamiennymi murkami. W końcu pejzaż ten ustąpił miejsca wrzosowiskom. Okolica stawała się coraz surowsza, pochyłości bardziej strome, a niebo bliższe. Zamiast klonów i brzoź pojawiły się sosny, a łąki ustąpiły wysokim ukwieconym halom i kamiennym pagórkom, nagim z wyjątkiem cienkiej warstwy szarozielonego ościału i paproci zabarwionych czerwienią. Miasta były rzadziej rozrzucone i mniejsze, a domy ciaśniej skupione, jakby prezentując zwarty front przeciwko bezmiarowi przestrzeni poza ich obrębem.

Na koniec, koło południa szóstego dnia, karetą skręciła z głównej drogi i ruszyła wyjeżdżoną aleją pod górę, na szczyt niskiego, gołego wzgórza. Tam stangret zatrzymał się i zawołał na nią, by podziwiła widok. Charlotte i Lizette skwapliwie wystawiły głowy przez okna. Lizette zachłysnęła się z przerażenia. Charlotte dzieliła jej odczucie. Wyobraziła sobie Lizette myślącą, że „upadek” nie jest jednak taki zachęcający, jeśli zmusza do mieszkania w takim miejscu. Odludnym, surowym i nieciekawym.

Kilometr od nich pośrodku szerokiej doliny stał zamek St. Lyona. Wznosił się przytulony do zbocza na skalnej półce, nad szeroką rzeką o bystrym

nurcie. Już stąd Charlotte mogła docenić masywną sylwetkę budowli i dojrzeć gęste pnącza wpełzające na mury z szarego kamienia. Rzędy wąskich okien urozmaicały jedynie najwyższe kondygnacje. Nic słabszego od kaptuły nie skruszyłoby tych murów, a jedyną drogą ucieczki, jaką Charlotte mogła wypatrzeć, był stromo nachylony podjazd, prowadzący do masywnej drewnianej bramy strzeżonej przez dwie wieże.

Prawdziwa forteca. Charlotte rozsiadła się na powrót w pojeździe, a stan-gret cmoknęła na konie. Żadnej możliwości, aby dostać się tam bez pozwolenia właściciela i żadnej drogi wyjścia, chyba że na tych samych warunkach. Odkryte wrzosowiska otaczające zamek nie dawały szansy ukrycia się. Jedyny most w zasięgu wzroku spinał brzegi rzeki dokładnie naprzeciw zamku, w pełni widoczny z okien na szczycie drobno karbowanych wież strażniczych. Wokół tych bliźniaczych wież pnącza pięły się gęściami i w większej obfitości, ich liściaste palce prawie sięgały ciemnych skrzydeł okiennych.

Przejechali przez most, potem w górę podjazdem do potężnej bramy, która otworzyła się na ich przybycie. Posępne wrażenie, jakie sprawiał zamek, rozwiało się zupełnie nagle. Zamiast przygnębiającego brukowanego placu, typowego dla większości zamków, St. Lyon założył wewnątrz uroczy ogród. Cisowe żywopłoty wystrzyżone w wymyślne kształty skupiały się w rogach, a rabatki niebieskich i białych kwiatów - królewskie barwy Burbonów, zdała sobie sprawę Charlotte - obramowywały starannie wygrabiony zwirowy podjazd. Pośrodku, wśród gęstwiny pnączy, szemrała woda w marmurowej fontannie. Obok niej, z pogodnym wyrazem uprzejmego powitania na twarzy o ostrych orlich rysach, stał Maurice, hrabia St. Lyon. Człowiek, który wkrótce miał zostać jej kochankiem.

Charlotte przyglądała mu się w zamyśleniu. Można go było uznać za przystojnego, oczywiście jeśli ktoś wolał czarne loki od kasztanowych włosów lub ciężkie galijskie rysy od nieco bardziej kanciastych, ale za to nieskończenie bardziej męskich, czy w końcu szczupłą atletyczną budowę od smukłej gracji i usta o wilgotnych wargach od ust tak mocnych i władczych, jak dłonie ich właściciela. Problem w tym, że ona nie należała do tych osób.

Wbiła paznokcie głęboko we wrażliwe ciało wnętrza dłoni, walcząc z nagłym przypływem paniki. St. Lyon nie ma prawa podejrzewać, że przybyła tu z jakiegokolwiek innego powodu niż dla zbadania jego zalet jako ewentualnego protektora. Musi wierzyć, że nie ma względem niego innych planów i że z pewnością nie ma żadnych innych powodów, żeby tu się znaleźć. Stan-gret zahamował i zszedł z kozła, by otworzyć drzwi karety i wyciągnąć klocek z wnętrza.

Ledwie stopy Charlotte dotknęły stopnia, a już St. Lyon znalazł się przy niej i, pomagając jej wysiąść, ujął jej dłoń okrytą rękawiczką. Gdy wynurzyła się z pojazdu, nie puściwszy jej ręki, odsunął się o krok, ogarniając wzrokiem całą postać od zakurzonych koźlęcych trzewików do -jak się obawiała - żałośnie wymiętej sukni i oklapniętego kapturka.

A niech to! Kobieta szukająca nowego kochanka zatrzymałaby się po drodze, by się doprowadzić do porządku. Wytrzymałajęgo szacujące spojrzenie z uniesionym czołem i wesołym uśmiechem.

- Nie mogłam się zdobyć na spędzenie chwili w jakimś obskurnym zajeździe, kiedy wiedziałam, że dużo serdeczniejsze powitanie czeka mnie tutaj, hrabio. Mam nadzieję, że nie rozczarowałam pana zbyttnio?

Jego ciemna twarz rozblęła uznaniem.

- Jakże dama tak uroczyście pani mogłaby kogokolwiek rozczarować, pan-no Nash?

- Jest pan szarmancki jak zawsze. - Uśmiechnęła się, pokazując dołeczki w policzkach w sposób, który kiedyś, jak podsłuchiwała, pewien dżentelmen określił jako rozkoszny.

Dłoń St. Lyonu zacisnęła się znacząco, zanim puścił jej dłoń.

- Niech mi będzie wolno wyrazić mój zachwyt, że witam panią w mej siedzibie.

- Pańska przyjemność z goszczenia mnie nie może być większa niż moja z przybycia, zapewniam - powiedziała z uwodzicielskim mrugnięciem.

- Jest pani, jak zawsze, zachwycająco bezpośrednia. - Spojrzał za jej ramię na Lizette, której postawny lokaj pomaga wysiąść. - Ach, przywiozła pani pokojówkę. Jestem, ze względu na panią, ogromnie zadowolony. Tutejsza służba nie przywykła do usługiwania damie.

Przesadza z tym, pomyślała Charlotte, lecz nie przestała się uśmiechać. Tyle aluzji, by ją utwierdzić w przekonaniu, że w jego oczach, jeśli nie w oczach świata, wciąż zasługuje na tytuł damy. Skłonił się i odsunął na bok, puszczając ją przodem. - Każę mej ochmistrzyni, madame Paule, zaprowadzić panią do jej pokojów, a potem może zaszczyci mnie pani towarzysztwem w moim salonie przed kolacją?

Tak od razu rozmowa w cztery oczy? Siłą woli zachowała beztroski ton i uśmiech na wargach.

- Jaką porę pan proponuje, hrabio?

- Kolację mamy o dziewiątej. Czy mogę przysłać lokaja po panią, powiedzmy, o wpół do dziewiątej?

- Doskonale - odparła i skinęła na Lizette.

Hrabia skierował się ku służbie stojącej za nim, czwórce lokajów i małej, korpulentnej kobiecie o ponurej, prawie męskiej twarzy. Kobieta wystąpiła naprzód, szybko dygnęła i mruknęła:

- Pozwoli pani za mną? - Po czym poprowadziła Charlotte i Lizette przez otwarte drzwi do wnętrza zamku.

Wnętrze, tak samo jak dziedziniec, sprawiało wrażenie, że St. Lyon przeniósł modny dom z St. James Street na pustkowiach Gór Szkoekich. Chociaż tylko kilka wysokich okien wpuszczało do środka popołudniowe światło, nie oszczędzono wydatków na oświetlenie wielkiego holu. Świece i lampy, kinkiety i lustra oświetlały najdalszy kąt, wydobywając blask ze złotych ram wielkich obrazów, zawieszonych jeden przy drugim na świeżo otynkowanych ścianach, mieniąc się na srebrnych kandelabrach i wazach, przepełnionych egzotycznymi cieplarnianymi owocami i kwiatami, i dodając blasku jedwabnym obiciom pokrywającym ściany. Pod stopami Charlotte gruby orientalny dywan tłumił stukanie obcasów, gdy szła za gospodynią ku obszernej klatce schodowej.

W milczeniu madame Paule poprowadziła je schodami. Na górze weszły do galerii dla minstreli wychodzącej na wielki hol w jego najdalszym końcu, po czym skręciły w korytarz. W lewej ścianie znajdowały się wysokie okna wychodzące na wrzosowiska, natomiast w prawej dwoje zamkniętych drzwi. Gospodyni doszła do końca korytarza, gdzie się zatrzymała. Pchnęła drzwi, które otworzyły się bezgłośnie, i odsunęła się, wpuszczając Charlotte przed sobą.

Był to zachodni pokój zalany o tej porze łagodnym popołudniowym światłem, które rozświetlało purpurowe obite adamaszkami ściany. Olbrzymie wazy wypełnione spiętrzonymi pawimi piórami i złożonymi liśćmi palmowymi stały przy ścianie okiennej. Wystawnie, pomyślała Charlotte. Można by nawet powiedzieć, zbytownie.

Kunsztownie zdobiony złotem gzyms z czarnego marmuru osłaniał kominek. Obok stare łoże ustawiono na podium i otoczono je ciemno karmazynowymi aksamitnymi kotarami haftowanymi złotem i królewskim błękitem. Tuziny miękkich poduszek piętrzyły się w głowach łóżka i leżały zachęcająco poukładane na sofie okrytej błękitnym brokatem. Duży hebanowy stół wykładany macicą perłową zajmował najbliższy narożnik, a jego blat zastawiony był kryształowymi flakonikami perfum, słoiczkami balsamów i kremów, naczynkami z delikatnie suszonymi płatkami i pudrami. Leżał tam też pełen zestaw szczotek w hebanowych oprawkach i grzebieni.

Wszystko to było wytworne, luksusowe i imponujące, ale najbardziej imponujące wydawało się olbrzymie złożone lustro wiszące na wprost łóżka, w swej olbrzymiej tafli odbijające większość pokoju.

- Jest tu wszystko, czego może pani potrzebować. - Madame Paule przemierzyła pokój i wskazała jedwabny sznur ze złotymi frędzlami. - A tu jest dzwonek, gdyby jeszcze coś było pani potrzebne.

Charlotte z ciekawością podeszła do okna i wyjrzała przez nie. Daleko w dole płynęła rzeka mieniąca się i wartka, znikając w lasu w oddali.

- Muszę wrócić do obowiązków - powiedziała madame Paule. - Zamek jest pełen gości. Gaspard zaraz przyniesie pani bagaże. Czy życzy sobie pani jeszcze czegoś?

Odpowiedziała jej Lizette, nastroszona na subtelnie lekceważący ton Francuzki.

- Tak. Mademoiselle potrzebuje kąpieli. Gorącej. I ognia w kominku. Natychmiast.

Madame Paule grzecznie skinęła głową, chociaż jej ciemne rodzynekowe oczy błysnęły wrogością.

- Ależ oczywiście. Zaraz tego dopilnuję. I...

- A gdzie ja mam spać? - przerwała jej Lizette. - Nie widzę alkozy dla mnie.

- Nie tutaj - burknęła madame Paule. - Panna masz kwaterę na górze. Z resztą służby.

Biedna Lizette. Charlotte nie mogła nic dla niej zrobić, tak jak i dla siebie zresztą. Powód, dla którego sypialnia nie miała alkozy dla służącej, był aż nazbyt wyraźny. Pokojówka mogłaby przeszkadzać w wizytach późnym wieczorem.

- Och? - skrzywiła się Lizette, a jej policzki stały się różowsze niż zwykle. - Doskonale. Może mi pani pokazać później. Po tym, jak się zajmę potrzebami panny Nash.

- Oczywiście. - Francuzka kiwnęła głową. - Pani kąpiel zaraz zostanie przygotowana. I każę jednemu z lokajów zaprowadzić panią do jadalni. - Rzuciła okiem ku Lizette. - A ty do łóżka, o wpół do dziewiątej. Czy to pani odpowiada?

- Tak - odparła Charlotte i zapragnęła, żeby tak było naprawdę.

*Zamek hrabiego St. Lyona
9 sierpnia 1806*

Dopiero kiedy Lizette cofnęła się, by podziwiać swe dzieło, dotarło do niej w pełni wrażenie, jakie sprawia suknia Charlotte o niezmiernie głębokim dekolcie i z na pół przezroczystej tkaniny. Pokojówka na chwilę zanie-mowała.

- I jak? - spytała Charlotte z niepokojem.
- Pani wygląda... nadzwyczajnie... To jest, jest pani... Ta suknia jest niesamowita - wykrztusiła wreszcie Lizette.

W milczeniu podała Charlotte lusterko w mahoniowej oprawie, w odruchu zupełnie niepotrzebnej usłużności. Przed tym monstrualnym zwierciadłem zajmującym pół ściany Charlotte nie mogła uniknąć widoku swego odbicia, nawet gdyby chciała. Wzięła oddech i obróciła się, napotyka-jąc swoje odbite spojrzenie. Szeroko otworzyła oczy. Lizette miała rację, wygląda niesamowicie. Niesamowicie bezwstydnie. Niesamowicie wyuzdanie. Niesamowicie prowokująco. Ale przede wszystkim wygląda na niesamowicie łatwą.

Prawie przezroczysty zielony jedwab opadał mieniącymi się fałdami spod stanika otulającego zaledwie czubki piersi będącego ledwie skrawkiem atłasu ozdobionego mieniącymi się perełkami, które migały w świetle i podkreślały złote błyski jej orzechowych oczu. Jak mech obmywany prądem strumienia, jedwabna tkanina ślizgała się po jej figurze, bardziej ją odsłaniając, niż ukrywając. To była suknia kurtyzany, suknia Ginny, naprędce przerobiona na Charlotte, suknia zaprojektowana tak, by kusiła i podniecała.

Wzrok Charlotte pobiegł ku odbiciu własnej twarzy, ku wilgotnym różowym ustom i delikatnemu przypudrowanemu rumieńcowi na policzkach, a potem ku włosom przeplecionych brązową wstążką, zwieszającą się prowokująco na kark. Ani sztuki biżuterii zakłócającej gładką przestrzeń szyi. obojczyka i biustu. Żadnych dodatków prócz długich, obcisłych jak skóra rękawiczek okrywających ciało od czubków palców po zgięcie łokcia. Zestawienie prawie nagich piersi i skromnie osłoniętych dłoni, nadgarstków i przedramion było szczególnie prowokujące. Jak Ginny to przewidziała.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Wzdrygnęła się i spojrzała na zegar nad kominkiem. Ósma trzydzieści. Kolana się pod nią zatrzęsły.

- Nie mogę - szepnęła. Okazało się, że jednak jest tchórzem.
- Proszę pani? - spytała Lizette zdezorientowana.

Nie jest gotowa. Nie teraz, jeszcze nie. Musi odstręczyć St. Lyona, tylko na tę noc. Po prostu musi mieć trochę czasu, by oswoić się z sytuacją.

- Ja nie mogę... Załatw to z lokajem, Lizette. Powiedz mu, że nie jestem gotowa. Powiedz, żeby poczekał. Ja... nie podoba mi się ta wstążka we włosach. Wolę pióro. Albo kwiaty.

Lizette zamrugała zmieszana, ale dość chętnie ruszyła do drzwi i wyszła na korytarz. Charlotte usłyszała szmer głosów, słowa: „dama ma prawo” i „jeszcze chwilę”, po czym pokojówka wróciła i zamknęła za sobą drzwi. Charlotte odetchnęła z ulgą.

- Proszę usiąść, panno Charlotte. Zaraz sobie z tym poradzę.
- Nie! - wybuchnęła Charlotte, a potem, spokojniej, dodała: - Nie, Lizette. Nie żałuj czasu. Trzeba zatrzeć wspomnienie mego zaniedbanego wyglądu prosto z drogi i zastąpić je czymś dużo bardziej pociągającym.

Usiadła na sofie.

Ach tak, pomyślała Lizette. Jęknęła jak artysta, któremu kazano przerobić arcydzieło, lecz przyjęła wyzwanie i sięgnęła po grzebię i szczotkę. Dwa-dzieścia minut później, przymierzywszy czarne strusie pióro, białe strusie pióro, sznur pereł, frędzel od kotary łoża, a także kilka wstążek, uśmiechnęła się promiennie.

- Gotowe. - Oskubała czubki z tuzina pawich piór stojących w wazonach. Splotła je ze złotymi nitkami i wpięła zręcznie w cyrkonowe loki Charlotte. Opalizujące fioleto, zielenie i brązy mieniły się i igrały barwami przy każdym ruchu głowy.

- Jesteś genialna, Lizette - powiedziała Charlotte, bardziej wdzięczna za darowany czas niż za rezultat wysiłków pokojówki, mimo że tak oszałamiająco. Teraz już będzie za późno na tóte-a-tóte z St. Lyonem. Uśmiechnęła się uradowana faktem, że prywatne spotkanie z hrabią nie doszło do skutku.

- Zaraz się pani poczuła lepiej, prawda? - spytała Lizette, kiwając głową.
- Rzeczywiście, Lizette - odparła.



Towarzystwo zebrane w wielkim holu i oczekujące, by udać się do stołu, składało się z piętnastu mężczyzn i czterech kobiet. Mężczyźni ubrali się tak dystyngowanie jak na śródowy bal u Almacka, natomiast kobiety w bardzo

w podobnym stylu jak Charlotte. Innymi słowy, wyglądały jak szykowne kochanki. Charlotte poświęciła im niewiele zainteresowania, całą uwagę ukradkiem kierując na St. Lyona. Czy będzie rozgniewany, że ledwie się zjawiła, już zdążyła zlekceważyć jego rozkaz?

Gdy lokaj zaanonsował jej nazwisko, hrabia wystąpił naprzód z ręką wyciągniętą na powitanie i spojrzeniem promieniejącym uznaniem. W Londynie wyrobiła sobie opinię osoby ekstrawaganckiej. Modnie, kapryśnie, niepohamowanie - a przez to wybaczalnie - ekstrawaganckiej. Tego wieczoru przeszła samą siebie.

- Moja droga, jest pani niezrównana - zamruczał, unosząc jej dłoń do warg i muskając pocałunkiem dłonie pokryte rękawiczkami. - Ale ogromnie żałuję, że nie odbyliśmy tej krótkiej pogawędki przed obiadem. I obawiam się, że pani będzie żało...

- St. Lyon! - Nieznoszący sprzeciwu głos przerwał hrabiemu, cokolwiek zamierzał powiedzieć. St. Lyon wyprostował się, gdy przydreptał ku nim potężny mężczyzna o kędzierzawych szarostalowych włosach. Nosił rodzaj munduru wojskowego, nieznany Charlotte. - Domagam się, byś mnie zaraz przedstawił tej wspianiałej damie.

- Oczywiście, Wasza Łaskawość. - St. Lyon skłonił głowę. - Czy mogę przedstawić pannę Charlotte Nash? Panno Nash. księżę Rupreck Gulbran.

Charlotte przysiadła w niskim dygnięciu, gdy siwy olbrzym zgiął się w ukłonie. Podniosła się dopiero, gdy została przedstawiona pół tuzinowi innych gości, mężczyzn o cudzoziemskim akcencie i lepszych lub gorszych manierach, wśród nich nababowi w średnim wieku, ognistemu włoskiemu księżatku, pulchnemu Austriakowi z podwójnym podbródkiem, bez tytułu, lecz o królewskich manierach, i szczupłemu starszemu Hiszpanowi o oczach poetki. Kobiety nie podeszły do niej, a St. Lyon nie próbował ich przedstawiać. Ani też, zauważyła Charlotte, niewiele przestawały ze sobą wzajemnie.

Tak to widać jest wśród kurtyzan, zdała sobie sprawę. Nigdy nie są pewne, jak zostaną przyjęte i zawsze zachowują czujność wobec innych kobiet, potencjalnych rywalek. Nachmurzyła się, próbując otrząsnąć się z ponurej myśli, że to może być odtąd jej świat, kiedy usłyszała, że St. Lyon mówi z wymuszonym spokojem:

- A tu, moja droga, jest ktoś, z kim, jak sędzę, już pani zawarta znajomość.

Zaintrygowana obróciła się i wlepiła osłupiały wzrok prosto w płonące oczy Danda Rossa.

- Znów się spotykamy, Charlotte.

Serce skoczyło jej do gardła, a wargi rozchyliły się mimowolnie w powitanie, gdy zalała ją fala szczęścia. Ale nagle przywołała się do porządku, uświadomiwszy sobie, gdzie się znajduje i przed kim stoi, a sekundę później, gdy poraził ją sens obecności Danda, poczuła zadowolenie, że nie zdradziła swych uczuć.

Pozwolił jej tu przyjechać, zostać kochanką St. Lyona, nie robiąc jej cienia nadziei, że ta ofiara może nie być potrzebna. Spał z nią, zabrał jej dziewictwo i nie zdradził jej, że zyskał dostęp do bliskiego otoczenia St. Lyona i że mógłby sam szukać listu, bez jej prostytuowania się.

Jak długo to planował? Czy już znalazł ten przekłety list? Czy ona jest tu kompletnie niepotrzebna?

Nagle naszedł jajeszcze gorszy domysł, gorzki i przerażający. Może taki był jego plan od początku, by posłużyć się nią dla odwrócenia uwagi, kiedy on będzie szukał. Sprzedać jej dziewictwo za kilka godzin swobody działania?

Podejrzanie rozprysło się w niej, gdzieś w środku, jak szkło, boleśnie kalcząc, sprawiając, że zaczerwieniła się i nie mogła złapać oddechu.

- Zaniemówiłaś, Charlotte? - spytał Dand szydyczko. Francuski akcent, którego używał w Londynie, zabrzmiał wyraźniej, bardziej arystokratycznie. Dand nosił ubiór bardziej stonowany, lecz o wykwintniejszym kroju niż przywłaszczona garderoba Rama. Pończochy miał śnieżnobiałe i nieco szorstkie, policzki i szczękę wygolone, gładkie jak marmur.

Wyglądał cudzoziemsko i obco. Gdzieś przepadło łagodne ciepło, które kiedyś znajdowała w jego spojrzeniu. Zniknął przyjazny wyraz twarzy i swobodny uśmiech. Stał przed nią nieznajomy.

Po raz pierwszy Charlotte zdała sobie sprawę, jak twardy jest zarys jego kanciastej szczęki, jak mocne i okrutne ma wargi, jak nieodgadnione oczy. Przedtem zawsze śmiech i kpina maskowały bezwzględność kryjącą się w tej przystojnej twarzy. Teraz już nie. Wiedziała, co kieruje tym uprzejmym uśmiechem. Znała już tę bezlitosną obojętność, może nawet okrucieństwo. A bliżna na policzku? Na pewno nie była wynikiem upadku z drzewa.

Ginny miała rację. Mężczyzna, którego wzięła do swego łóżka, jest dziki. Zresztą czy sam nie powiedział, że robi, co uzna za konieczne, by osiągnąć swój cel?

- Dlaczego on jest tutaj? - usłyszała własne pytanie, na które wargi Danda wreszcie ułożyły się w uśmiech. Nie było w nim nic uprzejmego. Wyraz jego oczu był złowróżbny - jak gdyby to on został oszukany! Ale przecież taką ma rolę: odrzuconego, rozgoryczonego kochanka. Jak mogła zapomnieć? I jak mogła zapomnieć, jakim jest znakomitym aktorem?

- Monsieur Andre Rousse jest wysłannikiem pewnych wysokich dostojników kościelnych - odparł St. Lyon, ajego czujny, lekko pojednawczy sposób bycia czynił aż nazbyt widoczny fakt, że wie, co łączyło ich dwoje.

- Rozumiem. - Serce zaczęło dusić ją w gardle, oddech stał się płytki i przyspieszony. Jakim sposobem dotarł tu tak szybko? Jak wystarał się o zaproszenie? Męscy współnicy Ginny próbowali wszelkich wyobraźalnych sposobów, aby się tu dostać, ale ci, którzy się tu znaleźli, byli drobniaczko sprawdzani, a ich referencje dobrze udokumentowane.

Stanowiło to dowód, że Dand planował to wszystko od dawna, na długo przedtem, niż posłała po niego, zapraszając do swego łóżka. Wykorzystał ją. Właśnie tak, jak ona go wykorzystwała, by pozbyć się dziewictwa - a przynajmniej, jak on uważał, że go wykorzystwała. Poczowała śmieszna ulgę, że podtrzymywała to kłamstwo.

Jakiegokolwiek żywiła uczucia dla Danda, przynajmniej zachowała resztki dumy, nie zdradzając się z nimi. W jego oczach wygląda to tak, że oboje znaleźli się tutaj w tym samym celu - oboje chłodno i z wyrachowaniem zaangażowani w szpiegowskie rzemiosło, nieulegający sentymentom i niewzruszeni najłżejszą emocją.

Więc niech tak zostanie. Naprawdę stanie się taką osobą. Twardą sztuką. Nie chce od Danda Rossa niczego innego, niż dowiedzieć się, czy już znalazł list. Jeśli nie, będzie szukała go sama, tak jak zaplanowała.

Gra idzie o ważniejsze rzeczy niż jej duma. Lub jej serce.

- Wyglądasz na zdenerwowaną, Charlotte - wymruczał Dand. - Taka blada. Czy źle się czujesz? Czy to może moja nieszczęsna osoba tak cię rozstroiła? Moje biedne kochanie. - Powieki opadły mu na oczy, kryjąc ponure spojrzenie. - Wyjechałbym, by ci oszczędzić przykrości, ale nie całkiem mam chęć się tobą przejmować. Obawiam się, że jesteś skazana na mą obecność.

Trwała w niemym osłupieniu, uśmiercając go wzrokiem. Potem zadarła brodę, nie racząc odpowiedzieć, odwróciła się demonstracyjnie i okazując absolutną obojętność, publicznie go spostonowała. Przeszedłszy do porządku dziennego nad jego zjadliwością, odgadła podtekst słów. Nie może wyjechać, bo jeszcze nie znalazł listu. Dowiedziała się przynajmniej tego.

St. Lyon przestąpił z nogi na nogę.

- Tak mi przykro, moja droga. Miałem zamiar panią ostrzec zawczasu w bibliotece.

- Nic nie szkodzi, hrabio - zapewniła go chłodno. - To, czym i gdzie zajmuje się pan Rousse, nie obchodzi mnie w najmniejszym stopniu.

- Doprawdy? - zadumał się hrabia. - A mnie się zdawało, że bardzo to panią obeszło. Jest pani wspaniała w swej pogardzie. Nie, moja droga - powiedział, prowadząc ją ku wazie z ponczem ustawionej na stole w przeciwnym końcu pokoju. - Obawiam się, że bardzo panią to obchodzi. Wciąż żywi pani silne emocje wobec tego młodego człowieka.

Zachowała milczenie, wiedząc, że protestem tylko by potwierdziła jego domysł.

- Oczywiście tego należało oczekiwać. Kiedy przemówi serce, kobiety nie potrafią podporządkować się temu, co im nakazuje rozum, nawet osoby tak interesujące i bystre jak pani.

- Moje serce milczy - powiedziała sztywno.

- Może nie przemawia językiem miłości, ale przepełnia je namiętność. Czytam to całkiem wyraźnie w pani oczach, pani gorących rumieńcach, sztywności postawy. Biegłe znam ten język, moja droga. - Przyglądał jej się bacznie, prawie wyczekująco, a Charlotte nagle pojęła, że on chce, by czuła coś do Danda. Namiętność, jeśli nie miłość.

Oczywiście. Czyż Ginny nie uprzedziła jej, że St. Lyon znajduje największą satysfakcję w uwodzeniu kobiet związanych już z innym mężczyzną? Musi być ostrożna i przebiegła, może nawet na tyle przebiegła, żeby wymigać się od roli, którą zaczęła grać. Wszystko, co wiedziała o St. Lyonie, przemawiało za tym, że jest arogantem, dumnym ze swych erotycznych podbojów. Uważającym się za mężczyznę, któremu nie oprze się żadna kobieta.

Gdyby St. Lyon myślał, że wciąż pociąga ją były kochanek, sama duma powstrzymałaby go od wzięcia jej do łóżka, póki by nie zyskał pewności, że to właśnie jemu Charlotte nie może się oprzeć. Pewności, że nie próbuje wymazać z pamięci wspomnienia innego, używając hrabiego jako narzędzia. W istocie St. Lyon znajdowałby przyjemność w takim wyzwaniu.

A w czasie, kiedy będzie usiłował zwabić ją do łóżka, ona zacznie przeszukiwać zamek i może uda jej się odnaleźć list, zanim będzie zmuszona przyjąć awanse hrabiego.

- Jakże pan przenikliwy, hrabio. Czy zna pan może receptę na eliksir, który usunie go z mej pamięci? - Uniosła miedzianą brew.

- Ach - powiedział. - Żałuję pani swego związku z panem Rouse'em. Pragnęłaby pani cofnąć czas, by dostać szansę uczynienia na nowo pewnych istotnych wyborów.

Do licha. On ma widzieć w niej kurtyzanę, a nie zepsutą bogatą pannę, która popłakuje nocami w poduszkę nad utratą dziewictwa. Rzuciła mu koci uśmiech.

- Chociaż ogromnie mi przykro, że muszę się panu sprzeciwić, mój drogi hrabio, obawiam się, że źle mnie pan zrozumiał. Nie żałuję związku. Żałuję, że połączył mnie z Rouse'em.

Roześmiał się i wręczył jej szklaneczkę ponczu.

- Jest pani, jak zwykle, nadspodziewanie bezpośrednia. Jest to ten aspekt pani uroczej osobowości, który stanowczo będę musiał zgłębić.

- Och, mam nadzieję, że zgłębi pan, hrabio, dużo więcej niż moją osobowość - wymruczała, wpatrując się w niego znad brzegu naczynia z ponczem.

Wyciągnął rękę, nisko, w sposób niewidoczny dla większości obecnych, i leniwie powiódł opuszkami palców po jej przedramieniu. Opanowała instynktowne wzdrygnięcie i odpowiedziała mu uśmiechem. Jego dłoń popełzała niżej, bawiąc się jej dłonią.

- Wszystko w swoim czasie, moja droga. Oczekuję przybycia jeszcze jednego gościa, a potem, za kilka dni, wszyscy odjadą, skąd przybyli, i będę miał zamek dla siebie. Dla nas, jeśli zechce pani zostać. Obiecuję pani poświęcić całą moją uwagę oraz to, że kiedy zaczniemy wzajemnie się poznać, żadne cienie przeszłości nie będą nam tego zakłócać.

Zgadła. Trafnie oceniła jego charakter. Zalała ją fala ulgi, dzięki czemu łatwo jej przyszło uśmiechnąć się promiennie, gdy zapatrzona w ciemne oczy hrabiego wyszeptwała:

- Trzymam pana za słowo.

20

*Jermyn Street, Piccadilly
12 sierpnia 1806*

Gdzie jest Charlotte? - zapytał bez wstępów Ramsey Munro. markiz Cottrell.

Ginny Mulgrew, przyjmując dwóch niezapowiedzianych gości w porannym pokoju, nie przestała się uśmiechać, chociaż przychodziło jej to coraz trudniej z każdą upływającą chwilą.

- Nie potrafię powiedzieć, zapewniam, milordzie. Zachodzę w głowę, dlaczego pana zdaniem miałabym być wtajemniczona w plany pana krewnej.

- Dlatego, że ta smarkula zrobiła sobie z pani ostatnio narzędzie do grania na nosie towarzystwu - oświadczył swym głębokim szkockim akcentem pułkownik MacNeill, nieokrzesany, przystojny i muskularny. - Odkąd przybyłem do Londynu, dochodzą mnie słuchy o tym, że zadawała się z panią, i to z więcej niż jednego źródła.

- Mnie spotyka to samo od trzech dni. odkąd mój statek wszedł do portu - stwierdził Munro i dodał: -A więc oszczędźmy sobie niedomówień. Gdyby miała pani trochę uczucia dla tej dziewczyny, nie zgodziłaby się pani z nią przestawać.

Co myśli markiz Cottrell ojej braku względów dla niewinnej młodej dziewczyny, było dobrze czytelne z lekkiego skrzywienia jego warg i z wyniosłego tonu.

- Panna Nash i ja poznałyśmy się - przyznała Ginny. Co mogła zrobić innego? Mnóstwo ludzi musiało ze złośliwą satysfakcją poinformować markiza o tym, jakich przyjaciół dobiera sobie jego szwagierka. Obie z Charlotte spodziewały się, że dotrze to do markiza Cottrella. Tylko że nie przypuszczały, iż nastąpi to zaraz po odjeździe Charlotte do zamku St. Lyona. Z pewnością też żadna z nich nie oczekiwała tak rychłego powrotu pułkownika Kita MacNeilla.

Było niebezpieczne mieć na karku ich obu przetrząsających miasto w poszukiwaniu Charlotte. Obaj mężczyźni uchodzili za takich, którzy dostają, czego chcą, używając wszelkich koniecznych środków, a teraz chcieli znaleźć Charlotte. Ich determinacja świadczyła dobitnie nie tylko o uczuciach dla własnych żon, lecz także dla samej dziewczyny. Ginny w duchu łączyła się z nimi, jednak przy całej sympatii, jaką dla nich miała, nie mogła pozwolić, by się dowiedzieli, dokąd pojechała Charlotte. Dziewczyna potrzebuje - a raczej, po tylu poświęceniach, zasługuje - by dać jej jak najwięcej czasu na poszukiwania.

- Baronowa Welton poinformowała nas, że panna Nash opiekowała się panią u siebie w domu podczas pani rekonwalescencji po wypadku. - Potężny pułkownik chodził po pokoju z dłońmi ciasno splecionymi za plecami, jak gdyby powstrzymywał się, by nie sięgnąć do gardła Ginny. - Nie próbuje pani przypadkiem odwdziżyć się tej małej za życzliwość, ukrywając ją teraz przed rodziną?

Cieniutka strużka potu spłynęła Ginny po skroni i wsiąkała w koronkową chustę.

- Oczywiście, że nie. Gdybym tylko mogła być pomocna.
- Ależ jestem pewien, że pani może - zamruczał markiz, pstryknięciem palców otwierając tabakierkę z Limoges i nabierając na dłoń szczyptę tabaki. Uniósł rękę i wciągał delikatnie tabakę, cały czas nie odrywając od Ginny ponurych oczu. Wiedziała, że obiecuje jej w ten sposób najstraszliwszy odwet, jeśli nie uda jej się udzielić zadowolającej odpowiedzi.

Liczyła na to, że Finn stoi w pobliżu, gotowy do działania, gdyby dała sygnał. Chociaż patrząc na tych dwóch wysokich Szkotów o imponującej postawie, miała głęboką nadzieję, że jeśli lokaj będzie musiał wkroczyć do akcji, to postara się o liczne wsparcie. I weźmie pistolet.

Pułkownik obejrzał się ku niej z miejsca, gdzie stał, wyglądając przez okno.

- Mieszkała pani u Lottie. Niech pani powie, ten... ten mężczyzna, o którym krążą plotki, że... -jego twarz przybrała rdzawy kolor - że mieszkała z nią. Ten monsieur Rousse, musi pani coś o nim wiedzieć.

Ginny rozłożyła ręce na znak absolutnej bezradności.

- Nic nie wiem! Charlotte powiedziała, że poznała go, kiedy była dziewczynką, gdy razem z rodziną była w Bristolu.

- Charlotte wciąż jeszcze jest dziewczynką! - powiedział szorstko MacNeill. - Głupią małą dziewczynką. Nie mogę uwierzyć, że mogła... Kim on jest? - krzyknął nagle tak, że Ginny skuliła się na siedzeniu.

Jeśli ci dwaj odkryją, że Andre Rousse to Andrew Ross, nie stawiłaby na to, że ich dawny kompan, niemal brat, długo pożyje. Prawie mu współczuła, ale nagle przypomniała sobie determinację i siłę tamtego.

- Francuzem - wyjąkała Ginny. - Czy rojalistą? Tego nie wiem! Nie spędziliśmy razem wielu chwil. Był absolutnie zauroczony Charlotte i domagał się, by mu poświęcała cały swój czas. - Przełknęła ślinę z nieudawanym przerażeniem. - Przeważnie bywali ze sobą sam na sam.

Błada twarz markiza Cottrella ściągnęła się na te słowa. Odwrócił się, a pułkownik na nowo przybrał wojowniczą postawę, stając na wprost Ginny.

Ależ z nich para, pomyślała. Tak łatwo przejmują pałeczkę jeden od drugiego, tak swobodnie działają jak jeden mąż, dążąc do wspólnego celu. Ten makiaweliczny opat, ojciec Tarkin, świetnie ich wyszkolił.

- Zdaje mi się, że po tym, jak Charlotte... -Ginny przygryzła wargę i uciekła wzrokiem gdzieś w dal, jak gdyby nie mogła się zmusić, by spojrzeć w zielone wlepione w nią oczy MacNeilla - wypędziła monsieur Rousse'a, wynajął mieszkanie na Bedford Square.

- Byliśmy tam - powiedział MacNeill, zaciskając zęby w bezsilnej złości. Cottrell jeszcze raz zapanował nad swym wzburzeniem.
- Komu jeszcze ją pani przedstawiła? - spytał gładko.
- Przedstawiłam?

- Proszę. - Przystojna twarz Cottrella skrzywiła się drwiąco. - Niech pani nie każe ciągnąć się za słówka. Nie pytam, co mogło skłonić kobietę, która kiedyś miała godność i pozycję, do próby schwywania łatwowernej dziewczyny w tę samą pułapkę, w którą sama wpadła. Pytam, czy podejrzewa mnie pani o dosyć inteligencji, żebym nie wierzył w pani kłamstwa. Wplątała pani Charlotte w swoje życie. Skazała ją pani na swój los. A my... -jego spojrzenie spotkało się z krótkim kiwnięciem głowy MacNeilla- my ją z tego wypłaczemy. Z pani pomocą.

Krew odpłynęła z twarzy Ginny. Nigdy nie słyszała tak obcesowych i okrutnych słów pod swoim adresem, i tak uzasadnionych. Co więcej, nigdy by nie pomyślała, że jakkolwiek rzecz, którą usłyszysz od mężczyzny, będzie jeszcze w stanie ją zranić. Myliła się. Ale to nie ma znaczenia. Nie wyda Charlotte. Jeszcze nie.

- Nie namawiałam Charlotte do niczego, w żaden sposób. Nie jestem rajfurką. Przykro mi, że mi panowie nie wierzycie. - Zadarła brodę.

Cottrell przyglądał jej się przez długą chwilę.

- Wierzę pani. Ale jest jeszcze coś, o czym pani wie. Coś, co pani przed nami ukrywa.

- Racja. - MacNeill zmrugał zielone, płonące ogniem oczy. - I, pani Mulgrew, gdybym uznał, iż w jakikolwiek sposób te informacje mogą przyspieszyć odnalezienie Charlotte, nie zawahałbym się wycisnąć ich z pani. Jeśli nie znajdziemy Charlotte, i to szybko, wrócę tu. A kiedy potem wyjdę, będę nadzwyczaj zadowolony, wiedząc, że otrzymałem od pani każdą najdrobniejszą nawet informację, jaka była w pani posiadaniu.

Serce załomotało jej w piersi, a wargi zrobiły się suche. Ale Ginny nigdy nie brakowało odwagi. Dźwignęła się na nogi i spojrzała wyniośle na potężnego Szkota.

- Czy pan mi grozi?

To nie MacNeill jej odpowiedział.

Markiz Cottrell pochylił się ku niej tak, by ich oczy znalazły się na tym samym poziomie i zamruczał:

- Pani Mulgrew, może pani być tego pewna.

- Kłamała - powiedział Kit MacNeill, wchodząc w ślad za Ramseyem Munro we frontowe drzwi rezydencji Cottrellów.

- Tak. Pytanie tylko na jaki temat? Wierzę, że szczerze ją obraziła sugestia, że została stręczycielką Charlotte... - Urwał i zacisnął zęby ze źle hamowanym wzburzeniem. - Dobry Boże, Kit, ledwie wierzę mym własnym słowom. - Uwiedziona. Stręczycielką. Kurtyzana. I to w odniesieniu do Charlotte. Naszej Charlotte. Naszej porywczej, upartej, pełnej życia i absolutnie prawej Charlotte. To zabije Helenę. - Spojrzał na Kita, a widząc ponurą dzikość w wyrazie twarzy przyjaciela, zdał sobie sprawę, że nie tylko on boi się cierpienia, jakie to sprawi kochanej kobiecie. - Przepraszam, Kit. Wiem, że Kate odczuje to tak samo głęboko.

- Kate temu nie uwierzy. Nic, cokolwiek by powiedziano, nie przekona jej, że Charlotte wybrała życie kobiety upadłej. Sama Charlotte mogłaby jej to powiedzieć, wciągnąć swego najnowszego kochanka przez nasze drzwi, a Kate tylko by stwierdziła, że są rzeczy, których nie rozumiemy, dziejące się pod pokrywką pozorów.

Ram westchnął.

- Tak, wiem. Helena też się skłania ku takiemu myśleniu. - Chociaż, przyznał Ram w duchu, jego żonę będzie łatwiej przekonać niż Kate. Kate nie była przez ostatnie trzy lata świadkiem tego, jak Charlotte stroi sobie żarty z towarzystwa, nie słyszała ojej śmiałych flirtach ani nie widziała osób. wśród których siostra się obracała. Helena przy tym była.

- Pójdę jeszcze raz do baronowej Welton. Może sobie przypomni coś więcej o tym Roussie poza tym, że jest Francuzem i zdawał się rzucić jakieś zaklęcie na Charlotte.

- Przynajmniej Charlotte go przepędziła - powiedział Kit.

- I po kilku dniach zniknęli oboje? To nieprawdopodobne. Jedno musi mieć związek z drugim. - Ram zamknął oczy.

- Nie myśl tak. Ram - odradzał mu Kit, zgadując, w jakie mroczne zaułki zabłądziły myśli przyjaciela. Sam już przez to przeszedł. Może ten Rousse porwał Charlotte i wciąż ją trzyma albo, co gorsza, wypróbowanym sposobem wzgardzonych kochanków, wywarł na niej ostateczną zemstę, zabijając ją? W takim razie Rousse lepiej zrobi, jak zabije potem siebie, pomyślał Kit zawzięcie.

Z widocznym wysiłkiem, by się otrząsnąć z koszmarnego przypuszczenia, Ram otworzył drzwi i gestem zaprosił Kita do biblioteki. W drzwiach ukazał się lokaj i z ukłonem podał swemu panu srebrną tacę, na której leżały dwie koperty. Ram wziął je w roztargnieniu i skinieniem głowy odprawił lokaja. Spojrzał i natychmiast rozpoznał pismo.

- To od Heleny.

Otworzył kopertę i szybko przeczytał krótki list. Spotkał zaciekawione spojrzenie Kita.

- Uprzedziły nas. Nasze żony poszły przesłuchać jeszcze raz baronową Welton, mając nadzieję wydobyć z niej więcej informacji.

Kit pozwolił sobie na lekki, sarkastyczny uśmiech.

- Chyba się nie spodziewałeś, że będą tu siedzieć i czekać?

- Nie - odparł Ram, odwracając drugą kopertę. Nie było na niej napisu. Wyciągnął kartkę papieru. Twarz mu zastygła.

- Co to? - spytał Kit.

- Anonimowy list mówiący, że Charlotte jest w Szkocji w zamku hrabiego St. Lyona. Jako jego gość specjalny.

- St. Lyona? - powtórzył Kit.

- To francuski emigrant i kobieciarz o pewnej renomie - odparł Ram z z troskaną twarzą. - St. Lyon może i jest rozpustnikiem, ale jest nadzwyczaj ostrożny. Zbyt wysoko ceni swą pozycję towarzyską, by ryzykować jej utratę.

- Co znaczy - stwierdził Kit ponuro - że nie ma już potrzeby zachowywać ostrożności, jeśli chodzi o Charlotte.

- Jeśli ten cholerny list w ogóle mówi prawdę - powiedział Ram z tłumioną wściekłością. - To może być jakiś żart albo intryga, której celu jeszcze nie znamy.

- Nie możemy zignorować tej wiadomości.

- W żadnym razie. Ja pojedę na północ, a ty zostań i prowadź poszukiwania. Kit pokręcił głową.

- O nie, jadę z tobą. Wynajęłeś mrowie agentów, by szukali w mieście. Jeśli jest tu coś do znalezienia, to oni to znajdą. Ten list jest pierwszym śladem, jaki mamy. Nie będę beczynnienie siedział w Londynie. Zresztą, zechcę niewątpliwie dorzucić... swoje trzy grosze do sprzeciwu, jaki zgłosisz St. Lyonowi, gdyby plotka w tym liście okazała się prawdziwa.

- Dobrze - zgodził się Ram. - Tobie zostawiam rozmowę z Kate, a ja spróbuję powstrzymać Helenę od pojechania za nami. Wyruszymy z pierwszym świtem, zgoda?

- Zgoda - odrzekł Kit.



Do tej pory Ramsey i Christian powinni już dostać jego list. Wyjdąz siebie na myśl o sytuacji ich szwagierki i w pośpiechu podążając jej na ratunek, popędzą ku swej zgubie. On musi tylko czekać. Wszystko składa się w całość z zegarmi-strzowską precyzją. Wszystko, co stracił tyle lat temu, będzie mu zwrócone dzie-sięciokrotnie. Jego reputacja, jego dom, jego pozycja... jego życie.

Nie wolno mu stać się ofiarą tych samych porwanych odruchów, jakim ulegają inni. Musi czekać na właściwy moment. A jednak pokusa, by się ujawnić, jest przemożna. Zamknął oczy, zwalczając w sobie impuls grożący samozniszczeniem. Jest zmęczony. Wyczerpany. Nie zdawał sobie sprawy, ile go będzie kosztowało przebywanie tak blisko Danda. Nawet jeśli zwycięstwo rysuje się w zasięgu wzroku.

21

*Zamek hrabiego St. Lyonsa, Szkocja
11 sierpnia 1806*

Gdyby była pani właścicielką tego zamku dwieście lat temu, właśnie tutaj trzymałaby pani swych wrogów. - Hrabia oprowadzał Charlotte po swych włościach. Szedł tuż przed nią po wąskich kręconych schodach, a potem skierował się do zimnej pustej izby na szczycie okrągłej wieży strażniczej. Obrócił się i podał jej rękę. Ujęła ją, pozwalając mu się przeprowadzić przez właz na zatęchłą kamienną podłogę.

- Jak pani myśli, Charlotte? - zwrócił się do niej ciepło po imieniu. - Czy okaże pani litość, czy sięgnie po najwyższą karę... śmierć?

- To będzie zależało od zbrodni - odparła, drżąc z zimna.

Rozejrzała się wkoło. Otwarte okna, rozmieszczone naprzeciw siebie, wychodziły na cztery strony świata, zapewniając nieograniczony widok na otaczającą okolicę. Z góry widziała drogę, którą przybyli, wijącą się poprzez ogromne puste tereny. Na zachodzie przysiadły fioletowo zabarwione sylwetki gór, a u stóp zamku rzeka mieniła się w wieczornym słońcu.

- To budzi podziw - powiedziała, rozglądając się ukradkiem wokoło.

Pokój był kiedyś używany jako izba przesłuchań. Według planów bardzo wąskie przejście wbudowane między grube kamienne mury prowadziło z parteru tutaj na górę. Zakończony było judaszem, przez który niewidoczny świadek mógł obserwować zeznania więźnia. Ale gdzie? I czy St. Lyon o tym wie?

Wczoraj rano skorzystała z niezwykłego talentu Lizette do irytowania madame Paule niekończącymi się wymaganiami i przeszukała kilka pokoiów, gdy jej strażniczka była zajęta. Chociaż znalazła skrytkę zamaskowaną boazerią okazała się pusta.

Późnym wieczorem wymknęła się z sypialni i przeszukała bibliotekę hrabiego, klnąc w duchu, bo chociaż podejrzewała, że porusza się po obszarze już zbadanym przez Danda, nie mogła skorzystać z jego doświadczeń. Dand i ona nie porozumiewali się od jej przybycia, a biblioteka, oprócz pokojów hrabiego, była najbardziej prawdopodobnym miejscem, w którym mógł ukryć list. Nie znalazła niczego.

- To pustkowie ma w sobie dzikie, niepodległe piękno.

- Och, może wyglądać dziko, ale zapewniam panią, że jest doskonale strzeżone - skomentował St. Lyon. - Chociaż pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego budowniczy zamku sądzili, że ktoś mógłby chcieć posiąść ten szmat niczego.

- A pan dlaczego zechciał? - spytała Charlotte.

Wzruszył ramionami.

- Cóż, dla polowań, oczywiście. Na pardwy we wrzosach i kaczki na rzece, a tamte lasy daleko na południu są pełne płowej zwierzyny.

Widząc jej wyraz twarzy, roześmiał się.

- Myślała pani, że kupiłem tę posiadłość dla niecznych celów? Może używam jej jako jaskini rozpusty, więzienia, do którego uprowadzam młode damy?

Chwycił ją za nadgarstek i pociągnął lekko ku ścianie, wskazując szereg żelaznych pierścieni zamocowanych w kamieniu na różnych wysokościach. Przymknawszy powieki, by ukryć spojrzenie, uniósł jej nadgarstek i unieruchomił w uścisku w pobliżu jednego z grubych pierścieni.

- Może myśli pani, że trzymam je w łańcuchach w tej wieży, dopóki nie ulegną memu pożądaniu?

Była na to przygotowana. Nie odsunęła się. Pogratulowała sobie. Spojrzała mu w oczy z pewnością siebie i odrobiną wyrafinowania.

- Nie myślę, hrabio - odparła - żeby widział pan potrzebę takich praktyk.

Mierzył ją wzrokiem przez chwilę, po czym uśmiechnął się i puścił jej rękę.

- Powiniennem mieć taką nadzieję. Ale pani, moja droga, stanowi dość poważne wyzwanie.

- Jak to? - spytała. - Przyjechałam tutaj, czyż nie?

- Ale jest też tutaj pani były kochanek, a on, moja droga, nie mógł się powstrzymać od popsucia tego. co miałem nadzieję, stanie się rozkosznym interludium.

Od chwili, kiedy tu przybyła, przed trzema dniami zmuszała się, by nie myśleć o Dandzie. Unikała każdej okazji, przy której mogli się spotkać. Kiedy musiała przebywać z nim w tym samym pokoju, zachowywała się, jakby nie istniał. Niestety, była to tylko gra.

Choćby nie wiadomo jak próbowała się skoncentrować na jakimś zajęciu, on był zawsze z nią. Dźwięk jego głosu wywoływał lekki rumieniec na jej policzkach. Kiedykolwiek podniosła wzrok, napotykała na jego spojrzenie, podejrzliwe lub twarde, zamyślane lub gniewne. Tyle że on tylko udawał zranionego, zagniewanego kochanka. Dla niej to nie była gra.

Teściła do niego, równocześnie w myśli piętnując go za to, że ją oszukał, i przeklinała swoją własną głupotę. Nigdy nie ukrywał przed nią, że robi, co będzie konieczne dla osiągnięcia celu. Poświęci, co będzie trzeba. Lub go będzie trzeba.

- Niech pan go stąd odprawi! - zażądała tonem kobiety przywykłej do spełniania jej życzeń. - On mnie irtuje.

- Jak powiedziałem - odrzekł St. Lyon pojednawczym tonem - on tutaj reprezentuje inne osoby.

- Nie rozumiem. Co pan ma na myśli, mówiąc o jego kościelnych współnikach? Jest zwykłym francuskim emigrantem.

- Moja droga. - Wyglądał na mocno zaskoczonego. - Pani naprawdę nie wie, kim on jest?

- Francuzem, którego poznałam w Bristolu wiele lat temu. To było tylko dziecięce zauroczenie, czego, niestety, nie mając dość zdrowego rozsądku, nie rozpoznałam, kiedy znów się spotkaliśmy w Londynie tego lata.

- Ale... czy on nie powiedział pani, kim jest?

Rozbudził zaciekawienie Charlotte, ale okazała tylko lekką opryskliwość.

- Nie. Co pan chce powiedzieć? Nigdy nie lubiałam bawić się w zgadywaniki. Niech mi pan powie, jeśli pan myśli, że mi to zaimponuje. Kim on jest?

- To Andre Henri Rousse, kuzyn zamordowanego księcia d'Enghein i cioteczny prawnuk Marii Teresy Austriaczki.

Charlotte prawie się zaśmiała. Dobry Boże, kiedy Dand upatrzy sobie jakąś rolę, to naprawdę imponującą, musi mu to przyznać. Ale wyraz twarzy St. Lyon powiedział jej wszystko, co musiała wiedzieć. St. Lyon, wbrew wyznawanemu od niedawna angielskiemu systemowi wartości, wciąż trwał w nabożnym podziwieniu dla starego reżimu. Nic dziwnego, że Dand zdecydował się na to właśnie wcielenie.

- No cóż, ósmy czy osiemdziesiąty z kolei kandydat do nieistniejącego tronu to chyba wszystko jedno, czyż nie? - zapytała znudzonym głosem. - Z pewnością jego wysoka pozycja nie przynosi mu widocznych korzyści. Przy tych całych manierach i elegancji okazało się, że siedzi w kieszeni u swego krawca. Nie ma sześciu pensów przy duszy.

- Jest pani doprawdy niezwykle praktycznym stworzeniem - zadumał się St. Lyon, a Charlotte przestraszyła się, że popełniła błąd.

Rola wymagała od niej, by była interesowna, ale nie aż tak, by wzbudziło to niesmak w St. Lyonie. Powinien myśleć, że pożąda najpierw jego, a dopiero w drugiej kolejności jego portfela.

- Oczywiście - mruknęła, jak gdyby do siebie - nie zauważałabym jego braku środków, gdyby coś mi to wynagradzało. - Przeciągły ton głosu kazał się St. Lyonowi domyślać, jakich to konkretnie atrybutów brakowało Dandowi. - Życzę sobie, żeby wyjechał.

- Już dobrze, dobrze, moja droga Charlotte. Rousse zostanie jeszcze tylko kilka dni - powiedział St. Lyon pojednawczo, jak gdyby miał do czynienia z zepsutym i nieznośnym dzieckiem.

Charlotte zaczynała nabierać przekonania, że właśnie tak widział wszystkie kobiety.

- Żadnych przyjęć. Żadnych maskarad. Żadnego towarzystwa. - Wydęła usta. - Tak, jak pan, hrabio, jestem przyzwyczajona do pewnego stylu we wszystkim. Piękno i rozrywki są dla mnie jak chleb i woda. A tutaj brakuje jednego i drugiego. W dodatku - przeszła go oskarżającym spojrzeniem - nie jest pan ze mną szczery.

- Jak to? - Hrabia ujął jej dłonie i uściśnął je delikatnie. - Proszę. Niech pani mówi.

- Powiedział mi pan, że przyjechał tutaj, by ułatwić aklimatyzację w Anglii pańskim rodakom emigrantom, a tymczasem, z wyjątkiem monsieur Rousse'a, doliczyłam się tylko jednego Francuza wśród pańskich gości.

Znieruchomiał na kilka znaczących sekund, wreszcie rzeki:

- Przyznaję się. Nie byłem chętny do udzielania informacji. Przyłapała mnie pani. - Uniósł ręce w czarująco skruszony sposób. - Wie pani oczywiście, że

jestem kimś w rodzaju kolekcjonera rzadkich i artystycznych przedmiotów. W trakcie mych poszukiwań trafiam czasem na coś mającego wielką wartość dla innych. W takim przypadku wystawiam to na aukcji dla specjalnych gości.

- Jak w Tattersall! - wykrzyknęła.

Uśmiechnął się ze źle maskowaną wyższością.

- Tak, moja droga. Jak w Tattersall. Tylko że czasami... Jakby to delikatnie wyrazić? Czasami istnieją pewne podejrzenia co do legalności sprzedaży niektórych z tych rzeczy.

- A! - Przyjrzała mu się domyślnie szeroko otwartymi oczyma. - Takich jak... - rozejrzała się w lewo i w prawo i wyszeptwała: - klejnoty? Królewskie klejnoty? Królewskie francuskie klejnoty?

Położył jej palec na nosie i kiwnął głową.

- Właśnie tak.

Doprawdy, uważał, że jest aż tak łatwowierna?

- Jakie to podniecające! - powiedziała, cofając się i lekko okręcając w miejscu. - Uwielbiałabym nosić królewskie klejnoty. Pomyśleć, jaką zadróżność by wzbudziły!

- A ja chciałbym widzieć w nich panią. Ale niestety, nigdy by pani nie mogła wystąpić w nich publicznie. Zbyt łatwo jej rozpoznać, a wyłuskanie ich z oprawy zniszczyłoby dużą część ich wartości. Dużo lepiej je sprzedać i kupić inne.

Przywołała na twarz wyraz powątpiewania.

- Hm. Tak przypuszczam. Ale jednak, muszę przyznać, biorąc pod uwagę, jak cenne są te klejnoty, że pana spokój jest nadzwyczajny. Czy nie boi się pan, że ktoś spróbuje je ukraść? Przecież tu nie ma nawet strażników!

Roześmiał się.

- W razie potrzeby moja służba wykazuje różnorodne umiejętności, moja droga. Ale nie będzie musiała.

- Jest pan bardzo pewny siebie. Albo swych gości.

- Ależ nie. Ani trochę nie ufam moim gościom. I proszę, jesteśmy chyba ponad to, żeby pani udawała zbulwersowaną tą uwagą, prawda?

Uśmiechnęła się, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Właśnie tak.

- A zatem - ciągnął z aprobatą- wiem, że niektórzy z nich, a może i wszyscy, odkąd tu przybyli, od czasu do czasu myszkują po mych prywatnych pokojach, wywracają salaterki z owocami i zaglądną pod doniczki. Na próżno, muszę dodać.

- Duma prowadzi do upadku - skarciła go łagodnie Charlotte.

- Och, to nie duma, kochana dziewczyno. To po prostu kwestia niemożności znalezienia tego, czego tu nie ma. Aha! Zaczynasz rozumieć, dlaczego się upieram, by czekać na naszego ostatniego gościa. On ma... klejnoty ze sobą.

- "Naprawdę? - Mrugnęła do niego z podziwem, jednocześnie przeklinając ich fatalnego pecha.

Przekleństwo! St. Lyon ma współnika. Trzeba ostrzec Danda, żeby przestał myszkować. Tylko się... narazi ich misję na niepotrzebne ryzyko. Nachmurzyła się.

- Ale co będzie, jeśli to on je ukradnie?

- Tyle nieufności u takiej młodej osoby. To dość urocze - powiedział St. Lyon. - Nie kłopot się, ptaszyno. - Z każdą chwilą stawał się wobec niej swobodniejszy, rozkoszując się swarolaświatowego mężczyzny. Ujął ją lekko pod brodę. - Mój współnik nie jest człowiekiem błyskotliwym, ale ma dosyć sprytu, by wiedzieć, że sam nie jest zdolny zorganizować tego rodzaju aukcji. Poza tym dostałem te klejnoty właśnie od niego.

- Jak chytrze. A kiedy ten człowiek przyjedzie?

- Och, bardzo niedługo - powiedział St. Lyon. - Punktualny gość z tego Rawsetta.

- Rawsetta?

- Zna pani to nazwisko? - Absolutny fircyk, wszakże pożyteczny. Kiedy przyjedzie... - uśmiech, z jakim się do niej zwrócił, ociekał pewnością siebie i rozkoszą - urzędę aukcję, a potem klejnoty przestaną mnie obchodzić. A kiedy już załatwimy wszystkie interesy, poświęcę się temu, żebyś zapomniała o Roussie.

- O kim? - spytała Charlotte filuternie.

St. Lyon się roześmiał.

22

*Zamek hrabiego St. Lyona, Szkocja
12 sierpnia 1806*

Przyjmuję zakład, hrabio. - Wzrok Charlotte przesliznął się wyzywająco po stoliku do gry. - Jedwabna pończocha, którą właśnie noszę, przeciwko pana tysiącowi funtów.

Gracze przy drugim karcianym stoliku ucichli, zapomniawszy o swoich kartach, gdy usłyszeli deklarację Charlotte. Wszyscy co do jednego wiedzieli, że upadła dziewczyna, która trafiła między nich, do niedawna była damą. Tak samo jak wszyscy wiedzieli, że mężczyzna odpowiedzialny za jej upadek siedzi przy sąsiednim stoliku, plecami do niej, zapatrzony w swoje karty. Jego twarz była tak chłodna i nieprzystępna jak góry na północy.

To było tak niewyobrażalnie, wyśmienicie pikantne! I to w środku popołudnia! Kto wie, jakie rozrywki może przynieść kolacja?

- W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone - powiedział hrabia, przyglądając jej się bacznie.

- Czy powiedział pan „miłość”, hrabio? - Tamten mężczyzna, Rousse, odwrócił się i przerzucił ramię przez oparcie swego krzesła, przyglądając się Charlotte Nash z wyniosłą wzdrganą. Jakim sposobem mężczyzna z krwi i kości może patrzeć tak chłodno na istotę tak żywą, tak zmysłowo kobiecą, było nie do pojęcia dla większości pozostałych mężczyzn.

Jej loki koloru gaiki muszkatołowej lśniły jak polerowany metal, a cienki żółtawy jedwab, okrywający jej gibkie młode ciało, podkreślał brzoskwiniowo zaróżowioną skórę. Jej wargi, nieustannie na granicy uśmiechu, były soczyste i młode, a oczy jarzyły się pod kotarami złoto zakończonych rzęs. Nie była egzotyczną pięknoscią jak jej starsze siostry. Ale nawet jej spiczasta broda, brązowe cętkowane tęczęwki, ociążały oczy. o kącikach zwróconych w dół, senne, jak gdyby właśnie wstała z łóżka, te usta zbyt pełne i wyzywające dodawały jej uroku. Była frywolna, kokieteryjna i odpowiadała na każde awanse. Była dużo więcej niż piękna.

Hrabia uniósł brwi na nieoczekiwane słowa Rousse'a.

- Rzeczywiście, powiedziałem, monsieur Rousse. Co z tego?

- Nic. Poza tym, że po moich ostatnich doświadczeniach - jego mroczne spojrzenie przemknęło po nieprzyzwoicie odzianym ciebie Charlotte Nash - zaniedbałbym mej powinności, gdybym pana nie ostrzegł, że czułe przywiązanie, o jakim pan wspominał, nie mieści się w możliwościach odczuwania pewnego indywidualium.

- Jestem pewien, że pana troskliwość byłaby doceniona, gdyby nie była ewidentnie kwestią tego, co wy, Anglicy, nazywacie „kwaśnymi winogronami” - odparł hrabia.

Charlotte patrzyła na Danda jak na powietrze, przeklinając go za to, że jak do tej pory nie dał jej szansy szepnąć mu słówka o poszukiwaniach listu. Poza tym, jak gdyby ten głupiec nie miał innych zmartwień, ryzykował, że hrabia dla zdobycia jej uczuć zagra błędnego rycerza przeciwko ordynance-

mu bandycie w osobie Danda. Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem w sposób, który przy wodził jej na myśl kundla na sztywnych nogach spotykające się na spornym kawałku terenu.

A jak pomógłby jej Dand w wypełnieniu ich misji, gdyby został ranny lub - co gorsza - zabity? Nie dopuści do tego. Poniosła zbyt wiele wyrzeczeń, żeby widzieć, jak jej plany rujnuje małostkowe męskie poczucie urażonej dumy.

Spokojnie obróciła się w tył, jak gdyby Dand nic nie powiedział.

- Kiedy gram, lubię widzieć blask złota na stole. Podejrzewam, że panowie my ślą tak samo.

Wyciągnęła przed siebie nogę i zrzuciła ze stopy atłasowy pantofelek.

- Moja droga? Może wolałabyś w większej prywatności...

- Nie potrzebuję prywatności. Przynajmniej nie przy tej okazji. - Zerknęła w górę. Każda para męskich oczu w pokoju, włącznie z oczyma hrabiego, była utkwiona w jej stopie. Z wyjątkiem oczu Danda. Spotkał jej spojrzenie z chłodnym, ostrzegawczym błyskiem. Do pioruna z nim! Skoro przeznaczył jej rolę przynęty ściągającej na siebie uwagę innych gości, to go nie zawiedzie.

- Zapewniam, że nie wiem, czego panowie się po tym spodziewali. Może powinnam postać kilka minut na osobności w ustronnej alkowie? - Znacząco zawiesiła wzrok na Dandzie. Wokół nich tuzin mężczyzn pokrzykiwał, pomrukiwał lub chrząkał. - Za późno, panowie - oświadczyła z kocim uśmiechem. - Chcieliście tylko mej pończochy. Następnym razem może pomyślicie, że warto zażądać czegoś więcej.

Schyliwszy się, wsunęła dłonie pod obręb spódnicy i namacała górny brzeg pończochy zawiązany podwiązkażtasiemki tuż pod kolanem. Leciutki skurcz poruszył złowrogo wyglądającą blizną.

„Nie rób tego”.

Czy naprawdę wyszeptał te słowa, czy po prostu chciała je usłyszeć? Nie ważne. Już żyła swą rolą. Wodząc flirciarskim spojrzeniem po zaabsorbowanej widowni, pod osłoną spódnicy zrolowała cieniutki haftowany jedwab w dół łydki. Potem zuchwale odsłoniwszy kostkę, ściągnęła pończochę i wesoło nią zamachała.

Dand wstał. Nikt oprócz niej zdawał się tego nie zauważać. Ani nikt nie zwrócił uwagi, kiedy bez słowa zamasztył krokiem wyszedł z pokoju, jak gdyby już dłużej nie mógł znieść jej widoku.

Uśmiechnęła się. Wesoło. Z pewnością siebie.

- Proszę, hrabio, oto moja stawka. Zechce pan rozdać karty?

Z pełnym uznania uśmiechem hrabia rozdał trzy karty. Charlotte wzięła je, starając się okazać zainteresowanie. Nie chciała jego pieniędzy - chociaż wiedziała, że musi sprawić wrażenie, jakby było przeciwnie - i nie obchodziło ją, czy przegra tę przeklętą pończochę. Wobec wulgarności, z jaką ją sściagnęła, reszta była niczym.

Dwie damy i cztery kiery. Nawet się nie wysiliła, by dobrać jeszcze jedną kartę, a kiedy hrabia odkrył swoją parę dziesiątek, a ona go przebiła i powiedziała: „Wygrałam”, czuła się tak, jakby przegrała. Jednak się uśmiechnęła. Zaśmiała. Pokazywała dołeczki w policzkach, promieniała chciwością i triumfem i przyjmowała gratulacje od reszty mężczyzn w pokoju, a także innych dam, które były dużo mniej entuzjastyczne.

- A teraz, czy mogę pana przeprosić, hrabio? Panowie? - Podniosła jedwabne pasemko leżące na stole i wsunęła bosą stopę w trzewik.

- Zostawię państwa i pójdę się przebrać na wieczór. Nie zawiedziecie mnie i nie przerwiecie gry, gdy odejdę? Wrócę niebawem i nalegam, by gra trwała, dopóki lokaj nie zapowie obiadu. - Została nagrodzona chórem szorstkich męskich zapewnień, że czekając niecierpliwie na jej powrót, będą istotnie kontynuować grę.

Zadowolona z udanej ucieczki, pospieszyła do wielkiego holu, gdzie ci z gości, którzy nie mieli chęci grać w karty, snuli się przed ogromnym otwartym kominkiem. Choć stali lub siedzieli w bezpośredniej bliskości siebie, jednak pozostawali wyraźnie rozdzieleni. Tylko niewielu nachylało się jeden ku drugiemu i rozmawiało przyciszonymi głosami. Większość ukradkowo obserwowała swych towarzyszy lub wpatrywała się w ogień z zamyślnym i podejrzliwym wyrazem twarzy.

Przywiodła ich tutaj rywalizacja o upragnioną zdobycz, którą im zaproponował St. Lyon, i ta sama rywalizacja trzymała ich z dala od siebie. Który z tych ludzi pracuje dla Napoleona? Który dla Austriaków? Kto działa na własną rękę lub, co bardziej prawdopodobne, prowadzi interesy, którym zagrażałby międzynarodowy traktat? Ostatnie dwa lata nauczyły Charlotte, że w każdym narodzie - włączając Anglików - są ludzie, którzy ciągną wielkie korzyści z wojny.

Nie traciła czasu na zastanawianie się nad powodami ich obecności tutaj, lecz rozejrzała się, mając nadzieję, że Dand zrozumiał jej aluzję i czeka gdzieś w pobliżu, by mogła mu powiedzieć, że listu jeszcze nie ma w zamku, i że nie powinien dalej ryzykować, prowadząc poszukiwania. Nigdzie nie było go widać.

Klnąc w duchu, pospieszyła do swego pokoju z nerwami napiętymi do granic wytrzymałości. Jak długo uda jej się prowokować St. Lyona bez pod-

dawania się jego požądaniu? Niech ją Bóg ma w opiece, nie jest do tego stworzona. Z grą słowną radzi sobie niezgorzej, ale kiedy miałoby przyjść do tego, że naprawdę spocznie w jego ramionach... - Zamknęła oczy, walcząc z paniką i odrazą. To tylko akt fizyczny. Będzie udawać, że to kto inny. Będzie udawać, pomyślała gorzko, że to...

Przestraszył ją jakiś ruch za nią. Zaczęła się obracać. Muskularne ramię owinęło się wokół jej talii, szarpiąc ją do tyłu ku twardej męskiej piersi, gdy szeroka dłoń zacisnęła się na jej ustach.

- Cicho bądź- szepnął Dand. - St. Lyon jest zazdrosny, kazał służbie cię śledzić. Obserwują ten pokój. - Jego ciepły oddech poruszał delikatne kosmyki za jej uchem, usta znajdowały się tak blisko, że kiedy mówił, muskał wargami bok jej szyi. - Będziesz cicho?

Kiwnęła głową, a on odkrył jej usta, lecz nie puścił jej w pasie, tylko przyciągnął mocniej do siebie. Zatrzęsła się ze strachu. Tak, dawniej bywało, że domyślała się jego siły, tego czegoś, co potrafiło zburzyć spokój jej umysłu. Widziała oznaki stanowczości, której nic nie powstrzyma, ale mimo to wciąż mu ufała. Teraz już nie.

- Jeśli mój pokój jest obserwowany, jak się tu dostałeś? - spytała spokojnie.

- Oknem. W ostateczności podjąłbym wspinaczkę od samego dołu, ale dużo łatwiej było zsunąć się tu z pokoju nad nami. - Muskał jej ucho wargami aksamitnie miękkimi, ale silnymi i ciepłymi. Walczyła ze sobą, by nie ulec zdradzieckiej pokusie i nie zatonać w jego objęciach.

- 'Nie musisz już szukać listu. Nie ma go tutaj.

- Co? - Rozluźnił uścisk. Nie patrząc na niego, szarpnęła się w tył i od niechcenia przysunęła ku ogromnemu zwierciadłu naprzeciw łóżka. Przyjrzała się własnemu odbiciu z gorzką satysfakcją. Ani śladu wstrząsu z powodu jego obecności. Wyglądała na zrównoważoną, bezstronną. Dobrze.

- Przewidywał, że goście zaczną szukać, może nawet będą gotowi wziąć go siłą, więc kazał współpracownikowi wywieźć list z zamku. To człowiek nazwiskiem Rawsett, ma przybyć lada chwila. Z listem. Więc możesz sobie darować nocne łowy.

Spojrzała na jego odbicie w lustrze. Przyglądała jej się w skupieniu.

- W takim razie powinnaś wyjechać. Natychmiast.

Roześmiała się.

- O nie. Za późno na to, jak mi się zdaje. Poza tym nie wiadomo, gdzie St. Lyon schował list. Nadal będziesz musiał go znaleźć, a ja spróbuję odwracać od ciebie uwagę. Przynajmniej... - przekrzywiła głowę i po chwili namysłu

ściągnęła troszkę niżej już i tak niebezpiecznie niski brzeg dekoltu - dołożę wszelkich starań.

- Odwracać uwagę?

- Tak. Kiedy już Rawsett przyjedzie, będziesz z pewnością mnie potrzebował, żebym dostarczyła gościom więcej rozrywki. Czy nie taką rolę mi wyznaczyłeś?

- Tak właśnie myślisz? - Jego głos był bezbarwny, a oczy zmrużone.

- Och. to było bardzo sprytnie z twojej strony. Jestem pełna podziwu. Poprowadziłeś mnie jak impresario. Wiedziałeś, że nie przyłączyłabym się do twego planu w drugorzędnej roli. Więc pozwoliłeś mi myśleć, że będę gwiazdą.

Znów się roześmiała dumna z tego, że potrafi w tej chwili okazać rozbawienie i beztroskę.

- I pomyśleć, że naprawdę sądziłam, że to mój pomysł, żebyś się ze mną przespał. - Obróciła się, chcąc go zranić, odpłacić mu tą samą monetą. - I oczywiście, kiedy ta drobna przeszkoda została pokonana, co miałam do stracenia? - Moje serce, pomyślała. - Nic istotnego. Więc, jestem tutaj, skompromitowana, jak należy i gotowa. Do twych usług, jak widzisz. Pozostaje jedno drobne pytanie, które mnie nurtuje. Powiedz mi, jakim sposobem zdołałeś przybyć przede mną?

- Statkiem - burknął.

- Rozumiem. - Uśmiechała się, kiwając głową, jak gdyby to była jedyna rzecz zajmująca jej myśli. Z zadowoleniem dojrzała błyski wściekłości tańczące mu w oczach. A potem, zakręciwszy się w małym piruecie, spytała: - Jak myślisz, Dand? Poradzę sobie? Jestem dość pociągająca, żeby zająć St. Lyona, kiedy ty będziesz szukać?

- Zająć - powtórzył spokojnie. - Zająłś cały salon mężczyzn twoim niedawnym pokazem, Charlotte. Ale bądź ostrożna. St. Lyon jest tylko śmiertelnikiem. Jeśli nie przestaniesz go prowokować tak, jak dziś wieczór, możesz się jednak znaleźć w jego sypialni.

Jak on śmie ją ostrzegać? On, który mógł ją powstrzymać, ale nie zrobił tego, bo nie pasowało to do jego planów.

- Przemawiasz, jakbyś był zazdrosny, Dand. Można by pomyśleć, że zapomniawszy, iż twoja rola nie jest niczym więcej jak tylko rolą - powiedziała chłodno i dodała: - Zresztą, skąd wiesz, że St. Lyon jeszcze nie był w moim łóżku?

Jednym skokiem przemierzył pokój i nim skończyła mówić, chwycił ją za ramiona i znów przycisnął do siebie.

- Ty mała czarownico, na jakie nowe piekło próbujesz mnie skazać? Zignorowała jego gniew. Miała własne rany do opatrzenia.

- Powiedz mi. Bo, widzisz, jestem ciekawa. Czy wszystko, nawet twój początkowy opór wobec mej prośby, żebyś wziął me dziewictwo, było zaplanowane, żeby doprowadzić mnie tutaj? Do łóżka St. Lyona?

Wyczuła jego reakcję, nagłe znieruchomienie, delikatne napięcie muskularnego ciała przyciśniętego do niej tak blisko. Do licha! Dlaczego musiała tak silnie na niego reagować? Dlaczego nie mogła wytłumaczyć zakończeniem nerwów i mięśniom dygocącym z niecierpliwego oczekiwania na jego dotknięcie, że on ją wykorzystał.

Przybyła do Londynu niedoświadczona i wystraszona, ale zdecydowana radzić sobie w życiu bez pomocy sióstr. Posługiwała się figlarnością i beztroskajako kamuflażem, by zamaskować strach i niepewność. Najpierw były jej pomocą w znalezieniu sobie i utrzymaniu pozycji w towarzystwie. Później podtrzymywała maskaradę, bo dawał jej niepowtarzalną okazję zrobienia czegoś, bycia czymś więcej niż tylko uroczą kokietką.

Ale pozwoliła Dandowi Rossowi przejrzeć te pozory, odsłoniła się przed nim. Nie tylko pokazała mu, kim jest, ale kim chciałaby być - osobą honorową, zdeterminowaną, wartościową. Nawet siostry nie znały jej tak dobrze. Nie tak jak Dand. A wtedy ją zdradził.

Nie zatroszczyła się, by zaczekać na jego odpowiedź. Jej rany były zbyt głębokie, chciała tylko, żeby sam poczuł trochę bólu, który jej zadał.

- Nie mówię, że bym się opierała, zauważ. Jej cichy głos pulsował gniewem tętniącym jej w żyłach. - Nie twierdzę, że bym w ciebie zwątpiła. Nie mówię, że bym protestowała. Ale wolałeś nie ryzykować, prawda? Wykorzystałeś mnie. Cóż, Dand. Ze wszystkich ludzi, właśnie ty musisz to docenić i na to przystać. Teraz ja wykorzystuję ciebie. Żeby podsycać zazdrość St. Lyona i pobudzać jego zainteresowanie mną.

Kiedy kończyła, piersi unosiły jej się i opadały w ferworze, ocierając się o jego ramię; łopatki przyciskały się jak noże do jego torsu, a każde włókno w jej ciele było napięte. Przez długą chwilę trwał w milczeniu. Chciała się obrócić, ale przytrzymał ją twarzą do przodu, a jego siła była równie nieugięta jak jego milczenie.

- Wykorzystałem cię, powiadasz - odezwał się wreszcie i. niech go licha, głos miał tak chłodny, głęboki i spokojny jak nocne niebo. - Twoja wiara w mój charakter jest doprawdy zadziwiająca, Charlotte. Najpierw myślisz, że mógłbym ko... mógłbym z tobą pójść do łóżka, po prostu po to. by cię pozbawić dziewictwa, by dzięki temu dodać wiarygodności twojej roli. Teraz

myślisz, że wmanewrowałem cię w prostytuowanie się dla mnie, żeby moje przeszukiwanie zamku było jak najmniej ryzykowne.

- Powiedz mi, że się myliłam.

- A uwierzyłybyś mi? - spytał ze straszliwym spokojem. Gdy nie odpowiedziała, ciągnął: - Jak sobie przypominam, kiedy wychodziłem od ciebie, poprosiłaś, żebym przyszedł następnego popołudnia. Przyszedłem. Już wyjechałaś.

Nie pozwoli mu dojrzeć cierpienia, jakie jej sprawił. Za nic nie pozwoli.

- Chciałam ci oszczędzić rozstania - powiedziała. - Myślałam, że byłoby ci trudno wysłać swoją... kochankę do łóżka innego mężczyzny. Powinam być mądrzejsza.

- Twój wzgląd na moje uczucia jest rozbijający - powiedział gorzko. - Jakaż z ciebie skrupulatna mała pragmatystka, Lottie. Nigdy przedtem nie doceniłem tego w pełni. Ale kiedy już wymieniamy podejrzenia i oskarżenia, pozwól mi sobie przypomnieć, że sama mi powiedziałaś, iż wpuszczasz mnie do swego łóżka, bo chcesz się pozbyć tego kłopotliwego dziewczątwa. Jedyna różnica polega na tym, że ja ci nie uwierzyłem.

- Ty draniu. - Szamotała się, by obrócić się w jego objęciach, z dłonią uniesioną, by wymierzyć mu policzek.

Z warknięciem chwycił jej rękę, wykręcił ją w dół, przesunął dłoń nisko na jej brzuch i pociągnął ją z rozmachem do tyłu na siebie.

- Nie możesz grać skrzywdzonego kochanka - zapieniła się. - Jesteś tutaj. Nie możesz zaprzeczyć temu, co jest oczywiste nawet dla głupca. Nawet dla mnie. Nie możesz nadużywać mojej... - Prawie powiedziała „miłości”, ale dumają powstrzymała. Dzięki Bogu.

- Ale ja jestem skrzywdzonym kochankiem - powiedział, pieszcząc ją głębokim potoczystym brzmieniem głosu. Przesunął rękę, rozłożył dłoń szeroko i nisko na jej brzuchu, czubkami palców wodząc tuż nad jej łonem, naciskając lekko i sprawiając, że puls zadrgał w jej gardle. Pozwoliła sobie zerknąć w dół na jego dłoń: ciemne, władcze piętno na jasnym atłasie. Opuścił głowę w zgięcie jej szyi.

Syknęła, kiedy skubnął wargami wierzchołek jej ramienia i ukoił go pocałunkiem. Jej stawy stały się miękkie jak wosk.

- Taka mężna mała patriotka, Charlotte. Czy chcesz usłyszeć wyjaśnienie, jak udało mi się tu dostać? I po co tu jestem?

Tak. Nie. A co, jeśli on powie rzeczy, których nie będzie zdolna wysłuchać?

- Nie jestem ani trochę zainteresowana. A teraz idź stąd. St. Lyon może nadejść.

- Naprawdę próbujesz mnie pognać. Ale, kochanie, jeśli taką ścieżkę dla mnie wybrałaś, to nalegam, byśmy ją przebyli razem. - Puścił jej rękę i pchnął ją naprzód. Aby nie upaść, musiała się oprzeć dłońmi o lustro. Przycisnęła biodra mocno do jej pośladków, chwytając ją w pułapkę. Dłonie zacisnęła na jej talii, by po chwili przesunąć je na biodra, a potem niżej na uda.

Mocne ciepłe wargi przesunęły się leniwie po jej szyi. Dotyk języka obudził pożądanie rozlewające się w stronę kręgosłupa. Wzięła głęboki oddech. Przekłete, zdradliwe ciało.

Szarpnęła się w bok, ale jego wielkie dłonie zacisnęły się, przytrzymując ją w miejscu.

- Nie ruszaj się. Bo inaczej przysięgam, że nie wiem, co zrobię.

Wierzyła mu. W głosie miał coś niebezpiecznego, coś straszego. Zadrzała, wciąż oparta o lustro, gdy on poruszał się za nią niczym zły duch.

- Kazałaś mi przejść przez piekło, moje kochanie, moja ukochana. Ale tak jak ten głupiec St. Lyon przekonuję się, że nie umiem ci się oprzeć.

Stopniowo, centymetr po centymetrze, podwijał miękką tkaninę jej sukni, zbierając ją w dłoniach, przez co obrab powoli unosił się znad jej kostek, do łydek, a potem tuż nad tył kolan.

- Co robisz? - sapnęła.

- To taka sztuczka, której się nauczyłem z twojego dzisiejszego pokazu. - Jego usta przesunęły palącym gorącym pomiędzy jej łopatkami. Pocałował naga skórę rozchyłonymi, natarczywymi wargami, smakował ją językiem, jednocześnie przytulając się coraz mocniej biodrami.

Opuzki palców, ciepłe i twarde, wsunęły się pod brzeg sukni, muskając wrażliwe ciało wysoko na jej udzie. Głowa opadła jej w tył na jego ramię. Ledwie była zdolna zebrać myśli. W ciągu ostatnich paru chwil wyzbyła się woli na rzecz zmysłów. Poczwała dreszcz oczekiwania. Pragnęła go i była tym odurzona.

Wreszcie nie jest sama. Oddech muskający jej szyję i łopatki był teraz urywany, szybszy, a dłonie, które tak zrećnie się nią bawiły, zaczęły drżeć. Powinna triumfować. Ale czuła tylko pożądanie. A to prowadziło do zguby, którą jej obiecał.

- Przestań. - Jej głos brzmiał nie tyle jak rozkaz, ile jak błaganie.

- Nie. Nigdy. - Powiedział to prawie czule.

Opuściła głowę pomiędzy wyciągnięte ręce. Dyszała, piersi jej przebiegał dreszcz po każdym muśnięciu jego dłoni posuwającej się w górę po krzyżnię uda. Czuła, jak kolaniem łagodnie rozsuwa jej nogi. Powieki na pół opadły jej na oczy, gdy jego palce znalazły miękkie, wrażliwe wypukłości

jej najbardziej kobiecych części. Wyżej. Wyżej. Muskał je z kuszącą lekkością, dopóki jej ciało nie zatrzęsło się z zażenowania i podniecenia, że to zrobił, że bawi się nią w taki sposób, tutaj.

Wcisnął w nią biodra, przyciągnąwszy ją do tyłu, ku swemu podnieceniu. Jego dotyk zelżał, ledwie ją przytrzymywał. Nie musiał.

- Czy próbujesz mnie zawstydzić? - Puls łomotał jej w skroniach, w nadgarstkach, rozlewał się w jej piersi i w miejscach, gdzie jego palce igrały z nią z tak leniwą swobodą. - Zmusić mnie, żebym powiedziała, że cię chcę. Chcę ciebie. Masz. Zadowolony? Wygrałeś.

Opuścił dłonie, jak gdyby jej skóra go oparzyła. Odstąpił o krok, a ona jakoś znalazła siłę, by się odsunąć. Mignęło jej własne odbicie w lustrze. Włosy jej się rozsypały, krótkie pukle spływały na kark. Oczy miała ciemne i błyszczące, skórę zarumienioną z podniecenia.

Wziąwszy głęboki, drżący oddech, obróciła się ku niemu.

- Żle to rozumiesz. - Jego twarz była ściągnięta, niewzruszona, oczy jak z mieniącego się onyxu. Światło padło na bliznę, którą nosił na policzku.

- Naopowiadałeś mi kłamstw. - Bezwiednie uniosła palce i musnęła nimi starą ranę.

- Mnóstwo - zgodził się szorstko, odwracając głowę i chwytając zębami koniuszek jej palca, liżąc go i wywołując pożar ogarniający jej dłoń i nadgarstek i wspinający po ramieniu, by zalać piersi i brzuch ociężałym pożądaniem.

- Czego chcesz? - spytał. - Poznać te wszystkie łgarstwa? Które? Te, które powiedziałem tobie, czy te, które wpierałem sobie samemu? Czy myślisz, że ja tego chciałem? - Jego śmiech był zduszony, umęczony.

- Nie powiedziałeś mi wszystkiego.

- Nie powiedziałem ci niczego - zgodził się znowu, a jego zapach wypełniał jej głowę, pochłaniał jej świat, naznaczał ją. - Nie powiedziałem ci, że...

Z jękiem rozpaczy przyciągnął ją i pocałował z hamowaną gwałtownością, a ona, niech Bóg nad nią czuwa, oddała pocałunek z twarzą uniesioną ku niemu, z ciałem wyginającym się na jego spotkanie. Zanurzyła dłoń w jego włosach, upajając się jego zapachem, błędząc językiem w jego ustach.

Jego gniew, zazdrość i rozpacz stopniały w jednej chwili. Zawahał się, wiedząc, że jej uległość jest tylko skutkiem pożądania. Wiedział, że później duma powróci. Rozumiał, czym jest duma. Czyż Charlotte nie odarła go z jego własnej? Ale nie bardziej był zdolny wyrzec się jej teraz, niż zatrzymać bicie serca. Ona należy do niego. Tylko do niego.

Jedną ręką objął jej talię, a drugą rozpiął rząd guzików na jej plecach. Ściągnął w dół jej suknię, zsunął koszulkę, pozwalając, by jedwabisty materiał ześliznął się po jej piersiach do pasa.

Skórę miała mleczną i jedwabistą jak światło księżycy na śniegu. Przesunął palcami w dół po mocnych, wysokich pagórkach, kciukami drażniąc ściągnięte sutki. Jęknęła z rozkoszy. Pogłębił pocałunek, a potem uwolnił jej usta, spuszczać głowę, by zająć się morelowym sutkiem. Chwyliła powieź i wygięła się w tył z dłońmi zanurzonymi w jego włosach.

Jego ciało przeżyło się, napinało, bolało.

Przesuwał dłonie w dół jej bioder, podciągając materiał, dopóki nie poczuł jedwabistych półkul jej pośladków. Ona go chce. Jej podniecenie zniweczyło wszelką powściągliwość, jakajeszczce zachował. Pożądanie dźgało go jak gorący nóż, jak ogniste piętno, błyskawiczne, jętrzące i natarczywe.

Szarpnął spodnie, uwalniając się z obciskającego materiału, potem wziął ją na ręce. Stopę instynktownie zaczepił o jego biodro. Przyciągnął ją bliżej i skorzystała z zaproszenia.

Wygięła się w tył, drugą nogą także oplatając go w pasie.

Stanął nieruchomo, sycąc oczy widokiem jej rozkoszy, gdy trzymał ją zawieszoną w ramionach, z ciałem otwartym dla niego i zaciśniętymi oczyma.

Unióśł ją lekko, wycofał się, a ona zachłysnęła się z wrażenia.

- Nie - wymamrotała, szybko otwierając oczy, by spotkać jego spojrzenie łakomie ją obserwujące. To uczucie było nieznanne, niewiarygodnie egzotyczne i pobudzające, przerażająco potężne i podniecające. - Nie przestawaj.

Nic innego nie istniało. Pragnęła... potrzebowała... pożądała go. Pozwolił jej osunąć się w dół, a jego biodra wyszły jej na spotkanie. Wbiła mu palce w barki. Nawet pod płótnem czuła jego napięte mięśnie.

Jego koszula przemokła od potu, oczy mu płonęły, gdy wpatrywał się w nią, mięśnie twarzy kurczyły mu się z każdym pchnięciem. Będzie ją miał bez reszty. Krew pulsowała w jej ciele doprowadzona na szczyt nieodpartej fali przyprzytywu. Zaspokojenie tak intensywne, że wycisnęło łzy z jej oczu, zadrgało w niej. Znowu. Znowu. Zamknęła oczy, poddając mu się ze szlochaniem.

Poczuła, jak się zatrząsł, aż wreszcie z ostatnim potężnym pchnięciem usłyszała jego własny krzyk z radości opadający ciężko i triumfująco w jej ucho, gdy dreszcze targały jego ciałem. Przywarła do niego, czując echo spełnienia w drzeniu wstrząsającym jego mięśniami.

Wtedy osunęła się, bezwładna, wyżęta z czucia, ze zmaconymi myślami. Niejasno zdawała sobie sprawę, że postawił ją delikatnie na nogi, że podtrzymuje ją i podciąga jej halkę. Jego usta dotknęły jej skroni, zastygły tak. Wciągnęła urywany oddech. Musi...

- Panno Nash! Panno Nash! - rozległ się głos madame Paule zza drzwi jej pokoju.

Charlotte natychmiast wróciła do rzeczywistości. Oderwała się od Danda i podciągając suknię na piersiach, wystraszonym wzrokiem zerknęła ku kłamce. Dzięki Bogu, zaryglowała drzwi.

Dand cicho zaklął.

- Musisz iść. Teraz. Proszę - szeptała natarczywie trzęsącymi się wargami, bliska łez. Nie może się załamać. Nie teraz. Podniosła głos, modląc się, by jej nie zdradził. - Chwileczkę, madame Paule!

Zwróciła się do Danda, który w pośpiechu porządkował swe spodnie. Przeczesał dłonią włosy, wilgotne i potargane, skrzywił usta w udawanym uśmiechem.

- Musisz iść, Dand.

Chwyił ją za rękę i pociągnął za sobą ku otwartemu oknu, przez które tu wszedł. Dopiero tam ją puścił.

- Pójdę. Ale gdyby nie było dla ciebie oczywiste, co się między nami stało... - wycedził zdławionym, dzikim głosem — to pozwól, że ci wyjaśnię. Jesteś moja. Moja.

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, chwycił się futryny okna, podciągnął i zniknął na zewnątrz.

23

*Jermyn Street, Piccadilly
13 sierpnia 1806*

Ginny niecierpliwie bębniła palcami po opuszczonej szybie powozu. Dwie godziny temu chłopiec, któremu kazała mieć na oku rezydencję markiza Cottrella, doniósł jej, że markiz i pułkownik MacNeill odjechali konno. Parę monet wcisniętych pokojówce przyniosło jej informację, że obaj mężczyźni wyruszyli do Szkocji, by przywieźć siostrę markizy.

Ginny wahała się przez godzinę, nim zdecydowała, co robić. Pora, żeby ona i opactwo St. Bride's połączyli siły, by doprowadzić jej walący się plan do korzystnego dla obu stron zakończenia. Zwrócił się do Toussainta - wyobrażenie twarzy tego księdza-żołnierza, kiedy odkryje, że wie wszystko o nim i jego działalności, była jedyną stroną tego dnia. Przekona go, żeby posłał słówko do opactwa, że ktoś musi przejąć niedoszłych ratowników, zanim kompletnie zniweczą misję Charlotte. Wiedziała, że St. Bride's położone jest dzień drogi od zamku St. Lyona. A była tylko jedna droga wiodąca do tej ustronnej twierdzy. Opat powinien podołać zadaniu, jakie przed nim postawi.

Powóz zatoczył się, hamując, a jej stangret, wspaniałały były pięściarz, Ashford, zgramolił się na ziemię i otworzył drzwiczki.

- Jesteśmy, proszę pani - powiedział. - Sparrow Lane 12. Miejsce niebezpieczne jak rzadko. Myślę, że powinienem iść z panią.

- Dziękuję ci, Ashford, ale nie - powiedziała Ginny, wysiadając i przypatrując się rozwalającej się fasadzie domu. - Ale gdybyś tu czekał i zachował czujność, byłabym zobowiązana.

Ashford z dezaprobatą kiwnął głową i zajął pozycję przy koniach z rękami zaplecionymi na potężnej piersi.

Ginny zastukała do drzwi i odczekała dobrych kilka minut, nim powtórzyła stukanie bardziej energicznie. Nachmurzyła się, kiedy nie było odpowiedzi. Wiedziała, że Toussaint się nie przeprowadził. Wydała grube pieniądze, żeby informowano ją o częstych zmianach adresu mnicha. Ale w końcu to wysoki budynek, a on może jest na dachu przy gołębiach pocztowych i jej nie słyszy. W każdym razie nie będzie stała pod drzwiami, dobijając się przez cały dzień, ani też nie ma zamiaru tu wracać. Poza tym, jeśli dokąś poszedł, to może wewnątrz znajdzie jakąś wskazówkę, dokąd.

Skinęła na Ashforda.

- Może byś otworzył te drzwi, proszę - powiedziała i odsunęła się na bok, gdy potężnym kopnięciem Ashford wywarzył tanie drzwi.

- Dziękuję. A teraz czekaj na mnie. - Przepłynęła przez wciąż rozbujane drzwi i natychmiast zatrzymał ją odór wdzierający się w jej płuca.

- Dobry Boże - wybełkotała, gdy niepokój pokonał jej opanowanie. Już zdarzyło jej się czuć zapach śmierci.

Zbierając w sobie odwagę, ruszyła frontowym korytarzem do małego, ciemnego pokoju na tyłach. Zaduch był tu mocniejszy, choć pokryty zapachem ługu. Wyciągnęła koronkową chusteczkę i przytknęła ją do nosa, ostrożnie posuwając się wokół pokoju. Mebli było tam niewiele, stół z lampą, dwa krzesła, wąskie łóżko, a obok niego mały przysadzisty kufer.

Wiedziała. Ale musiała zyskać pewność. Pociągnęła za klamrę i podniosła wieko.

Wewnątrz leżał skulony człowiek, bok głowy miał czarny w miejscu, gdzie został uderzony. Najego nogach leżała Biblia, jak gdyby ktoś jącisnął w ostatniej chwili. To był brat Toussaint.

Dławiąc się w zaduchu, potykając, wykuśtykała z pokoju tak szybko, jak pozwoliła jej na to jej złamana noga. Ledwie czuła ból. Przerazenie dźgnęło ją ostroga. Wypadła na ulicę, wołając Ashforda. Ale to nie martwy mężczyzna napełnił ją takim przestrachem.

Chodziło o Charlotte.. Dziewczyna jest w niebezpieczeństwie. Ktoś ją wmanewrował w podróż do Szkocji.

Brat Toussaint był martwy od bardzo dawna. Od zbyt dawna. Ktokolwiek dał swe błogosławieństwo planowi Charlotte, by zastąpiła Ginny, to nie był on.

*Więzienie LeMons, Francja
marzec 1800*

- *Powiedziałeś mi? - domagał się odpowiedzi Douglas, wbijając palce w bark Danda, któremu krew na nowo pociekła z głębokiego piętna na pierśsi. Odsłonięte i podrażnione zakończenia nerwów wrzasnęły w proteście, a myśli Danda odpłynęły na fali bólu. - Co mi powiedziałeś? - dopytywał się Douglas, potrzęsając nim.*

- *Przestań - sapnął Dand. Cały dygotał i przewracało mu się w żołądku. Czul, że zaraz zwymiotuje. Pot zlewał mu czoło i ściekał po twarzy i szyi, a sól w nim zawarta stanowiła dodatkową torturę dla bolesnej rany.*

- *Daj mi spokój, Douglas - powiedział Ram, chwyciwszy Douglasa za rękę i odciągnąwszy go na bok. - Nie widzisz? Jest prawie wykończony.*

- *Muszę wiedzieć, czy coś powiedział nadzorczy - odparł Douglas, mając w oczach ślepe desperację. - Czy zdradził nasze kontakty. Czy powiedział, skąd przybyliśmy. Czy wyjawiał mu nasze plany.*

- *Jezu, Doug. Czy miałbyś mi to za złe, gdyby powiedział? - ujął się za nim Kit, pokręcił głową i delikatnie odgarnął zakrwawioną koszulę z piersi Danda. - Biedaka przypiekleli jeszcze głębiej niż mnie. Trudno wymagać więcej od ludzkiego ciała.*

- *Masz rację. Oczywiście, masz rację - powiedział Douglas, puszczając Danda i opadając w tył, przysiadając na piętach i maniackalnie kiwając głową*

w górę i w dół na znak zgody. - Oczywiście. Nie można więcej wymagać od człowieka niż tyle, ile jest zdolny znieść, a Dand przecież nigdy nie miał wielkiego poważania dla naszego ślubowania. A ty miałeś? - Wyciągnął rękę i Dand ze zdumieniem ujrzał łzę spływającą po jego brudnej, wychudzonej twarzy. - W porządku, Dand. W porządku.

Ze zduszonym śmiechem, od którego bolała go cała udreńczona pierś, Dand pacnięciem odgonił dłoń Douglasa.

- *O nie, ty wielki cholerny święty - powiedziała. ~ Nie pokonałeś mnie dzisiaj. Nie będziesz się wywyższał.*

- *O co ci chodzi?*

- *Nic im nie powiedziałem, do diabła.*

24

*Zamek hrabiego St. Lyona, Szkocja
14 sierpnia 1806*

Panno Nash? - St. Lyon stał na schodach, wpatrując się w mgiełkę, która opadała każdego wieczoru i zawisała nad dziedzińcem. Charlotte, usadowiona z książką na kolanach - otwartą, lecz nieczytaną - ociągając się podniosła głowę.

Wczoraj, wśród mnóstwa płochliwych zająknięć i spuszczenia wzroku, powiedziała hrabiemu, że chłodne wieczorne powietrze przynosi ulgę w bólach głowy, które zawsze towarzyszą tej delikatnej porze miesiąca. Jako dżentelmen, za jakiego się uważał, od tej pory ulegał jej życzeniu i pozostawiał ją w samotności, chociaż często dostrzegał go. Jak jej się przyglądał z któregoś z okien wychodzących na dziedziniec. Ulga, że udało jej się zyskać choć parę godzin odpoczynku od męczącej roli, była ogromna.

Od kiedy Dand i ona... od tamtego wydarzenia, udawało jej się unikać dłuższego kontaktu z hrabią. Niech zresztą licho weźmie Danda i jego zaborcze proklamacje. Niby nic się nie zmieniło, a zmieniło się wszystko.

Nie wiedziała już, w co ma wierzyć. Kiedy jej umysł upierał się przy jasno widocznej obiektywnej rzeczywistości, serce mówiło coś zupełnie przeciwnego. Kiedyś była przekonana, że nietrudno jest ignorować podszepty tego omylnego organu, gdy upierał się, że nie wszystko jest takie, jak się wydaje.

Kobieta w jej niepewnej sytuacji nie może sobie pozwolić na bagatelizowanie faktów. Z pewnością szpieg i złodziej, jak ona, nie może ryzykować życia dla emocji zrodzonych w trakcie żarliwego zbliżenia fizycznego.

Ale te uczucia nie zrodziły się wtedy, lecz dużo dawniej...

Nonsens. Ma do wykonania zadanie, misję decydującą o życiu mnóstwa ludzi.

- Tak, hrabio - zawołała w odpowiedzi. - Cieszyłam się świeżym powietrzem. Jest bardzo kojące. Przyłączy się pan do mnie?

Hrabia wszedł po stopniach i skierował się zwirowym podjazdem ku marmurowej ławce. Zmierzch rozsiewał delikatne liliowe cienie po dziedzińcu, zmieniając kolory w bardziej przyćmione i subtelniejsze, a kształty w rozmyte i niematerialne. Strużki mgły rozproszyły się wokół postaci hrabiego.

- Nigdy nie przywyknę do tego, że wasz kraj jest tak zimny i wilgotny - oznajmił St. Lyon, stając przed nią. - Rano i o zmroku, w miastach i na wsi, ta uporczywa wilgoć. Mgły, opary i deszcze. Francja, zwłaszcza jej południowa część, gdzie kiedyś panował mój ród, jest krainą słońca i blasku.

- Musi pan za nią tęsknić.

- Tak - odparł St. Lyon, zajmując miejsce obok niej. - Ale przyjdzie dzień, że koło władzy się znów obróci i ci, których zachowałem jako przyjaciół, ucieszą się z mego powrotu. A tymczasem znalazłem w tym kraju piękność, która wynagrodzi mi jego klimat.

Zwrócił na nią oczy, nie pozwalając jej wątpić, co miał na myśli. Charlotte uśmiechnęła się głupawo, tak jak wypadało. Twarz hrabiego przybrała drażniący wyraz. Pochylił się ku niej.

- Czy... czuje się pani lepiej? - spytał natarczywie.

- Trochę. - Dotknęła ostrożnie żołądka.

Nachmurzył się i wyprostował.

- Ta chłodna mgła jest wielce kojąca.

- Cieszę się. - Nie brzmiało to radośnie. Wydawał się raczej nadąsany. - Zauważyłem, że pan Rousse przestał się pani narzucać.

- Dzięki Bogu. - Gdzie jest Dand? Chociaż widywała go przy posiłkach, zawsze zasiadał daleko od niej. a gdy przestała brać udział w towarzyskich rozrywkach, nie widywała go w ogóle.

- Wciąż panią rozdrażnia - powiedział St. Lyon z satysfakcją.

Kiwnęła głową z rozkapryszoną miną.

- Nad wyraz.

Wahał się przez kilka sekund, a potem, przesadnie obojętnym tonem, powiedział:

- Powiedz mi, moja droga, co właściwie wiesz na jego temat?

Zmarszczyła brwi.

- Wiem, że nie ma grosza przy duszy. Jest Francuzem. A pan mi mówi, że jego rodzina ma jakieś wysokie koneksje z Burbonami, które to pretensje, szczerze mówiąc, wydają mi się podejrzane. Dlaczego pan pyta?

St. Lyon przyglądał jej się w skupieniu, gdy odpowiadała. O co w tym wszystkim chodzi?

- Och, bez powodu. I proszę mi jeszcze raz powiedzieć, jak to się stało, że go pani poznała?

- Ach, to było wiele lat temu, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Jego krewini, czy przynajmniej towarzystwo, z którym podróżował, przebywali w Bristolu w tym samym czasie co moja rodzina. Wynajęliśmy dom na lato, a oni, przypuszczam, że to musiała być jego świta, zajmowali dom w sąsiedztwie. Był dość egzotyczny, a mnie było łatwo zafascynować.

- I spotkała go pani znowu w Londynie?

- On mnie odnalazł - powiedziała z godnością nadąsana. - Niestety, przez chwilę patrzyłam na niego oczyma łatwowiernego i przesadnie romantycznego dziecka, jakim byłam kiedyś.

- Czy kiedykolwiek wspomniał, po co się zjawił w Londynie?

Każdy nerw Charlotte stanął na baczność. To było coś więcej niż zazdrosne wypytywanie przeszłego kochanka o rywala. Zadarła brodę.

- Powiedział, że z mojego powodu.

- Nie podał innej przyczyny?

Charlotte zwróciła na St. Lyona lodowate spojrzenie, grając rolę zarzucającej piękności.

- Sugeruje pan, że potrzebowałby innej?

Hrabia, który nigdy nie oceniał zbyt wysoko kobiecej inteligencji, wziął za dobrą monetę jej dziecinny wybuch obrażonej dumy. Nie. to nie całkiem tak, zdała sobie sprawę Charlotte - przyjął go z ulgą. Jakie podejrzenia żywi względem Danda? Bo wyraźnie coś podejrzewa. Ale dlaczego? Czy zobaczył Danda myszkującego po zamku? Czy może ktoś inny go zobaczył?

Roześmiał się pobłaźliwie.

- Nie. nie, moja droga - zapewnił, ujmując jej dłoń i poklepując ją uspokajająco. - Jesteś więcej niż wystarczającą przyczyną, żeby każdy mężczyzna podjął niezliczone mozolne i niebezpieczne podróże. Byłem po prostu ciekawy, i tyle. A teraz niech mi będzie wolno powiedzieć pani coś, co ją uraduje.

Charlotte skrzywiła się. po czym pozwoliła się prześlagać.

- Co?
- Mój człowiek, Rawsett, przyjechał dziś po południu. Urządzimy moją małą aukcję pojutrze, a potem wszyscy wyjadą. Z wyjątkiem, oczywiście, nas dwojga. - Jego spojrzenie przemknęło leniwie po jej twarzy i dekolcie. Na pół oczekiwała, że hrabia zwilży wargi językiem.

- Świetnie! - stwierdziła i dodała: - Kiedy poznam pana Rawsetta?

St. Lyon się roześmiał.

- Ty mała figlarko. Tak naprawdę chcesz zobaczyć nie jego, tylko to, co przywiózł, królewskie klejnoty. - Pokręcił głową. - Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Nie, nie proś. Nikt nie powinien nawet podejrzewać, że o nich wiesz! To wszystko jest w najwyższym stopniu tajne. Niektórzy z tych mężczyzn straciliby życie, gdyby wyszło na jaw, po co tu są. Rojaliści są znani z fanatyzmu. Na każdego, kto choćby spróbuje kupić królewskie klejnoty, będą patrzeć jak na zdrajcę.

Charlotte oddała mu sprawiedliwość. Przyłożył się do wymyślenia uzasadnienia, dlaczego nie będzie mogła się pobawić nieistniejącymi klejnotami.

- Oni nie muszą wiedzieć - podpowiedziała filuternie.

- Nie, nie śmiem zaryzykować - zachichotał. - Byłem wielce niedyskretny i wiem, że nie chciałaby pani w żadnym razie ściągnąć na mnie kłopotów. Poza tym mam inne klejnoty do dyspozycji, które równie dobrze ozdobią tę piękną szyjkę.



Obiad tego wieczoru przebiegał w napięciu. Współpracownik St. Lyona lord Rawsett przesiał wyrazy żalu z usprawiedliwieniem, że podróż go wyczerpała. Goście, najwidoczniej powiadomieni, że aukcja odbędzie się wkrótce, mierzyli się oczyma podejrzliwie. Kiedy raczyli się do siebie odzywać, czynili to ze źle ukrywaną niecierpliwością. Widać było, że nie robią nic innego jak wyczekują, drepcząc w miejscu.

Wyjątkiem były tylko kobiety, które, nie wiedząc, jak ważne w rzeczywistości jest to spotkanie, robiły się coraz bardziej osowiałe, gdy przyjęcie, które zaczęło się niezbyt wesoło, z każdą chwilą stawało się bardziej nieudane. W istocie tak ich znudzili małomówni i ponurzy towarzysze przy stole, że z rozpaczy nareszcie zaczęły zwracać się do siebie wzajemnie w rozmowie, która, jak Charlotte z rozbawieniem się przekonała, nie różniła się od każdej innej konwersacji pomiędzy paniami, które słabo się znają. Koncen-

trowały się na nowinkach w modzie i na tym, czy taka lub inna modystka jest warta swych cen. Jednakże Charlotte - która wywodziła się z bardziej dystyngowanych i zamożniejszych kręgów, a przez to weszła do ich profesji nie z konieczności, lecz z innych niepojętych powodów - traktowały jak osobę przesadną i dziwaczną. Nie zaprosiły jej, by przyłączyła się do ich rozmów. Ani też ona nie miała ochoty zostać do nich dopuszczona.

Miała własne zmartwienia.

Po ich wcześniejszym spotkaniu wieczorem St. Lyon najwyraźniej uznał, że małe interludium na dziedzińcu powinno być wprowadzeniem do dalszych intymności - bez względu na porę miesiąca. Złożyło się tak, że nosiła najbardziej wyszukaną z sukien pożyczonych od Ginny. Materiał w delikatnym odcieniu kości słoniowej oblepiał jej ciało, jakby było oblane warstwą śmietany z miodem, przybierając kształt wzniesień jej piersi i przywierając do wcięcia talii i smukłych ud, stanowiąc ucztę dla oka każdego dżentelmena. St. Lyon przyglądał jej się z upodobaniem.

Usadził ją po swojej prawej stronie i przez większą część obiadu ignorował dżentelmena po lewej, szepcząc jej do ucha, wodząc po niej wzrokiem z żarliwym zainteresowaniem, muskając koniuszkami palców jej rękę lub nogi dużo częściej, niż można by to uznać za przypadkowe. Nawet nalegał, żeby karmić ją kęsami z własnego talerza, wychwalając talenty swego kucharza, gdy cały czas śledził spojrzeniem jej usta otwierające się na przyjęcie kawałka ryby lub baraniny w śmietanie, którymi ją częstował.

Grała swojarolę. Burzyła się wewnętrznie i przygryzała wargę, lecz śmiała się z jego żarcików i zносиła jego dotknięcia. Ale mimo że spojrzenia St. Lyona rozbierały ją do naga, nie jego wzrok czuła na sobie, lecz Danda. Siedział dużo dalej przy stole, po przeciwnej stronie. Nie jadł. Odsunął się z krzesłem od stołu i siedział niedbale, jedną rękę przerzuciwszy przez oparcie, a w drugiej leniwie obracając nóżkę kieliszka.

Nie chciał też rozmawiać, grając z zaangażowaniem rolę odrzuconego ponurego kochanka. Jakiekolwiek słowa kierowali do niego jego sąsiedzi przy stole, ignorował je. Jego uwaga, tak jak i mroczne spojrzenie, skupiały się na St. Lyonie. I na niej.

Musiała znaleźć sposób, by zawiadomić Danda o pytaniach, które St. Lyon zadawał na jego temat. Musi go ostrzec. Ale wobec uwagi hrabiego tak mocno utkwionej w jednym obiekcie nie mogła wymyślić, jak przekazać choćby słowo. Może kiedy panowie odejdą na swego poobiedniego drinka, uda jej się posłać Lizette do pokoju Danda. Pokojówka okazała się bardzo przydatna. Nie zadawała niewygodnych pytań, tylko bez wahania robiła, o co ją poproszono.

Plan Charlotte niestety szybko upadł. Gdy tylko obiad się skończył, St. Lyon wstał i wznosił swój kieliszek.

- Panowie, już niewiele czasu będziemy tu razem. Co powiecie, żebyśmy obyli się bez wieczornego porto? - Zerknął figlarnie ku Charlotte. - Co do mnie, mam dużo przyjemniejsze zajęcie na ten wieczór.

Postarała się odwzajemnić jego lepki uśmiech. Grzmotnięcie krzesła Danda o ścianę kazało jej się gwałtownie obejrzeć, w samą porę, by dojrzeć jego barczystą postać zamasyżującą wychodzącą z pokoju.

- Ach, widzę że monsieur Rousse właśnie się wycofuje - powiedział delikatnie St. Lyon. - Doskonali pomysł.



St. Lyon będzie tu lada chwila. Nie ma czasu na dziewczęce wapory. To może być jedyna szansa, żeby ostrzec Danda o podejrzeniach hrabiego.

- Lizette, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Coś bardzo ważnego - powiedziała, biorąc się do skreślenia liściku. - Gdy tylko skończę, chcę, żebyś to zaniosiła...

Przerwało jej głośnie stukanie.

- Charlotte. To ja, St. Lyon. Proszę wpuścić mnie. - Jego nieznośny sprzeciwu ton nie tolerował zwłoki.

Przekleństwo! Jej spojrzenie spotkało się z niespokojnym spojrzeniem Lizette. Nie było czasu na dokończenie listu. Skinęła głową na pokojówkę. Wytarłszy wilgotne dłonie o spódnice, czekała, aż Lizette odrygluje drzwi. St. Lyon wszedł, ledwie spojrzawszy na pokojówkę.

- Możesz teraz odejść! - rozkazał Lizette. - I nie musisz wracać dziś wieczór.

Dygnawszy pospiesznie i rzuciwszy Charlotte jeszcze jedno zmartwione spojrzenie, Lizette uciekła, zamykając za sobą drzwi.

Charlotte podzielała jej uczucia. Odwróciła się tyłem do hrabiego i zaczęła od niechcienia wymować z uszu kolczyki z perłami.

- Nie jestem pewna, czy podoba mi się pański ton, hrabio - powiedziała oschle. - Ani to, że pojawił się pan tutaj bez zaproszenia. Nie zaszło jeszcze między nami nic, co usprawiedliwiłoby takie zachowanie. Nic, co dawałoby panu swobodny wstęp do mego pokoju albo pozwalało czynić założenia co do tego, jaki wybiorę sposób spędzania czasu.

Kątem oka obserwowała, jak idzie ku niej. Zatrzymał się wprost przed nią. W lustrze zobaczyła, jak wyjął z kieszeni ciężki naszyjnik - szmaragd zawieszony na złotym łańcuchu.

- Wiesz, zawsze mnie pociągała w tobie właśnie ta arogancja połączona z brakiem skromności. Taka dumna i taka śmiała. Ale teraz nie pora traktować mnie tak wyniośle.

- Mogłabym powiedzieć to samo. - Postanowiła nie dać mu tej satysfakcji, że się odwróci. Zamiast tego przyglądała się, jak owijał jej naszyjnik wokół szyi. Przekrzywiła głowę, chłodno badając błysk szmaragdów na tle jej białej skóry, jak gdyby zupełnie bezstronnie.

Jego dłoń opadła na jej bark, palce objęły wisiorek, wbijając knykcie w jej miękki biust. Dreszcz obrzydzenia wstrząsnął jej ciałem. Hrabia nachylił się i pocałował ją w szyję. Usta miał gorące i wilgotne. Zamknęła oczy, starając się wytrzymać tę torturę.

- Precz od niej.

Serce zatrzepotało jej na dźwięk głosu Danda. Okręciła się w miejscu. Stał w progu, szeroko rozstawiwszy nogi, z dłońmi zwiniętymi w pięści po bokach. Jej spojrzenie pobiegło do St. Lyona.

Z dziwnym uśmiechem hrabia powoli zwrócił się ku swemu przeciwnikowi.

- Ach, monsieur Rousse, w samą porę jak zwykle.

Dand zignorował go. Nie odrywał oczu od Charlotte.

- Czy naprawdę mogłaś pomyśleć, że pozwolę, by inny mężczyzna zajął moje miejsce? - spytał tonem rozbawionym i nieprzyjaznym. - Powiedziałem ci, że jesteś moja. Z całą świadomością.

Zdumiewające, straszne, tak niestosowne w tym miejscu i czasie, a jednak jej serce ocknęło się pełne radości i rosło w niej ze szczęścia.

- Zakochany głupiec - powiedział St. Lyon i uniośł ręce, klaszcząc lekko. - I, na Boga, nie ma większego głupca niż taki. Gaspard! Armand! Jacques!

Drzwi sypialni otworzyły się szeroko. Trzech drabów wpadło do pokoju i chwyciło Danda za ręce. Obrócił się błyskawicznie i kopnął piętą, jednocześnie pakując twardy łokieć w pierś jednego z napastników, tak że ten zgiał się wpół. Machnął głową w tył i uderzył w twarz mężczyznę stojącego za nim. Krew trysnęła z nosa Francuza.

Mężczyzna zaklął, lecz jakoś zdołał chwycić Danda za ręce. spleść mu je na plecach i wykręcić boleśnie, gdy trzeci drab przesunął się przed Danda i okładając go pięściami, serią dzikich ciosów powalił na kolana.

Trwało to kilka sekund. Mężczyzna, którego Dand przewrócił, podniósł się chwiejnie i z przekleństwem na ustach wycelował pięścią mocno w twarz Danda. Stracił przytomność i osunął się w ramiona napastników.

- Hrabio! - Charlotte zachwiała się. - Co to wszystko znaczy?

St. Lyon, z wyrazem obrzydliwej satysfakcji na twarzy, popatrzył na nią.

- Twój kochanek, moja droga, jest złodziejem. A raczej niedoszłym złodziejem.

- Nie rozumiem. - Nie mogła oderwać wzroku od Danda zwisającego bezwładnie w brutalnym chwycie sługusów St. Lyona. Oddychał ciężko, poruszając głową, jak gdyby usiłował rozjaśnić myśli.

- Rawsett go rozpoznał. Mówiłem, że jest człowiekiem dobrze poinformowanym. To nie jest Andre Rousse. To złodziej, nasłany tutaj, by wykraść mój łup. Niezły połów, powiedziałbym. Powinien być źródłem ciekawych informacji. Cennych informacji.

- Co ma pan zamiar z nim zrobić? - spytała Charlotte.

St. Lyon się uśmiechnął.

- Nic, co powinno panią martwić, moja droga. I za to winna mi pani dogonna wdzięczność. Ale dziękuję za pomoc w ujęciu go.

Dand uniósł głowę. Strużka krwi pociekła mu z rozciętej wargi.

- Jeśli myślisz, że jestem złodziejem, St. Lyon, dlaczego po prostu nie ująłeś mnie przy obiedzie?

- Moi goście i bez tego są drażliwi i niespokojni. A ty, jak mi mój kompan powiedział, jesteś bardzo niebezpieczny. Byłbym zrozpaczony, gdybyś zrobił krzywdę jednemu z moich gołąbków lub rozproszył resztę stada w jakiejś efektownej burdzie. Więc po prostu wystawiłem cię, *mon ami*. Bez względu na to, na czym polega twoja misja tutaj, trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, jak panna Nash przeszkadzała ci się skupić. Mój Boże, człowieku. - St. Lyon pokręcił głową. - Czy ty nie masz dumy? Doprawdy rumienie się widząc, jak na nią patrzysz. Tylko człowiek zakochany patrzy na kobietę w taki sposób. Więc postanowiłem wykorzystać twą słabość. Trochę poflirtowałem z panną Nash podczas obiadu. Potem przyszedłem do jej pokoju, każąc mym służącym iść trop w trop za mną, ale nie za blisko. Zareagowałaś dokładnie tak, jak się spodziewałem.

Dobry Boże, to przez nią ujęto Danda! Dlatego, że nie chciał, aby została kochanką St. Lyona, choć wiele tygodni temu postanowili, że to jest konieczne. To przez nią groziło mu teraz niebezpieczeństwo!

Głupia! - potępiła się zaciekle. Samolubna, chora z miłości idiotka! Naprawdę ogarnęła ją radość, kiedy się zjawił. Jak gdyby był kimś w rodzaju

rycerza, a ona księżniczką. Chciała, by ją uratował, by zażądał jej dla siebie. A teraz on może umrzeć, i to wszystko przez nią.

St. Lyon zwrócił się do niej.

- Jeszcze raz, dziękuję, moja droga. Niestety, jak mi się zdaje, będę zajęty przez resztę wieczoru. Ale, mam nadzieję, że nie uważasz mnie za brutala, który naprawdę użyłby wobec ciebie przemocy? To była tylko gra przed twoim przyjacielem.

Musiała coś zrobić. Ale co? Dandowi nie przyniesie korzyści, jeśli St. Lyon zacznie podejrzewać, że ona go kocha lub choćby tylko zależy jej na nim.

Podeszła do miejsca, gdzie stał Dand na chwiejnych nogach, z rękami wykręconymi w bolesny węzeł na plecach, i zatrzymała się wprost przed nim.

- Przyjaciela? - warknęła. - On nie jest moim przyjacielem. - Obróciła się, jakby nagle coś sobie uświadomiła. - Ach, to dlatego zadawał mi pan pytania na jego temat po południu!

St. Lyon przyglądał jej się w skupieniu.

- Próbował pan rozstrzygnąć, czy on i ja jesteśmy współnikami! Gdyby pan źle zrozumiał me odpowiedzi albo byłyby nie po pana myśli, mógłby pan...! Z powodu mego przelotnego związku z nim mogłabym być...! Och! - Zamachnęła się dłonią, wymierzając głośny policzek w twarz Danda. Stała przed nim, oddychając ciężko, nienawidząc siebie.

Pokręcił głową, jakby chciał ją oczyścić, i wzniosł oczy, zlizując krew, która pociekła na nowo z rozciętej wargi. Uśmiechnął się.

- Gratulacje, Lottie. Z pewnością chciałaś to zrobić od dość dawna.

- Zabierzcie go! - powiedziała i zakręciła się w miejscu, nim ktokolwiek zdążył zobaczyć łzy piekące ją w oczy.

Pstryknięciem palców St. Lyon kazał lokajom wyprowadzić Danda, po czym ukłonił się i ruszył za nimi.

25

*Zamek hrabiego St. Lyona, Szkocja
15 sierpnia 1806*

Gdy pierwsze liliowe plamy świtu zabarwiły horyzont, Charlotte chodziła po swym pokoju od ściany do ściany. Dokąd zabrali Danda? Zdawało jej

się, że wie. Gdzie lepiej wydobywać informację niż w tym zimnym pokoju na wieży, gdzie przesłuchiowano tylu innych więźniów przez dziesiątki lat?

Musi znaleźć sposób, żeby uwolnić Danda, znaleźć list i uciec. Już każda z tych rzeczy z osobna wydawała się nieprawdopodobna, a zrealizowanie wszystkich trzech - niemożliwe. Musi się skupić. Jej jedyną przewagą jest to, że St. Lyon nie jest pewien, czy ona jest nieświadomą uczestniczką intrygi Danda, czy współniczką. Fakty sugerowały, że wierzył w to ostatnie.

Próbowała wyjść z pokoju po tym, jak St. Lyon opuścił ją poprzedniego wieczoru, i natychmiast lokaj ruszał za nią krok w krok. Wydusiła z siebie jakieś marne tłumaczenie, że chce coś do jedzenia i znalazła drogę do kuchni, gdzie mała grupka służby, otoczona stertami obierek, tusz zwierzęcych, warzyw i owoców, szykująca posiłek na następny dzień, gapiła się na nią z ustami otwartymi ze zdziwienia.

Potem, jakieś pół godziny później, jeszcze raz ośmieliła się wyjść, tylko po to, by madame Paule ruszyła za nią do biblioteki, gdzie wybrała sobie książkę do czytania. Jeśli nie przestaną jej śledzić, szanse, że znajdzie Danda lub ten przeklęty list, są nikłe.

Zacisnęła dłonie z rozpaczy, gdy niepewne skrobanie w drzwi kazało jej się obrócić.

- Wejść!

Lizette, wśliznęła się do pokoju, biegając oczyma od ściany do ściany. Charlotte zgarbiła ramiona. Zapomniała o pokojówce. Musi wydostać stąd Lizette bez uszczerbku, jeszcze to na niej ciąży. Dziewczyna zasługuje na coś lepszego niż być wciągnięta w machinacje, w które Charlotte ją wplątała. Faktycznie, była bardzo oddana.

Naszędł ją pewien pomysł. Może Lizette będzie mogła przysłużyć się zarówno własnemu dobru, jak i Charlotte.

- Lizette, jestem w kłopotcie - powiedziała bez wstępu.

- Tak, panno Nash. Widziałam, jak wyglądał monsieur Rousse, kiedy go stąd wywelekli wieczorem. Hrabia przyłapał was razem, prawda?

- Tak - powiedziała Charlotte w zamyśleniu, niepewna, ile powinna powiedzieć Lizette i postanawiając, że im mniej pokojówka będzie wiedziała, tym mniejsza spadnie na nią odpowiedzialność. - Popełniłam olbrzymi błąd. Nie mogę ci wiele zdradzić, ale jestem śledzona, a muszę odnaleźć monsieur Rousse'a, zanim spotka go coś jeszcze gorszego.

- Pani go kocha, czy tak? - spytała Lizette i nagle się zarumieniła, uświadamiając sobie własne zuchwalstwo. - Och, przepraszam panią. Tak mi się

powiedziało, bo nigdy mi to nie pasowało, ten pani przyjazd tutaj, kiedy cały świat widział, że jest pani do szaleństwa zakochana w panu Roussie.

- Nic nie szkodzi, Lizette. Masz zupełną rację. Rzecz w tym, że potrzebuję twjej pomocy. Muszę wywołać rodzaj małego zamieszania, które odciągnie lokaja z korytarza, tak żebym się mogła wymknąć. Dasz radę to urządzić, jak myślę? A potem wrócić do mego pokoju, jakbyś była tam cały czas?

- Tak, proszę pani. - Lizette gorliwie kiwnęła głową. - Znam się na tym. Niech mi pani da pół godziny, tak żeby to nie wyglądało na zbyt przychylny zbieg okoliczności. Będzie pani wiedziała, kiedy się wymknąć.

Charlotte kiwnęła głową, pełna uznania dla sprytu dziewczyny. Ta szybko się ukloniła i wysliznęła się z pokoju. Dało się słyszeć jej kokietyrny pogawędkę z pilnującym Charlotte lokajem, a potem kroki Lizette w korytarzu.

Charlotte pospiesznie przebrała się w świeżą suknię w zgaszonym śliwkowym kolorze, który powinien się wtapiać w cienie wczesnego poranka. Chodziła po pokoju, wciąż spoglądając na zegar nad kominkiem. Wiedziała, gdzie się zaczynają schody prowadzące do kryjówki z judaszem w wieży: za kominkiem w przedpokoju, ale nie wiedziała, w którym miejscu w wieży się kończą. Właśnie przemierzyła w myśli całą trasę, gdy usłyszała za drzwiami wrzask mrozący krew w żyłach.

- Ratunku! Szczur! Włazł mi między spódnice! Ratunku! - Lekkie kroki zatupotały pod drzwiami, potem nastąpiły dalsze wołania o pomoc rozlegające się echem w korytarzu. Chwilę później usłyszała, jak lokaj woła na Lizette, a potem odgłos jego kroków, gdy ruszył za nią w pogoń.

Natychmiast Charlotte dała nura w pusty korytarz i podkasawszy spódnice ruszyła biegiem do małych, niepozornych drzwi na klatkę schodową dla służby. Popędziła w dół po schodach i zatrzymała się na dole, by sprawdzić, czy korytarz na zewnątrz jest pusty. Na szczęście był. Służba była zajęta rozpalamieniem w kominkach i nakrywaniem do śniadania.

Cicho przeszła do sieni w wieży i zgarbiła się pod gzymsiem pustego kominka. Jest. Szpara w tylnej ścianie odsłaniała zawiasy ukrytych drzwi. Pchnęła je, a wtedy ze zgrzytem, który zabrzmiał w jej uszach jak grzmot, ciężkie odrzwia odsunęły się do wnętrza. Nie zadała sobie trudu zamknięcia ich, tylko wśliznęła się do środka.

Natychmiast zdała sobie sprawę, jakie wyzwanie sobie rzuciła. Wewnątrz było ciemno. Zapach pleśni i zastarzałego dymu wisiał w powietrzu jak miazmat, a zimny prąd wionął z góry, uderzając ją w policzek jak pocałunek śmierci.

Wzdrygnęła się i ruszyła naprzód, wymacując drogę stopą. Stopień. Ostrożnie zmierzyła stopajego wymiary. Wysoki na dwadzieścia pięć centymetrów,

głęboki na około piętnaście. Wspiwała się na kolejne stopnie. Pięć, dziesięć, tuzin. Przełknęła ślinę, oglądając się w dół, gdzie przyćmione światło z przedpokoju wypełniało dół wąskiego szybu. Dalej schody zakreślały i nawet to mdłe światło nie było widoczne.

Ściany napierały z obu stron, nie szersze niż jej barki, zewnętrzna nachylona ku niej, jak gdyby mur miał się lada chwila osunąć i uwięzić ją w ciemności. Schody zdawały się nigdy nie skończyć. Nie zważała na narastający w niej strach. Nie może zawieść. Nie zawróci...

Wysoko nad sobą usłyszała głos odbijający się echem i bezcielesny. Głos Danda. Macała ścianę, bojąc się, by się nie pośliznąć, nakazując sobie posuwać się powoli, być cicho, choć każde włókno w jej ciele wzywało ją do pośpiechu.

Z góry padł promień światła, oświetlając kwadratowy wycinek muru. Judasz. Ostrożnie skradając się dotarła do niego i wstrzymała oddech, stwierdziwszy, że otwór jest bardzo duży, ma przynajmniej trzydzieści centymetrów szerokości. Ale jak to możliwe? Zobaczyłaby go w czasie pierwszej wyprawy do wieży z St. Lyonem.

Oparta plecami o ścianę, wyjrzała. Przez sekundę nie mogła pojąć, co widzi, i nagle, gdy przysunęła się bliżej, zdała sobie sprawę, dlaczego nie dostrzegła otworu poprzednio. Wcale nie znajdował się na poziomie oczu osoby stojącej w izbie, tylko wysoko, osłonięty kamiennym gzymsiem biegnącym nad jednym z okien wieży.

Z większą pewnością siebie przysunęła się bliżej i wyjrzała. St. Lyon siedział na krześle przed Dandem, z nogą założoną na nogę, w zrezygnowanej pozie. Charlotte utkwiała wzrok w Dandzie.

Odarli go z ubrania do pasa i przykuli łańcuchami za nadgarstki do żelaznych pierścieni w ścianie, z szeroko rozłożonymi rękami. Kajdany otarły mu skórę do krwi. Cienkie czerwone strużki spływały mu po ramionach. Granatowe sińce znaczyły mu żebra i twarz z jednej strony. Ale najstraszniejsze ze wszystkiego było piętno róży widniejące na lewej piersi, pamiątka po pobycie w takim lub bardzo podobnym miejscu.



- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? To znaczy, z wyjątkiem wypuszczenia cię, oczywiście - zapytał St. Lyon.

Dand nie odpowiedział. Zamiast tego spróbował poruszyć ramionami. Ból wżarł się głęboko po prawie dwunastu godzinach, wbijając szpile w plecy

i szyję. I czuł straszliwe pragnienie. Każde wypowiedane słowo jątrzyło skaleczenie na wardze.

St. Lyon westchnął.

- Wiem, kim jesteś, Andrew Rossie. Należysz do tych „szlachetnych” sierot. - Przeciagle podkreślił to słowo z lekką drwiną. - Tych chłopców, którzy wpakowali się w awanturę w Malmaison. Niestety, wszystkich was ujęto, zanim zdążyliście przydać się na cokolwiek rojalistom. Czy twemu Kościołowi. Czy komukolwiek lub czemukolwiek tam służyliście.

Dand spuścił wzrok na piętno róży.

- Jak zgadłeś? - Miał zaschnięte gardło, co sprawiało, że jego głos stał się niski i schrypnięty.

St. Lyon przekrzywił głowę, oddając mu sprawiedliwość:

- Tak. Jesteś dość niezwykły.

Dand zliżał krew z kącika ust, usiłując stać prosto, gdyż ręce nie utrzymywały już jego ciężaru. St. Lyon bynajmniej nie bil go ani nie torturował. Ale jego sługusi, prowadząc tu więźnia, obeszl się z nim dość obcesowo, zwłaszcza ten ze złamanym nosem. Dlatego, jeszcze zanim zakuli go w metalowe kajdany, nie potrafił już utrzymać się na nogach.

- Wiem, po co tu jesteś.

- Czysty geniusz - zauważył Dand.

- I wiem także o twych kompanach.

To już zasługiwało na uwagę Danda. Ostro spojrział w górę. St. Lyon zauważył ten mimowolny ruch. Uśmiechnął się.

- O, tak. Wiem wszystko o twoim małym spisku. Markiz Cottrell i pułkownik MacNeill są w drodze i jak sądzę, przybędą tu całkiem szybko. Jak miałeś zamiar wpuścić ich do zamku? Myślałeś może, że musisz tylko zostawić otwarte tylne drzwi? - Zachichotał.

O czym on mówi. do wszystkich diabłów? Dand czekał, mając nadzieję, że drań powie coś sensownego.

Uśmiech hrabiego trochę zbladł.

- Chociaż naprawdę, nawet dla niesławnych Łowców Róż, taka butna myśl, że wy trzej poradzicie sobie ze mną i moją służbą, jest pewną przesadą.

- Nie wiem. o czym mówisz - wycharczał Dand - ale zostałeś źle poinformowany.

- Wątpię. Mój informator jeszcze nigdy się nie pomylił. Nawet co do tego. jak zareagujesz, gdy zjawię się w sypialni panny Nash.

Dzięki Bogu, przynajmniej St. Lyon nie podejrzewa Charlotte. Pochłoneńto to do ostatka nadwerężone siły Danda, ale nie okazał, jakiej doznał ulgi.

- Naprawdę byłem rozczarowany - powiedział hrabia. - Miałem cię za kogoś, kto posunie się do wszystkiego, by osiągnąć cel.
- Przykro mi.
- Byłem rozczarowany. Zwłaszcza że dama tak wyraźnie nie żywi wrażliwości.

- Nie mieszaj jej do tego. - Ból zniknął. Plany ucieczki i wykradzenia listu się rozwiały. Została tylko instynktowna potrzeba chronienia Charlotte. Potrzeba tak głęboko zakorzeniona, że nie był zdolny zareagować inaczej.

- Bardzo bym chciał... - powiedział znacząco St. Lyon.

Dand podniósł głowę i spojrzał hrabiemu w oczy.

- Jeśli zrobisz krzywdę, jakimkolwiek sposobem, najmniejszą choćby, zabiję cię.

Hrabia cmoknął językiem, jeszcze raz okazując się zawiedziony i skonsternowany.

- Coś takiego? Znowu ta arogancja. To takie przesadne, te wszystkie złowroźne groźby i takie tam bzdury.

- Jeśli dozna jakiegokolwiek krzywdy - powtórzył Dand cicho - umrzesz.

Tym razem pewność siebie zawiodła hrabiego. Skrzywił się, zmarszczył brwi i wstał.

- Jestem dżentelmenem. Nie mam zamiaru jej skrzywdzić. W gruncie rzeczy myślałem o czym innym.

- Lepiej, żeby tak było - wybełkotał Dand.

- Tak, tak. Bo inaczej mnie zabijesz. - Hrabia zachichotał. - Faktem jest, przyjacielu, że jesteś przykuty do ściany. Jesteś pilnowany przez mych najlepszych ludzi, a gdy tak sobie rozmawiamy, twoi kompani zmierzają prosto w pułapkę. Jutro, kiedy sfinalizuję wreszcie sprzedaż tego nadzwyczaj niedyskretnego listu od pruskiego ambasadora do papieża...

- Myślałem, że go nie czytałeś - przerwał mu Dand.

- Kłamałem - powiedział spokojnie hrabia, po czym wrócił do poprzedniego wątku. - Jak mówiłem, po zakończeniu licytacji listu, za pokazną sumkę zaproponuję przedstawicielowi Napoleona ciebie i twoich kolesiów. Jestem pewien, że będzie chciał się dowiedzieć, z kim pracowałeś w Paryżu.

- Ram i Kit nie są w to zamieszani.

- Och, proszę. - Hrabia wstał i pstryknął palcami na jednego z ludzi stróżujących przy drzwiach.

- Przykro mi, że nie mogę cię stąd wypuścić. Niestety, masz reputację... jakby to ująć? Człowieka niebezpiecznego. Jednakże mogę ugasić twoje

pragnienie. - Zwrócił się do strażnika. - Przynies zaraz szklanę wody dla monsieur Rousse'a.

- Jesteś aniołem dobroci.

- Jestem człowiekiem cywilizowanym, Ross, a nie barbarzyńcą. To ostatnie zostawiam obywatelom.

- Ha! - zaśmiał się Dand. Głos zagrzecgotał w jego wyschniętym gardle.

- Czyny tych obywateli są niczym w porównaniu z wiekami okrucieństw popełnianych przez arystokrację.

Hrabia wzruszył ramionami.

- Jest w tym coś z prawdy. Ale przynajmniej ja nie pozwalam sobie na tortury dla czystej zabawy - jego spojrzenie padło znacząco na piętno Danda - jak to czynią niektórzy rewolucjoniści.

Wydawał się zadowolony tą ostatnią uwagą i niecierpliwym gestem kazał strażnikowi wyjść z izby, a w ostatniej chwili obejrzał się i złożył dworny ukłon w stronę Danda.

- Wciąż nie wiem... Coś we mnie każe mi wierzyć, że naprawdę jesteś Andre Rousse'em. Dlaczego, jak sądzisz?

Dand prychnął.

- Nie mam bladego pojęcia.

- Hm. - Hrabia mierzył go wzrokiem jeszcze przez kilka sekund, a potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi wieży.

Dand natychmiast wyprostował się i okręcił w miejscu, starając się zgiąć rękę pod takim kątem, by chwycić łańcuch. Ciągnął, aż rozbijał łańcuch w tył i w przód, by obluzować żelazny pierścień, do którego go przymocowano. Wcześniej, kiedy strażnik wyszedł na obiad, wydało mu się, że wyczuwa lekki ruch w głębi skały.

- Dand. - Głos tak cichy, że przez sekundę myślał, iż mający, dobiegł go jakby znikąd. - Dand!

- Charlotte! Jak...?

Popatrzył w górę, przebiegając wzrokiem otynkowany kamień i dostrzegł słaby cień poruszający się nad północnym oknem. Musiała znaleźć jedną z ukrytych cel.

- Charlotte - powiedział ścisłym, natarczywym tonem. - Uważaj. Strażnik zaraz wróci.

- Wiem. - Chwila milczenia. - Co mogę zrobić?

Dzielna dziewczyna. Jedyłą oznaką jej niepokoju było lekkie drzenie głosu.

- Musisz jakoś wydostać się z zamku - powiedział cicho. - Musisz ostrzec Kita i Rama. Są w drodze...

- Słyszałam - przerwała mu. - Ale dlaczego? Oni nie są w to zamieszani.

- Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby przekonać St. Lyona, że jednak są.

- Ale... - Urwała, zdając sobie nagle sprawę, że teraz nie ma znaczenia, kto to zrobił i dlaczego.

- Dasz radę? - spytał.

- Jak tylko znajdę sposób, żeby otworzyć twoje kajdanki. Lizette może zająć strażnika...

- Nie! - Wyobraźnia podsunęła mu tuzin scen, w których Charlotte zostaje schwytana, związana i sprzedana razem z nim i innymi agentom Napoleona. - Nie. Nie ma czasu. Tamto jest dużo ważniejsze, a jeśli dobrze pójdzie, Kit i Ram zdadzą w porę, żeby mnie uratować. - Zdobył się na uśmiech. - Ależ będą tym zachwyceni.

- Muszę znaleźć sposób, żeby ci pomóc w ucieczce.

Wielki Boże, czy to szloch usłyszał? Szloch z jego powodu? Z ust jego nieugiętej małej agentki?

Prawie było warto dać się przykuć do tej przeklętej ściany, by to usłyszeć. Prawie, ale nie do końca, bo nic nie mógł poradzić na jej łzy, nie mógł jej objąć i pocieszyć. I obiecać wszystkich tych rzeczy, które chciał jej obiecać, od tak dawna. Dużo dawniej, niż był gotów się przyznać.

- Chyba nie będziesz się nade mną rozczulać, Lottie? - spytał łagodnie.

- Będę! - Żałosne leciutki pociągnięcie nosem. Wyobraził ją sobie, jak stara się uśmiechnąć, i obraz ten rozdarł mu serce. - Tak. Zadowolony? To ty mnie doprowadziłeś do takiego stanu, Dand. I dopilnuję, żebyś za to zapłacił.

- Obiecaj mi - szepnął żarliwie.

Usłyszał, jak zachłysnęła się. a potem jej głos, niski i drżący, zabrzmiał, jak gdyby przyrzekała mu własne życie, nie karę.

- Obiecuje. Przysięgam.

- Znajdź Kita i Rama. W nich nasza największa nadzieja, że doczekam, aż dotrzymasz swojej obietnicy. A teraz idź. Proszę.

Zawahała się, zbierając się. by coś powiedzieć, a on modlił się. by tego nie robiła. To by za bardzo przypominało pożegnanie, a on miał teraz po co żyć, miał powód lepszy niż kiedykolwiek przedtem. Ale Charlotte szepnęła tylko:

- Zobaczymy się wkrótce. Dand.

I już jej nie było.

*Zamek hrabiego St. Lyona, Szkocja
15 sierpnia 1806*

Charlotte zmierzała śmiało korytarzem do swego pokoju, nie zważając na to, że lokaj i strażnik w jednej osobie wzdrygnął się ze zdumienia na jej widok. Wątpiła, czy powie swemu panu, że nie było jej przez pół godziny, zwłaszcza że nic złego się w tym czasie nie stało. Zostałby ukarany, a w dodatku ośmieszony, że dał się okpić kobiecie.

Cała służba St. Lyona, może z wyjątkiem madame Paule, żywiła godną ubolewania pogardę dla kobiecej inteligencji. Za co Charlotte była głęboko wdzięczna losowi. Miała bowiem pewien pomysł.

Weszła do pokoju, gdzie zastała Lizette przykładającą do siebie jedną z najwytworniejszych sukien Ginny i obracającą się przed lustrem.

- To śliczna suknia - powiedziała Charlotte łagodnie.

Lizette podskoczyła wystraszona, czując się winna, i okręciła się.

- Och, proszę pani, przepraszam. Nie chciałam zrobić nic złego! Nigdy nie miałam czegoś tak pięknego i nie myślałam...

- Jest twoja.

Pokojówka przestała się wiercić i wlepiła w Charlotte oczy okrągłe ze zdumienia.

- Co?

- Daję ci ją za to, że mi pomogłaś.

- Dziękuję pani! Nigdy nikt nie był dla mnie taki szczodry! Ja... ja...

- Chcę, żebyś mi jeszcze raz pomogła, Lizette - powiedziała Charlotte. - Tylko że tym razem to będzie dużo bardziej niebezpieczne. Nie, czekaj - powiedziała, kiedy pokojówka gorliwie przysunęła się ku niej. - Posłuchaj uważnie, zanim odpowiesz, Lizette. - Nawet nie wiesz, co jest stawką w tej grze, a ja ci tego nie mogę powiedzieć. Muszę cię jednak ostrzec, że możesz w tym przedsięwzięciu stracić życie. To bardzo mało prawdopodobne. Nie prosiłabym o twą pomoc, gdybym uważała, że coś naprawdę może ci grozić, ale istnieje taka możliwość, a ty musisz znać ryzyko. - I jeszcze ostatnia rzecz - powiedziała, unosząc dłoń. - Nie musisz tego robić. Suknia jest twoja tak czy inaczej. Już jestem ci wdzięczna.

Pokojówka rzuciła jej zawiadacki uśmiech.

- Oczywiście, że zrobię, o co mnie pani poprosi. Wiedziałam, na co się narażam, zatrudniając się u damy o takiej reputacji, kiedy do pani przyszedłam. Tatusi mnie ostrzegał, ale nie chciałam o niczym słyszeć.

Widzi pani, tak sobie myślę, że im większe ryzyko, tym większe zyski. I proszę, już mam śliczną nową suknię! A poza tym, szczerze mówiąc, nie mam chęci spędzić reszty życia na służbie. Kilka nowych sukien mogłoby pomóc dziewczynie zaplanować jakąś przyszłość.

Dobry Boże, pomyślała Charlotte. A Dand ją uważał za twardą małą pragmatystkę.

- A teraz, co mam zrobić? - spytała Lizette, starannie składając swoją nową suknię.

Charlotte wytłumaczyła jej wszystko.



- Wciąż się pani niedobrze czuje, panno Nash? - spytał troskliwie hrabia St. Lyon.

Charlotte popatrzyła na niego chłodno.

- Tak.

- Mam nadzieję, że nie gniewa się już pani za zeszły wieczór? Spodziewałem się, że pani zrozumie, że moje niestosowne zachowanie było tylko środkiem, dzięki któremu ująłem Rossa, nie zakłócając spokoju moich gości. W jak największej dyskrekcji.

- A co z zakłócaniem mojego spokoju? - spytała, wiedząc, że płonie rumieńcem. Wiedziała to dlatego, że nałożyła róż, zanim poszukała hrabiego po obiedzie. - Mógł pan mi powiedzieć o swym planie. Czy to znaczy, że mi też pan nie ufa? Co za głupie pytanie. Oczywiście, że nie. Dlaczego w innym razie tajemnica, madame Paule, by mnie śledziła, a lokaje deptali mi po piętach?

- To dla pani bezpieczeństwa, moja droga.

- A któż miałby mi grozić w tym zamku? - spytała, otulając się szalem. Stali w altance wychodzącej na dziedziniec. Latarnie zawieszane na gałęziach drzew kołysały się jak czarodziejskie kule w podnoszącej się mgiełce.

- Ross został ujęty - powiedziała. - Czy w pańskiej siedzibie mieszkają inni złoczyńcy. Wśród tych samych gości, których delikatne uczucia chce pan za wszelką cenę chronić?

Popatrzył na nią zniecierpliwiony i zaskoczony jednocześnie. Jedno i drugie spowodowane było jej niespodziewaną bystrością.

- Ma pani rację - powiedział wreszcie. - Nie do końca pani ufam. Nie odważyłbym się. To, co robię, jest zbyt ważne dla mej przyszłości. Jednakowoż - wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. - Mam nadzieję, że kiedy to się wreszcie skończy i oboje będziemy bardziej pewni jedno drugiego, zrozumie pani moje zachowanie i je wybaczy.

Wyszarpnęła dłoń.

- Może pan mieć nadzieję.

Jak się spodziewała, zaczynały go nużyć jej fochy i -jak to również przewidziała -jej wybuchowy charakter wyraźnie osłabiał podejrzliwość, jakie żywił wobec niej. Niemożliwe, żeby kobieta niepanująca nad swymi emocjami nadawała się na agentkę. Chyba że to gra... Ale mężczyzna o takim doświadczeniu z płcią słabą, jak Maurice St. Lyon, zawsze będzie zdolny rozróżnić, kiedy kobieta udaje, a kiedy nie.

- Jak mogę to pani wynagrodzić? - spytał.

- Może pan mnie zostawić samą. I powiedzieć swoim ludziom, żeby przestali za mną chodzić.

- Przykro mi. Tego nie mogę zrobić.

Nadała się, wargi jej zaczęły drżeć.

- Doskonale! Obiecuję, że zostanę tu na dziedzińcu na widoku każdego, kto zechce mnie widzieć. Ale pan... niech się trzyma ode mnie z daleka!

Wyrzucił ręce w górę.

- Jeśli upiera się pani, żeby tu tkwić i się zaziębić tylko po to, żeby dowieść, jak nienawistne jest pani moje towarzystwo, to proszę bardzo.

- Tak zrobię! - oświadczyła, narzucając sobie szal na głowę i wypadając na dziedziniec. Rzuciła się na marmurową ławkę i odczekała kilka chwil, póki szybko gęstniejąca mgła nie okryła jej grubą zasłoną, po czym wstała i podeszła na brzeg ścieżki, gdzie cisy sięgały prawie wzrostu człowieka. - Hrabio! Czy wciąż mnie pan obserwuje? Proszę odpowiedzieć!

- Tak, panno Nash. - Wydawał się zniecierpliwiony. - Wciąż tu jestem.

- Więc skoro tak pan lubi mi się przyglądać, niech pan patrzy na to! - Sięgnęła na kark i ściągnęła naszyjnik, który dał jej poprzedniego wieczoru. Wyciągała go w kierunku jego majaczącej postaci stojącej pod arkadą. Światło odbiło się od szmaragdu. - Widzi pan, co to jest? To pański naszyjnik... oj! - Szmaragd wyśliznął jej się z palców. Przykucnęła, by szukać u swych stóp i kilka sekund później wstała, sztywno wyciągając przed siebie wisiołek.

- Proszę! Może go pan wziąć z powrotem! - zawołała i z satysfakcją usłyszała, jak wisiołek spada na kamienne płyty u jego stóp.

- Pilnujcie jej! - warknął i odwróciwszy się, odszedł.

Z miejsca, gdzie kucnęła za krzewem cisu, Charlotte w myśli oklaskiwała mistrzowską grę Lizette. Zamieniły się miejscami, gdy Charlotte przypadła do ziemi, a pokojówka wstała z tego samego miejsca. Lizette, ubrana tak podobnie do Charlotte, jak tylko pozwalała zawartość szafy, i z brązowymi lokami przyciętymi w taki sam sposób, czekała za cisami przez ostatnie czterdzieści pięć minut.

- Zostań tu przez godzinę. Jeśli St. Lyon wróci, zadrzyj nos i pomaszeruj w przeciwną stronę - szepnęła jej Charlotte. - Wyglądaj na rzekę po północy i nad ranem. Kiedy zobaczysz światło pod oknem, spuść sznur.

A co będzie, jak pani nie wróci do rana? - Pierwszy raz pokojówce głos się załamał ze strachu.

- Wróć, Lizette - obiecała Charlotte. Z pomocą czy bez, nie opuści jej ani Danda. Modliła się, żeby Dand miał słuszość i Ram z Kitem rzeczywiście jechali tutaj. I żeby potrafili jakoś zaradzić temu, co się stało. Ale nawet modląc się, nie mogła się powstrzymać od stawiania sobie pytania, co zdołają zrobić, choćby i ich spotkała. Jak dwaj mężczyźni i kobieta mogą mieć nadzieję na zaatakowanie twierdzy, w którą St. Lyon przekształcił swój zamek? A jednak nie mogła biernie czekać. To było nie do przyjęcia.

- Wróć, Lizette - powtórzyła. - Przyrzekam.

- Dobrze, proszę pani - powiedziała Lizette i przełknęła ślinę, dodając sobie otuchy. - Lepiej niech pani idzie.

Charlotte przemknęła się na czworakach wzdłuż żywopłotu z cisów w najdalszy kąt dziedzińca. Tam zrzuciła suknię i przebrała się w chłopięce spodnie i koszulę, które Lizette ukradła z pralni po południu. Potem, uważając, by trzymać się holu dla służby i korytarzy biegnących równoległe do tych używanych przez rodzinę, dotarła do kuchni. Stamtąd mogła wymknąć się niepostrzeżenie z zamku St. Lyona.



Charlotte zmusiła się, by potoczyć się bezwładnie, mając nadzieję, że w ciemności zmęczony kuchenny posługacz nie zauważy, że stos odpadków, korpusów, obierek, obrzynków, skórek i piór, który wyrzuca z wózka za stajniami położonymi poza zamkiem, zawiera ludzki kształt.

Nie zauważył. Czekwała, leżąc w mazistej, aromatycznej potrawce, dopóki nie usłyszała, jak koła wózka zaturlkotały na stromym podejździe, a chłopiec krzyknął

na strażnika by otworzył bramę. Odpowiedział mu szcęk ogromnych odrzwi osadzonych na starych zawiasach. Wtedy, plując i wycierając odpadki z twarzy, wstała i się rozejrzała. Księżyc był nisko, ale jego blade światło wystarczało, by wypatrzeć szarą wstęgę drogi biegnącą grzbietem wzgórza. Była to jedyna droga w okolicy, a więc ta, którą musieli nadjechać Ram i Kit.

Muszą przyjechać. Od tego zależy życie Danda. On nie może umrzeć. Nie umrze. Wyrzuciła z głowy myśl zbyt przytłaczającą, by ją znieść.

Biegła truchtem drogą, dopóki nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. Wtedy zaczęła iść. Szła pod jasnym pasmem Drogi Mlecznej, gdy sowy ruszające na nocny łów bezszelestnie przelatowały obok. Szła, dopóki stopy w cienkich pantoflach nie pokryły się bąblami, a delikatne podeszwy nie zdarły się na żwirze.

Szła od czterech godzin, kiedy ich zobaczyła. Nie Rama i Kita, lecz oddział mężczyzn maszerujący w dwóch rzędach, dwudziestu ludzi co najmniej, prowadzonych przez dwóch mężczyzn na koniach.

Zawahała się, niepewna kim są. Nie nosili czerwonych kubraków, a ona nasłuchiwała się opowieści o tym, jak dobrze zorganizowane są bandy przemytników i rozbójników. Jeszcze jej nie zauważyli.

Zsunęła się w jakiś dół z boku drogi i czekała, wstrzymując oddech, aż nagle dobiegł ją wyrafinowany, przeciągły ton głosu jednego z jeźdźców.

- Dzięki Bogu, Parnell trzymał trochę milicji w swym majątku, żeby odstraszyć przemytników.

Jego towarzysz na drugim koniu odpowiedział:

- Dzięki Bogu, że przystał na prośbę ojca Tarkina. Myślę, że ten drań wciąż ma słabość do mojej Kate.

To był Kit!

Ze szlochem wdrapywała się po stromo nachylonym poboczku drogi, gdy znajomy głos odpowiedział:

- Kiedy już dziękujemy Wszechmocnemu, powinniśmy odmówić modlitwę dziękczynną za to, że niezrównana pani Mulgrew odzyskała rozum i wyjawiała wszystko w liście do opata.

- Tak - zahuczał drugi głos z głębokim szkockim akcentem. - A kiedy dopadnę naszą siostrzyczkę, to ona będzie dziękowała Bogu, że jej nie uduśliłem. Jeśli rzecz jasna w istocie jej nie uduśję. Andre Rousse też za to wszystko zapłaci, na Boga!

Rzuciła się ku drodze i zaplątawszy się w niewidoczne paprocie, wypadła prawie pod kopyta konia, wymachując dziko rękoma. Koń spłoszył się i stanął dęba. Nie zważała na to. Uśmiechała się do nich.

- Ram! Kit!
- Kto to? - spytał szwagra pułkownik Christian MacNeill.

Ramsey Munro, markiz Cottrell, uniósł elegancką linię brwi i przyjrzał się obdartemu, brudnemu stworzeniu podskakującemu między kopytami konia.

- Na Boga, Kit, zdaje się, że to Charlotte!

27

*Zamek hrabiego St. Lyona, Szkocja
16 sierpnia 1806*

Zgodnie z obietnicą St. Lyona strażnik wrócił z puszką wody dla Danda, rzucił mu ją w twarz, po czym z mruknięciem zadowolenia wycofał się za drzwi do wieży. Danda nie mogło to mniej obejść. Odkąd Charlotte odeszła, wyteżał słuch, by wychwycić każdy dźwięk, który by mu powiedział, czy udała jej się ucieczka z zamku. Upływały godziny, a do jego uszu nie dotarł nawet jeden okrzyk wściekłości. Pozwolił sobie na uśmiech.

Sprytna, przebiegła, chytra Charlotte. Jego kochanie. Jego miłość. Uciekła.

Teraz wpatrywał się w okno, chcąc sprawdzić, jak daleko do świtu, a jednocześnie zawzięcie pracował nad bolcem umocowanym w kamiennym murze. Wyraźnie czuł tarcie o kamień i mała smużka pyłu zaczęła się wysypywać z dołu pierścienia. Ile jeszcze czasu minie, zanim wyrwie go z mocowania? Nieważne, jak długo to potrwa, pomyślał z cierpkim uśmiechem. Nie wydaje się, by miał jakieś inne zajęcie dla zabicia czasu, chociaż w myśli szedł w ślad za Charlotte wspinającą się na drogę na południe i znikającą na pustkowiu.

Ram lub Kit ją znajdą. Albo jeśli nie oni, to ostatecznie jakiś chłop czy poganiacz bydła. Użyje tego obrotnego języczka i bystrego umysłu, by trafić do domu. A to mu powinno wystarczyć. Ale nie wystarczało. Miłość do Charlotte sprawiła, że stał się zachłanny. Chciał z nią być, spędzać długie lata, pracując, śmiejąc się, dyskutując, planując przyszłość i kochając się z nią.

Miał nadzieję, że kiedy Ram i Kit przybędą, nie będą potrzebowali od niego dodatkowej pomocy. To, że obaj tu jadą, było myślą, której uparcie się czepiał. Absurdalnie, skoro według wszelkiego prawdopodobieństwa, wszy-

scy zostaną w końcu schwytani i skończą z powrotem w lochach LeMons. I czy to nie byłaby ironia losu?

Gdy się roześmiał, usłyszał ruch za drzwiami. Strażnik mamrotał coś, jakiś mężczyzna mu odpowiedział. Znajomy głos. Mimo że spodziewał się go usłyszeć, serce zabiło mu młotem na ten dźwięk.

Drzwi uchyliły się i znieruchomiały, jakby ten ktoś po drugiej stronie się zawahał.

- Wejdz, Douglas, mój stary - powiedział Dand.

*Miejski dom Nashów
York 1801*

- Jak Dougie byłby tym zachwycony - powiedział Ram Munro z uśmiechem jeszcze bardziej szyderczym niż zwykle. — Ślubowanie służby pięknym dziewczicom, róża, symbol naszej wierności, oddana pod ich opiekę... omdlewałby z zachwytu!

Kit MacNeill rzucił mu ostre, krytyczne spojrzenie i zacisnął kanciastą szczękę wychudzoną przez miesiące spędzone w lochach Le Mons.

- Czyżbyś kpił sobie z umarłego, Ram? - spytał, kładąc wielką dłoń na szczupłym barku młodego mężczyzny.

Ram strzasnął ją rozżłoszczony. Stali na dole podjazdu prowadzącego do domu Nashów, jak trzech adwokaci na posiedzeniu wyjazdowym sądu, mający różnych klientów, niepewni i podejrzliwi wobec siebie wzajemnie, pragnący tylko, żeby każdy poszedł swoją drogą. A przecież przez większość życia byli sobie bliscy jak bracia.

Ale zdrada, jak się przekonał Dand Ross, potrafi przeciąć nawet najmocniejsze więzy, a oni wierzyli, że jeden z nich zdradził - ich oraz wszystkich tych, którzy od nich zależeli. Zdrada była przyczyną śmierci najlepszego z nich, ich nieformalnego przywódcy Douglasa Stewarta.

Dand mógł przywrócić im spokój umysłu, mógł uleczyć ranę, która ich rozdzieliła. Ale to by pociągało za sobą inny rodzaj zdrady, wobec tego, który już zapłacił najwyższą cenę za swoją... słabość. Więc nic nie powiedział, chociaż dręczyło go sumienie.

- Jak myślisz, Dand? - zwrócił się do niego Ram, mrużąc w zamyśleniu ciemne oczy. - Jesteś bardzo milczący. Nigdy przedtem taki nie byłeś. Nawet w więzieniu. Nawet po tym, jak zabrali Douglasa na gilotynę.

Dand rzucił mu obojętne, nieprzyjemne spojrzenie.

- *Powiedziałem ci już i powtórzę to jeszcze raz: nie wyjawiałem niczego, do cholery, ani nadzorcy, ani nikomu w LeMons.*

Kit splunął gwałtownie na zabłoconą ulicę.

- *Tak! I ja przysięgam to samo! I Ram też, jeśli o to chodzi! Ale wiemy, że jeden z nas jest kłamcą. Tak?*

Chciał powiedzieć, że nie. Ale z powodu miłości, którą kiedyś żywił dla Douglasa Stewarta, zbył to milczeniem.

Skąd wiedziałeś, że to ja? - Wyglądał na starszego, przedwczesne zmarszczenia żłobiły kąciki jego ust i czoło, ale w końcu Douglas zawsze był nachmurzony.

- Jak to tak, Dougie? - spytał Dand. - Ani powitania, ani uścisku dla tego dawno utraconego brata?

- Skąd wiedziałeś, że to ja? - powtórzył Douglas, powoli wchodząc do izby i okrążając ją wkoło, z rozbieganym spojrzeniem, jakby podejrzewał jakąś zasadzkę, jakby nie wierzył własnym oczom, a Dand tylko udawał, że jest przykuty do ściany.

Dand wzruszył ramionami. Ten ruch wbił igły w mięśnie jego barków.

- Kapitan Watters, wielbny Tawster, lord Rawsett - to anagramy nazwiska Stewart. Zawsze uwielbiałeś wszystko ubarwiać.

Douglas uśmiechnął się trochę gorzko.

- A ty nigdy tego nie doceniałeś.

- Nigdy tego nie potrzebowałem - poprawił go Dand. - Człowiek albo coś robi, albo nie. Albo jest szlachetny, albo nie jest.

Douglas się roześmiał.

- Nigdy nie rozumiałeś, czym jest prawdziwa szlachetność. Myślisz, że jeśli nie zdradziłeś niczego nadzorcy, to jesteś szlachetny? Tylko lepiej znosisz ból. Jak nierozumne stworzenie. - Jego śmiech urwał się nagle. - To była twoja wina, wiesz - szepnął Douglas.

- Jak to?

- W lochu, tej nocy, kiedy przyprowadzili cię z powrotem po... napiętnowaniu. Pamiętasz? - Stał teraz bardzo blisko i wpatrywał się w oczy Danda ze straszliwą szczerością, cień chłopca, którym kiedyś był, wciąż przerażony, wciąż cierpiący.

- Tak.

- Spytałem cię, czy wyjawiałeś nadzorcy nazwiska naszych współników, a ty powiedziałaś, że nie. Nawet się śmiałaś, żartowałaś ze mnie, mówiąc, że byłeś tak dobry jak ja. - Douglas przekrzywił głowę, zacisnął usta, jakby powstrzymywał łzy. - Ale ja wszystko mu powiedziałem. I patrzyłem na ciebie, gdy tak żartowałaś i... i zobaczyłem, że ty wiesz!

Douglas rzucił się, zanurzając dłonie w krótkich farbowanych włosach.

- Nie mogłem tego znieść. Wiedziałem, że powiesz innym...

- Nie powiedziałbym.

Douglas go nie słyszał.

- ...jeśli nie pomyślisz, że odkupiłem to śmiercią. - Na nowo przeżywał jakieś przemożne, straszne wspomnienie. - Myśl o nich wszystkich, wiedzących, że zawiodłem, że zhańbiłem się, kiedy żaden z nich nie... myśl o nich patrzących na mnie, tak jak ty patrzyłaś... - Zachłysnął się, jakby pod wpływem fizycznego bólu. - Nie mogłem z tym żyć.

- Ale nie mogłeś też umrzeć - powiedział Dand oschle.

- Ale umarłem! - zawołał, kiwając gwałtownie głową i wtedy Dand dostrzegł szaleństwo, które ogarnęło Douglasa Stewarta, jadowite i pełne nawiści do siebie samego. - Uzgodniłem z nadzorcą moją własną śmierć. Obiecałem mu powiedzieć wszystko, co chce wiedzieć, wszystkie nazwiska, najdrobniejsze informacje, wszystko, jeśli tylko zainscenizuje moją śmierć, żebyście mogli mnie uhonorować! - Głos mu się załamał na ostatnich słowach przepełnionych uzalaniem się nad sobą.

Dand byłby się uzalił, miałyby dla niego całe współczucie, o które żebrał Douglas, tylko że...

- To nie wszystko, prawda?

Douglas przestał pociągać nosem i unióśł twarz. Oczy miał zaczerwienione, ale czujne.

- Co chcesz powiedzieć?

- Odegrałeś swoją śmierć, żebyśmy myśleli, że zginąłeś bohatersko, pierwszy z nas położyłeś głowę pod ostrze. Ale umówiłeś się z nadzorcą, że my będziemy następni.

Douglas zmrużył oczy.

- Taka była umowa, czyż nie? - spytał Dand. - Mieli nas zabić kilka dni później. Akurat tyle byśmy zdążyli oddać cześć twojej chwalebnej pamięci. Dość długo dla mnie. bym poczuł się winny, że zwątpiłem w twą szlachetność, i żeby Ram i Kit spędzili swoje ostatnie dni, błogosławiąc twoje imię.

- Całkiem miłutką stypę zaplanowałaś sobie, Douglas. Fatalne, że pułkownik Nash popsuł sprawę, oddając się za nas.

Douglas nawet nie zadał sobie trudu, by zaprzeczyć oskarżeniom Danda.
- Nadzorca nie mógł się oprzeć pokusie. Dostał w swe ręce narodowego bohatera, samego Nasha. Zdradził mnie!

Widząc obrzydzenie w oczach Danda, Douglas rzucił się naprzód, chwycił go za włosy i walnął jego głową o mur. Ból eksplodował w czaszce Danda. Pociemniało mu w oczach.

- Miałem być uhonorowany, powinienem być bohaterem! Zamiast tego żyłem we Francji, świadcząc usługi złodziejom, zdrajcom i despotom. Przez ciebie! Ciebie, Rama i Kita. Przez was trzech nie mogłem wrócić.

Nagle się roześmiał, piskliwie i obłudnie.

- Ale jak Łazarz mam powstać z martwych. Odzyskam wszystko, co miałem kiedyś, i jeszcze więcej, z nawiązką.

- Jak? - zakpił Dand. - Zabijając mnie?

Ku jego zdumieniu uraza błysnęła na twarzy Douglasa.

- Nigdy nie chciałem żadnego z was skrzywdzić. Próbowiałem tylko ułatwić sprawę. Jeden jedyny raz, kiedy musiałem zadziałać i spróbowałem... skrzywdzić Rama, ta suka blondynka omal mnie nie zabiła. Spędziłem rok, kurując się z tamtej rany - powiedział ponuro. - I to wtedy opracowałem mój plan. Przemyślałem różne rzeczy, dlaczego to wszystko się tak ułożyło i dlaczego mi się nie powiodło. I zdałem sobie sprawę, że to dlatego, iż Bóg chce, żebym został bohaterem, na jakiego mnie przeznaczył.

Z daleka z dołu Dand usłyszał okrzyk przestrawienia i tupot biegnących nóg. Ram? Kit? Musi odwrócić uwagę Douglasa.

- Jaki to był plan? - spytał.

- Ten plan - odparł tamten spokojnie. - Całymi miesiącami śledziłem pannę Nash, wiedząc, że w końcu jeden z Łowców Róż będzie musiał ją odwiedzić, by wypełnić złożone ślubowanie. Kiedy ujrzałem ją razem z Ginny Mulgrew, zacząłem podejrzewać, kim się stała. A wtedy ty przyszedłeś do niej i już wiedziałem na pewno. Możesz sobie zwodzić, kogo chcesz, ale twoja reputacja mówi sama za siebie. Potem wszystkim pokierowała... opatrzność.

- Mów dalej - nakłaniał go Dand, wytrzymując spojrzenie Douglasa, gdy z dołu odgłosy utarczki narastały. Douglas zdawał się tego nie zauważać. Zdawało się, że musi opowiedzieć Dandowi swój plan. że chce, by Dand docenił, jaki był sprytny, jak dalekowzroczny.

- Zabiłem Francuza, który wiozł list będący teraz w posiadaniu St. Lyona - powiedział poważnie. - Dałem list St. Lyonowi. Zabiłem Toussainta. Proszę, nie patrz tak na mnie. On nigdy mnie nie cenił. Zająłem jego miejsce.

aranżując kilka spotkań z panną Nash. Jednocześnie w przebraniu Rawsetta rozbudzałem zainteresowanie St. Lyona zarówno panią Mulgrew, jak panną Nash. Potem przejechałem panią Mulgrew na ulicy i posłałem po Charlotte Nash.

- Jako Toussaint miałem zamiar podsunąć jej pomysł, żeby zajęła miejsce tej dziwki. Wyobrazasz sobie moje zdumienie, gdy ona sama mi to zasugerowała i powiedziała, że ty należysz do tego planu?

Leżąc obrócił głowę, odgłosy utarczki na dole wreszcie dotarły do niego, mimo iż tak pochłonięty go wyznania. Zdawał się niepokoić.

- Ram! - wykrzyknął czule. - Albo Kit! Oczywiście stoczą wspaniałą walkę. Ale nawet oni nie oprą się sile trzydziestu ludzi St. Lyona.

Douglas się mylił. Nie tylko co do proporcji sił, ale co do przebiegu wydarzeń na dole. Wrzawa była zbyt wielka, jak na ujęcie tylko dwóch ludzi, bez względu na to, jak biegli byli w sztuce walki. Działo się coś innego. A Dand musiał zająć Douglasa dość długo, by tamto się rozegrało do końca.

- Powiedz mi, Doug, mój stary, w jaki sposób to wszystko sprawi, że odzyskasz znakomitą pozycję, której tak niesłusznie cię pozbawiono?

Jeśli Douglas wyczuł sarkazm w zapytaniu Danda, to go zignorował.

- To proste. Wysłałem list do Kita i Rama z zawiadomieniem, że ich szwagierka została kochanką znanego uwodziciela. Równocześnie zawiadomiłem St. Lyona, że dwaj mężczyźni będący z tobą w zмовie zmierzają tu, by wykraść list. I tak zrobili, jak widać, właśnie tu są. Wkrótce zostaną zabici. Potem St. Lyon zabije ciebie. Ja, z kolei, zabiję St. Lyona. Po czym odzyskam list i własnoręcznie oddam go ojcu Tarkinowi, przy okazji wyjawiając, że uniknąwszy gilotyny, spędziłem ostatnie sześć lat, pracując *sub rosa* dla dobra Kościoła. Powitają mnie jak bohatera.

- A siostry Nash? - spytał Dand.

Rozmarzony uśmiech zagościł na wargach Douglasa.

- Ach, zabiję je niedługo. Widziały mnie i chociaż nie sądzę, żeby zwracały na mnie baczniejszą uwagę w moich przebraniach, nie będę ryzykował.

Zamknął oczy i wciągnął głęboko powietrze z błogim wyrazem twarzy.

- A kiedy wy wszyscy będziecie już martwi, ja wreszcie znów ożyję.

Twarz mu się wykrzywiła, chłopiec, który czał się pod postacią mężczyzny, ukazał się raz jeszcze, zagubiony i torturowany. Zacisnął powieki.

- Ja tylko chcę wrócić do domu.

- Jeśli mu umrzemy, ty nigdy nie ożyjesz, Douglas. Nigdy nie zdołasz wrócić do domu.

Douglas gwałtownie otworzył oczy. Nachmurzył się.

- Co masz na myśli?
- Zależałeś od nas, od Rama, Kita i mnie. Mówiliśmy ci, kim jesteś. Od samego początku. Gdybyśmy umarli, nie byłoby nikogo, kto by ci mówił, kim jesteś.

- To nieprawda- powiedział, ale w jego uporze dawał się wyczuć dreszcz przestraszenia.

- Z pewnością tak - powiedział Dand z naciskiem.

- Nie. - Gwałtownie pokręcił głową. - Ja jestem... jestem...

- Nikim.

Douglas rozchylił wargi, ściągnął brwi.

- Jak myślisz, co robiłem przez wszystkie te lata, Doug?

- Co?

- Kończyłem to, co ty zaczęłaś. Zająłem twoje miejsce. Bo ty nie żyjesz!

- Nie!!! - Douglas rzucił się naprzód. Dand wyprężył się, szarpnął się w bok i poczuł drgnięcia bolca. Ledwie wyczuwalne. Ale jednak się poruszył...

Pięść Douglasa trafiła go w pogruchotane żebra. Kolana ugięły się pod nim. Osunął się jak wór pszenicy, całym ciężarem zawisnął na zmaltretowanych barkach, wydając stęknięcie z głębi piersi. Równocześnie nadzieja ożyła w jego zmaconych myślach, gdy boleć poddał się o następny centymetr.

- Nie! Nie! Ty nie jesteś przywódcą. Ty nie dotrzymałeś ślubowania. Ty jesteś martwy! - krzyczał Douglas, stojąc nad Dandem z czerwoną twarzą z łzami ciekącymi mu po policzkach, z płonącymi oczyma.

- Dand!

To Charlotte wołała ze schodów na zewnątrz. Boże, nie!

- Charlotte! Uciekaj! - krzyknął, szarpiąc się w łańcuchach.

- To już koniec! - krzyknęła uradowana. Słyszała jej kroki, kiedy biegła po schodach. - Wszystko jest w porządku!

- Nie! Douglas tu jest!

Było za późno. Douglas ukrył się za drzwiami, w chwili gdy Charlotte wpadła do pokoju, wymachując pistoletem.

- Kit i Ram z żołnierzami zajęli zamek, a St. Lyon jest osaczony w bibliotece!

Zrozumiała, że coś jest nie w porządku, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy. Okręciła się w miejscu, uniosła pistolet i wypaliła.

Do licha! - wykrzyknęła Charlotte. Strzał był kompletnie chybiony, odbił się rykoszetem od ściany i odłupał kawałek kamienia, który trafił w twarz mężczyznę... - Toussaint!

- Nie, panno Nash - powiedział fircykowato ubrany mężczyzna, zamknąwszy drzwi. Przykro mi, że panią oszukałem. Nazywam się Douglas Stewart.

Rzuciła w stronę Danda zdumione spojrzenie. Twarz miał wykrzywioną wzburzeniem, ale oczy chłodno oceniały sytuację.

Toussaint-Stewart uśmiechnął się do Danda.

- Naprawdę powinieneś nauczyć ją strzelać z pistoletu.

- Naprawię to przeoczenie jak najszybciej.

Tamten zacisnął wargi.

- Trudno będzie z grobu.

- Po co masz mnie teraz zabijać, Douglas? - spytał Dand, zdumiewając Charlotte opanowanym i rozsądnym tonem. Nie poruszyła się. Nie śmiała ściągać na siebie uwagi.

- Słyszałeś, co mówiła - ciągnął Dand. - Ram i Kit zebrali gdzieś oddział żołnierzy i przyprowadzili ich do zamku. Goście St. Lyona niewątpliwie umykają jak szaraki przed psami, a St. Lyon zapewne pali wszystkie obciążające go dokumenty, jakie ma. Włącznie z listem, który miał zrobić z ciebie bohatera. A ty jesteś zdemaskowany.

- Tylko przed tobą- powiedział Douglas. - Umrzesz i nikt się nie dowie, że tu byłem. Ach, będę musiał zacząć od nowa, to ci przyznaję. Ale czekałem tak długo, że nie sprawi mi to różnicy.

Zerknął na Charlotte.

- Oczywiście ona też musi umrzeć. Ale tak miało być od początku.

- Nie - powiedział Dand.

- Tak. - Douglas zamachnął się ręką, chwycił Charlotte za ramię i po-ciągnął naprzód. Walczyła, drapiąc, wijąc się i kopiąc go, ale on nie był Dandem. Nie przejmował się tym, że robi jej krzywdę. Wykręcił jej rękę na plecy, aż krzyknęła z bólu. Bezwładnie zwiśla w jego chwycie, wiedząc, że dalsza walka oznacza złamanie ręki.

- Puść ją - powiedział Dand spokojnie, lecz złowieszczo.

- W żadnym razie - odparł Douglas. - Wiesz, naprawdę wierzę, że kochasz tę dzierlatkę. Co to za obsesja ogarnęła ciebie Rama i Kita? Zgoda, kobiety z tej rodziny są dość apetyczne, ale kiedy robisz sobie przyjemność, ich wygląd nie ma znaczenia. - Zmarszczył brwi, trochę nadąsany, trochę urażony. - Jak zwierzęca ruja mogła zastąpić to, co mieliśmy? Kim byliśmy?

- Właśnie, kim? - spytał Dand. - Garstką chłopców z drewnianymi mieczami, bawiących się w rycerzy?

Usta Douglasa naburmuszyły się gniewnie. Pociągnął Charlotte ku Dandowi, jedną dłoń zaciskając jej na gardle, drugą wciąż przytrzymując jej nadgarstek między łopatkami. Dyszała z bólu.

- Zatem pożegnaj się z twoją ukochaną, Dand - prychnął.

Dand szarpnął się do przodu, lecz przytrzymał go łańcuch.

Charlotte rozglądała się wkoło w panice, próbując znaleźć jakiś ratunek, i nagle to dostrzegła. Drobne grudki tynku pod pierścieniem krępującym prawy nadgarstek Danda. Spojrzała mu w oczy, a potem prosto na pierścień. Odpowiedział leciutkim skinieniem głowy, prawie niedostrzegalnym.

Szansa była niewielka. Ale jedyna, jaką mieli.

- Proszę - wychrypiąta, gdy Douglas zacisnął chwyt. - Proszę mi pozwolić go jeszcze raz pocałować. Jeden ostatni pocałunek. Proszę.

- Dlaczego miałbym spełniać pani żądania?

- Bo pan też go kiedyś kochał - szepnęła Charlotte. - Bo kiedyś nazywał go pan bratem. A to coś znaczy.

Douglas znieruchomiał.

- Proszę.

- Miłosierdzie? - rzekł z powątpiewaniem, ale zaintrygowany.

- Tak, miłosierdzie - odparła. - Szlachetna natura potrafi być miłosierna.

- Zgoda. - Chwycił ją za drugi nadgarstek i wykręcił rękę tak samo na plecy. Potem z pogardliwym prychnięciem pchnął ją naprzód, tak że znalazła się tuż przy Dandzie. Spojrzała mu w oczy, wychyliła się naprzód, nie zważając na ręce wyrywane ze stawów, przysuwając usta delikatnie do jego ust. Pocałowała go z największą czułością i z nadzieją w sercu.

- Kocham cię - szepnęła mu w usta i zaczepiwszy kostką nogi o stopę Douglasa, wychyliła się do przodu.

Jej lewy bark trzasnął. Ból przeszył rękę, gdy runęła naprzód. Douglas upadł na nią, wijąc się, klnąc, próbując złapać równowagę. Słyszała Danda, stęknięcie, potem ryk triumfu i grzechotanie łańcuchów. A potem jakaś siła oderwała od niej Douglasa.

Opadła na kolana i poturlała się. Obejrzała się, chcąc zobaczyć, co się dzieje.

Dand stał nad Douglasem. Łańcuch, którym miał skrupowaną prawą rękę, teraz zaciskał się na szyi dawnego przyjaciela, drugą rękę wciąż miał przykutą do ściany. Douglas chwycił powietrze, wbijając palce w metalowe ogniwa wgniatające mu się w ciało. Dand skrzył mocniej łańcuch, z twarzą przerażającą, złowrogą w chłodnym okrucieństwie. Pociągnął w górę i do tyłu. Pięty Douglasa bębniły bezskutecznie o podłogę, gdy szukał oparcia dla stóp. Wymachiwał rękoma w powietrzu. Życie z niego uchodziło.

- Dand! Puść go! Zabijesz go!

- On chciał zabić ciebie! - ryknął.

Zamrugnęła i podtrzymała złamaną rękę, chwiejnie stając na nogi.

- Puść go! Ty nie jesteś mordercą! Tylko on!

Wargi Danda rozchyliły się w warknięciu, wyszczerzył zęby. Ale powoli odzyskiwał rozsądek, a jego twarz mieniła się od kłębiących się uczuć. Szarpnął łańcuchem jeden ostatni raz, a Douglas zwiśł bezwładnie. Nagle zwolnił chwyt i odsunął się ciężko, dysząc.

- Jesteś ranna? - spytał z obawą.

- To nic takiego - skłamała. Bark bolała ją okropnie.

- Za drzwiami jest żelazny pręt. Możesz go przynieść?

- Tak - odpowiedziała i przyniosła pręt. Obejrzała się.

- To tylko moja... Dand!

Spóźniła się. Douglas, jeżeli nawet był przedtem nieprzytomny, teraz całkowicie się ocknął. Rzucił się przez izbę, daleko poza zasięgiem Danda i wdrapał na parapet północnego okna, z dzikim spojrzeniem i uśmiechem szaleńca.

- Nie mogłeś mnie zabić, tak samo jak ja nie mogłem zabić ciebie. To jest więź, rozumiesz. Braterstwo. Niekwestionowane.

- Jeśli zrobisz choć ruch w jej kierunku, przysięgam, że rozerwę cię na strzępy, Douglas - powiedział Dand, szarpiąc wściekle łańcuchem, który wciąż go trzymał.

- Więcej pychy, Dand? - spytał Douglas, mierząc wzrokiem Charlotte i broń, którą trzymała, wyraźnie próbując stwierdzić, czy zdoła ją wyrwać z jej rąk bez uszczerbku dla siebie. Nie była pewna, czy mu się to nie uda.

Już dość długo była odważna. Nie zdoła wytrwać dłużej. Bez zastanowienia rzuciła się przez pokój pod osłonę ramion Danda. Owinęły ją ciasno. Zrobił gest zaproszenia w stronę Douglasa wolną ręką.

- Wypróbuj mnie.

- Wolę nie. Nie teraz - powiedział Douglas. - Jesteś zbyt niebezpieczny. A ja nie jestem gotowy, by umrzeć.

Pałał, a jednocześnie strzelał oczami po izbie, cofając się.

- Coś będzie trzeba zrobić. Z wami wszystkimi. Nie mam na razie pomysłu co. Muszę ułożyć plan. Zrobić przygotowania...

Wyrzał oknem i się uśmiechnął. Obejrzał się na Danda.

- Pamiętasz pnącza, po których się wspinaliśmy w starym zamku, Dand? - Przez sekundę jego głos stał się żarliwy jak u przyjaciela wspominającego najlepsze czasy. - Pamiętasz jak to było? Ale z nas była czwórka! Jaka waleczna! Jaka wartościowa!

Bez dalszych słów przerzucił nogę przez parapet i zniknął.

Charlotte niewiele to obeszło. Jest tutaj, w ramionach Danda, i oboje żyją. Przeżyli wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. Rozszlochała się i na koniec schowała twarz na jego szerokiej, okrwawionej piersi, zlewając ją rzęsiстыми łzami.

- Co to, Lottie? - Usłyszała, jak mruknął czule z ustami nad czubkiem jej głowy. - No, no, zaczynam podejrzewać, że nie jesteś wcale taka twarda.

Ten łagodny przytyk sprawił, że doszła do siebie.

Jest Charlotte Nash, jedną z najlepiej się zapowiadających dzierlatek w towarzystwie, tak sprytną, jak kobieta dwa razy starsza od niej, biegłą kusielką, nieznośną pannicą, i mistrzynią w łamaniu męskich serc. Uniosła twarz i przyciągnęła biedne pokaleczone usta Danda do swych ust w głębokim pocałunku. Jeśli go zabolalo, to nie zdawał się na to zważać, swobodną rękę zaciskając wokół niej, unosząc ją do góry, zgniatając ją o siebie.

Po długiej chwili odsunęła się, trochę bez tchu, trochę zamroczona.

- Jeśli nie masz pewności, co to było, co jest... - powiedziała triumfującym głosem - to ci to jasno powiem. Jesteś mój. Mój.

- Moja miłości - odpowiedział. - Nigdy w to nie wątpiłem.



Jest dokładnie tak, jak wtedy, gdy byli chłopcami i wymykali się z opactwa do ruin zamku na wrzosowiskach. Ten sam rodzaj kamienia, takie same krzepkie gęste pnącza do zmagania się z nimi i kołysania na nich. To samo poczucie wolności i przygody. Z wyjątkiem tego, że reszta chłopców nie czeka na niego na dole. Nie będzie długiej powrotnej drogi razem pod niebem usianym gwiazdami. Niczego nie będzie.

Wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, to wrócić do domu. Zęby było tak jak dawniej. Czy za dużo żądał od losu?

Macał stopami, szukając oparcia na ciężkim winie i zsuwał się, chwytając się gałęzi w ostatniej chwili. Nagle ją zobaczył. Nieprawdopodobne. Nie-możliwe, ale przecież jest tu, tuż nad nim, mieniać się w świetle brzasku z gracją i pięknnością jego dawno utraconego dzieciństwa, żółta róża, z kropelką rosy drżącą jak łyza na delikatnie zwiniętym płątku. Z westchnieniem zdumienia podciągnął się, wyprężył, by jej dosięgnąć i poczuł, jak pnącza pod nim pęka. Nie zważał na to.

Wysilił się jeszcze bardziej, czubkami palców musnął aksamitny kwiat, wyprężając się mocniej, mocniej... Chwytał ją, a kolce schowane pod lśnią-cymi liśćmi wbiły się głęboko we wnętrze jego dłoni. Zachłyszawszy się, zabrał rękę, w której trzymał zdobycz.

Była piękna. Jedyna absolutnie piękna rzecz w świecie pełnym żalu i roz-czarowań...

Z odgłosem przypominającym łkanie pnącza pod nim rozerwało się do reszty.

Nie poczuł, jak uderza o ziemię.



Kit i Ram wpadli w drzwi, jeden z pistoletem, drugi ze szpadą w rękę. Izba była pusta. Z wyjątkiem Danda, który trzymał Charlotte, jak gdyby nigdy nie miał jej wypuścić. I całował ją.

Kit opuścił pistolet i chrząknął.

Mężczyzna w kajdanach podniósł głowę.

- Spóźniliście się - powiedział lakonicznie. - Charlotte mogła zginąć, czekając, aż się zjawicie.

Ram pierwszy doszedł do siebie. Wkroczył do środka i się rozejrzał.

- Przepraszam za to. Mieliśmy sprawę z jakąś trzydziestką ludzi St. Lyona, a także z hrabią, który, nawiasem mówiąc, twierdzi, że nie wie nic o żadnym liście. Pomimo że w jego kominku w bibliotece znalazł się tajemniczy strzęp papieru. Jego goście, z których część, jak podejrzewam, znajduje się na tej ziemi bez stosownych dokumentów, uciekają, aż się za nimi kurzy.

- To dobrze - powiedział Dand.

- A ty jesteś, jak przypuszczam, kochankiem Charlotte, tajemniczym monsieur Rousse'em? - spytał Kit.

- Tak - odparł Dand. - A teraz, gdybyś był tak miły, to zdaje mi się, że klucze do tych kajdan są na haku za drzwiami.

Kit oddał mu tę przysługę, wróciwszy z kluczem i uwolniwszy z łańcuchów. Poprosił Charlotte, by puściła go na czas tej operacji. Uwolniony, Dand lekko się skrzywił z bólu, który zaczynał odczuwać, w miarę jak ustępowało odrętwienie. Obawiał się, że będzie odczuwał go dużo silniej w nadchodzących dniach.

- Lepiej? - spytał Kit pocieszająco.

Dand kiwnął głową.

- Dobrze - powiedział Kit, uśmiechając się. I powalił go nieprzytomnego na ziemię.

Epilog

*Opactwo St. Bride's
kwiecień 1807*

Jest brat jasnowidzem, bracie Marcinie. Prawdziwym mistykiem. - Brat Fidelis promieniejący zadowoleniem, poklepał po ramieniu starego zielarza.

Brat Marcin, pochłonięty zawiązywaniem małego jedwabnego woreczka wypełnionego ziołami i płatkami kwiatów, machnął ręką, jakby się oganiał przed okrągłym i dobrodusznym zakonnikiem.

- Nie wiem, o czym brat bredzi.

- No, przecież powiedział brat, że jeśli dalej będziemy mieć śluby w opactwie, to w końcu dojdzie i do chrztów. I oto dzisiaj mamy pierwszy chrzest! Czy to nie cudowne?

- Bajeczne - zachichotał stary zrzęda, ale nie było wiele złośliwości w jego udawanym sarkazmie. -A teraz, jeśli brat pozwoli, obiecałem te ziółka dla dziecka.

- Biedna malutka - powiedział brat Fidelis. - Musi ją boleć brzuszek.

- Ma usposobienie ojca i temperament matki - oświadczył brat Marcin. - Zawsze mówiłem, że Dand Ross. czy też Andre Rousse, czy sir Ross. czy kogo tam z siebie wystrugał ostatnio, jest pomiotem szatana, a teraz jego córka okazuje się pędem z tej samej gałęzi.

Brat Marcin nie mógł się pogodzić z tym, że chłopiec, którego przygarnęli jako sierotę, miałby być jakimś burbońskim królewskim potomkiem, chociaż wedle jego własnych słów, nigdy nie będzie w stanie tego dowieść. Co

było pewne, to że otrzymał szlachectwo za pracę na rzecz Jego Królewskiej Mości.

- Dziecko jest idealnie piękne - westchnął oczarowany brat Fidelis.
- To prawda - zgodził się brat Marcin z lekkim chrząknięciem. - Wygląda jak jej ciotka Kate, z tym hebanowym puszkciem na głowie. - Brat Marcin zawsze miał słabość do przystojnej Kate MacNeill. - Ale przy takich rodzi-
cach świat powinien się strzec. Chodźmy, zanim ta mała czarownica zawali dach swym wrzaskiem.

Dwaj zakonnicy wyszli z szopy zielarskiej brata Marcina i przeszli przez ogród różany. Dzień był piękny. Intensywnie niebieskie niebo nad ich odludnąmaładolinąskrzyło się, promieniając ciepłem. Wokół nich zaczynały się pokazywać pierwsze wiosenne kwiaty, małe zaczątki koloru drżały na końcach pędów, a łodygi powlekły się od dołu świeżą zielenią, jak rogi jele-
ni aksamitem. Żółta róża krzyżowca, jedyna tego rodzaju w całej Szkocji, jeszcze nie rozkwitła, ale zapowiedź tego była widoczna w postaci bujnych przyrostów i lśniących zielonych liści.

Doszedłszy do muru, brat Marcin i brat Fidelis przeszli pod nisko sklepioną furta i ruszyli przez główny dziedziniec. Już tutaj dobiegał ich wrzask córki Danda. Nie było w nim bólu, tylko złość.

Pospieszyli do kaplicy, gdzie obróciło się na nich trzydzieści par oczu. Chłopcy i zakonnicy, kłęczący z tyłu, odetchnęli z ulgą. Lizette Barnes i Ginny Mulgrew, dzielące ławkę kościelną, tak jak dzieliły powóz Ginny w długiej podróży, podczas której Lizette dowiedziała się wielu fascynujących rzeczy, wydały dosłyszalne westchnienia ulgi. Baronostwo Weltonowie uśmiechali się lekko. Oboje wyglądali jak hazardziści, którzy zawarli zakład mający znikomą szansę wygranej i jakimś cudem udało im się wygrać. Markiza Cottrell, w zaawansowanej ciąży, spłoszona lamentem niemowlęciajak królik skowytem psów, rzuciła rozpaczliwie wystraszone spojrzenie swemu wy-
rafinowanemu i dystygowanemu mężowi. Ten odpowiedział na jej nieme błaganie, mrużąc pod nosem zapewnienia, że ich wyczekiwane kochanie „będzie wiedziało od początku, jak się zachować”. A pułkownik MacNeill z żoną wymienili romantyczne spojrzenia. Ona od tygodnia dopiero miała dostateczną pewność, by wyjawić swemu dzielnemu mężowi, że też wkrót-
ce zostaną rodzicami.

W pierwszej ławce zasiadała Charlotte, trzymając na kolanach swe wyją-
ce, czerwone na buzi niemowlę, czując się całkowicie swobodnie, gdy tym-
czasem u jej boku, w absolutnie przeciwnym nastroju kulił się jej mąż Dand Ross, straszliwie zakłopotany. Nie wiadomo dlaczego, sprawiło to wielką

satysfakcję bratu Marcinowi. Pomyślał, że będzie się musiał z tego wyspo-
wiadać. Ojciec Tarkin, imponująco prezentujący się w liturgicznych szatach, stał u stóp ołtarza przy chrzcielnicy.

- Dzięki ci, Boże! - wymamrotał opat i przywołał ich gestem.

Brat Marcin, z nieodłącznym bratem Fidelisem, ruszył główną nawą ude-
korowaną bukietami wiosennych pierwiosnków. Zajął miejsce u boku Charlotte i bez ceremonii podetknął woreczek ziół pod nos niemowlęcia. Dziecko wciągnęło powietrze głęboko... bardzo głęboko... jeszcze raz... i kich-
nęło. Potem utkwivszy w bracie Marcinie cętkowane złotem oczy swej mat-
ki, zaniosło się jeszcze głośniejszym płaczem.

- Biedny aniołeczek! - zamruczał brat Fidelis, spychając na bok brata Marcina. - Biedne maleństwo! Już dobrze, kochaniutka.

Mała przeniosła spojrzenie bazyliuszka z brata Marcina na brata Fidelisa. Jej twarzyczka, wykrzywiona i ściągnięta w ciasny węzełek, nagle się wy-
gładziła. Dziecko załkało bez przekonania i wyciągnęło malutkie rączki.

Brat Fidelis wyciągnął ku niej ręce.

Ze zdumionym spojrzeniem, najpierw skierowanym na córkę, a potem na kragłego zakonnik, Charlotte uniosła dziecko i włożyła je w jego oczekują-
ce ramiona. Natychmiast mała wtuliła się w nie z ostatnim cichym pomru-
kiem.

- Och, moje słońeczko - śpiewnie zagadał brat Fidelis, nachylając się nad swym cennym zawiniątkiem. - Nikt z tych ludzi nie rozumie, prawda? A pro-
szę. Chciała tylko, żeby ją utulić.

A dziewczynka, skreśliwszy pierwsze nazwisko na liście podbitych przez nią mężczyzn, która miała się w przyszłości niepomierne wydłużyć, wes-
tchnęła i zamknęła oczka.

Z głębokim westchnieniem ulgi ojciec Tarkin przywołał gestem rodziców -
razem z bratem Fidelisem - by stanęli przed chrzcielnicą.

- A zatem, zgromadziliśmy się tutaj dzisiaj, by przyjąć to dziecko na łono Kościoła. Czy wybraliście jej imię?
- Tak - odrzekli zgodnie Dand i Charlotte.
- A jakie?
- Róża.